



**Joan Aiken**



*Córka Elizy*

## Rozdział pierwszy

---

Nabrałam ochoty, aby chwycić za pióro i opowiedzieć wam moją historię. Teraz bowiem, gdy dotarłam już do bezpiecznej wysepki pomiędzy wzburzonymi odmętami, mogę spokojnie spojrzeć wstecz na powodzie, sztormy i gniewne fale, z którymi przyszło mi walczyć. Oprócz tego, moja historia służyć może za przewodnik lub przynajmniej pozwoli zapomnieć na chwilę o troskach tym, którym nie powodzi się najlepiej.

Jednak komu dane jest przewidzieć przyszłość czy przejrzeć ciemności, które są przed nami?

Pozwólcie więc, że rozpocznę moją opowieść bez zbędnych wstępów.

Na temat moich narodzin nie wiem nic, nie wiem nawet, w jakim kraju wydarzenie to miało miejsce. Zastanawiam się, czy fakt ten w ogóle został gdziekolwiek odnotowany.

Moje pierwsze wspomnienia związane są z rokiem 1797, gdy - jak sędzę - miałam około trzech czy czterech lat. Jak wnioskuję, już wtedy musiałam być przebiegłym i byстрыm dzieckiem. Z tego, co słyszałam od ludzi, jako mała dziewczynka byłam drobna, delikatna i oszpecona, co powodowało, że niektórzy mnie wyśmiewali, a u innych wzbudzałam strach. Moja przybrana matka, Hanna Wellcome, sprawowała w owym czasie opiekę nad kilkoma znacznie starszymi ode mnie chłopcami. W obawie, iż swym nieodpowiedzialnym zachowaniem mogą doprowadzić do śmiertelnego wypadku, pozbawiając ją dochodów związanych z adoptowaniem dziecka, gdy tylko nauczyłam się chodzić, odsyłała mnie codziennie z półpensówką na plebanie, pod wątpliwą opiekę proboszcza, doktora Moultrie. Za pół pensa kupowałam na obiad trzy bułeczki w wiejskiej piekarni, a doktor Moultrie, aby powstrzymać mnie przed zadawaniem setek pytań - jako że był leniwym, starym człowiekiem marnującym dzień na beczynnym siedzeniu i nie mającym

najmniejszej ochoty mnie uczyć - zostawiał mnie na długie godziny w swej bibliotece. Tam właśnie, po przeczytaniu takich historyjek jak *Chłopek roztropek*, *Kuba Zabijaka* i *Złotowłosa*, które pozostały po jego dzieciach, od dawna już dorosłych i mieszkających daleko stąd, zajęłam się lekturą poważniejszych pozycji: *Historią Anglii* Goldsmitha, wydaniem *Spectatora*, sztukami Szekspira, poezją i traktatami teologicznymi, a oprócz tego także *Przyjacielem dzieci* Berquina oraz prostymi włoskimi historyjkami. W konsekwencji nabrałam ochoty do nauki języków obcych, co w późniejszym życiu przyniosło mi dużo korzyści.

W bibliotece znajdowała się jedna książka, którą czytałam raz po raz. Nosiła tytuł *Śmierć Artura* i traktowała o walecznych rycerzach i turniejach, o Pięknej Rączce, Panu Persancie, czarodzieju Merlinie i o królu Arturze we własnej osobie, która to postać najbardziej zapadła mi w pamięć. Książka ta zawładnęła moim umysłem na kilka tygodni. Lecz, o zgrozo! Pewnego dnia, pochłonięta opowieścią o śmierci króla Hermance'a, upuściłam na jedną ze stron książki ogromną porcję konfitur z placka, który jadłam. Kiedy doktor Moultrie odkrył moje przewinienie, zbił mnie tak okrutnie, iż ledwo dowlokłam się do domu. Książkę schował i nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

Jednakże, co trzeba mu przyznać, gdy zorientował się, że jestem chętną uczennicą, każdego dnia przewycięzał stan odrętwienia na godzinę lub dwie, aby wprowadzać mnie w tajniki greki, łaciny i zaznajomić z dziełami Euklidesa.

Udało mu się zaszcześcić we mnie pragnienie zdobycia ogromnej wiedzy.

Pozwólcie jednak, że wrócę do mej opowieści.

Hanna Wellcome, moja przybrana matka, była otyłą kobietą o łagodnym usposobieniu. Czerwone policzki i nie uczesane pukle żółtych włosów, wymykające się spod nakrycia głowy, zjednywały jej ludzi. Wierzę, że wrodzona mądrość skłoniła ją do małżeństwa, dzięki któremu zyskała nazwisko i status kobiety zamężnej. Tom, jej mąż, trzymał się na uboczu i rzadko go widywano. Był szczupłym mężczyzną o króliczych zębach i ciemnych włosach. Nieustannie

spieszył po wiejskich drogach w sobie tylko znanych celach. Hanna zaś, uśmiechnięta i dygająca w drzwiach pokrytej strzechą chaty, z bujnym ciałem wylewającym się spod gorsetu, w małym czepku na głowie, sprawiała wrażenie niezwykle ucziwej osoby, co zresztą nie było dalekie od prawdy. Miała więc tak wielu małych klientów, ilu tylko mógł pomieścić jej dom.

Pobielona wapnem, stojąca w ogrodzie chata znajdowała się na krańcu wioski położonej w głębokiej dolinie. Biegąca środkiem wioski droga wiała się jak mały potoczek pośród zielonej gęstwiny pomiędzy stromymi zboczami łąk i rozległymi połaciami lasów, blisko granicy Somerset i Devon. Było tam nie więcej niż dwadzieścia domostw, a także mały, zabytkowy kościół zarządzany przez doktora Moultrie. Doktor opiekował się także inną wioską, położoną wysoko na wrzosowisku, siedem mil na zachód. Było to Over Othery. Zgodnie z dawnym miejscowym zwyczajem, nasza wioska, Nether Othery, nigdy nie była określana tym mianem. Wieśniacy zamieszkujący tę okolicę zwykli o niej mawiać Dolina Bękartów.

Piszę o latach dawno już minionych, kiedy bogate panie, żony prawników, pastorów i zamożnych kupców, nie karmiły swych niemowląt, lecz zwykły oddawać je pod opiekę mamek. Piersi dam, jak się wydawało, nie były stworzone w tym właśnie celu, lecz dla ozdoby.

W rzeczy samej, w owych czasach kobiece piersi były bardzo eksponowane, ściśnięte wysoko w obcisłych sukniach z wysokim stanem i ukryte pod warstwą cieniutkiego materiału. Co więcej, w związku z dworską modą na noszenie sztywnych halek i małych pantofelków, młode damy szybko się męczyły, i tym chętniej poszukiwały przybranych matek. Niezależnie od przyczyn, utarło się, że dzieci pochodzące z wyższych sfer rozwijały się szybciej i lepiej rosły, gdy karmiły je i otaczały opieką kobiety z klas niższych. Tak więc, zaraz po porodzie dziecko odsyłano do mamki, czasami tylko na drugi koniec wioski, czasami daleko w głąb kraju, aby w sprzyjających warunkach dorastało przez dwa, trzy, a czasem nawet

cztery lata. W tym okresie matki rzadko odwiedzały swe pociechy. Zdarzało się nawet, że w ogóle nie widywały swych dzieci przez cały ten czas. Oczywiście, nie była to zasada. Wiele matek odwiedzało potomstwo regularnie, choć wiem, że były i takie, które nie czyniły żadnych wysiłków, aby się z nimi spotkać.

Przez wiele lat nasza wioska słynęła z doskonałych mamek. Być może na tę opinię wpływ miała przednia rasa bydła z West Country, dostatek i wysoka jakość śmietany i masła. Ponadto, w ciągu ostatnich dwudziestu lat Nether Othery zyskało reputację miejsca zacisznego i wolnego od plotek i korupcji, o łagodnym i zdrowym klimacie. Tu właśnie potomkowie osób publicznych, starających się ukryć fakt istnienia nieślubnych dzieci, mogli dorastać w sprzyjającej atmosferze.

Lord S., na przykład, ojciec piętnaściorga dzieci, którymi obdarzyła go kochająca i uległa kochanka pani R., odsyłał wszystkie swe pociechy, aby dorastały w Nether Othery. Podobnie uczynił książę C, panowie G., H., i wielu, wielu innych.

W konsekwencji tego zwyczaju, wioska szczyciła się wzrostem populacji, znacznie większym niż kiedykolwiek zanotowano w wiejskich spisach, a znaczna część mieszkańców nie miała jeszcze dwunastu lat.

Ślubne potomstwo zwykle zabierane było przez rodziców w wieku około trzech lub czterech lat. Bękartki niezwykle rzadko opuszczały Dolinę przed ukończeniem jedenastego, dwunastego roku życia. Chłopców oddawano do szkół publicznych, a dziewczęta, w zależności od ich pozycji, odsyłano na praktyki do modystek lub wyprawiano na kilka lat nauki do Bristolu lub Exeter, aby przygotować je do zawodu guwernantek w dużych dworach.

Gdy miałam trzy lub cztery lata - i tu rozpoczyna się moja historia - widziałam wielu takich przybywających i odchodzących migrantów. Byłam wówczas - na tyle, na ile zdolne są do tego dzieci - świadoma przeciwności losu i trudności, jakie oczekiwały nas w przyszłym życiu. Istniała między nami, młodymi mieszkańcami Doliny Bękartów, swego rodzaju naturalna sympatia i zrozumienie. Rozmawialiśmy o naszych nadziejach i obawach, wymienialiśmy się skąpymi informacjami o

rodzicach, a także docierającymi do nas nowinami na temat dalszych losów naszych towarzyszy niedoli. Łączyły nas silne więzi i nie zaprzeczam, iż cielesna bliskość wśród starszych członków naszej grupy nie była rzadkim zjawiskiem. Czując się, zupełnie słusznie, jak kukułki w gnieździe Nether Othery, nowi mieszkańcy nie zważali zbyt na zasady panujące w społeczeństwie, zwłaszcza że nie przynosiło to żadnych korzyści.

Piętnaścioro bękartów lorda S., często zamieszkujących Dolinę Bękartów w tym samym czasie, korespondowało ze sobą regularnie. Udawszy się do Londynu, starsze dzieci wysyłały młodszemu rodzeństwu figlarne opowieści o nietuzinkowym domu S. przy Grosvenor Square. Tu żona właściciela i jego kochanka żyły obok siebie w pełnej harmonii, a różnice pomiędzy dziećmi z prawego i nieprawego łóża były prawie niezauważalne. Wszystkie dzieci bawiły się razem bez troski i radośnie. Oczywiście, większość z nas nie oczekiwała od losu takiego szczęścia.

Jeśli chodzi o moich przodków, wiedziałam o nich bardzo niewiele. Moja matka, jak się dowiedziałam, zmarła przy porodzie i było to, jak dano mi do zrozumienia, przejawem boskiej opatrności. W wieku szesnastu lat bowiem uciekła od swych opiekunów, a w rok później została opuszczona przez kochanka. Kim mógł on być? Nad tym pytaniem zastanawiałam się w dzieciństwie przez wiele godzin, wpatrując się w strugi deszczu spływające po oknie domu doktora Moultrie, dopóki nie nakazywał mi zabrać się za ćwiczenia z łaciny. Problem ten nie opuszczał mnie także w trakcie samotnych przechadzek przez mgliste tereny wokół Brendon Hills.

Choć w Dolinie Bękartów towarzystwa nie brakowało i chociaż pomiędzy młodą, wciąż zmieniającą się populacją a dziećmi urodzonymi w wiosce (dlatego można było o nich mówić, że są tubylcami) panowała przyjaźń i wspólnota, to jednak odczuwałam tęsknotę, jeśli nie za samotnością, to za innym rodzajem kontaktów niż te, jakie mogli mi zaoferować moi towarzysze. Samotne przechadzki po stromym terenie zaspokajały moje potrzeby w niewielkim stopniu.

Moja opowieść rozpoczyna się pewnego jesiennego dnia. Liście, które nie zmieniły jeszcze koloru, a na naszym wybrzeżu przybierały tylko trochę rdzawy lub bladobrazowy kolor, zwieszały się bezwładnie i melancholijnie z drzew. Słońce świeciło łagodnie, ptaki ćwierkały do siebie cichutko, a morze było tak ciche, jakby jesienne sztormy nigdy tu nie występowały.

Tłusty doktor Moultrie, cierpiący na podagrę, która co dwa czy trzy miesiące zwałała go z nóg, odesłał mnie do domu polecając, abym nie pojawiała się u niego przez trzy dni. Postanowiłam nie powiadamiać o tym pani Wellcome, która, o czym doskonale wiedziałam, od razu znalazłaby dla mnie jakąś ciężką pracę. Choć byłam jeszcze bardzo mała, zatrudniała mnie do zbierania fasoli, karmienia kurczaków, wyrywania chwastów, krojenia łożu na ciasto lub cerowania chłopięcych skarpet. Zawsze było tyle pracy, aby zająć mnie aż do późnego wieczora, co uznawałam za wielką niesprawiedliwość, jako że mieszkający w domu chłopcy, Will, Rob i Jonathan, nigdy nie byli zmuszani do takiego wysiłku. Tak więc, w zależności od swych upodobań, mogli oddawać się łowieniu ryb w pobliskim strumyku, przechadzkom po torfowisku albo pływaniu. W rzeczywistości, najczęściej kłusowali z Tomem Wellcome i uczyli się takich sztuczek, o jakich nikomu się nie śniło. Do wiejskiej szkoły uczęszczali sporadycznie, a doktor Moultrie uważał, że są zbyt hałaśliwi i psotni, aby mogli uczestniczyć w uroczystościach kościelnych.

Szczęśliwa z nieoczekiwanej wolności, oddaliłam się od wioski, przeszłam przez wzgórze, udałam się do Ashett, małego portu, który był jednocześnie najbliższym miastem. Tam postanowiłam spędzić pozostałą część dnia, siedząc beczynnie na wąskim nadbrzeżu i obserwując, jak poławiacze homarów reperują swe sieci, lub też przyglądając się rozładowywaniu statku. Słyszałam wcześniej, że hiszpański galeon został niedawno zatrzymany pod zarzutem piractwa i szmuglerstwa, co niezmiernie mnie zainteresowało.

Przybywszy nad nabrzeże, zamierzałam zająć wygodne miejsce na odwróconym do góry dnem koszu na ryby. Niestety, okazało się, że hiszpański

statek został już zwolniony i odpłynął. Przyływ był niewielki, mogłam więc obserwować Willa, Roba i Jonathana w towarzystwie młodych rybaków, rozbryzgujących wodę i biegających nago po mulistym nabrzeżu, położonym na wschód od piaszczystej ławy zatoki. Jako że nie miałam ochoty do nich dołączyć, udałam się w kierunku zachodnim. Po pewnym czasie zatrzymałam się i przez dłuższą chwilę beczynnie stałam na wysokim, wygiętym w łuk moście, rozciągniętym nad skalistą rzeczką Ashe, w miejscu, gdzie stromo wpadała do zatoki, a jej wody zmieniały kolor z czystego topazowego brązu na morską zielen.

Ten most był zawsze moim ulubionym miejscem do obserwacji.

Spędzałam tutaj długie godziny, wpatrując się w nurt rzeki rzeźbiącej swą drogę przez ciche, małe miasteczko aż do stromych wrzosowisk, czasami zaś w kołyszące się fale i pełną życia zatokę.

Tego dnia, stojąc na palcach tak, aby móc oprzeć łokcie i podbródek na kamiennej balustradzie, nagle usłyszałam za sobą dwa głosy.

Z początku pojedyncze słowa zaczęły zwracać moją uwagę - cudowne słowa, jakich nigdy dotąd nie słyszałam, takie, które można było odnaleźć jedynie na stronach książek w bibliotece doktora Moultrie: połyskujący, podmuch, wyzwanie, katarakta, medytacja, tyranizujący, widmowy...

Słowa te brzmiały niczym zaklęcie, jak czary. Prawdę powiedziawszy, przez kilka minut doznawałam dziwnego wrażenia, że wyrwały się one z głębi mego własnego umysłu, tak jak bąbelki wydostają się na powierzchnię z bagien na wrzosowisku. Po chwili jednak zorientowałam się, że oprócz mnie na moście stali dwaj mężczyźni i podobnie jak ja wpatrywali się w dal. Pochłaniało ich to, co widzieli przed sobą. Bardziej jednak zajmowała ich rozmowa, która toczyła się szybciej niż nurt przepływającej pod mostem rzeki.

Obaj nieznajomi byli tak wysocy, że musiałam wyciągnąć szyję, aby się im bliżej przyjrzeć. Kim mogli być? Z pewnością nie widziałam ich nigdy przedtem, nie pochodzili stąd. Co więcej, jeden z nich, ten wyższy, mówił z dziwnym,



północnym, burkliwym akcentem, co na początku utrudniało mi rozumienie rozmowy.

Akcent niższego mężczyzny (choć nawet i o nim nie można powiedzieć, aby był niski) brzmiał bardziej swojsko. Gardłowy sposób, w jaki wypowiadał głoskę „r”, był dobrze znany w Devon czy Somerset. Zaintrygował mnie wygląd nieznajomego. Wydawało mi się, że miał w sobie coś pociągającego, choć wcale nie był przystojny. Miał bladą cerę, szerokie usta i mięsiste wargi, lecz jego czoło było wysokie, a z oczu biła jakaś moc. Długie, błyszczące, czarne włosy sięgały prawie do ramion. Obaj nieznajomi mieli na sobie surduty i spodnie, jakie nosili przedstawiciele szlachty. Zauważyłam jednak, że ich odzienie było znoszone i źle dopasowane. Luźno zawiązane halsztuki nie były już pierwszej białości, a wygląd butów świadczył o tym, że długo służyły właścicielom. Obaj mężczyźni mieli przy sobie jakieś papiery, dostrzegłam także książki. Wyższy mężczyzna, przez swego towarzysza zwany Willem czy Billem, był kościsty, o bardzo wydatnym nosie. Było w nim także coś, co zauważyłam już na początku, coś, co można by nazwać pewnością siebie, o której świadczyły jego małe, zaciśnięte usta nad cofniętym podbródkiem. Miał piękne brwi, a oczy - choć nie tak ciemne i nie tak błyszczące, jak u jego towarzysza - lśniły błyskotliwością i inteligencją. Podobnie jak jego towarzysz, był w entuzjastycznym, euforycznym wręcz nastroju. Przez chwilę wydawało mi się nawet, iż obaj mężczyźni byli pod wpływem jakiegoś trunku. Myliłam się jednak. Jak się wkrótce okazało, był to szczególnie sposób zachowania właściwy obu panom, gdy ze sobą dyskutowali.

- Rzecz nie w stopie ani nie w kolejności słów, lecz w samej istocie rzeczy i stąd właśnie bierze się podstawowa różnica - powiedział głośno i z pewnością siebie mężczyzna zwany Billem. A właściwie wytrąbił to przez swój wielki nos.

Jego przyjaciel roześmiał się.

- „Kapelusz w ręku trzymam mym i idę gdzieś raz, dwa, tam widzę, stoi inny człek, kapelusz w ręku ma!” - zasugerował.

- Właśnie o to chodzi! A może inaczej „Brunatny jesteś jako piach, gdy go zmarszczyło morze.”\*

- Hejże! Will, mój drogi przyjacielu! Cóż za finezja! Jesteś geniuszem, perły wypływają z twych ust! Poczekaj chwilkę, niech zanotuję.

### \* Tłumaczenie Stanisław Kryński

Otworzył notatnik i energicznie zapisał wypowiedziane słowa.

- Uważaj, mój drogi Samie! - zauważył, śmiejąc się jego przyjaciel. - Nasz oddany poplecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych obserwuje przez teleskop to, co robimy i jestem absolutnie pewien, że podejrzewa, iż obserwujemy straż wybrzeża, chcąc ułatwić inwazję Francuzom.

- Niech go piekło pochłonie! Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Sam. - Jest jednak coś, co mnie męczy. Czy mógłbyś mi powiedzieć, w jaki sposób mamy dostać się na statek, który zabierze nas z powrotem do domu? Jak mamy to uczynić, jeśli cała załoga zniknęła? Muszę przyznać, że bardzo mnie to nurtuje. Cóż możemy zrobić? Jesteś znacznie bystrzejszy ode mnie w rozwiązywaniu takich problemów.

- Jeśli o to chodzi - powiedział Bill - przychodzą mi do głowy dwie rzeczy. Lecz chodźmy dalej, bo dzień już się kończy. Poza tym, moja głowa zawsze pracuje lepiej, kiedy jestem w ruchu.

Mężczyźni zeszli z mostu. Krocząc powoli, udali się na zachód.

Nie mogłam się powstrzymać. Podążyłam za nimi, jakby przyciągana siłą wielkiego magnesu.

Ściagałam ich w górę stromego zbocza. Kiedy przystanęli na szczycie, aby złapać oddech i podziwiać światła na spokojnym, niebieskim, jesiennym morzu, przycupnęłam w pobliżu. Daleko za kanałem góry Walii zwieszały się jak zwiewne frędzelki utkanej z nieba spódnicy.

- Hej! - krzyknął Sam, kiedy mnie zauważył. - Wygląda na to, że ktoś za nami idzie.

- To dziewczynka ze wsi.

- Czy jesteś agentem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych moja mała?

- Ależ nie, proszę pana. Nawet nie wiem, co to jest.

- Nieważne. Ile masz lat?

- Tego również nie wiem dokładnie, proszę pana. Jestem sierotą.

- Nie masz rodziców? - dopytywał się Sam.

- Nikogo, proszę pana. Jestem nieślubnym dzieckiem. Mieszkam w Dolinie Bękartów.

- Kto cię w takim razie utrzymuje? - zapytał mężczyzna zwany Billem, wpatrując się we mnie smutnym, pełnym uwagi wzrokiem. - Ja, podobnie jak i ty, zostałem osierocony w młodości. To ciężki los.

- Utrzymuje mnie dżentelmen, pułkownik Brandon, proszę pana, ale nigdy do mnie nie przyjeżdża. Pisze tylko listy, a i to niezbyt często. Chce, abym była grzeczną dziewczynką i czytała modlitewnik.

- A czytasz? - wtrącił Sam.

- Tak, proszę pana, a także wiele innych książek.

- Jakich? *Kopciuszka*?

- Ależ nie, proszę pana, czytam Cyserona i sir Rogera de Coverley.

Na te słowa obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem i zaczęli mi się badawczo przyglądać, jak mi się wydawało, ze zdumieniem.

- Któż daje ci takie lektury, moja ty cudowna istotko? - dopytywał się Will.

- Doktor Moultrie, proszę pana. On mnie uczy, lecz obecnie cierpi na podagrę. Czy mogę iść z wami, panowie?

- Idziemy zbyt prędko, moje dziecko. Poza tym, nie jest wskazane, aby dziewczynka w tak młodym wieku włączyła się bez celu z dorosłymi mężczyznami.

- Och, zawsze się włóczyłam. Pani Wellcome nie troszczy się zupełnie o to, gdzie przebywam, zwłaszcza jeśli nie potrzebuje mnie do karmienia kurczaków. Proszę, pozwólcie mi iść z wami. Nie będę was zatrzymywać ani męczyć. Przysięgam, że nie będę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Z pewnością wkrótce sama się zmęczy i wróci do domu - powiedział Sam.

Wiedziała jednak, że tak się nie stanie. Czasami przyłączałam się do chłopców polujących na króliki. I choć zawsze miałam nadzieję, że królikowi uda się uciec, sprawiało mi to wiele radości, ponieważ byłam od nich szybsza. Biegając miarowo przez wrzosowiska, mogłam wyprzedzić wszystkich, nawet najstarszych chłopców.

- Nie będę przeszkadzać ani zadawać pytań. Naprawdę, nie będę. Doktor Moultrie nie rozmawia ze mną o takich rzeczach - oświadczyłam. - Chodzi o to, proszę panów, że wasza rozmowa była bardzo interesująca. To znacznie ciekawsze niż oglądanie obrazków.

- Czyjeż serce nie zmiękłoby na takie słowa? - powiedział pan Sam, śmiejąc się. Tak więc pozwolili mi iść ze sobą.

Rozmowa prowadzona przez nieznanymi, zwłaszcza wypowiedzi pana Sama, bardzo mnie zainteresowały. Poruszali wiele tematów, rozmawiali o słowikach, poezji, metafizyce, snach, koszmarach, zmyśle dotyku, różnicy między chęcią i wolą, wyobraźnią i fantazją... potok na wpół tylko zrozumiałych dla mnie słów wypływał z ust czarnowłosego nieznanego. Od czasu do czasu jego towarzysz, pan Bill, dorzucał swoją kwestię, a jego przyczynki zawsze były trafne. Czasami przerzucali się pomysłami, które rodziły się w trakcie rozmowy. Zrozumiałam, że chodzi o temat na opowiadanie o statku i duchowej podróży.

Od czasu do czasu zadawali mi jakieś pytanie.

- Czy to prawda, moje dziecko, że w tych okolicach króliki uważa się za czarownice?

- Och tak, w rzeczy samej, proszę pana. Każdy o tym wie. Dopiero co w sierpniu chłopcy złapali czarnego królika w Wildersmouth Head. Odnaleźli też starą babcię Pollard sztywną i martwą w chatce. Obok niej siedział pies i wył. To ona była tym królikiem, rozumiecie, panowie?

- Hmm - westchnął pan Bill - wydaje się dziwne, że kobieta, która spędziła połowę życia jako królik, trzymała psa, nie uważasz, moje dziecko?

- Wcale tak nie myślę, proszę pana. Każda czarownica ma kogoś bliskiego. Dlaczegoż więc nie psa albo na przykład kota?

Następnie pan Sam zaczął wypytywać mnie o podrzutki.

- Czy w wiosce, gdzie jest tyle sierot, ludzie nie podejrzewają, że któreś z nich może należeć do wróżki. Może nawet ty także, moje dziecko.

- Nikt nie wzięłby mnie za dziecko wróżki, proszę pana - odpowiedziałam szybko - ponieważ jestem brzydka, mam rude włosy i ponieważ moje ręce... sam pan widzi. - Rozpostarłam palce przed sobą, a obaj mężczyźni przytaknęli smutno. - Lecz owszem, o dziedzicu Vexford, który mieszka w dworze w Growly Head, mówi się, że jego babka była dzieckiem podrzuconym przez elfy.

I opowiedziałam im dobrze znaną w Othery historię o tym, jak wiele lat temu pewna mamka karmiła piersią maleńką córkę dziedzica, kiedy w jej chacie zjawiała się elegancka dama z niemowlęciem zawiniętym w zielony jedwab. „Daj i mojemu pięknemu dziecku possać!” - poprosiła, a gdy mamka je nakarmiła, dama zniknęła, pozostawiając dziecko. Oba niemowlaki Wychowywano jak rodzeństwo, a gdy jedno z dzieci zachorowało i umarło, nikt nie wiedział, czy to, które przeżyło, było ludzkim potomkiem czy dzieckiem elfa. Lecz od tamtego dnia w rodzinie Vexfordów w każdym pokoleniu rodziła się jedna dziewczynka wątła i blada, o jasnych włosach, zupełnie niepodobna do reszty ciemnowłosych dzieci, przypominających zresztą samego dziedzica.

- To zaiste interesująca historia, moja mała - powiedział pan Bill. - Czy i w tej chwili jest w rodzinie dziedzica takie dziecko?

- Nie, proszę pana, lecz lady Hariot jest przy nadziei, a że brzuch ma mały, ludzie gadają, że będzie dziewczynka.

Córka pani Wellcome, Bidy, także była brzemienna i wiedziałam, że obie kobiety miały nadzieję, iż honor wykarmienia potomka dziedzica przypadnie w udziale właśnie im. Całkowicie podzielałam ich nadzieje. Majątek dziedzica, dwór w Growly Head, wraz z ogrodami, wybiegiem dla koni, dziedzińcem i stadninami, był dla nas ziemią zakazaną, choć zawsze miałam ogromną ochotę na zbadanie tego terenu, zarówno na zewnątrz jak i od środka. Przewidywałam, że gdyby Bidy Wellcome została mamką dziecka, zaistniałaby potrzeba przesyłania wiadomości z wioski do dworu. Sądziłam, że w ten sposób udałoby mi się przedostać na teren dworu przez wielką, żelazną bramę. Taką miałam nadzieję.

Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, jak wiele tygodni czy miesięcy udziałem moim była niezwykła radość i przywilej towarzyszenia panu Billowi i panu Samowi podczas przechadzek i poszukiwań. Wydaje mi się, że mogło to trwać nawet rok. Wspomnienie mojego pierwszego spotkania z dwoma mężczyznami pozostało wyraźne, lecz późniejsze wydarzenia mieszają się i zacierają osnute mgłą zapomnienia. Nie zawsze, niestety, udawało mi się uciec i dołączyć do nieznanym w trakcie spacerów. Nie zawsze też byłam w stanie ich odnaleźć. Mieszkali bowiem daleko od wioski i czasami wychodzili razem. Pan Sam miał żonę i dziecko, a pan Bill siostrę. Bywało, że pogoda okazywała się moim wrogiem. Silne, północne wiatry pędziły przez wybrzeże, zatrzymując mnie w domu. Czasami na przeszkodzie stawał doktor Moultrie, każąc mi zostać na plebanii. Pomimo wszystkich tych przeciwności jednak udało mi się wybrać na spacer przynajmniej siedem czy osiem razy, a były to zawsze długie wycieczki, jako że obaj panowie bardzo lubili chodzić Wzdłuż wybrzeża do Hurlhoe, przez wrzosowisko do Folworthy lub doliną Ashe do Ottermill. Przyjaciele ubóstwiali rzeki, strumyki i kaskady i jeśli tylko usłyszeli nagle dźwięk spadającej wody, natychmiast zbaczali z obranej drogi. Przy każdej nadarzającej się okazji siadali albo stali godzinami,

wpatrując się w tryskającą wodę. Podczas pierwszego spaceru, który pamiętam bardzo dobrze, zawędrowaliśmy do stromych, zalesionych urwisk, ciągnących się przez kilka mil do małego, samotnie stojącego kościółka świętej Łucji. Zapewne nie udałabym się tam sama, jako że miejsce to cieszyło się złą sławą, a ludzie mówili, że nawiedzane jest przez duchy. Łatwo zresztą mogłam w to uwierzyć, gdyż kościółek stał w najbardziej odosobnionym miejscu, w głębokim zapadlisku wśród bardzo stromych i zalesionych wzgórz. Dookoła rosły wysokie dęby, a obok wartko płynął strumień, torując sobie drogę pomiędzy wysokimi brzegami porośniętymi paprociami, aby daleko w dole wpłynąć do wąskiej zatoczki. Drzewa przysłaniały morze, lecz wyczuwało się jego obecność. Słychać było szumiące, jakby wzdychające fale, a od czasu do czasu dobiegał odgłos silnego i groźnego uderzenia, gdy większa niż zwykle fala zrzucała swój ciężar na skały u podnóża urwiska.

- To miejsce wzbudza grozę - powiedział pan Sam, kiedy obaj mężczyźni, zdejmując kapelusze, weszli do małego kościółka.

- Słyszałem, jak ludzie mówili, że jest to najmniejszy kościół w całej Anglii.

Po chwili wyszli, aby podziwiać jego cień, który w południowym blasku słońca przesuwiał się wolno po małym, otoczonym murem cmentarzu.

- Nie ma potrzeby modlić się tutaj - powiedział pan Bill.

- Szum wody wyraża wszystko.

- Lecz w nocy - zaprotestowałam - dźwięk strumyka zagłusza głos Płaczącej Sally.

- Kim, na Boga, jest Płacząca Sally?

- To dziewczyna, która zwykła tu przychodzić, aby spotkać się z ukochanym na tym cmentarzu. Ojciec jednak zabronił jej widywać się z nim. Dlaczego? Ponieważ jej kochanka o władnęły złe moce. Ona jednak o tym nie wiedziała. Spotykała się z nim. mimo zakazu ojca i utoczyła z palca trzy krople krwi, oddając mu się na zawsze. Lecz on nigdy już nie przyszedł na spotkanie, a dziewczyna podupała na zdrowiu i umarła. Więc pochowali ją, ale jej przepełniony tęsknotą

duch wciąż wychodzi w poszukiwaniu kochanka, pałając nienawiścią do ojca za to, że zabronił jej spotykać się z ukochanym. Ludzie mówią, że duch dziewczyny podąża na wzgórze, a potem w kierunku jej ojca o jeden koguci krok każdego roku.

- Bądź miłosierny, Panie! - powiedział pan Sam, wyciągając notatnik. - Jeden koguci krok każdego roku? Cóż się stanie, kiedy dojdzie do farmy?

- Nie wiem, proszę pana. Być może do tego czasu nadejdzie już dzień Sądu Ostatecznego.

- A cóż Stało się z ojcem Płaczącej Sally?

- Och, umarł wiele lat temu, za panowania królowej Elżbiety. Od tamtego czasu kościół odwiedziło sześciu pastorów, aby przy pomocy Biblii uspokoić ducha, lecz gniew i tęsknota Płaczącej Sally nigdy nie zostaną ukojone. Żadnemu pastorowi jeszcze się to nie udało.

- Cóż za smutna historia - westchnął pan Bill.

Pan Sam odszedł od nas i oparł się o ścianę kościółka, wpatrując się w potoki wody wpadające do wąskiej zatoczki.

- Sam! - krzyknął po chwili do przyjaciela. - Najwyższy czas wracać. Słońce już zachodzi. Obiecaliśmy przecież, że nie wrócimy zbyt późno. Opiekunowie tej małej dziewczynki zaczną się o nią niepokoić.

- Wiem, wiem - odpowiedział pan Sam. Nie ruszył się jednak z miejsca.

Na wiosnę lady Hariot urodziła córkę, małą Teresę. Mniej więcej w tym samym czasie Bidy Wellcome, będąc w połogu, otrzymała pod opiekę dziewczynkę i wychowywała ją razem ze swą córką, Polly.

Biddy, podobnie jak jej matka, była silnie zbudowaną, rosłą kobietą o czerwonych policzkach i tym samym nerwowym temperamentem. Ojciec Polly był duńskim marynarzem, przynajmniej tak o nim mówiono, nigdy jednak nie pojawił się, aby temu zaprzeczyć. Bidy, podobnie jak jej matka Hanna, dobrze zarabiała jako mamka i miała właśnie na wykarmieniu dwóch chłopców z rodziny adwokata z Exeter, a także nieślubną córkę księcia Wells. Biedna, ułomna dziewczynka,



Charlotta Gaveston, była niespełna rozumu. Wierzono, że jej upośledzenie było wynikiem desperackich poczynań matki, próbującej pozbyć się ciąży przed rozwiązaniem. Charlotta nie mogła więc zostawać sama z dziećmi, kiedy Biddy chodziła na targ. Nie można było też polegać na chłopcach, z powodu ich dziecięcej bezmyślności. Dlatego też, Biddy zazwyczaj zostawiała niemowlęta u matki, po czym szła do młyna po mąkę lub na nabrzeże po ryby, jeśli mężczyźni wrócili już z połowów. Tak się zatem składało, że opieka nad dwiema małymi dziewczynkami spadała na mnie i wiele razy musiałam je kołysać i uciszać, siedząc w kuchni Hanny Wellcome. Czasami, gdy rozpoczynało się kwitnienie i była ładna pogoda, wychodziłam na dwór i siedziałam pośród zagonów kapusty czy agrestu.

Oba niemowlaki były dziewczynkami. Lecz podczas gdy Polly Wellcome miała różowiutkie policzki i żółte włosy, podobnie jak jej matka i babcia, a jej oczy były koloru niebieskiej porcelany, Teresa - córka lady Hariot - miała bladą cerę, włosy koloru wyblakłego, żółtawego płótna, delikatne jak puch ostu, a oczy tak jasne, że trudno było powiedzieć, czy są zielone, czy szare. Była drobnokościstym, malutkim stworzeniem, a patrząc na nią, łatwo można było uwierzyć w prastarą legendę o tajemniczej postaci i jej dziecku z krainy elfów otulonym w zielony jedwab. I choć zdawała się tak wątpa i mała, płakała rzadko, w przeciwieństwie do grubej Polly, która darła się na całe gardło przy każdej nadarzającej się sposobności. Mała Teresa leżała cichutko, w zamyśleniu w swym łóżeczku, a jej wielkie melancholijne oczy zdawały się obserwować wszystko, co znalazło się w zasięgu jej wzroku. Od maleńkości wydawała się mnie rozpoznawać i uśmiechała się do mnie, kiedy podchodziłam, aby ją podnieść albo umyć. Bardzo ją pokochałam.

Gdzie w tym czasie przebywała lady Hariot? Dlaczego nigdy nie odwiedzała córki? Jak to się często zdarzało, biedną kobietę powaliła gorączka poporodowa. Leżała więc, walcząc o życie, lecz jak powiedział stary doktor Parracombe, śmierć zdawała się być już bliska. Tygodniami jeździł codziennie do dworu i czasami zaglądał do naszej chaty zobaczyć, jak miewa się dziecko. Nie wydawał się

zdziwiony, że z powodu komplikacji przy porodzie dziewczynka rozwijała się tak, jak się rozwijała.

- Muszę przyznać, pani Wellcome - mawiał - że zarówno pani, jak i pani córka jesteście wspaniałymi mamkami.

A Hanna Wellcome dygała, uśmiechając się od ucha do ucha:

- Ach, cóż możemy im dać oprócz miłości, proszę pana.

Nawet wówczas, gdy było wiadomo, że udało jej się uniknąć śmierci, lady Hariot pozostała w łóżku jeszcze przez wiele miesięcy. Osłabła tak bardzo, że uznano, iż byłoby niebezpiecznie pozwolić jej ujrzeć własne dziecko, gdyż mogłoby to spowodować nadmierną ekscytację i szkodę dla zmysłów. Potem wywieziono ją za granicę, z tego, co wiem do siostry, na wyspę zwaną Maderą, aby ciepłe słońce przywróciło jej zdrowie. Przez wiele miesięcy nie słyszeliśmy o niej ani słowa.

Od czasu do czasu dziedzic Vexford wpadał, aby dowiedzieć się o dziecko. Był mężczyzną o grubych rysach, cienkich wargach i małych, złowrogich oczkach. Wieśniacy gadali, że posiadłość w Growly Head miał odziedziczyć męski potomek, tak więc dziedzic był bardzo niezadowolony, że lady Hariot powiła córkę. Dowiedziawszy się, że jego żona prawdopodobnie nie urodzi już więcej dzieci, rozzłościł się jeszcze bardziej. W rezultacie nie dbał o los córki i niewiele uwagi poświęcał jej rozwojowi. Wpadał jedynie na chwilę, rzucał przelotne spojrzenie na kołyskę, zadawał jakieś pytanie, po czym wychodził, podążając za swymi myśliwskimi psami lub szedł drogą do sadzawki z łososiami znajdującej się w górnych zakrętach rzeki Ashe. Częściej zjawiał się jego służący, Willsworthy. Był to cichy, skryty i małomówny człowiek. Jedynie czasami, na widok Bidy Wellcome, w jego oczach pojawiał się nagły, dziki błysk, niczym światło odbijające się w łuskach ryby, która zbyt długo leżała w spiżarni.

Sprawowanie opieki nad dwiema dziewczynkami oznaczało ograniczenie mej wolności. Nie mogłam już tak często przebywać poza domem w nadziei na spotkanie z panem Samem i panem Billem. Mój dziecięcy rozsądek podpowiadał mi

jednak, że przechadzki z mężczyznami nie mogły przynieść nic dobrego. To, że ich spotkałam, było dla mnie niewyobrażalnym szczęściem. Nakarmili bowiem mój umysł takimi myślami, obrazami i wyobrażeniami, które pozwoliły mi uporać się z problemami, jakie napotkałam w przyszłości.

Przypominam sobie jeszcze jedno wydarzenie, które łączę z tymi szczęśliwymi przechadzkami. Zdarzyło się to po powrocie z jednego z takich właśnie spacerów, jak sobie przypominam, na wrzosowisko Ashe, gdzie znajdowały się kamienie Kaina i Abla. Pan Sam opowiedział mi wtedy dziwną historię o Kainie i jego małym synu Enosie. Chłopiec ten pytał ojca, dlaczego wiewiórki nie chciały się z nim bawić. Wszystkie opowieści pana Sama zawierały jakąś zagadkę. Musiałam długo myśleć, aby ją rozwikłać.

Do domu wróciłam późno i jak zwykle przemknęłam cichutko jak myszka przez kuchenne drzwi, gdyż wiedziałam, że Hanna zbiłaby mnie przykładnie, gdyby usłyszała, jak wchodzę. Nie martwiła się o to, gdzie byłam, lecz złościła się, kiedy nie pomagałam jej w pracy. Na szczęście razem z Tomem i Bidy siedziała w salonie, racząc się jabłecznikiem. Wdrapałam się po wąskich schodach do wnęki na poddaszu, która służyła mi za miejsce do spania. Nie było tam okna, lecz przez strzechę wpadało do środka dużo świeżego powietrza.

Po drodze minęłam pokój chłopców, skąd dochodziły odgłosy bójki, które z resztą dobiegały stamtąd przez pół nocy.

- Hej, czy to ty, Liza? - wyszeptał Rob, kiedy na palcach przechodziłam obok ich drzwi.

Rob Hobart był moim najlepszym przyjacielem spośród wszystkich chłopców. Mówiłam na niego Hob, Hoby lub Hobgoblin. Jego ojciec - z tego, co wiedziałam - był ministrem poczt, matka zaś sprzedawała jadalne mięczaki na ulicy w centrum Londynu. Był wysokim, szczupłym i piegowatym chłopcem o żółtych włosach, obdarzonym ciętym językiem i inteligentnym dowcipem. Pełen inwencji i sprytu, zawsze wpędzał swych towarzyszy w kłopoty. Hoby był doskonałym kompanem,

ale w towarzystwie innych chłopców zmieniał się nie do poznania. Naśmiewał się wtedy ze mnie, przezywając mnie „Liza Wielkoręka” lub „Śmieszna pięść” albo „Panna Drogowskaz”.

Jednak tego wieczora był miły i delikatny. Wymknął się z pokoju, aby dołączyć do mnie na szczycie stromych schodów.

- Dziś po południu przyjechała bryczką jakaś kobieta - wyszeptał. - Pytała, czy tu mieszkasz.

- Och, Hoby! A mnie tu nie było! - Po raz pierwszy i ostatni pożałowałam moich przechadzek z panem Billem i panem Samem. - Kim, na Boga, mogła być?

- Nie powiedziała, jak się nazywa i odjechała. Był z nią przystojny dżentelmen, któremu bardzo się spieszyło, aby zdążyć do Bristolu przed zmierzchem.

- Do Bristolu? To daleko stąd. Kim byli, Hoby?

- Bóg mi świadkiem, że nie wiem - odparł Hoby. - Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że była elegancka, miała pióra na kapeluszu i pierścionki na palcach. Powiedziała tylko, że chciałyby na ciebie spojrzeć i przykro jej było, że cię nie zastała. Stwierdziła również, że widzi po mnie, iż można mi ufać. - Zaśmialiśmy się oboje, ja zaś pomyślałam, jak daleka od prawdy była w tej ocenie tajemnicza dama. - Dała mi pamiątkę dla ciebie, oto ona.

Hoby podał mi mały przedmiot, długi i cienki, zawinięty w coś, co przypominało szorstki jedwab, przewiązany splątanymi sznurkami.

- Cóż to może być? I kim była ta kobieta? Nie podała nazwiska? Jak wyglądała? Czy była piękna?

- Hmm... - zaczął Hoby, lecz wiedziałam, że przekazywanie obrazów słowem nie było jego mocną stroną. W tej samej chwili otwarły się drzwi do pokoju, wpuszczając smugę światła.

- Co to za gadanie i szuranie? - rozległ się donośny, groźny głos.

- Zwijamy się! - syknął Hoby. Popędził do siebie, a ja wdrapałam się szybko na swoje legowisko, bo już słyszałam ciężkie kroki na schodach. Wepchnęłam mój tajemniczy prezent w dziurę w strzesze, gdzie zwykle chowałam ofiarowane mi jabłka czy ciastka.

Tom Wellcome powstał przez chwilę na szczycie schodów, ciężko oddychając i roztaczając przy tym kwaśny odór jabłecznika, potem zszedł na dół, lecz drzwi do pokoju zostawił otwarte, nie miałam więc odwagi robić zamieszania.

Naturalnie, potem przez dobrą godzinę leżałam na moim materacu i nie mogłam zasnąć. Myśli o tajemniczej kobiecie nie dawały mi spokoju. Czy mogła być żoną pułkownika Brandona, który płacił za moje utrzymanie? Czy ów dżentelmen był pułkownikiem Brandonem? A jeśli tak, to czy nie zatrzymałby się, aby porozmawiać z Hanną Wellcome? Często zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie przyjechał, aby mnie zobaczyć. Inni opiekunowie zjawiali się od czasu do czasu w odwiedziny, lecz nie on. Nigdy nie napisał listu ani nie przysłał mi prezentu. Tylko pieniądze docierały regularnie z banku w Dorsetshire wraz z poleceniem, abym była grzeczną dziewczynką i czytała książki.

Tak więc ten mały przedmiot, cokolwiek to było, a kształtem i rozmiarem przypominał grzebień lub parę nożyczek, to pierwszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Z sercem bijącym z podniecenia obmacywałam go palcami ze wszystkich stron, lecz nie mogłam nic wyczuć, tak wiele nitek go oplatało. Tak więc moja ciekawość musiała pozostać niezaspokojona aż do świtu.

Nie spałam już, zanim nastał ranek. Miętosząc i ciągnąc za nitki ostrymi dziecięcymi ząbkami udało mi się w końcu je przerwać i rozwinąć białe opakowanie z jedwabiu. W środku znalazłam przedmiot, który widziałam kiedyś w *Gentelman's Magazine* u doktora Moultrie. Nigdy jednak nie miałam okazji zobaczyć go z bliska, ponieważ kobiety w Ashett i Othery nie używały takich przedmiotów. Był to wachlarz zrobiony z delikatnych paseczków kości słoniowej, cieniutkich jak nitki i połączonych nie znanym mi materiałem. Zamarłam urzeczona pięknem i misternym

wykonaniem owego przedmiotu, nie mogąc jednak rozwikłać tajemnicy jak go rozłożyć.

Po śniadaniu złapałam Hoba za kurnikiem i poprosiłam go o pomoc.

- Patrz, gąsko! To proste - powiedział, łatwo odginając kciukiem zapięcie i rozpościerając wachlarz iście profesjonalnym gestem. Zaczął się nim wachlować, robiąc omdlewające miny, unosząc i opuszczając brwi, wywracając oczyma pod gęstymi, jasnymi brwiami tak, że wkrótce ogarnął mnie śmiech.

- Och, Hoby, jesteś taki śmieszny! Gdzie się nauczyłeś tak robić?

- Nieważne, panienko - szybko zwinął wachlarz i oddał mi go. - Tak robią szczęśliwe damy w Bristolu, lecz tobie to nie grozi przez najbliższe dziesięć lat.

Ojciec Hoby'ego od czasu do czasu bywał w hrabstwach w zachodniej Anglii w związku z interesami i zdarzało mu się zabierać syna na kilka dni.

- Ale, droga panno - dodał - jesteś mi coś winna, coś małego, bo gdyby Bidy Wellcome była wtedy w domu, nie dostałabyś tego wachlarza. Trzymaj go więc lepiej w ukryciu.

Nie odważyłabym się ukryć wachlarza w domu, schowałam go więc w dziupli dębu rosnącego w zagajniku, gdzie zwykliśmy zbierać drzewo na opał. Tu - jeśli nikogo nie było w pobliżu - oddawałam się przyjemności wachlowania, unosząc brwi, opuszczając rzęsy i rozglądając się wokół, próbując wiernie naśladować mimikę Hoby'ego.

Nie pokazałam mego skarbu ani panu Billowi, ani panu Samowi. Choć byłam jeszcze mała, instynkt podpowiadał mi, że taka zabawka nie byłaby dla nich interesująca. Ci mężczyźni zajmowali się sprawami ducha, przyrody, kataraktami, burzami, skałami i tęczami. Wachlarz - prosty, kobiecy drobiazg - nie zainteresowałby ich, jeśli nie rozśmieszył. W ten oto sposób nauczyłam się odróżniać ludzi, i w zależności od tego, z kim miałam do czynienia, pokazywałam stosowne oblicze.

Kolejne godne uwagi zdarzenie miało miejsce w dzień świętego Michała, kiedy, jak sądzę, miałam już siedem lub osiem lat. Pan Bill i pan Sam, ku mojej rozpaczy, opuścili nasze okolice i odpłynęli za granicę, chyba do Niemiec, sprawiając mi ogromny ból. Gdy tylko udawałam się do Ashett, na każdym rogu wypatrywałam falujących czarnych loków i błyszczących oczu pana Sama i rzymskiego nosa pana Billa. Nie mogłam tak naprawdę uwierzyć, że nigdy już nie wrócą i wciąż snułam plany, w jaki sposób uczczę ich powrót. Przygotowywałam historie, jakie powinnam im opowiedzieć i wybierałam tajemnicze miejsca, które chciałabym im pokazać. Nie pamiętam już, ile lat upłynęło, zanim zrozumiałam, że żaden z mych planów nigdy się nie ziści,

Tymczasem dwa niemowlaki, Teresa i Polly, wyrosły na sympatyczne dziewczynki o kręconych włosach, lecz zupełnie odmiennym usposobieniu. Jedyne, co je łączyło, to fakt, że obie bardzo późno nauczyły się mówić. Nieporadna Bidy Wellcome, wciąż zajęta domowymi obowiązkami, nie trudziła się, aby do nich mówić - chyba że coś im nakazywała lub czegoś zakazywała. Zapewne była to jedna z przyczyn ich językowych kłopotów. A Polly, podobnie jak matka, była głupia, uczyła się wolno, nawet jeśli przyswojenie jakiejś nowej umiejętności miało służyć jej dobru. Teresa, na którą z racji dziwacznie brzmiącego imienia zawsze wołano Triz, była natomiast bardzo inteligentna, lecz delikatna i cicha, raczej ulegała wpływom innych niż próbowała sama coś zrobić. Tak więc, nie widząc żadnej korzyści płynącej z mowy, nie starała się jej opanować. Kiedy byłam z nimi, troszczyłam się o Triz i wciąż broniłam jej przed chciwością i samolubstwem Polly, która zawsze była szybsza i pierwsza porywała każdą rzecz, o której istnieniu się dowiedziała. W konsekwencji mała Triz przywiązała się do mnie na swój sposób.

Nazywała mnie „Aliza”, cichutko mamrotała moje imię, uśmiechając się ufnie, gdy do niej podchodziłam. „Aliza”.

Jak zatem wspomniałam, działo się to w dzień świętego Michała. Wiecznie mruczący coś pod nosem doktor Moultrie był bardzo zajęty, przewodząc ceremonii

pogrzebowej pewnego parafianina z Over Othery, który w swej nierozwadze zdecydował się opuścić świat właśnie tego dnia. Tak więc, byłam wolna. W Ashett odbywał się właśnie jarmark, coroczne trzydniowe wydarzenie. Pasterze, parobcy, dójki zjechali się z całego kraju w poszukiwaniu zatrudnienia. Wiedziałam także, że będą żonglerzy i fotoplastykon, muzyka i tańce, Cyganki wróżące z kart, zabawki i łakocie. Nie miałam już jednak serca dla Ashett, dla ulic, na których nie mogłam spotkać pana Billa ani pana Sama. Myśl o tym wywoływała smutek. Poza tym, nie miałam pieniędzy.

Wszyscy chłopcy z Doliny Bękartów, zarówno ci z prawego jak i nieprawego, łoża, niecierpliwie oczekiwali jarmarku. Od dłuższego czasu oszczędzali pieniądze - przeważnie zarobione na kłusownictwie - i z utęsknieniem wyglądali tej przyjemności.

- Możesz z nami iść, mała, jeśli masz ochotę - powiedział Hoby pobłażliwym tonem. - Dam ci sześć pensów.

Jego towarzysze warknęli na tę propozycję:

- Co z nią zrobimy? Będzie z nią tylko kłopot.

Nie zważając na nich ani na Hoby'ego, pokręciłam przecząco głową, choć coś ścisnęło mnie w gardle, jakby wielka śliwka stanęła mi w przełyku.

- Nie, nie chcę z wami iść.

- Nie chcesz obejrzeć jarmarku? Przecież Hanna i Tom wybierają się tam, aby kupić narzędzia i perkal. Wszyscy idą na targ.

- Nie chcę iść.

- To wariatka. Ma nie po kolei w głowie - powiedział Jonathan zde gustowany.

- Poza tym ma dziwaczne dłonie. Komu ona potrzebna? Chodźmy sami i zostawmy ją lepiej.

- Spodoba ci się, Lizo. Naprawdę ci się spodoba. - Hoby wciąż próbował mnie namówić.



Lecz ja kręciłam przecząco głową, tym bardziej zdecydowanie, im bardziej on naciskał, aż w końcu po prostu uciekłam od chłopców i schowawszy się w stodole farmera Dunleigha, siedziałam tam, aż sobie poszli. Tak naprawdę trochę żałowałam, że nie zobaczę jarmarku. Wiedziałam jednak, że choć proponując mi wybranie się na targ Hoby chciał być miły, to z pewnością zachowywałby się zupełnie inaczej po wypiciu większej ilości jabłecznika.

Spacerowałam po opuszczonych ulicach wioski. Tom i Hanna już wyszli w nadziei na zrobienie szybkich interesów. Bidy także nie było, poszła z nimi, tak przynajmniej myślałam. W każdym razie drzwi jej domu były zamknięte. Byłam zdziwiona, że nie zostawiła mi Polly i Triz pod opieką. Czując się wolna, postanowiłam przejść się w stronę Growly Point, po drodze mijając wodopój i ogród dziedzica z wykrzywionymi, pochylonymi od wiatru jabłoniemi.

Growly Point było jednym z moich ulubionych miejsc. Dom dziedzica znajdował się na krańcu przylądka, obok niego stała kaplica i zabudowania gospodarskie. Za domem rosły wygięte od wiatru buki, a przed nim rozpościerały się ogrody schodzące tarasami w dół. Płynął tam mały strumyk, który formował wydłużoną dochodzącą do uczęszczanej ścieżki. Wyłożona kamieniami dróżka prowadziła przez małą bramę, a potem dalej przez łąki i pola uprawne, aż do zagłębienia w niższej części urwiska.

Przechodząc przez krytą dachem bramę cmentarną, wymamrotałam moje odwieczne życzenie, aby „pan Bill i pan Sam wrócili”, po czym przyspieszyłam kroku, spoglądając w lewo, gdzie widać było ogrody pełne późnych stokrotek i róż, a także różowobiałych kwiatów na wysokich łodygach, których nazw nie znałam. Większość ogrodów nie była widoczna z powodu porastających je wiecznie zielonych żywopłotów. Dwór ujrzałam dopiero wówczas, gdy doszłam na szczyt urwiska i obejrzałam się za siebie. Wydawał się wielki i groźny, z dwoma ogromnymi, ceglanymi kominami, przypominającymi wilcze uszy, i z oknami wychodzącymi na morze.

Stojąc na ścieżce wiedziałam, że nie weszłam na teren prywatny, jednak na widok tych ogromnych, jakby wpatrujących się we mnie okien, jak zawsze przeszły mnie ciarki. Szłam szybko po krętej ścieżce. Prowadziła stromo w dół przez ryś w urwisku aż do nabrzeża. Lecz ja skierowałam się na zachód i poszłam dalej wzdłuż urwiska, aż dotarłam do miejsca, gdzie zwykłam przesiadywać po odjeździe pana Sama i pana Billa. W tym zacisznym zakątku, pośród ostu i wysuszonej trawy, tarniny i krzaków jeżyn, mogłam przyjemnie spędzać długie godziny, nie robiąc nic oprócz przyglądania się przypluwającym i odpływającym falom.

A fale w tej okolicy warte były oglądania. Wzdłuż wybrzeża prowadziła droga z Ashett, lecz tutejsi mieszkańcy korzystali z niej, zachowując wielką ostrożność.

Wielu nierozważnych przybyszy topiło się każdego roku, pomimo ostrzeżeń.

Wybrzeże w tym miejscu było zdradliwe, uformowane nie z piasku, lecz z dziwnych kawałków płaskiej, prążkowanej skały układającej się we wzór labiryntu. Miejscami był tak regularny, jakby został wymyślony przez człowieka, innym znowu razem przypominał niestaranne notatki skreślone ołówkiem. Pan Sam uwielbiał studiować go z wierzchołka urwiska i próbował opisać w notatniku. Pośród tych występów skalnych łatwo można było wpaść w pułapkę. Nadchodzące fale wpływały bowiem do zatoki z dużą szybkością, a szczeliny pomiędzy pasmami skalnymi miały różną głębokość i woda - zupełnie nieoczekiwanie - wylewała się przez nie z ogromną siłą.

Poniżej miejsca, gdzie się usadowiłam, skały tworzyły ogromne, koncentryczne zagłębienia, przypominające ślady po gigantycznej ostrydze.

Niebieskie półkole wody ukazywały miejsca, w których fala zawracała. Mewy i ostrygojady wirowały, rzucały się z krzykiem taplając się w wodzie i robiąc sobie ucztę z małż, trąbikow i pąkli, zanim zdążyła je przykryć nadchodząca fala.

Usiadłam i zateśkniłam za towarzystwem pana Billa i pana Sama.

Przypomniałam sobie ich słowa - „brunatny jesteś jako piach, gdy go zmarszczyło morze”. Być może, pan Bill patrzył właśnie na tę plażę, kiedy przyszło mu to do głowy. Powykręcane formacje przypominały zmarszczoną twarz człowieka. Ponad

następnym cyplem wznosił się wielki, blady, sierpowaty księżyc dając dużo światła. Przypomniałam sobie, jak bardzo pan Sam kochał księżyc. „To jedyny przyjaciel” - zwykł mawiać - „który może ci towarzyszyć nie ruszając się z miejsca”.

Obiecałam sobie, że kiedy dorosnę, odszukam tych dwóch mężczyzn. Będę miała własne pieniądze, wybiorę się w podróż i odnajdę ich. I zaczęłam snuć wielkie plany na zarabianie pieniędzy. Wyobrażałam sobie, że będę pisać sztuki, opowiadania i wiersze, podobnie jak moi dwaj przyjaciele. Moje opowiadania zostaną opublikowane i stanę się sławna. A oprócz tego będę bardzo piękna, kochana przez wszystkich i nikt nie będzie zwracał uwagi na moje ręce.

Siedziałam więc i marzyłam. A popołudnie przepłynęło jak chmury na silnym wietrze, jak wznoszący się księżyc. Nie myślałam o chłopcach i jarmarku, choć przedtem bolało mnie to, że odmówiłam Hoby'emu i uraziłam jego uczucia. Czasami przychodził ze mną do Growly Head i kiedy byliśmy sami, wydawał się inną osobą. Znając go jednak, wiedziałam, że wkrótce zapomni o swej propozycji i mojej odmowie, nie był bowiem pamiętliwy. Przeciwnie, pełen nowych, nieprzewidywalnych pomysłów, miał w sobie nieznanne mi dotąd szaleństwo.

- Dziecko! Jak możesz siedzieć tak w bezruchu! - zawołał ktoś za mną. - Przypatruję ci się już od dwóch godzin i nie poruszyłaś się nawet o centymetr. Chyba siedzisz tu już tak od dawna!

Głos przeraził mnie tak bardzo, że osłupiałam i o mało nie spadłam z krawędzi urwiska.

- Och, proszę pani! Śmiertelnie mnie pani przestraszyła!

- Hola! - śmiejąc się zawołała kobieta. - Uważaj, bo spadniesz w dół na skały! Przykro mi, że cię zaskoczyłam. Ten podskok, który wykonałaś, kiedy się odezwałam, zrekompensował dwugodzinny brak aktywności.

Kobieta również zachowywała się bardzo cicho. Teraz zobaczyłam ją wyraźnie - dama siedziała bez ruchu wśród wysokich traw po drugiej stronie kanału. Ubrana była w sukienkę i szal w cieniutkie słomiano-szare paseczki, miała przy

sobie zielony, koronkowy parasol. Jej kostium wyglądał tak, jakby został celowo zaprojektowany po to, aby mogła wtopić się w tło. Była więc prawie niezauważalna. Twarz miała szczupłą i bardzo opaloną. Włosy, starannie zaczesane i przewiązane wstążkami, prawie całkowicie przyprószyła siwizna. Na szyi, na aksamitnej wstążce wisiała mała lornetka. Kobieta wydawała mi się znajoma. Pomyślałam, że z pewnością widziałam ją w wiosce.

Jej oczy były bardzo dziwne.

- Nie spiesz się, moje dziecko - powiedziała, gdy usiłowałam wstać. - Masz prawo tu siedzieć, podobnie jak i ja... może nawet masz do tego większe prawo. Czy jesteś z Ashett?

- Nie, proszę pani. Z Doliny Bę... Bękartów, z Nether Othery.

- Myślę, że już cię tam widziałam. Czy jesteś sierotą?

- Tak, proszę pani. Mieszkam z panią Wellcome.

Na dźwięk tych słów jej oczy rozjaśniły się. Zrobiła ruch, jakby chciała mnie o coś spytać, lecz potem zmieniła zdanie.

Wpatrywałam się w jej oczy podejrzliwie.

Były piękne, ciemnoszarego koloru, lecz jedno z nich, lewe, od czasu do czasu zezowało lub uciekało w jedną stronę. Kiedy więc prawe obserwowało moje zdziwienie, lewe przyglądało się czemuś daleko ponad moim ramieniem. Dawało to dziwaczny efekt, zupełnie jakby umysł nieznajomej był pochłonięty kilkoma rzeczami naraz.

- Oglądałam ptaki - oznajmiła, uśmiechając się i dotykając lornetki. - Podobnie jak ty, bardzo lubię obserwować przyrodę. Lecz wkrótce będę miała mniej czasu na takie przyjemności.

- Przykro mi, proszę pani - powiedziałam grzecznie - jeśli będzie pani musiała porzucić to, co sprawia pani przyjemność.

- Och, nie, nie. To przymusowe wakacje. Jutro zaczyna się nowy okres w moim życiu.

Słuchałam ją z przyjemnością. Jej niski, melodyjny głos przypominał mi dwóch utraconych przyjaciół. Wciąż jednak czułam za sobą obecność wielkiego dworu z jego nastawionymi uszami i przyglądającymi się bacznie oczyma. Kiedy kobieta wstała, zerwałam się na równe nogi, kierując się w stronę zbroczki. Ona westchnęła tylko i powiedziała:

- Do widzenia, moje dziecko.

- Do widzenia, proszę pani. - Dygnęłam i prędko pobiegłam w górę do małej bramy, zastanawiając się, skąd mogła pochodzić nieznajoma.

Gdy wróciłam, w domu panował chaos i rozpacz. Hanna i Tom wrócili już z jarmarku. Zauważyłam pokaźnych rozmiarów zwój perkalu, byłam więc pewna, z czego zostaną uszyte moje sukienki, które przyjdzie mi nosić przez najbliższe dwa lata. Narzędzia Toma leżały zapewne w komórce. Chłopcy zaszyli się w kuchni. Kilku żywo rozprawiało. Cała uwaga skupiła się na Biddy, siedzącej pośrodku pokoju przy kominku. Wiła się, wydobywając z siebie potoki łez.

- Moja mała Polly! Och, jak mogła wydarzyć się taka tragedia? Och, och, już nigdy nie będę szczęśliwa!

W chacie znajdowali się także nie znani mi ludzie. Zauważyłam pana Willsworthy z dworu - cóż on tu robił? Był też doktor Moultrie, który wrócił już z pogrzebu w Over.

- Zbierałam małże nad brzegiem morza, chciałam zrobić placek.

Dlaczego, na Boga, Biddy Wellcome zbierała małże? - zastanawiałam się. - Nigdy tego nie robiła. Nigdy, przenigdy nie przyrządzała placek z małżami. Jediną rzeczą, jaką Biddy kiedykolwiek przygotowywała w kuchni była filiżanka herbaty i gotowane ziemniaki, które wmuszała w przybrane dzieci przed snem.

- Zbierałam małże i niosłam małą Triz - niech błogosławione będzie jej serduszko - aby muszelki nie pokaleczyły jej małych, delikatnych stópek.

Kiedy ostatnio zdarzyło ci się nieść małą Triz? - zastanawiałam się. I gdzie to wszystko się zdarzyło?

Skupiska małż znajdowały się na wszystkich plażach na wschód od Ashett.

- Czy zawiadomiła pani straż wybrzeża? - zapytał Willsworthy szorstkim, chropowatym głosem.

Biddy odwróciła się do niego.

- Oczywiście, że tak! To znaczy, wysłałam wiadomość przez Franka i Charleya Tedburnów. Och, moje biedne serduszko! Och, moja mała Polly. Czy kiedykolwiek ją jeszcze zobaczę?

Biddy wybuchnęła histerycznym szlochem.

- Niezbadane są wyroki boskie - powiedział doktor Moultrie.

Po cichu wyszłam z salonu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszystkie oczy skierowane były na Biddy. W kuchni znalazłam chłopców: Hoby'ego, Willa i Jona, ze smutkiem przyglądających się wiklinowemu koszykowi, w którym spało dziecko.

Z bijącym sercem podeszłam na palcach i zajrzałam do środka. W kołysce, z czerwonymi policzkami i otwartą buzią, ciężkim snem spała Polly Wellcome. Wyglądała tak, jakby dolano do jej mleka kilka kropli laudanum. Biddy czasami stosowała tę miksturę, jeśli chciała wybrać się gdzieś wieczorem.

- Gdzie jest T... Triz?

Moje zęby szczykały tak bardzo, że z trudem mogłam mówić.

- To właśnie Triz - powiedział Will, wielki, gruby i głupi chłopak. Choć miał już prawie dwanaście lat, nie nauczył się jeszcze alfabetu.

- Polly utonęła - powiedział. Spojrzałam na Hoby'ego.

- Biddy wciąż powtarza, że to Polly utonęła. A ty lepiej siedź cicho. Inaczej stary Willsworthy chyba cię zabije.

- Ale, ale...

- Przecież Biddy wie, jak wygląda jej własne dziecko, czyż nie? Jeśli mówi, że to jej mała utonęła, to chyba ma rację.

Za mną stał Jonathan, który, choć całkiem pełna rozumu, miał tak krótki wzrok, że ledwo widział dalej niż jard od swego nosa. Zawsze przegrywał w

strzelaniu i grze w kulki. Nigdy nie widział z bliska żadnej z dziewczynek, tego byłam całkiem pewna.

- Hoby, co się stało? Co mówi Biddy?

- O co ci chodzi? - spytał Hoby, drapiąc się w głowę i marszcząc brwi. - Biddy mówi, że poszła z dziećmi zbierać małże na skałach Growly Point. Mówi, że nagle nadeszła fala i Polly została wciągnięta do środka jednej ze szczelin. Ludzie nazywali je skalnymi kanałami.

- Ale - kontynuował Hoby powoli i z namysłem - cała ta sprawa jest dla mnie wielce zagadkowa.

- Dlaczego, Hoby?

- Oto dlaczego: Biddy była na jarmarku aż do trzeciej, widziałem ją tam na własne oczy. Rozmawiała potajemnie ze starym szelmą, tym ze złotym kolczykiem w uchu. Więc jak zdążyłaby dostać się na wybrzeże? Przyływ zaczął się wcześniej i ławice małż byłyby już pokryte wodą. A nie było jej tam wcześniej, dlatego że po obiedzie chłopcy i ja widzieliśmy, jak wybierała się do Ashett z dwiema dziewczynkami. Czyż nie Will... Jon..?

- Tak, właśnie tak - potwierdzili chłopcy.

- Lecz... Zaczęłam myśleć.

- Cóż robi tu Willsworthy?

- Otóż - wyjaśnił Hoby - dzisiejszego poranka przybył z dworu z wiadomością, że lady Hariot czuje się już lepiej, i wróciła z Madery, gdzie udało jej się dojść do zdrowia. Pokonała chorobę i chce, aby mała Triz wróciła do dworu jutro z samego rana, do prawdziwej matki.

- Och, mój Boże...

- A więc Triz zostanie jutro odesłana.

- Biddy zamierza wysłać Polly w zamian za zagubioną Teresę.

A jednak coś w tej historii wydawało mi się zupełnie niezrozumiałe. I bardzo dziwne. Dlaczego, ni stąd ni z owąd, Biddy zabrała Triz na wybrzeże i zgubiła ją

właśnie wtedy, kiedy dziewczynka miała wrócić do dworu? Dlaczego miałyby wysłać swoje własne dziecko do Kinn Hall? Biddy nie była oddaną matką, to prawda, ale czasami, w przypiływie nagłych uczuć, porywała Polly w ramiona i zaczynała ją całować. Nigdy jednak nie zachowywała się tak w stosunku do Triz. O cóż więc mogło chodzić? Czy chciała rozstać się z własnym dzieckiem? I czy nikt nie zauważy, że nastąpiła zamiana? Nikt się nie domyśli?

- Gdzie zbierała małże?

- Na skałach Growly Point.

- Wcale jej tam nie było - powiedziałam pewnym głosem. - Przez całe popołudnie siedziałam na urwisku i nie widziałam tam żywego ducha.

Nikogusieńko. Była tam... była tam pewna kobieta, która może potwierdzić moje słowa.

- Zamierzasz powiedzieć Biddy, że kłamie? - spytał Hoby ze złośliwym uśmiechem, a jego oczy pojaśniały okolone piaskowymi rzęsami.

- Jak myślisz Hoby, co ona zrobiła z Triz? Wzruszył ramionami.

- Sprzedała Cyganom. Triz wyglądała jak mały elf. Może oni ją chcieli.

- Och nie! - krzyknęłam, lecz po chwili spytałam:

- Czy naprawdę myślisz, że Biddy mogłaby to zrobić? Hoby przewrócił oczyma i wzruszył ramionami.

- Wrócę do Ashett. Odnajdę tych Cyganów. Gdyby tylko znali całą tę historię - wydusiłam z przerażeniem.

- Zamierzasz pójść do Cyganów? - Jonathan spojrzał na mnie osłupiały. - Chcesz, żeby wyrwali ci wnętrzności? Jak zamierzasz ich znaleźć? Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy Biddy i Hanna się o tym dowiedzą.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Pomyślałam o małej Triz, samotnej i przerażonej wśród Cyganów.

W zasadzie nic nie wiedziałam o Cyganach, nie miałam pojęcia, czy byli okrutni czy mili. Wśród mieszkańców Othery cieszyli się jednak złą reputacją. I



mogło być w tym trochę prawdy. Mówiono, że porywają i kupują dzieci. Dlaczego? Tego nie wiedział nikt. Mieli przecież dużo własnych.

- A więc idę - powiedziałam udając, że się nie boję.

W tym właśnie momencie zza drzwi dobiegł żalosny lament. Do pokoju wpadła biedna Charlotta Gaveston, niezbyt rozumne dziecko, i dwóch przybranych synów Bidy - Charley i Frank, dopominając się o kolację. Korzystając z zamieszania, wymknęłam się na drogę do Ashett. Po chwili usłyszałam kroki.

- Idę z tobą - oznajmił Hoby. - Myślę, że jesteś niespełna rozumu, brak ci piątej klepki i z pewnością będziesz miała kłopoty, jeśli odnajdziesz Triz. Ale zawsze stajesz po stronie przyjaciół i to mi się w tobie podoba. Możesz potrzebować pomocy.

Perspektywa jego towarzystwa niezmiernie mnie uradowała. Zaczynała zapadać noc, kiedy przekroczyliśmy górę i dostaliśmy się do Ashett. Jarmark wciąż trwał w najlepsze, przy latarniach i ogniskach, odgłosach muzyki, tańców, bębenków i pijackich wrzaskach.

- Gdzie byli Cyganie? - spytałam Hoby'ego.

- Kiedy odchodziłem, stali w grupie przy Folworthy Road, zaczęli pakować swoje rzeczy.

Lecz kiedy z trudem udało nam się przecisnąć pomiędzy na wpół rozebranymi kramami i grupami pijanych straganiarzy, dotarłszy na miejsce, z żalem ujraliśmy, że nikogo tam nie ma. Cyganie już odjechali.

- Pojechali drogą do Folworthy - powiedział nam pewien człowiek. - Prawdopodobnie rozbiją obóz na wrzosowiskach Folworthy. Nie zatrzymują się na długo w pobliżu miasta.

Niewiele brakowało, żebym się rozplakała, a Hoby uparł się, żeby już wracać.

- Hej, mała Elizo, doszliśmy już bardzo daleko, jest późno i nie uda nam się ich dogonić.

- Och, Hoby! Chodźmy jeszcze jedną milę lub dwie. Być może Cyganie rozbili obóz poza miastem. Albo ty wracaj, jeśli jesteś zmęczony, a ja pójdę dalej...

Lecz Hoby nie zostawiłby mnie samej, ruszyliśmy więc razem, trzy mile na zachód od Ashett, przez Hoe Bay, wzdłuż stromego pagórka aż do Umberleigh Down. Bolały mnie stopy, a noc zaczynała robić się bardzo zimna. Wielki, błądy księżyc wznosił się na ciemnym niebie - dokładnie ten sam, który wcześniej spoglądał na mnie przyjaźnie tego dnia.

Pomyślałam, że ten księżyc spodobałby się panu Samowi. On na pewno pomógłby mi w poszukiwaniach.

Hoby był bardzo cierpliwy. Szedł obok mnie i wcale nie narzekał.

W końcu odnaleźliśmy Cyganów.

Rozbili już obóz. Ich wozy i kilka brudnych namiotów tworzyły koło. Pośrodku paliło się ognisko. Wychudzone psy przechadzały się między wozami, a pręgowane koty kroczyły dumnie.

Przyjemny zapach jedzenia wydobywał się z garnka na palenisku. Pachniało duszonym królikiem.

- Czego chcecie dzieci *gadscho*? - zapytała ciemnowłosa kobieta widząc, że wahamy się czy podejść bliżej. Uśmiechnęła się do nas kwaśno.

Pomyślałam o panu Samie. O tym, jak on zachowałby się w takim momencie.

- Jeśli można, proszę pani, chciałabym zobaczyć się z najważniejszą osobą. Z wodzem tego obozu...

Popatrzyła na mnie, marszcząc brwi. W tym właśnie momencie, jak mi się wydaje, złożyłam błagalnie ręce.

Nagle kobieta zmieniła się nie do poznania. Kiwnęła głową i poprowadziła nas do największego wozu. Na schodkach siedział mężczyzna, niezbyt stary, lecz siwy, chudy i ogorzały od wiatru, o wyraźnych rysach twarzy, garbatym, zakrzywionym nosie i bardzo błyszczących oczach. W uszach miał złote kolczyki.

- To ten sam człowiek, z którym rozmawiała Bidy - Hob wyszeptał mi do ucha.

- O co chodzi, dzieci *gadscho*?

- Proszę pana - zaczęłam, uznawszy, że w stosunku do tego człowieka najlepiej zachować respekt, podobnie jak w stosunku do sędziego czy księdza - czy jest tutaj, to znaczy... czy pewna kobieta nie zostawiła tu dziś dziecka? Ma bardzo jasne włosy, wygląda jak mały elf.

- Jak się nazywa? - zapytał, przyglądając mi się uważnie.

- Ma na imię Teresa - odparłam.

Nagle, pod wpływem impulsu zawołałam głośno - wysokim cienkim głosem, takim, jakiego rzadko używałam, w zasadzie tylko wtedy, gdy wołałam na bydło i świnię.

Jedynie Triz go znała, czasami bowiem używałam takiego tonu, aby ją rozbawić.

- Triz, och, Triz! Czy jesteś tutaj? Czy mnie słyszysz?

W jednej chwili Teresa zbiegła po schodkach jednego z wozów, po czym rzuciła się prosto w moje objęcia.

- Aliza! Aliza!

- Zaszła pomyłka - powiedziałam do mężczyzny z kolczykami.

- To dziecko zostało wam przekazane przez pomyłkę. Rozumie pan, prawda?

- A co z pieniędzmi? - mężczyzna dopytywał się smutnym głosem. - Czy możesz je zwrócić?

- Nic nie wiem o żadnych pieniądzach. Nie mamy pieniędzy - odparłam, rozłożywszy bezradnie ręce.

Hoby wywrócił łachmaniarskie kieszenie na zewnątrz.

Lecz mężczyzna z kolczykami, podobnie jak ciemnowłosa kobieta, wpatrywał się uważnie w moje ręce.

Szybko wyszeptał coś do kobiety w niezrozumiałym języku. Oboje wykonali gest, jakby chcieli odzegnać urok.

- Czy umiesz śpiewać? - zapytał.
- Śpiewać? Nie wiem. Dlaczego pan pyta?
- Zaśpiewaj za mną.

Była to dziwna melodia. Zaczynała się od niskich tonów, a kończyła bardzo wysoko.

- Zaśpiewaj to - powiedział, ja zaś uczyniłam to.
- Jeszcze raz - rozkazał. Zaśpiewałam więc znowu.
- Bardzo dobrze - powiedział. - Zapomnijmy o pieniądzach. Jesteś.... - I znów wymówił to obce słowo.

Ujął moje ręce - Triz bardzo niechętnie puściła moją dłoń - i przytrzymał przez chwilę w swoich, szorstkich i tłustych, pomarszczonych jak kora, lecz zadziwiająco ciepłych.

- Idźcie w pokoju, dzieci *gadscho*. Macie przed sobą długą drogę.

Istotnie była to długa droga. Stopy bolały mnie coraz bardziej. Księżyc stał się rudawy i schodził za horyzont. Zmienialiśmy się niosąc Triz, która była bardzo ciężka, choć taka drobnutka.

Cóż jednak działo się, gdy dotarliśmy do domu!

Hoby miał absolutną rację, kiedy przepowiadał, co może się wydarzyć.

Biddy została w domu Hanny, gdzie odbywało się swojego rodzaju czuwanie. Smutek i łzy topiono w kuflach zielonego jabłecznika z dodatkiem szmuglowanej brandy, co, jak mi się wydawało, stanowiło niezwykle niebezpieczny trunek. Nikogo nie ucieszył powrót Triz, wręcz przeciwnie. Biddy wyzwała mnie od małych, złośliwych żmij, które zawsze przysparzają kłopotów.

- Przecież to nie może być Triz! To nie jest Triz! Skąd możemy mieć pewność, że to nie jakieś cygańskie dziecko? Cóż to za pomysł przyprowadzać ją tutaj! Co za pomysł! Ciekawa jestem, co jeszcze zrobisz?

Kłótnia zakończyła się w momencie, gdy hałas obudził Polly. Wstała ze swego narkotycznego snu, wydobyła z siebie okrzyk: „Tiz! Tiz!” i z niezwykłym dla niej entuzjazmem podbiegła, aby przytulić przybraną siostrę.

Zauważyłam jednak, że Triz gwałtownie odsunęła się, kiedy Biddy podeszła do niej. Zastanawiałam się, czy jej dziecięcy umysł zanotował fakt, że przybrana matka zaplanowała pozbyć się jej, jak kociaka czy zabawki, i oddać obcym ludziom bez najmniejszego poczucia winy.

W końcu wszyscy byli zbyt zmęczeni i zbyt pijani, aby kontynuować kłótnię. Doktor Moultrie i pan Willsworthy, szacowne osoby, opuścili już dom. Nie był to zatem odpowiedni moment, aby wyjawić moją największą tajemnicę, że byłam dziś na urwisku przez całe popołudnie i nie widziałam tam Biddy. A nieznajoma o dziwnych oczach mogłaby potwierdzić moją historię. Oznajmiłam, że Triz może spać ze mną i zaprowadziłam ją do mojego zacisznego schronienia. Ściśnięte, jako że było tam zbyt mało miejsca nawet dla jednej osoby, spędziłyśmy razem resztę nocy. Wycieńczona dziewczynka obejmowała mnie chudziutkimi ramionkami, a ja nie mogłam zasnąć z niepokoju.

Choć byłam jeszcze dzieckiem, zdawałam sobie sprawę z siły władzy dorosłych, dlatego obawiałam się, że nadchodzący dzień może przynieść jeszcze większe kłopoty. Najbardziej przerażał mnie fakt, że Biddy może znaleźć jakiś sposób na pozbycie się Triz i wysłanie jej z powrotem do Cyganów. Obawiałam się, że opowie im jakąś zmyśloną historyjkę, a wtedy zło i niesprawiedliwość zwyciężą, jak często bywało już w moim życiu.

Następnego dnia jednak, wbrew moim przewidywaniom, sprawy przyjęły zupełnie inny obrót. Tak zresztą zdarza się prawie zawsze, choć nigdy nie jestem na to przygotowana.

Wszyscy zaspaliśmy, wycieńczeni przeżyciami poprzedniego dnia, kłótnią, zielonym jabłecznikiem i brandy.

Ze snu wyrwały mnie krzyki i łomotanie do drzwi.

- Otwierać! Gdzie jest pani Wellcome? Gdzie druga pani Wellcome? Wyłazić z łóżek! Pani dziedzicowa czeka na swoje dziecko!

Otepią krótkim, ciężkim snem, sturlałam się po schodach i otworzyłam drzwi. Usłyszałam pomruki krzątającej się Hanny i Toma, próbujących dać znak o swej obecności.

Na dworze stała bryczka, a przy kucyku krzątało się dwóch parobków. Jednego z nich znałam. Nazywał się Jeff Diswoody i był głównym stajennym w Kinn Hall. To on dobijał się do drzwi i krzyczał.

- Niech mnie wszyscy diabli, co robić? Miałem nadzieję, że wszyscy jesteście już na nogach, a mała panienka będzie gotowa. Moja pani przyjechała sama... prrr... powitać swą córeczkę. Dziewczynka powinna już czekać ubrana z wiankiem różyczek na głowie, jak majowa królowa! A tu co zastajemy? Ani żywej duszy!

Spojrzałam na bryczkę. Siedziała w niej kobieta, którą wczoraj spotkałam na urwisku! Dziś była pięknie ubrana w żółte jedwabne szaty i rękawiczki, miała jedwabny parasol przeciwsłoneczny. Poznałam ją od razu po oczach i uśmiechu, którym mnie obdarzyła. Lady Hariot! Oczywiście, powinnam była się domyślić. Któż inny, jeśli nie ona?

Miałam więc szansę i postanowiłam ją wykorzystać.

- Chwileczkę, proszę pani! - przełknęłam ślinę i popędziłam po schodach po Triz, która jak koścista ptaszynka mrugała i przecierała oczy, siedząc na moim legowisku.

- Chodź szybko, Triz. Twoja matka przyjechała. Dwa białe konie czekają gotowe, aby zabrać cię do domu!

Wzięłam ją na ręce i zniosłam ze schodów. Biedne małe stworzenie wciąż było zaspane. Oszolomiona wczorajszymi przeżyciami uderzyła w szloch i schowała główkę w mych ramionach, ściskając mnie kurczowo, kiedy Jeff Diswoody próbował ją zabrać.

- Aliza! Aliza! - krzyczała.

- Co to, co to, co to ma znaczyć, nie chcesz pójść do matki? Oczywiście, że nie chciała.

- Biedna mała - powiedziała lady Hariot, zorientowawszy się w sytuacji. - Nic dziwnego, że nie chce opuszczać przyjaciół. Ale jest pewne rozwiązanie. Dlaczego nie mogłabyś... jak ci na imię, moje dziecko?

- Liza, proszę pani.

- Lizo, pojedź z Teresą do dworu, a wtedy łatwiej się przyzwyczai do nowego miejsca. Widzę przecież, że jest do ciebie bardzo przywiązana. A potem, kiedy już oswoi się z domem, jeden z parobków odwiezie cię z powrotem.

- Niech panią Bóg błogosławi, sama mogę wrócić do domu - powiedziałam, rozanielona tą propozycją i wskoczyłam do bryczki, wciąż trzymając Triz w moich ramionach. - Przykro mi, proszę pani, że musi pani oglądać ją w takim stanie, ale Bidy i Hanna późno wróciły wczoraj z jarmarku.

- To nieistotne, zaprawdę - powiedziała lady Hariot, pograżona w myślach. - Mam dla niej ubrania. - Jednym okiem bacznie obserwowała córkę, podczas gdy drugie wpatrywało się w chatę, gdzie Hanna, która wykonała najszybszą w życiu toaletę, dygała, kłaniała się i uśmiechała wystrojona w czysty czepek i fartuch.

- Och, proszę pani! Och, moja droga pani! Och, cóż za przyjemność widzieć panią w dobrym zdrowiu i uśmiechniętą!

- Dziękuję, pani Wellcome. I dziękuję za opiekę nad moją córką. Musimy już jechać. Do widzenia! - zawołała, a Jeff uderzył z bicza, i kucyki ruszyły. Hanna spoglądała niezadowolona, kiedy bryczka się oddalała. Bałam się myśleć o tym, jak mnie przywita, kiedy wrócę do domu, lecz świadomość tego, że Triz jest bezpieczna, a ja w końcu zobaczę dwór, dodawała mi otuchy.

Jeśli chodzi o szczegóły na temat tego, co zdarzyło się po przybyciu do dworu, pamięć zaczyna mnie zawodzić. Przypominam sobie, że czekał na nas dziedzic Vexford, mężczyzna szorstki i nieprzyjemny w obejściu.

- Przywiozłam naszą córkę do domu, Godric - odpowiedziała lady Hariot. - Czyż nie jest podobna do twojej ciotki Tabithy z portretu, który wisi na górze?

- Ech! Byłoby o wiele lepiej, gdyby przypominała wuja Tomasza - odpowiedział dziedzic.

Na te słowa lady Hariot westchnęła, po czym poprowadziła mnie do pokoiów dzieciennych. Były to pokoje z oknami wychodzącymi na zatokę. Znajdowały się tam zabawki, o jakich dziecko może tylko śnić. Uśmiechnięta lalka czekała ubrana w kolorowe stroje.

- Oto jesteś! - powiedziała lady Hariot, z miłością wpatrując się w Teresę, która w osłupieniu rozglądała się dokoła. - Oto jesteś, moja owieczko, jesteś w domu i to wszystko należy do ciebie, wszystko jest twoje!

I pokazała córce zabawkę, nie pamiętam już jaką, chyba drewnianego konika. Triz stała w osłupieniu, nie wiedząc, co z nim zrobić. Czułam, że to nie ja powinnam jej to pokazać. Lady Hariot uklękła więc, po czym objaśniła wszystko dziewczynce. Triz przypatrywała się w ciszy, jej oczy zrobiły się wielkie i poważne.

- Opuszczę teraz panią - powiedziałam. - Z pewnością Triz będzie szczęśliwa, mieszkając w tak wspaniałym domu.

Kiedy jednak chciałam odejść, Teresa uderzyła w płacz, przycisnęła się do mnie i nie dała się uspokoić.

- Maleńka moja! - krzyknęła niańka. - Dlaczego płaczesz, przecież będziesz miała własny pokój i wszystko, co potrzebne. Nie przejmuj się dziewczyną, ona należy już do przeszłości.

Triz jednak czuła inaczej.

- Aliza, Aliza! - płakała, wyciągając do mnie ramiona.

Stałam bez słowa, myśląc o sierotach z Doliny Bękartów, które nigdy w życiu nie będą miały szczęścia zamieszkać w tak pięknie umeblowanych pokojach. I o biednej i małej Triz, która wcale ich nie potrzebowała. Przypomniał mi się wachlarz, mój skarb, ukryty w dziupli dębu. Lady Hariot prawdopodobnie miała ich kilkanaś-



cie, a w przyszłości będą należały do Triz. Nie chciałam zostawić jej płaczącej gorzkimi łzami.

- Posłuchaj, kochanie - powiedziała lady Hariot, usiłując uspokoić dziewczynkę. - Twoja Liza, twoja Aliza... jak do niej mówisz? Ona wróci tu jutro, co ty na to? Zabierze cię na spacer po ogrodzie, a ty jej pokażesz swoje nowe zabawki. Czy to cię zadowoli?

Moje serce biło mocno, gdy Triz rozważała tę propozycję. Po chwili z poważną miną skinęła głową dwa razy, wycierając oczy z łez.

- Przyjdzie rano, po śniadaniu. Czy możesz to zrobić, moje dziecko? - zapytała lady Hariot.

- Jeśli doktor Moultrie pozwoli mi wyjść. Pobieram u niego nauki, rozumie pani.

- Naprawdę? Och, jeśli tak, dopilnuję, aby pozwolił ci wyjść. Skinęła głową, dając mi do zrozumienia, abym już poszła.

Opuściłam więc pokój, a Triz zajęła się swoją nową zabawką.

Pobiegłam z powrotem do wioski, wzdłuż wysypanego żwirem podjazdu, wpatrując się w tarasy ogrodów, które nie były widoczne ani z drogi, ani ze ścieżki. Chciałam postać tu chwilę i poprzyglądać się im, wiedziałam jednak, że nie powinnam. Tak czy inaczej, pomyślałam, jutro będę miała okazję obejrzeć ogrody razem z Triz, a jeśli dopisze mi szczęście, taka sposobność znów się nadarzy. Wracając do domu, miałam poczucie triumfu, ale i głębokiego niepokoju. Moje obawy były uzasadnione, kiedy bowiem dotarłam do domu, Hanna powitała mnie z groźną miną.

- A więc, panienko, co tam jej naopowiadałaś? Co powiedziałaś lady Hariot?

- Co jej powiedziałam? Nic jej nie powiedziałam.

- Wcale ci nie wierzę! To kłamstwo, że byłaś wtedy na urwisku i nie widziałaś tam Bidy!

Spytaj chłopaków, pomyślałam. Dlaczego nie trzymają języków za zębami? Skoro jednak Triz była teraz bezpieczna w Kinn Hall, nie widziałam powodu, żeby opowiadać teraz, co Biddy zrobiła lub co planowała zrobić, i dlaczego tak postąpiła. Doskonale rozumiałam, że gdy lady Hariot nagle zdecydowała się wrócić do dworu i posłała po córkę, Biddy postanowiła wysłać w zamian swoje własne dziecko, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo i dostatek do końca życia. W międzyczasie postanowiła szybko pozbyć się drugiego dziecka, aby nikt nie zorientował się w całej tej mistyfikacji.

Lecz teraz Cyganie byli już daleko, trudno więc było dowieść, co zrobiła Biddy. Ludzie w wiosce byliby zdziwieni faktem, że dziecko, które miało utonąć, jest całe i zdrowe, choć takie rzeczy przecież się zdarzały.

- Wczoraj siedziałam na szczycie urwiska - powiedziałam - i nie widziałam tam Biddy. Lecz nie wspomniałam o tym lady Hariot. Dlaczego miałabym to robić? Lady Hariot też tam była, siedziała na szczycie urwiska przez całe wczorajsze popołudnie. Widziałam ją. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, kim jest, choć rozmawiała ze mną.

Hanna wpatrywała się we mnie zupełnie ogłupiała. Natychmiast poszła do domu swej córki, lecz nigdy nie dowiedziałam się, o czym rozmawiała. Następnego dnia jednak nagle odkryliśmy, że nie ma Biddy. Uciekła potajemnie, nie mówiąc nic nikomu.

Na początku dogłądanie opuszczonej Charlotty, Charleya i Franka przypadło w udziale Hannie. Wkrótce jednak oddała dzieci pod opiekę sąsiadom za opłatą.

- Jak myślisz, dokąd pojechała Biddy? - spytałam Hoby'ego, kiedy stało się już jasne, że nie wróci.

- Spotkać się z żeglarzami - odpowiedział enigmatycznie.

- Gdzie miałyby ich spotkać? - zapytałam.

- W Exter lub Plymouth, tak myślę. Albo pojechała spróbować szczęścia w Londynie.

- Czy w Londynie też są żeglarze?
- Raczej przystojni dżentelmeni.
- Dlaczego miałyby się z nimi spotykać? Hoby wybuchnął śmiechem.
- Och, Lizo, jesteś kompletnie zielona! Nic nie wiesz! Wyjechała, żeby zostać

dziwką, oczywiście.

- Och, dlaczego tak od razu nie powiedziałaś? - poczułam się urażona - Wiem wszystko o dziwkach.

- Niby skąd? Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Fanny Huskisson powiedziała mi. - Fanny mieszkała u pani Pollard w gospodzie Green Man. Wyjechała w ubiegłym roku. Mówiła, że sypiają z mężczyznami za pieniądze. Fanny, wesoła dziewczyna, w pewnym sensie była moją przyjaciółką.

- One nie tylko kładą się z mężczyznami. One się z nimi kochają.

- Wiem! A mimo to nie mają dzieci, ponieważ jedzą sporysz z ryżu. Myślę, że to lichy sposób na zarabianie pieniędzy.

Nie miałam wysokiego mniemania o mężczyznach, oczywiście z wyjątkiem pana Sama i pana Billa.

- Mógłbym ci opowiedzieć znacznie więcej - powiedział Hob.

- Wcale nie chcę tego słuchać.

Właściwie, to ja także mogłabym mu dużo opowiedzieć. Ale nie miałam na to ochoty.

## Rozdział drugi

---

Do tej pory opisałam w szczegółach pewne wydarzenia, które miały miejsce we wczesnym dzieciństwie. W istotny sposób wpłynęły one bowiem na dalsze moje losy. Nie zamierzam jednak tak dokładnie przedstawiać mojej historii, gdyż wymagałoby to od czytelnika niezwyklej cierpliwości.

Co więcej, czasami ogarniają mnie wątpliwości. Czy takie zdarzenie naprawdę miało miejsce, zastanawiam się, czy też tylko je wymyśliłam? Zdaję sobie sprawę z tego, że od czasu do czasu zmyślam całe epizody i przedstawiam je jako rzeczywiste. Zastrzegam sobie jednak prawo - gdy tak postanowię - do zachowania własnych opinii co do pewnych wydarzeń.

Triz, czy też Teresa, jak ją teraz nazywano, wkrótce zadomowiła się na dobre w nowej rodzinie w Kinn Hall. Bóg wie, że nie było jej zbyt dobrze u Biddy Wellcome i że nie darzono jej tam zbyt głębokim uczuciem. Mało było więc powodów, dla których Triz mogłaby mieć cokolwiek przeciwko tej zmianie. Teraz, pośród nowych przyjaciół, którzy poświęcali jej dużo czasu, szybko nauczyła się mówić. Wciąż jednak była do mnie bardzo przywiązana i co kilka dni chciała mnie widzieć. Tak więc, stopniowo zaczęłam spędzać coraz więcej czasu we dworze. Nie wiedziałam, czy dorastająca Triz zachowała jakiegokolwiek wspomnienia związane z pobytem u Cyganów, nigdy bowiem o tym nie wspominała. Być może, obraz ten został wyparty w głąb umysłu, zatarty jak większość naszych wspomnień z okresu niemowlęctwa i dzieciństwa. Wierzę jednak, że moje przybycie i interwencja, zanotowane w pamięci niekoniecznie świadomie, w istotny sposób wpłynęły na jej uczucia, jakimi mnie darzyła.

Niektóre matki mogłyby być zazdrosne o takie przywiązanie do obcej osoby u dopiero co odzyskanego dziecka. Lecz lady Hariot nie należała do nich. Z natury była sprawiedliwa i serdeczna w stosunku do ludzi, a z powodu długotrwałej

choroby wiele czasu spędziła na długich i głębokich rozmyślaniach o rzeczach, którym inni ludzie poświęcają mało uwagi. Lubiła wszystko, co cieszyło i interesowało jej dziecko, dlatego też lubiła i mnie. Mogę powiedzieć, że była dla mnie jak matka - z pewnością lepsza niż Bidy Wellcome dla małej Polly. Dziecko zostało teraz powierzone opiece kapryśnej i zmiennej w nastroju babci. Gdy Hanna nie piła, traktowała dziewczynkę dość łagodnie. Niestety, okresy trzeźwości zdarzały się coraz rzadziej. Bardzo często w owym czasie znajdowano ją w stanie kompletnego upojenia.

Co więcej, lady Hariot zaprosiła mnie, abym zamieszkała w Kinn Hall. Nether Othery, jej zdaniem, nie było dla mnie odpowiednim miejscem. Posunęła się nawet tak daleko, że napisała list do mego opiekuna, pułkownika Brandona, uzyskawszy jego adres od Hanny, kiedy była w miarę trzeźwa, pytając, czy nie ma on nic przeciwko temu, abym przeniosła się do dworu.

Po długim czasie nadeszła odpowiedź, jednak nie od, samego pułkownika Brandona, lecz od jednego z jego prawników w Dorchester. Wynikało z niej, że Brandon w ubiegłym roku dołączył do 33 pułku piechoty, dowodzonego przez generała Wellesleya, i że wraz z żoną przebywał teraz w Seringapatam. Do tej odległej miejscowości zaś listy idą wiele miesięcy. Pod jego nieobecność prawnicy nie mogą wydać zgody na moją przeprowadzkę do dworu.

- Nic nie szkodzi, proszę pani - powiedziałam do lady Hariot. - To bardzo miło z pani strony, lecz jest mi dobrze tak jak jest.

Szczerze mówiąc, miałam na ten temat dwie opinie.

„Bądźmy zawsze, ty i ja, najlepszymi przyjaciółkami” powiedziała do mnie kiedyś z naciskiem Fanny Huskisson, zanim opuściła Dolinę Bękartów. Lecz nie mogłam się na to zgodzić. I to nie tylko dlatego, że Fanny była głupią, wulgarną dziewczyną, choć wesołą i o bardzo dobrym sercu. Nie czułam się na siłach, aby złożyć taką obietnicę. Z powodu owej słabości mojego charakteru nie poszłam także z Hobym na jarmark. Odczuwałam bowiem potrzebę trzymania się z boku,

zachowania wolności, aby nie być na niczyje rozkazy, aby poruszać się samej w nieograniczony sposób, aby zachować niezależność i nigdy nie być pod wpływem tego, co robią inni. Moja sympatia do Hoby'ego nie przesłoniła mi faktu, że zarówno on, jak i jego towarzysze mieli wiele zajęć, w których wcale nie miałam ochoty brać udziału. I choć Fanny zawsze uważała się za moją przyjaciółkę, ja, ze swojej strony, czułam, że niewiele miałyśmy ze sobą wspólnego.

Tym razem, podobnie miało się stać z moim życiem w Kinn Hall.

Po pierwsze, zawsze miałam świadomość tego, że dziedzic patrzył na mnie nieprzyjaźnie. Nie był ani uczuciowym ojcem, ani kochającym mężem, nigdy nie wchodził do dziecinnego pokoju i mało go to wszystko interesowało. Lecz tylko głupiec nie zauważyłby, że pod jego pozorną obojętnością kryło się uczucie jawnej antypatii do mnie. Zawsze, gdy spotykałam go przypadkiem na placu zabaw czy w ogrodzie, prowadząc kucyka Triz lub grając z nią w krykieta, zaciskał usta w kwaśnym uśmiechu i rzucał mi spojrzenia pełne wstrętu. Wiedziałam, że to nieprzyjazne uczucie zawdzięczam Willsworthy'emu. Jeśli kiedykolwiek Triz i ja przeskrobałyśmy coś, co często zdarza się dzieciom, jeśli podeptałyśmy kwiaty lub złamałyśmy krzak róży albo zostawiłyśmy zabawkę na dworze, wiadomość o tym docierała do dziedzica Vexforda tak szybko, jak tylko Willsworthy był w stanie go powiadomić. Sądzę więc, że obrona mej pozycji w Kinn Hall kosztowała lady Hariot wiele wysiłku.

Jej starania nie poszły jednak na marne.

Lady Hariot była tak zdumiona zasobem wiedzy, jaką udało mi się przyswoić w trakcie pobytów u doktora Moultrie, który za wszelką cenę starał się wyposażyć mnie w nowe umiejętności, że kiedy mała Triz zaczęła pobierać lekcje muzyki, tańca, francuskiego i włoskiego, musiałam brać w nich udział. Rzeczywiście, trzeba było jej pomóc, gdyż uczyła się wolno i szybciej mogła zrozumieć i zapamiętać materiał, jeśli go sama z nią przerobiłam. Pomimo wielu korzyści i przyjaznego nastawienia lady Hariot, przebywając we dworze czułam pewne skrepowanie.

Dlatego z ogromną radością pozbywałam się go, wracając wieczorem do domu, do brudu i wolności Doliny Bękartów. Błagam jednak, nie zrozumcie mnie źle. Doskonale zdawałam sobie sprawę z nieocenionych darów, jakie codziennie dane mi było otrzymywać. Pod sprawiedliwym i czułym okiem lady Hariot uczyłam się konwersacji, sposobu poruszania się i zachowań, jakie przystoją ludziom wysoko urodzonym, i dość szybko - jeśli tylko chciałam - potrafiłam pozbyć się prostackich nawyków.

Wkrótce odkryłam, że lady Hariot była lepiej urodzona niż dziedzic, jej mąż.

- Poślubiłam go, ponieważ nie miałam wyboru - powiedziała mi spokojnie pewnego dnia, kiedy przyglądałyśmy się, jak Jeff Diswoody uczył Triz prowadzić kuca.

Chwilę wcześniej przejechał dziedzic, jak zawsze dumny i despotyczny. Przyglądając mu się z daleka, spytałam:

- Nie miała pani wyboru? Jak to możliwe, pani - taka łagodna i piękna?

Oczywiście, doskonale wiedziałam, o czym mówiła. Jakże mogłam nie rozumieć?

- Miałam jeszcze cztery siostry - zaczęła tłumaczyć - a mój ojciec, choć był hrabią, nie posiadał wielkiego majątku. Nie mógł dać nam dużego posagu. A żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie poprosi o rękę dziewczyny z takim spojrzeniem jak moje. W wielu krajach za kanałem nawet dziś, z powodu mojej ułomności, wieśniacy pewnie spaliliby mnie na stosie, jak czarownicę.

- Rozumiem proszę pani. - Istotnie, pojmo wałam, o czym mówiła.

Przypomniałam sobie Cyganów.

- W rzeczywistości miałam więc szczęście. Los niezamężnej kobiety jest niewesoły. Być starą panną to nic dobrego.

- Nawet, jeśli nie jest się kaleką. To wystarczający powód do szyderstw. Mój rodowód zdecydował wszakże, iż pan Vexford uznał, że przymruży oko na mój wygląd. Teraz obawiam się jednak, iż nie uważa już tego związku za korzystny.

Westchnęła, przyglądając się krępej postaci galopującej wzdłuż podjazdu, goniącej psy na drodze do Folworthy. Jego zamiłowanie do polowań oddalało go coraz bardziej od domu.

- Ten dwór to istne gniazdo kalek i nieudaczników! - słyszałam, jak krzyczał na żonę w furii. - Niech mnie лихо weźmie, człowiek mógłby równie dobrze mieszkać zamknięty w przytułku Dunster. Mam ochotę zabrać się stąd!

Prawdą było, że lady Hariot, kierując się dobrym sercem, wybierała służbę spośród ludzi ułomnych, którzy źle sobie w życiu radzili. Jej pokojówka, Prue, cierpiała na bóle nóg, a pani Lundy - gospodyni - jąkała się. Moje dziwaczne ręce, jak czułam, wzbudzały w dziedzicu nieprzyjazne uczucia i sympatię lady Hariot. Nawet Jeff Diswoody, od czasu upadku w dzieciństwie, był głuchy.

Myślę, że lady Hariot zauważyła moje ręce już w czasie naszego pierwszego spotkania.

- To doprawdy osobliwość rzadko spotykana - powiedziała wzdychając, kiedy Triz i ja rozpoczynałyśmy lekcję gry na fortepianie, a zdumiony nauczyciel, pan Godfinch, nerwowo skomentował moją przypadłość.

- Nigdy w życiu nie spotkałem się z czymś podobnym. Nie widziałem, aby jedna ręka była większa od drugiej i miała sześć palców... nigdy nie spotkałem się z czymś tak... tak dziwnym. Ośmielam się twierdzić, że gdy będziesz grać na pianinie, twoja ułomność może okazać się zaletą, choć wyobrażam sobie, moje dziecko, że musiała przysparzać ci wiele bólu?

- Och, niech panią Bóg błogosławi. Tak... tak... proszę pani, wszystkie dzieci w Othery przezywają mnie, wołają na mnie Liz Wielkoręka i często śpiewają: „O północy pieje kur, dziad za sobą ciągnie wór, u twej ręki palców sześć, twoja matka elfem jest.” Ale nie zwracam na to uwagi. Niektóre boją się mnie i myślą, że mogłabym na nich rzucić urok, inne zachowują się przyjaźnie.

Moje doświadczenie, jak również to, co mówili inni, wskazywało na to, że nie powinnam się spodziewać, iż kiedykolwiek jakiś mężczyzna weźmie mnie za żonę.



Hoby i reszta dzieci często mi to powtarzali. Któż chciałby dziewczynę z takimi rękami? Kto pragnąłby dzieci obciążonych podobnym przekleństwem? Nawet jeśli byłabym piękna jak Wenus? Z tego właśnie powodu, kiedy doktor Moultrie opowiadał mi o rzymskich bogach i boginiach, Wenus nigdy nie była moją ulubienicą. Domyślałam się, że bogini miłości i urody nigdy nie spojrzalaby na mnie przyjaznym okiem. Na patronkę wybrałam zatem Atenę - Mądrą Panią - i prosiłam ją o pomoc przy każdym nowym przedsięwzięciu. A ona często mi jej udzielała.

W istocie moja znacznie większa prawa ręka i dodatkowy palec służyły mi dobrze w grze na pianinie, co z resztą zasugerował wcześniej pan Godfinch. Zagranie oktawy nie było dla mnie żadnym problemem, podczas gdy isticie bajkowe rączki i paluszki małej Triz doprowadzały naszego nauczyciela do szewskiej pasji, a jej delikatny głos, jak zwykł mawiać, brzmiał niczym westchnięcie czajnika. Nie tylko ręce, ale również mój głos zadziwił lady Hariot i nauczyciela muzyki

- Pięć oktaw! To nie do wiary! - wykrzyknął zdumiony. - Sam głos, przyznając, nie jest specjalnie interesujący, choć mocny, czysty i o odpowiedniej wysokości. Lecz cóż za skala! Powinniśmy zrobić z tego dziecka śpiewaczkę operową, lady Hariot, w przeciwnym razie zmarnuje się taki talent!

Lecz lady Hariot nie spodobał się ten pomysł. Śpiewaczki operowe, jak utrzymywała, cieszyły się tylko odrobinę lepszą reputacją od dziwek i żadna uczciwa osoba nie poświęciłaby życia przyzwoitej dziewczynki dla takiego chleba. Moja pozycja społeczna była przecież wysoka. Pułkownik Brandon, mój opiekun, był dżentelmenem poważanym przez wszystkich, którzy go znali, zarówno w Dorset, jak i w Londynie. Poślubił pannę Mariannę Dashwood, młodą damę ze znakomitej, choć niezamożnej rodziny z Sussex. Pułkownik Brandon, człowiek prawy, był właścicielem posiadłości Delaford w hrabstwie Dorset... Nie, nie, kariera śpiewaczki operowej nie wchodziła zupełnie w grę. Moje więzy z pułkownikiem Brandonem nie były mi dokładnie znane, lecz sam fakt, że istniały, chronił mnie przed upadłą przyszłością.

Mimo to pan Godfinch postanowił szkolić mój głos. Był pełnym entuzjazmu, praktycznym człowiekiem, który w Exeter i Taunton uczył także tańca. Miał wielkie, czerwone znamię na policzku. Wydaje mi się, że oceniał moje szanse na zamążpójście tak nisko, jak ja sama i doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli wykształci we mnie praktyczne umiejętności zarabiania na życie.

Lady Hariot wciąż martwiła się o moje miejsce zamieszkania.

- Słyszałam rozmaite rzeczy o doktorze Moultrie - powiedziała. - To leniwy, stary nieudacznik. Wątpię, czy ma na ciebie dobry wpływ. Poza tym, dość dużo pije, dopiero co w zeszłą niedzielę na stacji poczułam od niego alkohol. To skandal. Czy obcowanie z takim człowiekiem może być dla ciebie korzystne? Teraz, kiedy uczysz się dobrych manier tu, w Kinn Hall - chciała jeszcze coś dodać, lecz zamilkła.

Pospieszyłam, aby bronić starego doktora Moultrie.

- Ależ on naprawdę jest bardzo mądry i uczę się od niego bardzo wiele... literatury, łaciny, historii starożytnej i wielu, wielu innych rzeczy. Wierzę, że mógłby odpowiedzieć na każde moje pytanie.

Wiedziałam również, że byłby wściekły, gdybym zasugerowała, że przestanę chodzić na plebanię. W rzeczywistości, od czasu, gdy zaczęłam regularnie bywać we dworze, stał się ponury, groził mi i wpadał w szał. Aby go uspokoić i zapewnić, że nie przestanę się z nim spotykać i nie oczernię przed dziedzicem, musiałam go długo uspokajać i schlebiać mu. Perspektywa wrogości dziedzica była dla niego nie do pomyślenia.

Lady Hariot westchnęła:

- Nauka i dobry charakter nie zawsze idą w parze. Oczywiście nie należy lekceważyć nauki, zwłaszcza w tak odległym zakątku jak ten, gdzie tak ważne jest, abyśmy wykorzystywali nasze talenty.

Domyśliłam się, że chodziło jej o dziedzica, który co noc zasypiał z gazetą w ręce, dlatego nigdy nie udało mu się dotrzeć do drugiej strony.

Tak więc, pozwolono mi kontynuować naukę w probostwie, gdzie w rzeczywistości uczyłam się znacznie więcej niż podejrzewała lady Hariot, choć muszę przyznać, że nauka ta nie była czystą przyjemnością. Lecz, podobnie jak w przypadku lekcji z panem Godfinchem, uznałam, że najlepiej będzie zdobywać wszelką wiedzę i wierzyć, że w przyszłości zrekompensuje ona przykrości i niedogodności, na jakie napotykałam w trakcie jej zdobywania.

I tak oto toczyło się moje życie. Najszczęśliwsze momenty przeżywałam, kiedy spacerowałam z Triz po ogrodach lub kiedy przechadzałyśmy się wzdłuż wybrzeża. Choć przed tym wciąż nas ostrzegano. Lady Hariot słyszała bowiem, że kiedyś jakieś dziecko z wioski zostało zmyte przez falę. Nigdy zatem nie pozwalano nam chodzić na plażę samym w czasie odpływu.

Triz, nawet wtedy, gdy dobiegała już szóstego roku życia, była małą i drobną dziewczynką, o jasnej karnacji i cienkich jak pajęczyna włosach koloru słońca. Jadła malutko jak ptaszek i niestety, była podatna na przeziębienia i kaszel. Wciąż trzeba było na nią uważać i bardzo o nią dbać - aby miała suche buty i nie przemarzła - w przeciwnym razie łatwo mogła się rozchorować. Dlatego nasze wycieczki musiały się odbywać jedynie w najcieplejsze i najmniej wietrzne dni. Czasami wzdychałam na wspomnienie wędrówek z panem Billem i panem Samem, przypominając sobie, jak przemierzaliśmy kilometry, niezależnie od deszczu czy wiatru. Spacerzy z Triz miały jednak swój urok.

Ubóstwiała słuchać moich historii. Na początku opowiadałam jej te, które najlepiej pamiętałam z małych broszurek doktora Moultrie o Złotowłosej i o Kubie Zabijace. Lecz wkrótce mój repertuar się wyczerpał, a Triz domagała się wciąż nowych bajek. Przypomniałam sobie wtedy dziwną opowieść, wymyśloną przez pana Sama i pana Billa, choć pan Sam miał w tym znacznie większy udział. Usiłując przywołać całą historię, w połowie recytowałam te fragmenty, które same przychodziły mi do głowy, zabierając Triz na spotkanie z przygodami żeglarza i jego nieszczęsnych towarzyszy, którzy płynęli w kierunku Bieguna Południowego.

Opowiadałam jej o tym, jak bohater zabił wielkiego ptaka morskiego i o złowrogim fatum, jakie ciążyło na żeglarzu. Opowieść ta przyciągała ją jak zaklęcie i dziewczynka wciąż o nią prosiła.

Później, tak jak nałogowiec błaga o opium, żądała więcej i więcej, tak więc byłam zmuszona sięgnąć do historii, prawdziwych lub zmyślonych, i opowiadać jej sagi o Saksończykach, Normanach, o Herewardzie, Robin Hoodzie, Joannie d'Arc i o królowej Brytanii, która walczyła z Rzymianami. Lecz Triz najbardziej lubiła historię o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, którą znalazłam w książce sir Thomasa Malory pośród wolumenów doktora Moultrie. To właśnie tę książkę pobrudziłam konfiturą, przez co doktor Moultrie nigdy nie pozwolił mi jej więcej dotknąć. Lecz wciąż dobrze pamiętałam historie w niej zawarte, gdyż lubiłam je tak bardzo jak Triz. Tak więc, mogłam opowiedzieć je z najmniejszymi szczegółami.

Bezustannie opowiadałam jej o ramieniu, które wynurzyło się z morza, aby złapać spadający miecz, kiedy ranny król leżał umierający na polu walki. I o tym, jak damy dworu przybyły w magicznej barce, aby go uratować, jak Artur obiecał Bediwirowi, że pewnego dnia powróci na tron.

Urok tej historii przyciągał Triz, niczym magnes. Mnie zresztą także.

- Zastanawiam się, co sir Bediwir zrobił po tym, jak łódź odpłynęła? -  
wzdychała, ale tego akurat nie mogłam jej opowiedzieć, bo moja pamięć zawiodła. -  
Zastanawiam się, dokąd poszedł? I czy kiedykolwiek jeszcze ujrzał króla Artura?

Niedaleko na wschód od Nether Othery, tam, dokąd zwykle latały kruki, leżało ogromne wzgórze Glastonbury. Pod nim, rzekomo, śpi król Artur, aż do dnia, kiedy zostanie wezwany, aby wrócić i wesprzeć swych rycerzy. Pan Sam powiedział mi o tym pewnego razu, a ja powtórzyłam to Triz.

- Och! - westchnęła. - Gdybyśmy tylko mogły udać się tam! Tak bardzo chciałabym zobaczyć to miejsce!

Często odgrywałyśmy tę historię. Jedna z nas była królem Arturem, a druga sir Bediwirem. Triz, udając Artura, oddawała mi miecz, zrobiony z sitowia wyrwanego

z brzegu sadzawki w dworskim ogrodzie, a ja obiecywałam wrzucić go do stawu. Dwukrotnie jednak nie dotrzymałam obietnicy z powodu bogactw znajdujących się w rękojeści. W końcu, usłyszawszy gorzkie wyrzuty od umierającego króla, wyrzuciłam go do wody. Potem udawałyśmy, że widzimy zbliżającą się magiczną łódź, z siedmioma królowymi ubranymi na czarno. Tu utrzymywałam podaną w książce liczbę trzech królowych, lecz Triz upierała się przy siedmiu. Potem udawała, że wspina się na barcę, jęcząc w agonii, po czym odwracała się, mówiąc:

- „Do doliny Avilionu śpieszyć muszę, aby tam z rany się swojej bolesnej uleczyć”\*. A ja klęcząc, zaczynałam płakać i wołać: „Wróć, mój drogi panie, królu Arturze, wróć!” Ponieważ nie miałyśmy żadnej magicznej barki, Triz chowała się w sitowiu. Odgrywałyśmy tę sztukę bardzo często, za każdym razem wymieniając się rolami. Sprawiało nam to ogromną radość.

\* Przeł. Felicja Kruszewska

Wydaje mi się, że Triz była jedyną osobą, przy której nigdy nie byłam niecierpliwa. Kiedy bawiłyśmy się, zawsze wiodłam prym, jedynie z wyjątkiem zabawy w króla Artura. Cokolwiek jej nie powiedziałam, traktowała to jak ewangelię. Gdybym poprosiła, oddałaby mi wszystko, co miała. Była jak młodsza siostra - delikatne, kruche stworzenie, wymagające szczególnej opieki i troski.

Nigdy nie złościłam się na Triz i nie byłam dla niej surowa. Robiłam wszystko, o co mnie poprosiła. Kiedy musiałam wytłumaczyć jej lekcje, algebrę czy rachunki, lub odnaleźć odpowiedni rozdział w książce, robiłam to zawsze spokojnie, niezależnie od tego, jak często o to prosiła.

Czy można się zatem dziwić, że gdy pod koniec dnia wracałam do Doliny Bękartów, moje stopy zdawały się biec coraz prędeziej i prędeziej, a mój oddech stawał się coraz szybszy. Wpadałam do brudnej wioski jak ryba do swego naturalnego środowiska.

Koniec mojego tymczasowego pobytu w Othery okazał się smutny i dramatyczny.

Znów była jesień. Musiałam mieć dwanaście, trzynaście lat, a Triz - wciąż blada i krucha, lecz piękna jak pierwiosnek - siedem lub osiem. Z tego co zauważyłam, sprawy w Kinn Hall miały się nie najlepiej. Dziedzic otwarcie okazywał wrogość w stosunku do lady Hariot, podczas gdy ona, cicha i spokojna, nigdy nie wspominała o mężu podczas jego nieobecności i rozmawiała z nim tylko o sprawach domowych. Nie było to szczęśliwe domostwo. A jednak my, dzieci - jak ptaki czy małe leśne stworzenia przed nadchodzącym sztormem - robiłyśmy swoje, zajęte naszymi małymi sprawami, nie zwracając większej uwagi na to, co działo się dookoła.

Pewnego dnia dziedzic wybrał się na polowanie do Ottermill, położonego na wrzosowisku. Zakładając, że nie będzie go we dworze cały dzień, oddychaliśmy swobodniej i po odrobieniu lekcji francuskiego i włoskiego, wybrałyśmy się na przechadzkę. Pogoda była cudowna, nocne sztormy zrzuciły z drzew wiele liści, a powietrze po deszczu było wilgotne i świeże.

- Psy wyczuły zwierzynę. Papa będzie miał udane polowanie - powiedziała Triz.

Choć dziedzic nigdy nie zwracał uwagi na Triz i odzywał się do niej tylko po to, aby udzielić reprimendy, dziewczynka wydawała się darzyć go przywiązaniem. Myślę, że dostrzegła, iż był słabym i niezbyt inteligentnym człowiekiem, świadomym faktu, iż ma mądrą i bystrą żonę. Jeśli chciała, udawało jej się przechytryć dziedzica w czasie sprzeczki. Jego jedyną obroną było narzekanie i krzyk.

Lady Hariot, cierpiąca z powodu bólu głowy, leżała w swej sypialni - w czasie śniadania, domyślałam się, że usłyszała gniewne słowa męża. Po krótkiej zabawie w

ogrodzie, powiedziałyśmy więc Prue, że wybieramy się na szczyt urwiska, aby nazbierać jeżyn.

- Nie schodźcie na skały - ostrzegła nas Prue. - Będzie przypyływ. Po południu nadejdzie wysoka fala.

Znajomość stanu morza była tak naturalna dla mieszkańców wybrzeża, jak oddychanie. Obiecałyśmy, że nie pójdziemy dalej niż na szczyt urwiska.

Tak więc, z koszykami w dłoniach, pobiegłyśmy ścieżką po śliskich skałach, przez łąki, do dzikich krzaków okalających szczyt urwiska, tam, gdzie po raz pierwszy spotkałam lady Hariot. Zastanawiałam się, co stało się z Bidy, żadne wieści na jej temat nie dochodziły do Othery.

Przepęłniał mnie smutek, ponieważ tego ranka Hoby dostał list od ojca zawiadamiający, że otrzymał stypendium w Eton College i natychmiast ma się tam przenieść.

- To bardzo korzystna propozycja - powiedział Hoby z nadzieją w głosie. - Z pewnością otrzymam stypendium Królowej i pojedę do Cambridge, a potem będę miał szansę na posadę w parlamencie lub w innej publicznej instytucji. Przecież człowiek nie może zaszyć się na wsi na całe życie.

- Co prawda to prawda, lecz obawiam się, że w Eton będą cię źle traktować i dadzą ci w skórę. Pamiętasz chyba Dickiego Chestera.

Dickie, jeden z piętnaściorga dzieci lorda S., wybrał się do Eton i pisał stamtąd listy do sióstr o koszmarnych warunkach panujących w Long Chamber - bursie, gdzie od siódmej wieczorem do siódmej rano uczniowie pozbawieni byli opieki. Nie było tam nawet woźnego, a rozpusta i tyrania królowały niepodzielnie. Heath, dyrektor szkoły, znęcał się nad chłopcami, nie szczędząc nikomu bolesnych razów.

- Potrafię się sam obronić - powiedział Hoby zdecydowanym głosem, zaciskając pięści. To prawda, wzrostem dorównywał bowiem dorosłemu mężczyźnie i miał szczupłą sylwetkę, prawdopodobnie głównie dzięki diecie

złożonej z upolowanych bażantów i złowionych łososi, nie zaś posiłkom, niedbale przyrządzanym przez Hannę.

Wiedziałam, że będzie mi brakowało Hoby'ego i że będę się o niego martwić. Chociaż robił sobie ze mnie żarty, doprowadzając mnie do wściekłości, i choć często się z nim nie zgadzałam, byliśmy dobrymi przyjaciółmi i darzyliśmy się zaufaniem. Bałam się, że w Eton Hoby nie będzie wysoko ceniony z powodu swoich prostackich manier. W przeciwieństwie do mnie, Hoby nigdy nie miał szansy, aby nauczyć się dobrego zachowania - poza krótkimi wizytami ojca - i często z pogardą odrzucał moje próby poprawiania jego wymowy.

- Co to ma do rzeczy, jak kto mówi?

Rozmyślając z niepokojem i smutkiem o Hobym, wrzucając jeżyny do koszyka, nagle zobaczyłam go pędzącego przez popękaną ziemię otaczającą mały staw znajdujący się na południowym skraju urwiska, na którym stał dwór.

Kilku chłopców z Doliny Bękartów biegło za nim i wkrótce podbiegli do mnie i Triz, dysząc ciężko. Triz spojrzała na nich ze zdumieniem i obawą, gdyż od dawna nie miała do czynienia z dziećmi z wioski, które zawsze trzymały się od niej z daleka.

- Ale zabawa! - wysapał Will. - Wielki zwierzak biegnie tędy, nad wodę. Patrzcie, zaraz tu będzie.

- Jest! - wrzasnął Jon. - Jest tam! Chyba wdrapie się na górę, na drogę do Ashett! Nie, czekajcie! Nadbiega z tej strony! Za nim dziedziec! Ale zabawa! Dziedzic dostał bzika. O co mu chodzi? Próbuje złapać zwierzaka?

Wielki jeleń pędził przez łąkę. Tuż za nim biegła sfora ujadających psów, wyjących i skowyczących w dzikim podnieceniu. Jeleń trzymał łeb wysoko, jakby w obawie, żeby nie zawadzić rogami o ziemię i nie upaść. Psie ogony trzepotały, jak gałęzie na silnym wietrze.

- Och, biedaczysko! - krzyknęła Triz. - Co on zrobi?



- Będzie próbował dostać się do wody - wytłumaczył Will. - Lecz stary Vexford spróbuje go złapać wcześniej.

Dziedzic, galopujący na swej szarej klaczy, jakby goniło go siedmiu diabłów, zatoczył krąg na zachód i nadjeżdżał teraz wzdłuż krawędzi urwiska, jeleń zaś ignorując swego prześladowcę cwałował prosto w kierunku zbocza.

Reszta myśliwych została daleko z tyłu, krzycząc i dmąc w rogi.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Jeleń bez zastanowienia zeskoczył z krawędzi urwiska i spadał w dół jakieś dwadzieścia stóp prosto w kołyszące się fale, w chwili, kiedy przyływ sięgał najwyższego punktu. Woda nie była jednak wystarczająco głęboka, aby uratować biedne stworzenie. Widzieliśmy, jak zwierzę spada na skały, rozbijając się o nie, a fale miotają jego wciąż walczącym o życie ciałem raz w jedną a raz w drugą stronę.

- Niech to wszyscy diabli! - wrzasnął dziedzic, galopując wzdłuż krawędzi urwiska.

Wtem jego klacz zgubiła krok na zdradzieckim, miękkim nawisie. Jeździec wraz z koniem, podobnie jak jeleń, spadł w dół na ledwo co zakryte wodą skały.

- Patrzcie! Patrzcie! Chyba już po starym dziedzicu! - wydyszał Hoby. - Chodźcie! Lepiej zejźmy na dół i wyciągnijmy go stamtąd.

Zgraja gapiących się chłopców zbiegła po nierównych stopniach prowadzących na plażę. Reszta myśliwych, którzy właśnie przybyli, zsiadła z koni, krzycząc wniebogłosy. Niektórzy poszli śladem chłopców. Reszta pobiegła do wsi po sznurki, żerdzie i brandy.

Nic już jednak nie można było zrobić dla dziedzica, który roztrzaskał głowę o skałę, ani dla biednej starej szkapy, która złamała dwie nogi i trzeba ją było zastrzelić.

Młodszy brat dziedzica, Frank Vexford, odziedziczył po nim dwór. Był to człowiek ubogi, który do tej pory żył niezwykle skromnie na farmie w Moretonhampstead. Pojawił się w Kinn

Hall w sprawie spadku, zanim jeszcze kwiaty na grobie brata zdążyły uschnąć. Oprócz posiadłości dziedzic miał trochę pieniędzy - połowę majątku lady Hariot, lecz z powodu złych stosunków małżeńskich oddał wszystko co do grosza swym krewnym, co wyjaśnił w liście pozostawionym u prawników w Taunton. *„Jako że moja, niedopełniająca obowiązków i potępienia godna, żona Hariot opuściła małżeńskie łóżko i - od czasu urodzenia naszej córki - odmawiała przysługujących mi zgodnie z prawem przywilejów małżeńskich, pozbawiam je obie prawa do spadku, gdyż nie zasługują na to, abym brał je pod uwagę przy podziale.”*

- Och, co za pożałowania godny, stary łotr - powiedział Hoby, kiedy wiadomość ta obiegła wieś, co naturalnie stało się bardzo szybko.

- Co zrobi ta biedna kobieta?

- Myślę, że wróci do krewnych.

Nie miałam odwagi wybrać się do dworu i udałam się tam dopiero, gdy dotarła do mnie wiadomość od stęsknionej za mną Triz.

Znalazłszy się we dworze, tak jak czyniałam to zawsze, weszłam przez masywne drzwi prowadzące do ulubionego salonu lady Hariot, tam, gdzie my, dzieci, zwykłyśmy się zbierać na lekcje fortepianu. Jako że nikogo nie było w pobliżu, usiadłam przy instrumencie i zaczęłam cicho grać melancholijną sonatę Haydna, gdyż uznałam to za najlepszy sposób powiadomienia Triz o moim przybyciu.

Nagle usłyszałam głos:

- Mój Boże, cóż za piękna melodia! A ty, moje dziecko, wyglądasz jak mała, piękna wróżka. Masz takie różowe policzki i miedziane włosy - jesteś bardziej urodziwa niż moja blada jak kijanka siostrzenica! Kimże, na Boga, jesteś?

Mężczyzna, który to mówił, przyglądał mi się, stojąc po drugiej stronie fortepianu. Od razu go poznałam po jego zaczerwienionej twarzy, małych złośliwych ustach i blisko osadzonych oczach. Był jak wierne odbicie dziedzica i

musiał być jego bratem. Skoczyłam na równe nogi i odezwałam się nerwowym głosem:

- Przepraszam pana! Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Już sobie idę.

On jednak szybko obszedł fortepian i schwycił mnie za ramię, przytrzymując w bardzo nieprzyjemny sposób.

- Nie tak szybko, nie tak szybko, nic ci nie zrobię, moja śliczna panienko - powiedział, a jego wzrok padł na moją prawą rękę. Błyskawicznie zwolnił uścisk, jakby złapał żmiję i krzyknął:

- Niech mnie wszyscy święci, cóż to?

Zmiana w jego zachowaniu była tak nagła i wyraźna, że omal nie wybuchnęłam śmiechem. Lecz udało mi się uciec. Zbiegłam po schodach do pokoju, który wciąż nazywał się pokojem dzieciennym, podczas gdy mężczyzna kroczył za mną, głośno wołając:

- Kim ona jest? Wyrzućcie tego potwora z mojego domu! Odnalazłam Triz i lady Hariot zajęte pakowaniem ubrań.

- Och, kochana lady Hariot! Dokąd teraz pojedziecie? Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Moja kochana, co będzie to będzie, jak mówią. Mam szczęście, że moja siostra, Anna Foliot, zawsze mówiła, że przyjmie nas, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tak więc, musimy pojechać do Lizbony.

- Do Lizbony? Do Portugalii?

- Tak, moje dziecko, oto korzyść z nauki geografii! Hiszpański statek przy pływa do Ashett w ten czwartek i musimy na niego wsiąść z samego rana. Naprawdę mamy dużo szczęścia, że przybywa w tym tygodniu, gdyż mamy mało pieniędzy, a mój szwagier Francis chce, abyśmy opuściły ten dom tak szybko, jak tylko to możliwe.

Ogarnął mnie bezbrzeżny smutek. Nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

- Ależ, ależ... przecież to jest wasz dom.

- Już nie, moja mała. Kobiety budują gniazda, lecz mężczyźni decydują o spadku i rozdają go, komu zechcą!

Zauważyłam, że lady Hariot próbowała stłumić smutek, aby rozchmurzyć Triz, która wydawała się być w stanie szoku, blada, trzęsąca się, z oczyma pełnymi łez.

Moje zdumienie nie miało granic. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś mógł włożyć tyle trudu, aby stworzyć dom i prowadzić go tak umiejętnie, jak lady Hariot, a potem - w ciągu jednego dnia - go Stracić. Lady Hariot była sumienną, rozważną i troskliwą panią domu, bardzo lubianą w wiosce.

W końcu Triz odzyskała głos:

- Czy... czy Aliza nie mogłaby pojechać z nami do Portugalii?

- Nie, moje maleństwo. - Ton głosu lady Hariot był łagodny, lecz jej wzrok nie pozostawiał żadnej nadziei. - Mamy bardzo mało pieniędzy, tylko tyle, że wystarczy nam na podróż. Nie możemy prosić ciotki Anny, aby przyjęła jeszcze jednego gościa. A Liza ma własnych opiekunów, którzy mogą sobie nie życzyć, aby wybrała się w podróż z tak pożałowania godną parą, jak my. Liza, jeśli posłucha mojej rady - lady Hariot szybko zwinęła szal i wcisnęła go do wielkiego kosza - wróci teraz do swych opiekunów, lecz nie zostanie długo w Nether Othery.

Po policzkach Triz zaczęły płynąć łzy. Otoczyłam ją ramieniem i przytuliłam do siebie.

- Nie opuszczaj mnie, Lizo, błagam, nie opuszczaj! - wyszeptała mi do ucha.

- Moja maleńka, muszę, czy nie rozumiesz? Jesteśmy dziećmi, nie mamy wyboru. Będę do ciebie pisać długie listy, gdy tylko przyślesz mi swój adres w Portugalii. Będę do ciebie często pisać. A ty będziesz tam szczęśliwa. Portugalia to ciepły, słoneczny kraj, nie będziesz już się przeziębiała ani kaszleć. A kiedy obie dorośniemy, odnajdę cię i przyjadę do ciebie.

Lady Hariot spojrzała na mnie ponad głową córki. Jej wzrok wyrażał aprobatę.

- A teraz - powiedziała szybko - Liza musi wrócić i powiedzieć doktorowi Moultrie, że nie będzie kontynuować nauki. Daj to ode mnie dobremu doktorowi - podała mi gwineę - to osłodzi jego gniew. A ty, moje dziecko, weź to - podała mi jeszcze jedną gwineę - idź do Ashett i zarezerwuj sobie miejsce na jutrzejszy dyliżans do Dorchester. Weź te listy i daj je prawnikom pułkownika Brandona. Powiedz im, że musisz pojechać do swych krewnych w Delaford.

- Droga lady Hariot, czy może pani sobie na to pozwolić?

- Moje kochane dziecko, zrobiłaś tyle dla Teresy, że chciałabym móc ci dać dwadzieścia razy więcej! Podobnie jak ty mam nadzieję, że pewnego dnia - jeśli to będzie możliwe - spotkamy się znowu. Teraz jednak proszę cię, abyś nie marnowała czasu, tylko zrobiła, co mówię. Bez nas Othery nie jest dla ciebie odpowiednim miejscem. A dla jej dobra - położyła rękę na główce córki - powinnyśmy się już pożegnać.

Wiedziałam, że miała rację. Triz była zrozpaczona. Przytuliłam ją po raz ostatni, wydusiłam z siebie krótkie „Do zobaczenia” i zbiegłam ze schodów szybciej nawet niż się na nich znalazłam.

Kiedy przekazałam doktorowi Moultrie wiadomość od lady Hariot i powiedziałam mu, że zamierzam opuścić wioskę, dostał ataku konwulsji. Nie zdziwiła mnie jego reakcja, od dawna już miał czerwoną twarz, krótki oddech i obrzękłe kończyny. Lecz jego widok, dyszącego i chrapiącego, przerażał mnie. Zawołałam gospodynię, niewidomą, starą matkę Fothergill, po czym pobiegłam po doktora Parracombe, który puścił mu krew, dał środek na przeczyszczenie i przystawił pijawki.

Nie stosując się do instrukcji lady Hariot, z wyjazdem do Dorchester poczekałam do czwartku. Tymczasem, chodziłam po okolicy, żegnając się - moim zwyczajem - ze wszystkimi miejscami, które odwiedzałam z panem Samem i panem Billem. Hoby wyjechał do Eton, nie został więc już nikt, kogo trudno byłoby mi opuścić. Uprałam i zacerowałam moje ubrania najlepiej jak umiałam, starając się

doprowadzić mój wygląd do porządku. Ze starej dębowej dziupli wyjęłam wachlarz i wcisnęłam go na samo dno małego tobołka, jeszcze raz rozmyślając o kobiecie, która go zostawiła. Nigdy nie wspominałam o niej lady Hariot.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? - Hanna Wellcome spytała kwaśno w czasie jednej z przerw w picciu. - A co, jeśli nie będą cię chcieli w Delaford? Co wtedy? A jeśli cię wyrzucą? Nie chcę cię z powrotem, nawet o tym nie myśl.

- Wtedy będę musiała poszukać sposobu na zarobienie pieniędzy.

W czwartek rano wstałam, zanim jeszcze zrobiło się jasno i poszłam do Ashett. Tam, schowana za ogromnym stosem sieci rybackich, potajemnie przyglądałam się smutnej procesji lady Hariot, Triz i Prue, wdrapujących się na pokład hiszpańskiego statku.

Nie będę wam opisywać, co wtedy czułam, nie ma to bowiem żadnego znaczenia.

Jak już powiedziałam wcześniej, mogą zdarzyć się takie rzeczy, o których nie jestem gotowa rozmawiać. To tylko moje sprawy.

Kiedy hiszpański statek - nazywał się Santa Maria - podniósł kotwicę i odpłynął, opuściłam molo i poszłam zająć miejsce w dyliżansie do Dorchester. Moje serce przepelniał smutek.

## Rozdział trzeci

---

Dylichans dowiózł mnie do Dorchester, gdzie rozpoczęłam poszukiwania prawników pułkownika Brandona, panów Melplasha i Grisewooda, rezydujących przy South Street. Co zrozumiałe, przybycie skulonej dziewczynki z brudnym tobołkiem i listem od lady Hariot Vexford, zaadresowanym „do wszystkich zainteresowanych”, przeraziło ich niezmiernie. W biurze siedziało dwóch prawników, jeden stary, a drugi młody. Byli to panowie Melplash i Grisewood.

Przez chwilę zastanawiali się nad listem lady Hariot.

- Lady Hariot, muszę przyznać, napisała bardzo stosowny list. Sugeruje, że Othery nie jest już odpowiednim miejscem dla ciebie, panienko. - Pan Melplash wpatrywał się we mnie znad okularów. - Rozumiem, że spędziłaś dużo czasu w domu lady Hariot, razem z jej córką.

- Lady Hariot była dla mnie taka dobra! - oznajmiłam z namaszczaniem. - Niestety, musiała udać się, do Portugalii. Dziedzic Vexford zmarł, a jego brat odziedziczył po nim dwór.

- Hmm. Hmm. Tak. Słyszałem o dziedzicu Vexford z Othery - powiedział pan Melplash. Jak sugerował ton jego głosu, nic na jego korzyść. - Lecz cóż mamy teraz z tobą zrobić, dziecko?

- Jak to, proszę pana?

- Problem w tym, że dowiedzieliśmy się ostatnio, iż pułkownik Brandon zamierza powrócić z Indii do Anglii wraz ze swoim pułkiem, lecz zanim pojawi się w kraju, mogą upłynąć miesiące.

- Ach tak - moje serce na chwilę przestało bić. - Być może do czasu jego przybycia, mogłabym chodzić do szkoły?

Była to jedna z sugestii lady Hariot. Zaslugiwała więc na szacunek.

Obaj panowie spojrzeli na siebie. Starszy z nich, pan Melplash, miał na głowie małą żółtawą perukę, ubrany był w szary garnitur z czesanej wełny i surdut. Peruka młodszego, pana Grisewooda, przypominała krzaczek bawełny, który usadowił się na czubku jego głowy. Wystawały spod niej brązowe włosy, związane z tyłu wstążką.

- Dziewczynka pragnie iść do szkoły - powiedział pan Grisewood. - To brzmi zupełnie sensownie, nie uważasz?

- Lady Harriot pisze, że dziewczynka została dobrze wykształcona, umie także śpiewać i grać. Szkoda byłoby to zmarnować, nie sądzisz?

- Nie jest jeszcze na tyle samodzielna, aby się utrzymać.

- Owszem, nie jest jeszcze dorosła. Pomyślałam o Fanny Huskisson i o żeglarzach.

- Chodzi o to - powiedział pan Grisewood, odchylając do tyłu głowę - że nie mamy zgody na dysponowanie funduszami pułkownika Brandona, byśmy mogli wysłać cię do szkoły.

- I nie będziemy w stanie porozumieć się z pułkownikiem aż do momentu jego powrotu.

- Czy nie ma nikogo, kto mógłby podjąć taką decyzję pod jego nieobecność? - spytałam nieśmiało.

Obaj mężczyźni popatrzyli się na siebie uważnie.

- Jak na swój wiek mądrze mówisz, moja panno - powiedział pan Grisewood.

- Całkiem sensownie - potwierdził pan Melplash.

- Być może powinniśmy się porozumieć z państwem Ferrars?

Nadstawiłam uszu. Kim byli państwo Ferrars? Czy pani Ferrars mogła być tą kobietą, która zostawiła mi wachlarz?

- Pani Ferrars to siostra pani Brandon - wytłumaczył pan Grisewood.

- Jej mąż jest proboszczem w Delaford - dodał pan Melplash. - W czasie nieobecności pułkownika Brandona zwracamy się do niego w interesach.



- W takim razie - powiedziałam z nadzieją w głosie - być może on zgodziłby się wysłać mnie do szkoły?

Obaj panowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Pan Melplash popatrzył na zegarek.

- Jest już zbyt późno, aby jechać teraz do Delaford - powiedział Grisewood.

- W rzeczy samej. Stanowczo za późno - potwierdził Melplash. Popatrzyli na mnie jeszcze raz, tym razem ich wzrok nie wyrażał aprobaty, jako że postawiłam ich w trudnej sytuacji. W końcu pan Melplash stwierdził:

- Wydaje mi się, że równie dobrze mogłaby dzisiaj spędzić noc w moim domu. Pani Tasker może się nią zająć.

- To rozwiązałoby problem - powiedział Grisewood z ulgą w głosie.

Gdy mężczyźni opuścili biuro, udałam się z panem Melplashem do jego domu przy Durngate Street, gdzie stara gospodyni, nie kryjąc swego zdumienia, podała mi posiłek złożony z zimnej wołowiny, chleba z masłem i herbaty, głośno szepcząc do siebie przez cały czas:

- Och, och! Do czego to dochodzi, nie pojmuję.

Potem poprowadziła mnie do małej sypialni na poddaszu, gdzie przez całą noc docierały do mnie odgłosy kościelnego zegara wybijającego kwadranse. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek wcześniej spędziła noc poza Othery, świadomość przebywania w nowym miejscu sprawiła więc, że poczułam się źle. Rozłąka z Triz i lady Hariot, z Hobym, z dobrze znanymi miejscami, które przypominały mi pana Billa i pana Sama, powodowała mój smutek. Czułam się jak ślimak pozbawiony muszli.

Rano pani Tasker przyniosła mój gorset. Był wyprany, wykrochmalony i wyprasowany. Potem uczesała mi włosy i splotła je w tak ciasny warkocz, że czułam, jakby skóra na mej głowie miała się za chwilę rozstać.

Po śniadaniu pan Melplash powiadomił mnie, że zamówił bryczkę i że pan Grisewood zawiezie mnie do wioski Delaford położonej dwanaście mil na południowy zachód.

- Miejmy nadzieję, że państwo Ferrars wpadną na jakiś pomysł, co z tobą zrobić - powiedział ponurym tonem.

Najwyraźniej w nocy ogarnęły go wątpliwości, czy słusznie zrobił, zajmując się moją sprawą.

Z drugiej strony pan Grisewood wydawał się całkiem radosny, być może dzięki perspektywie przyjemnej przejażdżki w ciepły, jesienny poranek.

- Dom w Delaford to wielki, staromodny dwór - oznajmił, gdy byliśmy już w drodze. - Szkoda, że teraz, kiedy nie ma pułkownika, stoi zamknięty. W sadzie rosną najlepsze drzewa owocowe w całym kraju... stare drzewa morelowe. Są tam również piękne gołębniki. Plebania też niczego sobie. Stoi nad kanałem, a w rzece można łowić ryby. Czy nigdy nie wyjeżdżałaś poza Othery?

- Nigdy, proszę pana, tak mi się przynajmniej wydaje.

- Och, słyszałem o Othery. - Jego milczenie wskazywało na to, że nie było to nic, o czym mógłby mi powiedzieć. Lecz po kilku minutach zastanowienia spytał: - Czy wiesz coś o swych rodzicach, moje dziecko?

- Nic, proszę pana. Tylko tyle, że moja matka uciekła od swych opiekunów i umarła, kiedy się urodziłam.

- A wiesz coś o swym ojcu?

- Zupełnie nic, proszę pana - odparłam, a po chwili milczenia dodałam nieśmiało: - Czy to... czy pułkownik Brandon nie jest moim ojcem?

- Och, Boże litościwy, nie! - wykrzyknął pan Grisewood, zdumionym i stanowczym głosem. - Boże litościwy, nie! - powtórzył. - Do głowy by mi to nie przyszło! Cóż za pomysł! Pułkownik Brandon jest człowiekiem prawym, o nieposzlakowanej uczciwości. Sama taka myśl... o mój Boże, miej litość... cóż za pomysł!

- Bardzo przepraszam, proszę pana. Nie to miałam na myśli... chodzi o to, że nigdy nie spotkałam pułkownika Brandona, przynajmniej tak mi się wydaje. Nigdy nie był w Othery.

- Rozumiem.

Nastąpiła chwila ciszy. Jechaliśmy przez Toller Valence i Winterbourne Cheney. Była to przyjemna okolica, z małymi zielonymi pagórkami, wąskimi dolinami i rwącymi potokami. Wszystko wyglądało tu inaczej niż wokół Othery. Krajobraz, choć monotony, był znacznie ładniejszy.

- Zastanawiam się, dlaczego pułkownik Brandon nigdy nie przyjechał do Othery, aby mnie zobaczyć, rozumie pan? - powiedziałam cichym głosem.

Pan Grisewood wytłumaczył mi wszystko dokładnie:

- Musisz zrozumieć, że miał powody. Bliscy krewni pułkownika Brandona mieli... hmm... ważne powody, aby unikać hmm... odnawiania dawnych... hmm... kontaktów.

Zupełnie nic nie rozumiałam z tego, co mówił.

- Pułkownik Brandon nie chciał przyjechać do Othery? Czy o to chodzi?

- Nie. Niezupełnie.

- Ktoś inny nie chciał, aby przyjechał?

- W pewnym sensie - pan Grisewood zgodził się ostrożnie.

- Rozumiem.

W rzeczywistości niczego nie pojmowałam, lecz było dla mnie jasne, że pan Grisewood nie wyjaśni już nic więcej, wobec czego uznałam, że nie ma sensu zadawać dalszych pytań. Poza tym, zjechaliśmy właśnie z drogi za rogatkami i byliśmy już na miejscu. Znaleźliśmy się w małej, ślicznej wiosce, nie tak dużej jak Othery, lecz znacznie przyjemniejszej, gdzie niskie, szare, pokryte strzechą chaty rozsiane były wśród wysokich drzew. Pośrodku płynęła rzeka, od której odchodził kanał. Niedaleko, na niewielkim wzniesieniu, stał duży dom. Obok kanału znajdował się kościół i plebania - słusznych rozmiarów rezydencja z cegły.

- Będzie chyba lepiej, jeśli na razie zostaniesz w bryczce - powiedział pan Grisewood. - Na wszelki wypadek.

Zostałam więc w bryczce. Konie niecierpliwiły się, przestępując z nogi na nogę.

Po około dziesięciu minutach pan Grisewood pojawił się ponownie w białej bramie i zawołał:

- Panienko! Panienko Elizo! Czy możesz, proszę, tu przyjść?

Weszłam do domu. W środku było chłodno i pachniało aromatyczną mieszanką suszonej róży i lawendy. Drzwi frontowe prowadziły wprost do małego, kwadratowego, wyłożonego boazerią saloniku. Natychmiast zorientowałam się, że ten dom nie należał do ludzi bogatych - zasłony i meble, proste, choć gustowne, były już bardzo zniszczone.

W pokoju znajdowały się dwie osoby - mężczyzna i kobieta, czekając niecierpliwie na moje przybycie. Wyglądali na jakieś trzydzieści lat. Mężczyzna był mocno zbudowany, miał jasne, choć siwiejące już włosy, a jego ogorzała, pociągła twarz wyrażała troskę. Było to oblicze wiejskiego kleryka, który większość czasu spędza na świeżym powietrzu. Kobieta o przyprószonej siwizną włosach miała regularne rysy, świadczące o dawnej urodzie, na jej twarzy jednak malowało się zmęczenie. Ubrana była niedbale, wyglądała mizernie, i jakby się czymś denerwowała. Gdy mnie zobaczyła, jej blade oblicze przeszył dziwny dreszcz, niczym nagły podmuch wiatru na spokojnym morzu. Zauważyłam, że splotła palce i wzięła głęboki oddech.

Gdy weszłam, mąż i żona stali, jakby na straży swego domostwa. W pokoju znajdował się okrągły stół i kilka wysokich krzeseł. Na stole stały trzy małe, puste szklaneczki.

- Pani Ferrars, panie Ferrars - powiedział pan Grisewood oficjalnym tonem - oto młoda osoba, o której wam opowiadałem, panna Eliza.

Pani Ferrars odchrząknęła, po czym odezwała się:

- Czy nie masz innego imienia, moje dziecko?
- Nazywam się Eliza Williams, proszę pani, lecz nie jestem zupełnie pewna, czy mam prawo nosić to nazwisko.
- Ile masz lat, moje dziecko? - pan Ferrars spytał uprzejmym głosem.
- Tego także nie jestem pewna, proszę pana, ale chyba około trzynastu.
- I chciałabyś chodzić do szkoły?
- Tak, jeśli to możliwe, proszę pana. Chciałabym móc zarabiać na swoje utrzymanie. Wierzę, że mogłabym zwrócić pieniądze potrzebne na opłaty. Umiem grać i dobrze śpiewam, proszę pana.

Bez namysłu wyciągnęłam ręce, a wtedy usłyszałam żalosne westchnienie pani Ferrars. Szybko schowałam więc ręce za siebie, lecz zauważyłam, że kobieta stała się od tego momentu bardziej przyjazna, jakby było jej przykro z powodu mojej ułomności. Przedtem czułam, że mój widok wywoływał w niej złość.

Zastanawiałam się, dlaczego.

- Może zagrałabyś coś, a tymczasem my zastanowimy się nad tą sprawą - smutnym głosem zaproponował pan Ferrars. - W drugim pokoju stoi fortepian, a na nim leżą nuty.

Zauważyłam, że kobieta posłała mężowi szybkie spojrzenie, świadczące o tym, że nie do końca przystaje na jego sugestię, ponieważ jednak nie wyraziła otwarcie sprzeciwu, dygnęłam grzecznie i poszłam do następnego, jeszcze mniejszego pokoju. Znajdowały się tam jedynie półki z książkami, pośrodku stało małe biurko i fortepian.

Nie muszę chyba mówić, że znacznie chętniej przestudiowałam zawartość półek i w istocie głodnym wzrokiem pożerałam tytuły. Były to eseje i książki teologiczne. Na pulpicie znalazłam sonatę Paradisiego, którą ćwiczyłam z panem Godfinchem, tak więc zagrałam ją cichutko, wytężając jednocześnie słuch. Niestety, na darmo, bo nie dosłyszałam niczego z rozmowy prowadzonej w pokoju obok.

Po dziesięciu minutach wszedł pan Ferrars i poprosił mnie do salonu.

- Grasz dość dobrze, moje dziecko - powiedział do mnie spokojnym głosem. - Chciałbym, aby posłuchała cię moja szwagierka - jest ekspertem w tych sprawach - uciał szybko, a na jego twarzy pojawiło się napięcie.

W saloniku pan Grisewood stał, jakby zbierał się do wyjścia.

- Panno Elizo - zwrócił się do mnie z ulgą w głosie - zostawiam cię w doskonałych rękach. Państwo Ferrars zgodzili się łaskawie posłać cię do szkoły pani Haslam w Bath, zresztą wszystko sami ci powiedzą. Pan Ferrars wyraził zgodę na to, aby opłata za szkołę pokrywana była z funduszy pozostawionych przez pułkownika Brandona na... hmmm... nieprzewidziane wydatki. A pani Ferrars zadba o to, abyś była odpowiednio wyposażona... i przygotowana do nowego życia.

Dziękowałam, próbując wyrazić swą wdzięczność.

Mięśnie mojej twarzy naprężyły się z wysiłku, a może z powodu ciasno splecionego warkocza.

Pan Grisewood uklonił się, uścisnął dłonie gospodarzy i zanim wyszedł, przypomniał, abym była grzeczna i przynosiła chlubę moim dobroczyńcom. Obiecałam tak właśnie czynić.

Wkrótce po jego wyjściu pan Ferrars popatrzył na zegarek i powiedział:

- Eleonoro, muszę spotkać się ze starym Boycem. Otrzymałem wiadomość od jego żony, że z nim coraz gorzej. Powinienem tam być już godzinę temu. Wiem, że mogę cię zostawić z Elizą i jej sprawami.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała cicho. Kiedy wyszedł, przyjrzała mi się uważnie, najwyraźniej oceniając mój wygląd. - Najważniejsze są ubrania. Czy ten tobolek to wszystkie twoje rzeczy, kochanie?

Ze wstydem skinęłam głową.

- Całe szczęście, że jestem w stanie nadrobić te braki. Pani Haslam oczekuje od swych uczennic stosownego ubioru. Rzeczy powinny być raczej proste niż wyszukane. Moja córka, Nell, ucęszcza już do szkoły od dwóch lat - jest tam w tej chwili. Jest wysoka, choć młodsza od ciebie. Myślę więc, że rzeczy, z których

wyrośla, będą ci dobrze służyć. Są na górze, leżą w szufladzie pachnące wonną marzanną.

Z wymuszonym uśmiechem, pierwszym, jaki zobaczyłam, dodała:

- Nic w tym domu się nie marnuje.

Reszta dnia upłynęła na kompletowaniu mojej garderoby. Wdrapawszy się na górę, pani Ferrars zniosła szufladę pełną porządnymi, szarymi, wełnianymi sukienkami, perkalowymi halkami, koszulami i innymi rzeczami. Większość z nich wymagała przeróbki, żeby móc je włożyć. Pani Ferrars przyniosła także płaszcz, kapelusz, a nawet pończochy i rękawiczki. Większość rzeczy była już po mistrzowsku zacerowana.

Zajęłam się skracaniem płaszczyka. Pani Ferrars, doskonała krawcowa, nie była najlepszego zdania o mojej pracy. Pod jej krytycznym spojrzeniem starałam się, jak mogłam. Przy pracy rozmawiałyśmy. Zapytała mnie o moje życie w Nether Othery, a ja opowiedziałam jej dokładnie o tym, co robiłam. Najwięcej jednak mówiłam o lady Hariot, czemu przysłuchiwała się ze współczuciem.

W końcu, zdobywszy się na odwagę, spytałam:

- Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o moich rodzicach? Popatrzyła na mnie ze zdumieniem, jakbym nie powinna zadawać takich pytań.

Po chwili zastanowienia odpowiedziała:

- Z tego co wiem, twoja matka była kuzynką pułkownika Brandona. O twoim ojcu nie jestem w stanie nic powiedzieć.

Westchnęłam:

- Dziękuję pani.

Spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

- Dlaczego nie miałabyś do mnie mówić kuzynko Eleonoro? A do mojego męża kuzynie Edwardzie? Nie jesteśmy wprawdzie spokrewnieni, pułkownik Brandon jest moim szwagrem, lecz być może będziesz się czuła lepiej, zwracając się do mnie w ten sposób.

Biedna kobieta. Wiedziałam, że nie była zadowolona z mojego przyjazdu, robiła jednak wszystko, aby ratować sytuację.

- Kiedy pójdę do szkoły, kuzynko Eleonoro? - spytałam.

- Myślę, że twoje ubrania będą gotowe w sobotę. W każdą sobotę wysyłam do Bath paczkę z owocami i warzywami. Możesz się wtedy zabrać, a moja służąca Cerne będzie ci towarzyszyć. W ten sposób zaoszczędzimy pułkownikowi Brandonowi wydatków.

- Myślałam, że jest bogatym człowiekiem - zauważyłam nieopatrznie.

- Jest nim zaiste. Dlatego też zwraca uwagę na to, aby jego pieniądze wydawane były w rozsądny sposób. Poza tym - dodała - to nieładnie mówić, że jest bogaty. Dobrze sytuowany to lepsze określenie.

Troska o pieniądze, jak wkrótce odkryłam, stanowiła podstawę życia na plebanii w Delaford. Wszystko zdawało się o tym świadczyć: cerowane zasłony, zużyte dywany, proste i niezbyt obfite jedzenie. Zauważyłam, że kiedy pan Ferrars wracał ze swych wizyt, od razu zabierał się do pracy w ogrodzie warzywnym.

Gdy o tym myślałam, do domu weszły dwie osoby, służąca o sprytniej, kapryśnej twarzy i niska, stara już kobieta w jedwabnym płaszczu i szykownym kapeluszu. Ubrana była znacznie lepiej niż pani Ferrars. Rozglądała się wokół błędnym wzrokiem.

- Mamo! - kuzynka Eleonora powitała kobietę. - Czy udał ci się spacer? Służąca szybko skinęła głową.

- Doszliśmy aż do rogatek, proszę pani. Starsza pani będzie dziś miała niezwykle apetyt.

- Cerne zachowywała się bardzo impertynencko - warknęła starsza pani.

- Chciała pójść do Forda i poprosić o kawał schabu i osiem funtów kiełbasy - wytłumaczyła Cerne z ironicznym uśmiechem.

- Lubię wieprzowinę! - krzyknęła starsza pani zirytowanym głosem. - Wiesz, że ją lubię, Eleonoro! Miałam ochotę na smażoną wieprzowinę na obiad.



- Wieprzowina jest za tłusta, mamó. Na obiad dostaniesz potrawkę z baraniny  
- powiedziała pani Ferrars, po czym zwracając się do mnie, dodała: - To moja matka, pani Dashwood.

Starsza pani spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

- Marianno! - wykrzyknęła radośnie.

- Nie, mamó. To nie jest Marianna, choć z wyglądu trochę ją przypomina.

Lecz spójrz raz jeszcze! Jej włosy są zupełnie innego koloru. Twoja Marianna wróci do domu, gdy nadejdzie pora, a wtedy szczęśliwi ją powitamy. A ty wrócisz do dworu. Chcę jednak przedstawić ci pannę Elizę Williams, która spędzi z nami kilka nocy, a potem uda się do szkoły w Bath, do Nell

- Nie lubię Nell. Nell jest bezczelną i nieprzyjemną dziewczynką. Czasami popycha mnie. I zawsze bierze największy kawałek ciasta. Ale czy jesteś pewna, że to nie jest Marianna? W jakiś sposób jej twarz przypomina mi Mariannę, wtedy gdy mieszkaliśmy w Barton i byliśmy bardzo szczęśliwi, bardzo szczęśliwi... - na twarzy pani Dashwood pojawiło się napięcie. Rozplakała się.

- Niech pani podejdzie - powiedziała Cerne łagodnym tonem. - Zdejmiemy kapelusz i rozbierzemy się. A potem napijemy się grzanego wina.

Poszły powoli na górę, służąca zmuszała starszą panią do pośpiechu.

Słyszałam krzyki pani Dashwood:

- W domu jest ptak! W domu jest ptak!

- Nie, proszę pani, nie ma żadnego ptaka.

- Tu jest ptak, mówię ci! Dom! Dom! Gdzie schowaliście biednego ptaka?

- Nie ma tu ptaka, pani Dashwood. Na górze drzwi się zamknęły.

Nawlekając igłę, kuzynka Eleonora zaczęła tłumaczyć:

- Kiedy moja siostra Marianna, pani pułkownikowa Brandon, jest w kraju, moja mama mieszka razem z nią we dworze. Tam jest wygodniej niż u nas. A Marianna zawsze była jej ulubioną córką. Tłumaczę ci to, Elizo, gdyż wydajesz się niezwykle wrażliwa i dojrzała jak na swój wiek.

- Dziękuję, kuzynko Eleonoro. Kiedy wróci kuzynka Marianna?

- Mamy nadzieję, że mniej więcej za rok. Bardzo mi jej brakuje, odkąd pojechała do Indii, pułkownika Brandona także. To nasi najlepsi przyjaciele i sąsiedzi. Lecz z wielu powodów pułkownik uznał, że najlepiej będzie, gdy dołączy do swego pułku i dowódcy, choć wiązało się to z długą podróżą. Uznali, że moja siostra będzie mu towarzyszyć. Wprost uwielbia przygody.

- Nie mają dzieci?

- Nie - kuzynka Eleonora westchnęła. - Dla pułkownika to wielka przykrość. Skoro jednak sprawy przyjęły taki obrót, być może to szczęśliwy zbieg okoliczności. Mam tylko nadzieję, że gdy powrócą, szwagier zdecyduje się opuścić służbę i osiadzie na stałe w Delaford. Lecz niepokoję się, że jeśli generał Wellesley wyruszy na wojnę z Bonapartem w Europie, pułkownik uzna za swój obowiązek pozostanie w czynnej służbie. Nie wiem, co wtedy zrobi Marianna. Ona jest tak bardzo oddana mężowi.

Kuzynka Eleonora zmarszczyła brwi, zawiązując supełek na końcu nitki. Uderzyło mnie to, że Eleonora Ferrars była bardzo samotną kobietą. Najwyraźniej brakowało jej rozmów z siostrą, ja zaś miałam zastąpić Mariannę. Pani Dashwood wydawała się niespełna rozumu, pan Ferrars często przebywał poza domem, odwiedzając swych parafian albo kopiąc ogródek. Zupełne przeciwieństwo doktora Moultrie! Choć darzyli się uczuciem, nigdy jednak nie okazywali tego w wyraźny sposób, tak jak to było w przypadku Vexfordów.

Aby odsunąć melancholijne myśli kuzynki Eleonory, zapytałam o szkołę w Bath.

- Nie jest specjalnie duża, uczy się tam około pięćdziesięciu dziewczynek. Poziom jest jednak wysoki, bardzo wysoki. Pułkownik Brandon to najbardziej uprzejmy i szczodry człowiek na świecie - płaci za naszą córkę, aby mogła mieszkać w internacie. A moja druga siostra, Małgorzata, pracuje tam jako nauczycielka.

Tymczasem Elizo... mam nadzieję, że nie uznasz, iż jest to z naszej strony nie w porządku...

Przerwała wyraźnie zawstydzona, przygryzając wargi i miętosząc płócienną koszulę, którą właśnie zaobrębiała. Czekałam grzecznie, milcząc.

- Nie umieściliśmy cię w bursie, bo pan Ferrars nie uznał za stosowne, aby w czasie nieobecności pułkownika Brandona narażać go na tak duży wydatek.

Napisałam więc do pani Haslam, że nie będziesz korzystała z internatu.

Muszę przyznać, że kiedy to usłyszałam, moje serce podskoczyło z radości. Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Oczekiwałam bowiem z przerażeniem pięciu lat ograniczenia wolności. Zadając kolejne pytania, ani tonem głosu, ani wyrazem twarzy nie zdradziłam mojej radości.

- Z kim będę mieszkać, kuzynko Eleonoro?

- Twój kuzyn Edward i ja mamy ciotkę w Bath. Właściwie to ciotka mojej matki. Nazywa się pani Montford Debb, jest wdową i mieszka w trudnych warunkach. Będzie szczęśliwa, jeśli się do niej sprowadzisz. Mieszka przy New King Street, tak więc nie będziesz miała daleko do szkoły. Pan Ferrars da ci pieniądze, abyś kupiła sobie parasolkę, gdyż w Bath często pada deszcz.

- Jesteście dla mnie zbyt uprzejmi.

- Och, nie, moje dziecko, nic podobnego. Właściwie - przerwała zmieszana i wymamrotała coś o swojej siostrze, czego nie zrozumiałam, po czym dodała: - Nie robimy nic więcej poza tym, co jest naszym obowiązkiem, jako twoich najbliższych i jedynych krewnych.

- Nie mogę się doczekać, aby zobaczyć moją kuzynkę Nell - powiedziałam uprzejmie.

Na jej twarzy pojawiła się wątpliwość.

- Nell jest dwa lata młodsza od ciebie, moje dziecko. Będzie w innej klasie. Może będzie lepiej, jeśli pozwolisz jej zrobić pierwszy krok. Nell... - Kuzynka Eleonora zamyśliła się, starannie obrębiając dziurkę, po czym powiedziała: - Nell

jest jedynym dzieckiem w tym domu. Jej brat umarł. Spadł z kucyka, kiedy miał pięć lat.

- Och, to straszne - powiedziałam szczerze zmartwiona.

- Tak. W istocie. Tak naprawdę pan Ferrars nigdy... nigdy się z tym nie pogodził. Tak więc Nell... Nell... zobaczymy, co będzie.

Zostawiła mnie pełną wątpliwości związanych ze spotkaniem z kuzynką.

Tego samego dnia po skąpym posiłku złożonym z placka z grochem, serwatki, duszonych jabłek i czystej wody, zajęłam się pożyteczną działalnością w ogrodzie. Zamiatalam właśnie liście, gdy Edward Ferrars, nieświadomy tego, że znajduję się tuż za oknem, powiedział do żony:

- Byłoby lepiej, gdyby nie została w tym domu zbyt długo. Lepiej będzie, jeśli spędzi święta z ciotką Debb,

- Z powodu podobieństwa? Myślisz, że on mógłby się o tym dowiedzieć...?

- Ludzie będą gadać. Podobieństwo jest zadziwiające. Jeśli sobie przypominasz, Brandon pierwszy zauważył to w Mariannie.

Dlatego właśnie on... a potem twoja matka, jak sama mówisz, także...

- Cicho! *On croit que la petite est au dehors, pas loin d'ici* \* - powiedziała kuzynka Eleonora, nieświadoma tego, że znam francuski, być może nawet lepiej niż ona.

\* *Mała jest na zewnątrz, całkiem blisko (fran.).*

To przypadkowo usłyszane zdanie nagle wypełniło moją głowę fantazją, że być może byłam dzieckiem Marianny Brandon. Jeśli tak, nic dziwnego, że państwo Ferrars nie chcieli mnie w swoim domu. Lecz, z drugiej strony, to zrozumiałe, że uznali za swój obowiązek, aby zająć się mną.

Kim jednak był mój ojciec?

Wyjazd do Bath sprawił mi ogromną ulgę. Wybrałam się tam w sobotę, w towarzystwie dwóch koszy warzyw i skrzyni mieszczącej moją odnowioną odzież. Czułam się tak, jakbym narodziła się na nowo. W głębi duszy jednak wciąż byłam sobą i miałam się na baczności.

W drodze dużo rozmawiałam z Cerne, służącą, która okazała się dość sympatyczna.

- Najlepiej trzymaj się z dala od panienki Nell - poradziła mi.

- Nie ma chyba bardziej rozpuszczonej i rozbestwionej istoty! I tak dumnej!

Wszystkimi pomiata, niezależnie od ich statusu. Powiadam ci, wielu we wsi odetchnęło z ulgą, kiedy panienka Zadarty Nos wyjechała do szkoły. Jedynym jej przyjacielem był Ralph Mortimer mieszkający za wzgórzem. Wysłano go do Harrow. Zastanawiam się, co młody Ralph w niej widział...

- Czy pani Debb jest miłą osobą? - zapytałam. Cerne zmarszczyła nos w zamyśleniu:

- Bardzo się zmieniła, od kiedy poszła do więzienia.

- Do więzienia?

- Pani Ferrars nie wspomniała ci o tym?

- Nie, oczywiście, że nie. Pan Ferrars zaczął coś mówić, lecz wezwano go do chorego. Kuzynka Eleonora nie rozmawiała ze mną o tym.

- Powiem ci więc, jak to było - Cerne z zadowoleniem przystąpiła do opowieści - gdyż uważam, że powinnaś wiedzieć. Mogłabyś bowiem rzec coś niestosownego do tej biednej kobiety. Zdarzyło się to pięć lat temu, kiedy pan Debb jeszcze żył. Był z nią na złe i na dobre, zawsze wierny. Biedny człowiek, po tym, co się stało, bardzo się zmienił, a wkrótce potem umarł. Pewnego dnia wybrał się z żoną na przechadzkę. Wstąpili po koronkę do sklepu z materiałami w pobliżu pijalni wody, a tu nagle sprzedawca wybiega za nimi twierdząc, że pani Debb zabrała dwie rolki, a zapłaciła tylko za jedną. Pan Debb powiedział, że to nieprawda, lecz pozwolił mu sprawdzić, dla świętego spokoju. Tak więc tamten zajrzał i - czy

możesz w to uwierzyć - odnalazł to, czego szukał! Zawołał policjanta, a biedna kobieta została wtrącona do więzienia Ilchester, gdzie czekała na sąd. Mąż nie chciał jej opuścić w takiej sytuacji, poszedł więc do więzienia razem z nią. Gdyby uznali ją winną, mogliby ją powiesić. Koronka warta była pięć szylingów. Gdyby nawet pani Debb uniknęła śmierci, przewieźliby ją do więzienia Botany Bay. Przez osiem miesięcy siedziała w Ilchester, a potem sąd przysięgłych uznał ją za niewinną. W niecałe piętnaście minut! Uznali, że sprzedawca umyślnie włożył dodatkową koronkę do środka paczki. Oczekiwali, że pan Debb, który był bogatym, szacownym człowiekiem, zapłaci im łapówkę, aby ich przekupić. Lecz to do niego niepodobne! Według pana Ferrasa wydał ponad dwa tysiące funtów na prawników. Potem był wielki płacz, uściski i ogromna radość, kiedy biedna kobieta została uniewinniona. Wydarzenie to jednak doprowadziło do jego śmierci. Biedny człowiek, nie był już taki sam, jego interes podupadł, a on umarł wkrótce potem. Po jego śmierci pani Debb stała się bardzo samotna, bo choć została uznana za niewinną, część jej poprzednich znajomych odsunęła się od niej. Sprzedała więc wielki dom i przenieśli się do mniejszego, przy New King Street.

- Biedna kobieta. Cóż za okropna historia.

Atmosfera panująca na plebanii w Delaford - pedantyczność i moralizatorstwo - zmęczyły mnie i trudno było mi się do niej przystosować. Zastanawiałam się więc, jakie życie czeka mnie w domu pani Montford Debb. Oczekiwałam zatem, co przyniesie mi los.

## Rozdział czwarty

---

Pani Montford Debb zajmowała niewielki dom przy New King Street.

- Oczywiście, gdy mój świętej pamięci mąż jeszcze żył, sprawy miały się zupełnie inaczej - powiedziała. - Wtedy mieszkaliśmy w znacznie większym i elegantszym domu w Paragon. Ale dla samotnej wdowy to zbyt luksusowe warunki.

Według mnie, pani Debb nie była ani samotna, ani opuszczona. Prawie każdego wieczoru jej trzy bardzo bliskie przyjaciółki, pani Langley, pani Chamberlayne i pani Busby, przychodziły, aby zagrać w wista. Czasami pani Debb udawała się w gości do nich. W ciągu dnia często wychodziła z domu na piechotę lub jechała na wózku, aby zażyć kąpieli, zajrzeć do sklepów i spotkać się ze znajomymi w pijalni wód lub w bibliotece. Żyła więc wygodnie, miała dwie służące i służącego.

Gdy tylko zostałam wprowadzona do salonu, pani Debb rozkazała:

- Zdejmij kapelusz, dziecko, niech ci się przyjrzę.

Słomkowy kapelusz, który miałam na głowie, otrzymałam od pani Ferrars. Przedtem moim jedynym nakryciem głowy był stary kapelusz z szerokim rondem utkany z turzycy, który Eleonora uznała za mało elegancki i odpowiedni tylko na ognisko w ogrodzie. Zdjęłam go więc i ułożyłam starannie na krześle. Był przyozdobiony białą wstążką i wprawiał mnie w ogromną dumę.

Przyglądałyśmy się sobie uważnie.

Pani Debb musiała niegdyś być dobrze zbudowaną kobietą, lecz teraz jakby się skurczyła, zapewne z racji wieku i przejść. Głos jednak i manieri pozostały nienaganne. Jej twarz - o jasnej karnacji - była bardzo duża, kwadratowa i raczej brzydka. Miała zaciśnięte, zmarszczone wargi i kościsty nos. Głęboko osadzone oczy jasnoszarego koloru patrzyły niewzruszone; prawie nie mrugała. Przerzedzone włosy były gładko zaczesane, a jej strój był mniej elegancki niż suknie, które nosiły

kobiety w Bath. Widać było jednak, że starannie dobierała zarówno swą wysokiej jakości garderobę, jak i elegancką biżuterię.

- Pullett - pani Debb nagle zwróciła się do służącej, która mnie wprowadziła. - Przypatrz się dobrze panience. Czy ma jakiś kolor? Jakaś łunę? Co możesz o niej powiedzieć? Czy otacza ją jasność czy ciemność?

Zdziwiona tymi niezwykłymi pytaniami, zwróciłam wzrok na Pullett, która - ze swymi brązowymi wyłupiastymi oczyma, długą pociągłą twarzą, puklami miękkich, ciemnych włosów wystających spod czepka i półotwartymi ustami - wyglądała na bardzo prostą kobietę. Sądząc po wyglądzie, uznałabym, że nie jest zbyt inteligentna, lecz ona odpowiedziała natychmiast zupełnie rozsądnie, choć nie miałam bladego pojęcia, o co jej chodzi:

- Och tak, proszę pani, ma łunę. Dobrą, niebieską, dość jasną.

- W takim razie może zostać - szybko stwierdziła pani Debb. - Zabierz jej rzeczy do sypialni, Pullett. A ty, moje dziecko, usiądź tam, na krześle i odpowiedz na moje pytania.

- Przepraszam, proszę pani, ale czy mogłabym udać się za potrzebą. Droga była długa i nigdzie nie było odpowiedniego miejsca...

Pani Debb kiwnęła dwa razy głową. Ze zdumieniem zauważyłam, że tym pytaniem wprowadziłam ją w zdziwienie.

Kiedy wróciłam do pokoju, czytała liścik, który kuzynka Eleonora dała mi, abym jej przekazała.

- Hmm, wydajesz się być wykształconą młodą dziewczyną. Czy cieszysz się, że pójdziesz do szkoły? - rzuciła.

- Nie, proszę pani, nie bardzo. Lecz wiem, że muszę, jeśli chcę zarabiać na swoje utrzymanie.

- Hmm - zawahała się raz jeszcze. - Czy mogę zobaczyć twoje ręce?

Wyciągnęłam przed siebie dłonie. Dla pani Debb nie istniał fałszywy wstyd ani duma, była niezwykle bezpośrednią osobą.



- Tak... niestety. Nigdy nie znajdziesz męża. Jednakże moja siostrzenica pisze w liście, że dobrze grasz na fortepianie, a twój głos jest także niczego sobie. W szkole pani Haslam dadzą ci lekcje gry na harfie i innych instrumentach. Niewątpliwie w przyszłości możesz zostać nauczycielką muzyki.

Zgodziłam się grzecznie, nie próbując nawet tłumaczyć, że prędzej skoczyłabym w przepaść.

- Proszę pani.

- Tak, moje dziecko?

- Co miała na myśli pani służąca? Wtedy, kiedy powiedziała, że mam niebieską łunę?

Pani Debb ponownie skinęła głową:

- Zauważyłam, że Pullett wydała ci się śmieszna i niespełna rozumu. W istocie jednak jest inaczej niż myślisz. Być może nie jest błyskotliwa, lecz jeśli chodzi o ludzi, nigdy się nie myli. Jest mieszańcem: cygańska krew w drugim czy trzecim pokoleniu wstecz, co do tego nie mam wątpliwości. Pullett widzi ludzi w kolorach, jak właśnie mogłaś się o tym przekonać. Niebieski - twój kolor - przyniesie ci w życiu wiele dobrego.

- A gdybym miała zły kolor, co by się stało?

- Czarny lub fioletowy... albo odcienie czerwieni. Tylko głupiec zaprosiłby taką osobę pod swój dach.

- Czy pani mówi poważnie?

- Oczywiście, moje dziecko.

- Gdybym miała czerwoną łunę, co by pani zrobiła?

- Wyrzuciłabym cię natychmiast na ulice Bath.

Wydaje mi się, że wpatrywałam się w nią w osłupieniu, a ona spojrzała na mnie z na wpół radosnym, a na wpół groźnym wyrazem twarzy. Zastanawiałam się, czy na ulicach Bath byli jacyś żeglarze. Zastanawiałam się, czy pani Debb, podobnie jak Pullett, mogła mieć nie po kolei w głowie - czy miała dziurę w mózgu, jak

mówili w Dolinie Bękartów. Lecz ani pan Ferrars ani jego żona nie ostrzegali mnie przed tym. A pani Debb nie zachowywała się jak wariatka. Była pełna życia i bardzo poważna.

- Jednakże - kontynuowała jednostajnym głosem - jako że Pullett poręczyła za ciebie, mam nadzieję, że będzie nam razem dobrze. Nie jestem w stanie przebywać w towarzystwie młodych osób zbyt długo. Będziesz zatem przebywać u siebie, chyba że zaproszę cię do mnie lub nadejdzie pora posiłku. Zamierzam wysłać cię do miasta w celu załatwienia pewnych spraw, gdyż poza szkołą nie masz żadnych obowiązków. Musisz sama orientować się w Bath, moi służący mają wystarczająco dużo obowiązków, dlatego nie będą ci towarzyszyć. Z tego, co zrozumiałam, jesteś przyzwyczajona do zajmowania się sama sobą?

- W rzeczy samej, proszę pani.

- Hmm, tak, jest tu coś... o lady Hariot i tym głupcu Vexfordzie - wymamrotała, rozkładając ponownie list. - Opowiesz mi o nich kiedy indziej. Nie teraz. Jutro jest dzień wolny, nie ma lekcji. Będziesz mi oczywiście towarzyszyć na porannej mszy. A po południu możesz przejść się drogą do szkoły. To niedaleko stąd. Oczekuję również, że będziesz się poprawnie zachowywać, będziesz grzeczna i prawdomówna.

- Oczywiście, proszę pani.

- Pullett zawsze wie, kiedy ktoś kłamie - zauważyła pani Debb, patrząc na mnie bardzo przenikliwie. Przypomniałam sobie teraz o jej aresztowaniu i aferze z koronkami. Kto mówił prawdę?

Muszę utrzymywać dobre stosunki z Pullett, pomyślałam. Kłamstwo było dla mnie czymś tak naturalnym jak oddychanie i nie dostrzegałam na razie żadnej korzyści w zaniechaniu tej praktyki.

- Czy będzie mi pani towarzyszyć w drodze do szkoły w poniedziałek, czy mam tam pójść sama?

- A ty jak wolisz? - zaskoczyła mnie tym pytaniem.

- Wolałabym pójść sama, proszę pani, jeśli nie uważa pani, że to niewłaściwe?

- Nie, dlaczegoż by? Pani Haslam oczekuje cię. Dostała list od Eleonory Ferrars. Oczywiście sama będziesz musiała znaleźć sobie tam miejsce. Nie sądzę, aby twoja kuzynka Nell, jeśli w ogóle jest twoją krewną, pomogła ci w tym. Wydaje mi się, że kuzynka Małgorzata może ci pomóc.

Pani Debb odetchnęła głęboko.

- Chodzi o panią Małgorzatę Dashwood? Siostrę pani Ferrars? Ona uczy w tej szkole?

Wzięła jeszcze jeden oddech:

- Historii i literatury. Biedactwo, miała nadzieję, przybywając do Bath dziesięć lat temu, że wkrótce znajdzie sobie męża. Lecz jaki mężczyzna na tym świecie ożeniłby się z nauczycielką historii? Zwłaszcza z tak dziwną jak Małgorzata Dashwood. Od wielu lat modli się o męża. A teraz biegnij do swego pokoju, dziecko. Zmęczyłaś mnie. Muszę odpocząć przed spotkaniem z przyjaciółmi.

- Dziękuję, proszę pani - powiedziałam, a przy drzwiach odwróciłam się i dodałam: - Jestem bardzo zobowiązana, że pozwoliła mi pani tu zamieszkać.

W odpowiedzi ujrzałam jej pełne niepokoju spojrzenie.

- Czy masz pojęcie, kim był twój ojciec, moje dziecko? - zapytała nagle.

- Nie, proszę pani. Najmniejszego.

- Och. Bardzo dobrze. To już wszystko. Możesz iść.

Na górze, w pokoju, Pullett rozpakowała mój skromny dobytek i ułożyła wszystko porządnie w szafkach i skrzyniach. Nieprzyzwyczajona do takich usług, podziękowałam jej z całego serca, w zamian otrzymując szeroki uśmiech, który zupełnie odmienił jej chudą, króliczą twarz.

- Wydaje mi się, że na początku będzie tu paniencie smutno, bo jak powiedziała pani Debb, jest panienka przyzwyczajona do wsi - odezwała się miłym głosem. Istotnie, zaraz po wejściu do pokoju otworzyłam okno i wychyliłam się na zewnątrz. Z okna widać było dachy domów, a w oddali piękne zalesione wzgórza,

Beechen Cliff, jak się później dowiedziałam. Mogłam sobie wyobrażać, że za nimi, bardzo daleko, tam gdzie zachodziło słońce, widzę wzgórza Somerset.

Życzliwość Pullett bardzo mnie uspokoiła. Bath, rozległa, ponura i brzydka miejscowość, zupełnie mi się nie podobała. Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że miasto może być tak duże. Dolina Bękartów, Growly Head, Kinn Hall, Hoby, Triz i lady Hariot, wszyscy wydawali mi się dalecy i zagubieni w przeszłości.

- Sama pochodzę z małej wioski, z Emborough. Upłynęło dużo czasu, zanim przywykłam do tych domów, brukowanych ulic i ludzi - ciągnęła Pullett. - Lecz panienka ma szczęśliwy kolor, panienko Lizo. Nie mogę powiedzieć, że na pewno będzie panienka miała łatwe życie, lecz wygląda na to, że znajdzie się ktoś, kto panienkę pokocha. Dlatego proszę się nie martwić, a jeśli będzie panience smutno i będzie potrzebowała dobrego słowa, proszę zejść do mnie, Tomasza i Racheli do kuchni, a spróbujemy panienkę rozweselić.

- Cóż na to powie pani Debb?

- Nie dowie się o tym.

W niedzielę rano ubrana w czarną, nie za długą i nie za luźną sukienkę, którą otrzymałam po Nell Ferrars, udałam się z panią Debb do Abbey Green na mszę. W porównaniu z nabożeństwami doktora Moultrie w Othery ceremonia wydała mi się nie kończącym się potokiem modlitw, psalmów, muzyki i długich kazań. Raz nawet pani Debb musiała dać mi mocnego kuksańca, ponieważ zapadłam w sen, wyczerpana po długiej i nie przespanej nocy, kiedy to przysłuchiwałam się odgłosom dobiegającym z ulicy i okrzykom nocnego stróża.

W Abbey Green zostałam przedstawiona znajomym pani Debb - wdowom w podeszłym wieku i starzejącym się dżentelmenom, podpierającym się laską lub siedzącym w wózkach pchanych przez służących.

Ku memu zdziwieniu pani Debb przedstawiała mnie jako pannę Fitz-William.

W drodze do domu, krocząc Monmouth Street obok wózka pani Debb, zapytałam:

- Proszę pani, wydawało mi się, że moje nazwisko...

- Ciiii, bądź cicho - ucięła ostro.

A kiedy znalazłyśmy się w saloniku na New King Street, odezwała się:

- Pan Ferrars i ja zgodziliśmy się, aby zmienić twoje nazwisko na Fitz-William. Po pierwsze brzmi ono znacznie lepiej.

- Dlaczego, proszę pani? A po drugie?

- To teraz nieistotne. Bądź cicho i pogódź się z decyzjami starszych, gdyż są one dla ciebie najlepsze. A teraz weź Puga na spacer. Droga do Queen Square, gdzie znajduje się szkoła pani Haslam, wiedzie przez Chapel Row. Lepiej, jeśli sprawdzisz, ile czasu zajmie ci droga do szkoły, bo musisz być tam jutro o dziewiątej rano.

W ten sposób pani Debb zostawiła mnie samą w Bath. Miałam tylko Puga i nowe nazwisko.

Wybrałam się więc na przechadzkę, z początku niechętnie, gdyż było mokro, mgliście i ciemno, lecz wkrótce zafascynowało mnie miasto, położone majestatycznie na zboczu stromego wzgórza. Było tu wiele pięknych domów. Po schludnych ulicach o fantazyjnych kształtach chodzili elegancko ubrani nieznajomi. Widziałam wózki i błyszczące powozy, arkady, sklepy i wielki ratusz, zamknięty w niedziele. Wszystko różniło się bardzo od tego, co widziałam do tej pory. Odkryłam kilka przyjemnych ogrodów, o tej porze roku mieniących się blaskiem opadłych liści. W Bath był też wspaniały most, przy którym stały sklepy i domy. Po drugiej stronie mostu biegła duża ulica prowadząca poza miasto.

Zastanawiałam się, co pan Bill i pan Sam pomyśleliby o tym miejscu. Zważywszy ich pasję wsłuchiwania się w katarakty i odgłosy natury, raczej nie byłiby o Bath najlepszego zdania. Z pewnością jednak ucieszyłby ich widok mostu i rzeki.

- Bukieciak kwiatów, panienko? - żałośnie zajęczała mała żebraczka na rogu ulicy, proponując mi nędzną wiązanek roślinek przystrojonych zwiedłymi liśćmi

buku. Używając języka wyuczonego w Dolinie Bękartów powiedziałam jej, co powinna zrobić z bukietem, a ona rzuciła mi spojrzenie pełne szacunku. Wzięła mnie za kogoś lepszego.

Pug zaczął skowyczeć, najwyraźniej nie był przyzwyczajony do tak długich spacerów. Zawróciłam więc w stronę New King Street.

Następnego ranka ubrana czysto i schludnie, wyposażona w nową parasolkę pojawiłam się w seminarium dla młodych dziewcząt, prowadzonym przez panią Haslam przy Queen Square.

Cóż mogę powiedzieć o latach spędzonych w tej szkole? Z pewnością było to nowe doświadczenie. Lecz najistotniejsza wiedza, jaką zdobyłam, nie była nigdzie zapisana. Lady Hariot zapoznała mnie już z manierami wyższych sfer. W szkole nauczyłam się hipokryzji, skrywania uczuć, nieufności i niechęci. Widziałam, jak sympatyczne, ładnie ubrane panienki o słodkich głosikach potrafią ukrywać swe prawdziwe oblicze. Nauczyłam się, jak walczyć o swoje, zobaczyłam, jak nienawiść i cynizm przebijają się przez zbroję utkaną z muślinu, koronki i eleganckich strojów.

Od samego zatem początku zrozumiałam, jak wielkie miałam szczęście, że codziennie po południu mogłam uciec od nieprzyjaznej i destrukcyjnej atmosfery szkoły i poprawiać sobie humor w przyjemnym otoczeniu domu pani Debb. Oczywiście, uczennice na stałe mieszkające w szkole z całego serca pogardzały dziewczętami, które wracały na noc do domu i płaciły mniej pieniędzy, obie zaś grupy wymieniały się nieprzyjemnymi uwagami i uszczypliwościami. O stałych mieszkankach mówiono Królewny, a pozostałe uczennice nazywano Gąskami. Oprócz tego podziału istniało wiele innych, wyraźnych różnic pomiędzy zamożnymi i mniej zamożnymi uczennicami. Na szczycie hierarchii znajdowały się te dziewczęta, których rodzice wnosili pełne opłaty. Uczęszczały do szkoły od pięciu czy sześciu lat, aby przygotować się do małżeństwa. Trzymano je z dala od rodziców, aż do momentu, kiedy będą mogły zostać zaprezentowane we dworach, brać udział w towarzyskich spotkaniach, znosić trudy sezonu londyńskiego, a

wszystko po to, aby znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. Niżej w hierarchii znajdowała się grupa dziewcząt, których opiekunowie płacili niższe stawki, czy to z powodu znajomości z panią Haslam, czy też ich pracy w szkole. Jeszcze niżej sytuowała się grupa dziewcząt, które, podobnie jak ja, nie były uznawane za kandydatki do zamążpójścia, tak więc musiały zdobyć taki zasób wiedzy, aby potem uczyć innych. Na samym dole owej drabiny znajdowała się grupa uczennic, których nauka w szkole opłacana była z funduszy publicznych lub przez organizacje charytatywne w Bath. Te pogardzane przez wszystkich dziewczęta, były do pewnego stopnia wykorzystywane jako służące lepiej sytuowanych uczennic.

Pani Haslam od dawna już nie brała czynnego udziału w życiu szkoły. Pojawiała się tylko na porannych modlitwach. Była to już stara kobieta. Siedziała zamysłona, umalowana, upudrowana i owinięta w szale. Po nabożeństwie nikt już jej nie widział. Zarządzaniem szkołą zajmowała się jej zastępczyni, panna Orrin-court. To ona poprosiła mnie na rozmowę, gdy po raz pierwszy pojawiłam się w szkole. Była chudą, wysuszoną kobietą o kościstej twarzy, poruszała się niezgrabnie, używając laski i nosiła okazałych rozmiarów broszkę z granatu, spinającą zwoje koronek.

Spojrzała na mnie badawczym wzrokiem spod na wpół przymrużonych oczu i powiedziała:

- Wszystkie młode panienki w tym seminarium, panno Fitz-William, są dobrze wychowanymi damami. Nigdy nie zaakceptowałabym i nie trzymałabym tutaj dziewcząt, które zachowywałyby się inaczej. Szkoła ta cieszy się doskonałą renomą i pragnę, aby ją utrzymała. Niech no zobaczę twoją rękę, och.... cóż za nieszczęście...

Rozzłoszczona odpowiedziałam spiesznie:

- Taka już się urodziłam, proszę pani.

- Nie udzieliłam ci głosu, panno Fitz-William. - Za każdym razem, gdy wymawiała moje imię, kładła nacisk na Fitz, tak jakby chciała mi przypomnieć o

mym prawdziwym nazwisku. - Wygląda na to, że wiele uczyłaś się w przeszłości, a zwłaszcza... czytałaś. Zobaczymy, jak sobie poradzisz wśród dobrze wychowanych dziewcząt z zamożnych i wykształconych sfer.

Odpowiedziałam, że postaram się zrobić wszystko, co w mej mocy.

- Jeśli chodzi o naukę, wydaje się, że mogłabyś uczyć się w najstarszej klasie. Lecz, jako że większość dziewcząt jest znacznie starsza od ciebie, nie byłoby to najlepsze rozwiązanie. Tak więc, możesz w tej chwili rozpocząć naukę w średniej grupie, pod okiem panny Bush. Tak. Hmm. Panna Bush powie ci, co masz dalej robić. Teraz idź do pokoju na końcu holu. Życzę dobrego dnia, panno Fitz-William.

Kiedy dygałam, zbierając się do wyjścia, przywołała mnie z powrotem.

- Twoja... ciotka, pani Montford Debb, czy wszystko u niej w porządku?

Odpowiedziałam twierdząco.

- A twój opiekun, pułkownik Brandon?

Wyjaśniłam, iż obecnie znajduje się w drodze powrotnej z Indii i że nic nie wiem na temat stanu jego zdrowia.

- Ach, tak. W naszej szkole, panno Fitz-William, uważamy, że dyskutowanie, czy też czynienie uwag na temat pokrewieństwa i koligacji rodzinnych innych uczennic, nie jest na miejscu. Plotkowanie nie przystoi damom.

Później zastanawiałam się często nad tą uwagą, w istocie bowiem sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Przy każdej nadarzającej się sposobności, kiedy dziewczęta bawiły się w ogrodzie, szły parami na koncert, w trakcie przerw, stojąc na schodach, czy w korytarzu, najważniejszym i jedynym tematem rozmów pozostawały związki rodzinne i pokrewieństwo. Czyj wujek, książę, przyjeżdżał do White Hart, czyja ciotka, hrabina, wynajęła dom w Paragon, czyi rodzice zabierali córkę po drodze do Wells, czyj pełen wigoru brat zaręczył się z hinduską dziedziczką. Przypuszczałam więc, że pannie Orrincourt chodziło o to, abym to ja nie rozmawiała o moich krewnych.

Nie miałam zresztą najmniejszego zamiaru poruszać tego tematu.



Moje pierwsze spotkanie z Nell Ferrars nie było szczególnie przyjemne.

Pani Debb powiadomiła mnie, że dziewczęta nie mieszkające w bursie, nie otrzymują posiłku w szkole i dlatego sama muszę zadbać o to, aby mieć coś do zjedzenia każdego dnia. Wywnioskowałam z tego, że nie chciała widywać mnie przy New King Street na obiedzie. Pierwszego dnia kucharka, pani Rachela, przyniosła mi rano gruszkę i kromkę chleba z masłem.

Podczas przerwy wybrałam się zatem do szkolnego ogrodu - uroczego zakątka z kwietnikami i żwirowanymi alejkami na tyłach domu. Usiadłam na niskim murku ogradzającym różany kwietnik i jedząc gruszkę, wdychałam za spokojem Growly Head, kiedy nagle podeszły do mnie dwie dziewczynki. Jedna z nich, wysoka, o pociągłej twarzy i jasnej karnacji musiała być - jak się domyśliłam - córką Edwarda Ferrarsa. Była do niego bardzo podobna, lecz ojciec miał rysy regularne i łagodne, Nell zaś - zbyt grube i wyraziste. Była wysoka, podobnie jak jej matka, lecz nie miała nic z pełnego elegancji, osobliwego usposobienia pani Ferrars. Nell była znacznie lepiej ubrana niż jej matka, jak mogłam się domyślić, kosztem tej ostatniej.

- Ty musisz być tą nową Gąską, czyż nie? Eliza Fitz-William? - spytała, po czym wraz ze swą towarzyszką, szczupłą, elegancko ubraną dziewczyną o drobnych dłoniach i stopach, wymieniły kilka złośliwych uwag na temat mojego wyboru miejsca na piknik. Opanowanym głosem odpowiedziałam twierdząco na jej pytanie, dokończyłam gruszkę i wytarłam palce w kwadratową muślinową chusteczkę, w którą pani Rachela zawinęła mój lunch. Wstałam i odeszłam, aby opłukać ręce w małej fontannie za kwietnikiem. Jak później usłyszałam, niezwykle rozżłościło to pannę Ferrars. Oczekiwała bowiem, iż zadam jej kilka pytań, co dałoby jej satysfakcję upomnienia mnie, że nowe uczennice nie powinny odzywać się nie proszone.

Po tym zdarzeniu Nell, gdy tylko miała okazję, bardzo się starała szydzić ze mnie przy swoich koleżankach - moją nieumiejętność tańca, wyszywania, nieznamość gier, plotek londyńskich i mody. Każda z uczennic w swoim czasie

zetknęła się z podobnym traktowaniem i ja także przeżyłam kilka przykrych i męczących miesięcy, zanim nabyłam wystarczających umiejętności w tych dziedzinach, co położyło kres szyderstwu.

Nie muszę chyba dodawać, że pogardliwe traktowanie przyspieszyło tylko tempo, w jakim zdobywałam potrzebną mi wiedzę.

Co więcej, wkrótce przekonałam się, że panna Ferrars sama musiała niezwykle ciężko pracować, aby wkupić się w łaski grupy dobrze sytuowanych młodych dam, do którego to towarzystwa aspirowała. Jako dziewczyna mniej zamożna i nie posiadająca tylu strojów, przyborów szkolnych, butów do tańca i tym podobnych rzeczy, wciąż musiała załatwiać za nie różne sprawy, być na ich zawołanie i dostarczać im regularnej uczyty w postaci plotek i dowcipów.

Nigdy nie polubiłam Nell. Była zbyt zajęta własnym nosem, aby można było ją polubić. Później wszakże było mi jej żal, gdyż nigdy nie stała się tak popularna, jak tego pragnęła, co przysparzało jej cierpień. Choć ja także miałam niewiele przyjaciółek w szkole pani Haslam, nigdy mnie to nie martwiło, ponieważ przedkładałam własne towarzystwo nad to, które mi oferowano.

Z czasem jednak niektóre dziewczęta - pomimo moich dziwacznych rąk i wątpliwego pochodzenia - zaczęły zabiegać o moje towarzystwo. Lecz w porównaniu z więzami przyjaźni, jakie łączyły mnie z panem Billem i panem Samem, Hobym, Triz i lady Hariot - te znajomości wydawały się niezbyt znaczące i choć nie odrzucałam żadnych propozycji, sama nigdy nie zabiegałam o nie. Ta pełna niezależności postawa nie przyniosła mi szkody. W istocie, pod koniec mojego pobytu w szkole byłam - jak mi się wydawało - dość lubiana.

Poziom nauczania był wysoki, zwłaszcza dla tych dziewcząt, które chciały się uczyć. Jeśli zaś chodzi o muzykę i śpiew, czułam, że z pewnością nie marnuję czasu. Na cóż jednak te wysiłki? Wciąż nie miałam najmniejszej ochoty poświęcić się zawodowi nauczycielki muzyki. Obawiałam się też, że moje kalectwo uniemożliwi podjęcie pracy związanej z operą czy sceną.

Oczywiście, od początku pobytu w szkole pragnęłam zobaczyć się z ciotką Nell, młodszą siostrą pani Ferrars - Małgorzatą. Niestety, nasze pierwsze spotkanie, które miało miejsce około tygodnia po moim przybyciu do szkoły, przyniosło mi ogromny zawód.

Panna Dashwood uczyła literatury w najstarszych klasach. Któregoś dnia moja klasa skończyła wcześniej lekcje, wybierałam się więc do ogrodu, gdzie w ciepłe dni zwykłam jadać lunch. Przechodziłam właśnie obok na wpół otwartych drzwi do klasy, gdy usłyszałam znajome urywki deklamowane rytmicznie przez dziewczęta:

*I lód był tu, i lód był tam,  
Ze wszystkich stron się mienił;  
I trzeszczał, mruczał, wyl i huczał  
Jak głuchy szum w omdleniu \**

\* Przeł. Stanisław Kryński.

Stałam jak zaczarowana w drzwiach prowadzących do klasy, aż nauczycielka, dostrzegłszy mnie, wykrzyknęła:

- A kogóż my tu mamy?

- To nowa uczennica, panno Dashwood - odezwał się jakiś głos. - Panna Fitz-William.

- Ach tak. Czy podoba ci się nasz wiersz, moje dziecko? - spytała panna Dashwood.

- Och tak, proszę pani, ale słyszałam go już wcześniej.

- Czyżby? Jak to możliwe?

W tym momencie uderzenie wielkiego dzwonu zagłuszyło moją odpowiedź, lecz później panna Dashwood odszukała mnie w ogrodzie, aby zaspokoić swoją ciekawość. Opowiedziałam jej o znajomości z panem Billem i panem Samem.

- Szczęśliwa z ciebie istotka! To ogromne szczęście spotkać takich ludzi! Ich utwory zostały opublikowane - powiedziała.

- Książka nosi tytuł *Ballady liryczne*. Czy chciałabyś ją przeczytać?

- Naturalnie, proszę pani, z wielką radością.

Panna Dashwood była ciemnowłosą kobietą o silnym charakterze. Z wyglądu mogła mieć dwadzieścia parę lat. Rysy twarzy miała zbyt grube i nieregularne, by można było uznać ją za atrakcyjną kobietę. Przypuszczałam, że był to powód, dla którego, w przeciwieństwie do swych siostr, nigdy nie wyszła za mąż, choć wydawała się osobą o pogodnym usposobieniu. Jednakże było w niej coś kapryśnego, dziwaczego i szalenie uczuciowego, co powodowało, że nie darzyłam jej zaufaniem. Odniosłam wrażenie, że nie można jej ufać. Nie była osobą, której powierzyłabym tajemnicę. Na szczęście jednak w najmniejszym stopniu nie przypominała swej siostrzenicy. Wydawało mi się, że nie darzyły siebie sympatią. Nell - co było w jej zwyczaju - wyśmiewała się ze staropanieństwa ciotki.

Panna Dashwood dopytywała się o pana Sama i pana Billa. Słuchała mnie z uwagą, od czasu do czasu ze zdumieniem i podziwem dla mego szczęścia.

- To poeci, jakich ten kraj nie widział od lat! - Nagle, pod wpływem impulsu wykrzyknęła: - Biedne dziecko! Nigdy nie widziałas własnego ojca? Był cudownym, wspaniałym człowiekiem!

- Wielkie nieba, proszę pani! - zawołałam, zdumiona tymi słowami. - Spotkała pani mego ojca? Znała go pani?

- Och tak, moje dziecko! Kiedyś był najlepszym przyjacielem mojej starszej siostry Marianny.

Nagle, przypomniawszy sobie coś, zakryła dłonią usta i spojrzała na mnie przestraszonym wzrokiem.

- Dobry Boże! Miej litość! Co ja narobiłam? Miałam nigdy, przenigdy nie mówić o tym ani słowa.

- Kto zabronił pani o tym mówić? - spytałam szybko.

- Mój szwagier, pan Edward Ferrars. Roztropny z niego człowiek.

Powiedział... napisał... och, co za nieszczęście! Módl się, moje dziecko, abyś zapomniała, co ci powiedziałam. Nie miałam najmniejszego powodu, aby o tym mówić, żadnego. To było niestosowne. Jestem głupia, czasami za dużo mówię. Wybacz mi, ale teraz muszę odnaleźć Cecylię Castleforth i posłuchać jej recytacji.

Wybiegła jak strzała, zabierając ze sobą - ku memu niezadowoleniu - zbiór wierszy, które tak bardzo chciałam przeczytać. Później uporczywie mnie unikała, i jak mi się wydawało, bardzo niechętnie opuszczała klasę, jeśli tylko czuła, że może mnie spotkać. Potem usłyszałam, że panna Dashwood zrezygnowała z pracy na pewien czas i wyjechała, by towarzyszyć panie Helenie Smythe-Burgley, absolwentce szkoły, w jej pierwszym londyńskim sezonie. Rodzice Heleny - nakłonieni przez córkę - poprosili kochaną pannę Dashwood, aby została z panną Heleną przez kilka miesięcy. Wynagrodzenie, jakie miała otrzymać za tę pracę, niewątpliwie znacznie przewyższało pensję nauczycielki w szkole pani Haslam. Krążyły wieści, jakoby miała wrócić do szkoły, jeśli ktoś oświadczy się panie Helenie. Nikt jednak nie oczekiwał, że nastąpi to już wkrótce.

Łatwo można sobie wyobrazić, jak ogromnym szokiem była dla mnie ta krótka i niepokojąca rozmowa. Czy panna Dashwood zrezygnowała z pracy w szkole ze strachu przed gniewem szwagra za to, że nieopatrznie ujawniła pewne informacje? Czy też fakt, że wyjechała właśnie teraz, był czystym przypadkiem?

Od czasu, kiedy już posiadałam zdolność logicznego myślenia, zastanawiałam się nad moim ojcem, nad tym, jakim był człowiekiem. Lecz kiedy dorosłam i stałam się bardziej sceptyczna, zaakceptowałam zwyczaje i normy panujące w Dolinie Bękartów i uznałam, że mężczyzna, który uwodzi, a następnie porzuca siedemnastoletnią dziewczynę, nie jest godzien tego, aby go szukać. Przeciwnie, zasługuje na potępienie, a spotkanie z takim człowiekiem nie byłoby dla mnie korzystne. O ile nie zniknął bez wieści, nie umarł w więzieniu lub nie został

przetransportowany do Botany Bay. Tak więc, choć ciekawość nigdy mnie nie opuszczała, nie myślałam o nim zbyt wiele w ciągu ostatnich lat.

Jak zatem pogodzić ten dawno temu zakorzeniony w mojej świadomości wizerunek ojca, jako mężczyzny rozpustnego, niewrażliwego i nieodpowiedzialnego, z tym, co usłyszałam od pani Dashwood... „był cudownym, wspaniałym człowiekiem”? I „największym przyjacielem mojej siostry Marianny”? Wszystkie moje dotychczasowe podejrzenia odżyły z ogromną mocą. Czy rzeczywiście byłam córką Marianny, obecnie pani pułkownikowej Brandon przebywającej w Indiach? Albo w jakimkolwiek innym miejscu, najprawdopodobniej w połowie drogi do Anglii. Czy była to jedna z wielu tajemnic, o których nigdy nie wolno było wspominać? Czy dlatego tak szybko wyprawiono mnie z Delaford? I zabroniono Małgorzacie Dashwood podzielić się ze mną tym, co wiedziała?

Edward Ferrars powiedział: „On może usłyszeć”. Kto mógłby usłyszeć? Mój ojciec? Rozmawiali o moim podobieństwie do kogoś - do kogo? W pokoju w Delaford wisiał miniaturowy portret. „To moja siostra”, powiedziała pani Ferrars, gdy go podziwiałam. Obraz przedstawiał piękną, smagłą kobietę, o cudownych ciemnych oczach i kruczoczarnych lokach. Dobry przyjaciel, jeśli takowego bym znalazła, określiłby kolor moich rudych włosów jako kasztanowy, a oczu - jako szary, lecz dzieci z Doliny Bękartów wołały na mnie Miedziany Łeb albo po prostu Rudzielec. Wydawało mi się więc mało prawdopodobne, abym mogła być córką tej niezwykle urodziwej brunetki. Trzeba jednak przyznać, że nasze rysy wykazywały znaczne podobieństwo. Od razu to zauważyłam.

Podczas pobytu w Delaford próbowałam dowiedzieć się czegoś o moim opiekunie, pułkowniku Brandonie i jego żonie. Wszyscy zgodnie twierdzili, iż jest eleganckim mężczyzną i doskonałym zarządcą majątku. Miał poważny i surowy wyraz twarzy, lecz łagodne i miłe usposobienie. Gdy się pobrali, jego piękna żona miała zaledwie osiemnaście lat. Była dużo młodsza od swego małżonka, lecz bardzo mu oddana. Choć mieli różne charaktery: ona - pełna życia, uduchowiona i

rozmowna, on zaś dostoyny i cichy, to jednak ich pożycie układało się dobrze, a wzajemne zauroczenie stało się obiektem ogólnego podziwu. Gdy pułkownik dołączył do swego regimentu, Marianna - nie bacząc na klimat i okrucieństwo tubylców - spakowała rzeczy, aby towarzyszyć mu w wyprawie do Indii. Na nic zdały się ostrzeżenia przyjaciół i fakt, że była całkiem szczęśliwa w Delaford, biorąc czynny udział w życiu mieszkańców wioski. Nie była także przy nadziei. Na to miała zresztą jeszcze dużo czasu, gdyż dopiero co skończyła dwadzieścia lat. Z pewnością nie zdecydowałaby się na ciążę, będąc z dala od kraju.

Czy możliwe więc, aby urodziła mnie, zanim poślubiła pułkownika?

Nie, nie mogłaby bowiem poślubić go zaraz po moich narodzinach.

Powiedziano mi, że moja matka miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy przyszłam na świat. Fakt, że w kilka miesięcy później została narzeczoną pułkownika Brandona, wydawał mi się ze wszech miar nieprawdopodobny.

Tak więc, moją matką musiał być ktoś inny, lecz kto?

Nell Ferrars nie posiadała żadnych informacji na temat mych rodziców. Tego byłam pewna. Gdyby miała o tym choć blade pojęcie, bez wątpienia wykorzystałaby to przeciwko mnie. Ilekroć bowiem zwracała się do mnie, z sarkazmem wymawiała moje nazwisko, jakby kwestionowała moje prawo do jego używania. Z pewnością nie powstrzymałaby się przed ujawnieniem tak smakowitego kąska, podobnie jak nie było w jej zwyczajach zwracać się do osób niżej urodzonych z uprzejmością, a do tych z wyższych sfer - bez schlebiania.

Pani Debb, jak przypuszczałam, wiedziała na ten temat trochę więcej niż mówiła, lecz wścibianie nosa w cudze sprawy nie było jej zwyczajem.

Jeśli kiedykolwiek miałam odkryć tajemnicę mego pochodzenia - na czym ogromnie mi zależało - musiałam sama tego dociec, nie licząc na czyjąkolwiek pomoc.

Lata spędzone w szkole pani Haslam miały powoli, wypełnione jedynie wytrwałym zdobywaniem wiedzy i wprawy w muzyce i śpiewie. Pewnego jednak dnia, dzięki przypadkowemu spotkaniu, poznałam więcej szczegółów.

Lecz nie wyprzedzajmy faktów.

Przed moim pierwszym Bożym Narodzeniem w Bath, dowiedziawszy się, że szkoła zostanie zamknięta na tydzień, zastanawiałam się nad możliwością spędzenia świąt w probostwie w Delaford. Wiedziałam, że Nell zamierzała pojechać do domu. Niestety, wkrótce moje nadzieje zostały rozwiane. W liście dostarczonym przez posłańca Eleonora Ferrars pisała:

*Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, niestabilny stan zdrowia mojej matki, pogodę, koszt podróży, zły stan dróg oraz wagę, jaką ciotka Debb przywiązuje do twego towarzystwa, uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli na święta Bożego Narodzenia pozostaniesz w Bath.*

Większość z tego, co napisała, było dla mnie nowością. Pogoda i zły stan dróg, myślałam, nie stanowiły chyba większej przeszkody w moim wyjeździe do Delaford, tak jak to było w przypadku Nell. Natomiast fakt, że pani Debb była zadowolona z mego towarzystwa, pozostawiał wiele wątpliwości, choć nasze stosunki nie były złe. Mimo to byłam zadowolona, że święta spędzę przy New King Street. Świąteczny tydzień w towarzystwie wrogo do mnie nastawionej Nell nie byłby żadną przyjemnością, mimo że mogłabym spacerować po zielonych łąkach i wdychać czyste, wiejskie powietrze.

*Proszę przekaż nasze najlepsze życzenia pani Debb - pisała dalej kuzynka Eleonora - wraz z tą poduszczką na szpilki, którą dla niej zrobiłam. Została wypchana ziarnkami kawy, aby zapobiec rdzy. Jeśli byłaby mile widziana jakaś inna rzecz, na przykład pudełko na nici, stojaczek na karty albo dziergana część garderoby, która może się jej przydać, będę ci wdzięczna za wiadomość. I mam nadzieję,*



*droga Elizo, że i ty nabyłaś drobny, lecz stosowny prezent w dowód uznania, jak wiele jej zawdzięczasz...*

Do licha z wdzięcznością, pomyślałam, wracając do zwrotów używanych w Dolinie Bękartów. Pani Debb otrzymuje pieniądze za to, że u niej mieszkam, nie? Co więcej, wychodzę z Pugiem dwa razy dziennie, czytam gazetę i listy od pani Edgeworth, śpiewam, gram na harfie dla jej okropnych przyjaciół cztery razy w tygodniu, piszę i roznoszę liściki, kupuję ciastka w sklepie Sally Lunn, podrzucam książki z biblioteki, poza tym ozdobiłam jej czarny, satynowy kapelusz nowymi piórami i obrębiłam wielki, muślinowy szal. Gdybym była panną Małgorzatą Dashwood, mogłabym oczekiwać sowitego wynagrodzenia za moje usługi.

„I módl się, aby to nie stało się twoim zajęciem do końca życia” - odezwał się mój głos wewnętrzny.

Kiedy przyniosłam koronkową poduszeczkę na szpilki „z pozdrowieniami od kuzynki Eleonory Ferrars”, pani Debb spojrzała na mnie przenikliwie sponad swych okularów.

- Ho, ho, moja mała! Tak więc wynajęli cię na posyłki? Aby zjednać sobie moją życzliwość, co?

Delikatnie zasugerowałam, że święta są okresem życzliwości.

- Ho! Jak widzę, nie zapraszają cię do siebie, abyś spędziła święta wraz z bladolicą panną Nell?

- Jestem szczęśliwa, że zostanę w Bath, proszę pani.

- Tak też myślę! Jedyna noc, jaką spędziłam na plebanii, o mało co nie okazała się ostatnią w moim życiu z powodu lumbago i kolki żółciowej. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się przebywać w tak chłodnym domu i nie zamierzam pojawić się tam więcej. Wiem dobrze, o co im chodzi. Te biedne stworzenia oczekują, że zapiszę im coś w spadku. Ale, jeśli kiedykolwiek zapytają cię, choć ośmielam się twierdzić, że są zbyt uprzejmi, aby pytać o to bezpośrednio, możesz powiadomić ich, że nie wiesz

nic na temat moich planów. Równie dobrze sama mogę im powiedzieć, żeby nie spodziewali się wiele po moim testamencie. Ani ty, moje dziecko, gdyby kiedykolwiek coś ci sugerowali. - Jeszcze raz spojrzała wymownie znad swych okularów.

- Nie, proszę pani, nigdy ze mną o tym nie rozmawiali. Ani też nie myślałam o takich rzeczach.

Choć Nell, w istocie, często wspominała o „oczekiwaniach”.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała oschle pani Debb. - Tak więc wszystko, co robisz, to z miłości, ha?

- Nie - powiedziałam spokojnie - nie z miłości. Lecz z... z przyjaźni, i dlatego, że jest pani tak uprzejma, aby gościć mnie w tym wygodnym, szacownym domu.

... Co było prawdą. W istocie podziwiam stoicyzm i odwagę starszej pani, darząc ją przyjaznymi uczuciami. I choć nie mogłabym powiedzieć, że przywitała mnie ciepło, gdy po raz pierwszy zawitałam w domu przy New King Street oznaczonym numerem dwa, zrozumiałam, że z czasem stałam się jej prawdziwą współlokatorką.

Jeśli pani Debb miała ochotę zostać sama i grać w wista ze znajomymi, udawałam się do swej sypialni, z oknem wychodzącym na położone w oddali pagórki, lub szłam do kuchni. Tam Pullett i pani Rachela, kucharka, zawsze chętnie wróżyły mi z kart albo z liści herbaty.

- Czy kiedykolwiek uda mi się odnaleźć ojca? - To pytanie zawsze zadawałam na początku naszych posiedzeń. Lecz pani Rachela nigdy nie dawała mi satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Są tu dwie figury, kochanie - stary król i stara królowa. Żadna z nich nie przyniesie ci wiele, jeśli chodzi o fortunę. Lecz jest też dom. I małe, chude dziecko - jakby krasnoludek - a tu jakiś mężczyzna... wygląda, jakby miał syfilis, nigdy nie widziałam tak dziobatej twarzy, może to górnik - i stos pieniędzy. Przepływają jak

fala po pokładzie statku. Ten mężczyzna może przynieść ci tyle dobrego, co i złego, lepiej miej na niego oko, kochanie...

- Jeśli tylko wiedziałabym, kto to jest.

- W swoim czasie dowiesz się, Uważaj! Dzwoni pani. Tomaszu, idź i zobacz, czego chce...

- Tak, moja droga! - powiedziała pani Debb, zmarszczywszy brwi, co czyniła zawsze, chcąc ukryć swe najgłębsze uczucia. - Dobrze wiem, co to znaczy być samotnym i nie mieć nikogo w czasie świąt. A teraz biegnij szybko i zabierz Puga ze sobą, w przeciwnym razie gotów zrobić siusiu na turecki dywanik.

Tak więc w Boże Narodzenie towarzyszyłam pani Debb dwa razy na mszy, po czym zostałam zwolniona, aby móc zająć się własną rozrywką i zabrać Puga do ogrodów Sydney. Dzień był chłodny, mglisty i wilgotny, na ulicach Bath - oprócz mnie - nie było żywego ducha.

Po spacerze zjadłam wołowinę i bożonarodzeniowy pudding w towarzystwie pani Debb, wspominając, jak mało uwagi poświęcano świętom w Dolinie Bękartów. Niezmiernie rzadko Hanna podawała jakikolwiek posiłek, a w południe leżała już kompletnie pijana, co po części było wynikiem jej stanu spowodowanego celebracjami poprzedniej nocy.

Po cichu weszłam do mojej zimnej sypialni, napisałam kilka długich listów, jeden był do lady Hariot i Triz w Lizbonie, na adres lady Anny Foliot. Raz czy dwa, dostałam od nich krótkie liściki, wiedziałam więc, że wciąż tam mieszkały. Lecz teraz mówiło się, że Bonaparte wysłał Junota z armią do Portugalii, jako że już udało mu się rozesłać wojsko po całej Europie. Portugalia była naszym sprzymierzeńcem, lecz było to tylko małe i bezbronne państewko. Czy moje przyjaciółki były tam bezpieczne? Czy powrócą do Anglii?

Potem, bez większego przekonania, napisałam do Hoby'ego. Brat jednej z moich szkolnych koleżanek, Tilly Percival, studiował w Eton. Dostałam więc adres

szkoły. W liście pytałam Hoby'ego, jak się miewa i napisałam o zmianach w moim życiu, które mogły go zainteresować...

Później, przez godzinę siedziałam przygnębiona, wsłuchując się w krople deszczu uderzające o parapet, aż zawołano mnie na dół, abym zaśpiewała dla przyjaciół pani Debb.

RS

## Rozdział piąty

---

W czwartym roku mego pobytu w szkole pani Haslam zaczęłam dawać lekcje muzyki młodszym uczennicom, a w czasie piątego roku także lekcje śpiewu. Pobierały je u mnie również moje rówieśnice. Dla panny Nell Ferrars była to okazja do złośliwych uwag kierowanych pod moim adresem. Nell nigdy nie została moją przyjaciółką. Przeciwnie, z upływem czasu nasza wzajemna niechęć rosła. Nell przyjęła za punkt honoru rozpuszczenie plotki, jakoby moja pozycja w szkole była jedynie wynikiem stronniczości pana Tregarrona, nauczyciela muzyki, przystojnego mężczyzny o melancholijnym usposobieniu. W rzeczywistości sprawy miały się inaczej, choć istotnie przyjaźniliśmy się i z czasem stałam się powiernikiem jego sekretów. Gdy miałam siedemnaście lat, pan Tregarron wplątał się w romans, który zakończył się pojedyńkiem. Pan Tregarron został postrzelony w udo. W ranę wdała się infekcja i przez pewien czas jego życie wisiało na włosku, a potem, choć nie zagrażało mu już niebezpieczeństwo, uznano, że konieczna jest amputacja nogi.

Epizod ten, jak można się spodziewać, doprowadził pannę Orrincourt do wściekłości. Gdyby pan Tregarron nie był tak dobrym i lubianym nauczycielem, a także krewnym znakomitych osobistości w Bath, z pewnością zostałby odprawiony. Lecz jako że opinia szkoły w dużej mierze zależała od poziomu lekcji muzyki, panna Orrincourt uznała, iż lepiej będzie zapomnieć o tym nieprzyjemnym zajściu.

Dzięki rodzinnym koneksjom pana Tregarrona wiele młodych dam śpiewających w szkolnym chórze wyszło za mąż, co dodatkowo podniosło prestiż szkoły. Tak więc panna Orrincourt musiała powściągnąć swój gniew i zadowolić się zrzuceniem licznych obowiązków pana Tregarrona na mnie. W rzeczywistości, z niepokojem myślałam o tym, iż jeśli nie poczynię odpowiednich kroków, aby zmienić moją sytuację, spędzę całe życie jako Młodsza Nauczycielka Muzyki w szkole pani Haslam.

Los jednak chciał inaczej.

Kilka dziewcząt zostało wybranych, aby zaśpiewać solo w czasie koncertu, a ja byłam jedną z uczennic, które dostały tego zaszczytu.

- Twój głos - powiedział mi kiedyś pan Tregarron - nie różni się zbytnio od innych, moja droga panno Fitz, lecz jest donośny, czysty i o odpowiedniej wysokości, a to zaspokoi oczekiwania tych starych zgryźliwych bab na widowni.

Jak należało się spodziewać, panna Nell Ferrars miała wiele do powiedzenia w tej sprawie. Na szczęście jednak otrzymała niezwykle atrakcyjną i długo oczekiwaną propozycję towarzyszenia jednej ze swoich najlepszych przyjaciółek - ładnej, choć niezwykle uszczypliwej lady Helenie Lauderdale, podczas wizyty u rodziców w Londynie. Nieobecność Nell przyniosła mi, co muszę przyznać, niemałą ulgę. Podobnie jak i Nell żywiłam szczerą nadzieję, że podczas pobytu pod dachem Lauderdaleów przy Berkeley Square wpadnie ona w oko odpowiedniemu młodzieńcowi. Niektóre z młodszych dziewcząt wybranych do partii solowych były przerażone, inne przechadzały się dumne jak pawie. Jeśli zaś chodzi o mnie, nie odczuwałam specjalnego podniecenia.

Dzieciństwo spędzone w Dolinie Bękartów przyniosło mi jedną korzyść. Wyrobiłam w sobie hart ducha i nabrałam obojętnego stosunku do spraw, które innych przyprawiały o bicie serca. Udział w publicznym koncercie nie przerażał mnie, zwłaszcza że zdarzały się w moim życiu gorsze rzeczy. Trudno też porównywać moje przeżycia związane z koncertem, na przykład z poniżaniem i wykorzystywaniem, na jakie biedny Hoby narażony był w ciągu ostatnich czterech lat w Eton. Otrzymałam na ten temat trochę wiadomości, gdyż Hoby odpowiadał na moje listy, choć niezbyt często - raz lub dwa razy w roku. Opowieści o ciężkim losie w Long Chamber, nabazgrane kulfoniastym, niezgrabnym i pełnym błędów ortograficznych pismem Hoby'ego, każdego przyprawiłyby o mdłości. A jednak, jak się wydawało, Hoby dawał sobie radę i uczył się traktować swych oprawców podobnie jak ja. Napisał, że cieszy się, iż udało mi się tak dobrze ułożyć sobie życie

w Bath. To mnie zainteresowało, gdyż jeszcze nie tak dawno temu wyśmiewałby się z tego.

Dowiedziawszy się o planowanym koncercie, pani Debb i Pullett zwołały naradę i doszły do wniosku, iż moja garderoba pozostawia wiele do życzenia.

- Musisz przynieść chlubę New King Street - oświadczyła pani Debb - co w takiej sytuacji jest niemożliwe. Nie możesz śpiewać publicznie, moje dziecko, mając na sobie znoszoną suknię sprzed pięciu lat, która niegdyś należała do Nell Ferrars.

- Problem polega na tym, proszę pani, iż nie posiadam nic lepszego.

Nigdy nie przywiązywałam większej wagi do mojej garderoby. Dopóki moje rzeczy nie miały widocznych dziur, byłam zadowolona. A poza tym, wszystko wskazywało na to, że fundusze pozostawione przez pułkownika Brandona, przeznaczone na moją edukację, zaczęły się wyczerpywać.

*Wydaje się, że mój szwagier opuścił Indie, po tym jak został ciężko ranny w bitwie pod Gavilghar - napisała Eleonora Ferrars - lecz wciąż nie znamy miejsca jego pobytu. Prawdopodobnie pułkownik i Marianna zmuszeni byli zatrzymać się gdzieś w trakcie podróży powrotnej do Europy, zapewne ze względu na stan zdrowia pułkownika, konieczność leczenia lub rekonwalescencji.*

Albo może po prostu umarł, pomyślałam...

I wtedy właśnie otrzymałam list od prawników. Pan Melplash pisał:

*Ogromnie żałujemy, panno Fitz-William, że nie jesteśmy w stanie zatwierdzać ekspensów na szkołę, gdyż suma przeznaczona na nieprzewidziane wydatki została wydana, a od pułkownika Brandona nie otrzymaliśmy dyspozycji co do rozporządzania pieniędzmi.*

Jako że do tej pory dobre trzy czwarte mego czasu w seminarium pani Haslam spędzałam dając lekcje, moja pozycja w szkole nie była zagrożona. Panna Orrincourt uznała, że jestem zbyt potrzebna, aby rezygnować z moich usług. I ponieważ zaczęłam dawać prywatne lekcje śpiewu w mieście, mogłam płacić drobne kwoty pani Debb w zamian za mieszkanie i jedzenie. Po prostu obywałam się bez

nowych ubrań. Od czasu przybycia do Bath mój wzrost nie uległ większej zmianie, a okazałych rozmiarów garderoba składająca się ze starych ubrań, którą otrzymałam od pani Ferrars - wszystkie rzeczy były uszyte z ciężkich i trwałych materiałów - przetrwała łątana i cerowana, i od czasu do czasu na nowo dopasowywana przez Pullett lub mnie samą. Nell Ferrars już dawno przestała wyśmiewać się z moich strojów. Moja najlepsza suknia z muślinu, kusa i przyozdobiona niebieską wstążką, była jednak znoszona i wyblakła. Choć wystarczała na wieczorne koncerty organizowane dla pani Debb i jej towarzyszek do wista, stanowiłaby raczej nędzną wizytówkę szkoły pani Haslam. Nawet panna Orrincourt przejęła się tą sprawą. Żywiła nadzieję, że otrzymam „coś szczególnego do ubrania, stosowną na tę okazję toaletę”, a ja szybko zapewniłam ją, że nie będzie z tym żadnego problemu.

- Proszę pani - zwróciłam się do pani Debb - czy byłaby pani tak uprzejma poczekać z opłatą do soboty, gdyż, jak rozumiem, wykonawcy otrzymają zapłatę za występ...

- Och, moje dziecko, nie przejmuj się tym. Znajdziemy potrzebne fundusze. - Po czym dodała sucho: - Będę wielce rada, mogąc wybrać się do sklepu pana Wetherella. Bez wątpienia znajdziemy tam coś odpowiedniego, a Pullett przygotuje dla ciebie strój. - Dostrzegłszy błysk w jej oku i lekkie zdenerwowanie na twarzy Pullett, przypomniałam sobie, że pani Debb była niegdyś oskarżona o kradzież koronki. Pan Wetherell był właścicielem sklepu tekstylnego mieszczącego się przy Stall Street i tam właśnie zarzucane jej przestępstwo rzekomo miało miejsce. Zapewne moja gospodyni lubiła od czasu do czasu zaglądać do sklepu, aby wyśmiewać się ze sprzedawców. Pani Debb - choć uśmiechała się niezwykle rzadko - miała specyficzne poczucie humoru.

Wyprawa do sklepu pana Wetherella zaczęła się zupełnie zwyczajnie. Wybrałyśmy kawałek indyjskiego muślinu w drobne czarne kropeczki, wykończonego czarnym paskiem.



- Przy twoim kolorze włosów i karnacji - zauważyła pani Debb beznamiętnym tonem - nigdy nie powinnaś ubierać się w jasne, wesołe kolory.

- Zawsze tak myślałam, proszę pani.

Obejrzałyśmy również kilka par rękawiczek. Te z kolei zawsze stanowiły dla mnie problem.

- Mogę pożyczyć ci moje stare rękawiczki - powiedziała pani Debb. Nigdy nie była zbyt szczodra. - Przynajmniej twoje stopy nie będą widoczne zza fortepianu, nie musimy zatem martwić się o buty i pończochy.

W drodze powrotnej do domu pani Debb wyprzedziła nas z Pugiem. Miała dziwaczny chód. Stopy stawiała pewnie i płasko, jakby chciała upewnić się, że kocie łby nie zrobią jej krzywdy. Podążając za nią wraz z niosącą pakunki Pullett, wyszeptałam:

- Pullett, mężczyzna ze sklepu idzie za nami. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

Pullett odwróciła się, a w jej zajęczych oczach pojawił się strach.

- Och, panienko! - wysapała. - O co może mu chodzić? Usłyszawszy szmer za plecami, pani Debb odwróciła się.

- O czym rozmawiacie?

Pociągnęła za smycz, Pug Zaskowyczał, a pani Debb upuściła mufkę i parasolkę, z którą nigdy się nie rozstawała, jako że w Bath często padał deszcz. Podniosłam mufkę, strzepując z niej błoto i podałam pani Debb, gdy nagle mężczyzna ze sklepu tekstylnego zagroził nam drogę.

- O co chodzi? - spytała pani Debb. - Czego pan sobie życzy? Dlaczego, na Boga, zatrzymuje nas pan? Może zorientował się pan, że za dużo zapłaciłam?

- Nie, proszę pani. - Pan Wetherell, nerwowy jegomość o tłustej twarzy, raz po raz wkładał i wyjmował ręce z kieszeni, by po chwili nerwowo je zacierać. - Nie, proszę pani, ale dręczyło mnie to... postanowiłem więc pobiec za wami. Zawołałem pana Sunwilla, posterunkowego - w tym momencie, pojawił się jeszcze jeden

mężczyzna - tak więc jako że dręczyło mnie to nie wydawało mi się to Właściwe, abym pozwolił.... to znaczy, proszę pani, abym nie pozwolił...

- Nie pozwolił na co, nudny, nędzny człowieku? - dopytywała się pani Debb niecierpliwie. - Czy mógłby pan łaskawie przestać bełkotać i pozwolić mi udać się moją drogą?

Na to odezwał się posterunkowy pan Sunwill, w wysokim kapeluszu i nieporządnym surducie:

- Pan Wetherell, jak pani rozumie - zaczął przeproszającym tonem - powiedział mi, iż wydaje mu się, że widział, jak pani wkładała potajemnie parę czarnych jedwabnych rękawiczek do swej mufki. Oczywiście, być może, zrobiła to pani nieumyślnie, takie rzeczy się zdarzają. Tak więc, czy ma pani coś przeciwko temu, byśmy zajrzeli do środka? Do pani mufki?

- To bezpodstawny i bezczelny zarzut - odpowiedziała pani Debb, zachowując spokój. - Stanowczo nie zgadzam się, byście mnie przeszukiwali.

Staliśmy wszyscy na deszczu, blokując ulicę i przypatrując się sobie uważnie.

Rzucając mi pełne niepokoju i strachu błagalne spojrzenie, Pullett odezwała się do swej pani:

- Proszę pani, czy nie lepiej byłoby zrobić tak, jak proszą panowie?

Zaoszczędzi to czasu i kłopotów.

Uznałam, że był to moment, kiedy powinnam zainterweniować.

- Z pewnością zaszła tu jakaś pomyłka - powiedziałam.

- Rzeczywiście oglądałyśmy parę czarnych, jedwabnych rękawiczek, dobrze je pamiętam. - Była to prawda, gdyż przymierzałam je nawet. Lewa pasowała dość dobrze, podczas gdy prawa była zbyt ciasna. Oczywiście, jak zwykle, miałam problem z palcami - ale obecny tu pan Wetherell sam zabrał rękawiczki z lady. W istocie, przypominam sobie, że widziałam, jak wkładał je do kieszeni.

- Cóż za historia! - zdziwił się posterunkowy. - Dlaczego miałby to zrobić, panienko?

- Nie mam pojęcia, mnie samej wydało się to dziwne.

- Proszę pani, dlaczego nie miałyby pani pozwolić im zajrzeć do mufki, przecież nic złego się nie stanie? - błagała dalej Pullett. - To zaoszczędzi nam stania w deszczu.

Zwłaszcza że teraz zamienił się w silną ulewę.

Rozwścieczona pani Debb podała Sunwillowi szarą mufkę z wiewiórczego futerka. Ten zaś szorstkimi dłońmi obmacywał ją dokładnie, gdy tymczasem pani Debb wpatrywała się w niego z obrzydzeniem. Nic jednak nie znalazł, oprócz małego, zwiniętego w kulkę, papierka po cukierku.

- A teraz - powiedziałam szybko - może pan Wetherell będzie łaskaw pokazać nam zawartość swych kieszeni.

Na te słowa pan Wetherell zaprotestował gwałtownie.

- Cóż za pomysł! Dlaczego miałbym to zrobić? To moja własność została skradziona.

- Myślę, że powinien pan się zgodzić - oświadczył posterunkowy. - Przecież pani pozwoliła nam zajrzeć do mufki. I nikt nie mówił o kradzieży.

- To nie w porządku! To tak, jakby posądzać mnie o krzywoprzysięstwo...

Nie namyślając się długo, podeszłam do niego i włożyłam ręce do jego kieszeni. Tak jak oczekiwałam, w jednej z nich znajdowała się para czarnych, jedwabnych rękawiczek, przewiązanych kawałkiem tasiemki.

- Proszę bardzo, a nie mówiłam? - zauważyłam, podając rękawiczki posterunkowemu. - Wszystkim nam od czasu do czasu zdarza się popełniać takie gapiostwo. Nieświadom tego, co robi, pan Wetherell włożył je do kieszeni. Sądzę, że teraz, każdy z nas może się udać w swoją stronę.

Przechodząc obok pana Wetherella, kopnęłam go mocno w goleń. Był to manewr, który wiele lat temu opanowałam do perfekcji w Dolinie Bękartów, gdzie szybki atak i jeszcze szybsza ucieczka były niezbędnymi do przetrwania umiejętnościami.

Zobaczyłam, jak odwraca się pobladły z bólu i wściekłości, wpatrując się w naszą małą procesję maszerującą w kierunku domu.

W przyszłości miałam pożałować tego, że dałam upust złości.

Pani Debb natomiast nigdy nie wracała do tego incydentu. Pożyczyła mi jednak elegancki kaszmirowy szal do pięknej, czarno-białej, muślinowej sukienki, którą wraz z Pullett uszyliśmy z zakupionego materiału. A Pullett wyposażyła mnie w parę czarnych koronkowych rękawiczek. Wiele wysiłku włożyła w to, żeby je uszyć w taki sposób, by nie było widać zdeformowanej dłoni.

Mój pierwszy występ nie był niczym niezwykłym. Tak przynajmniej go oceniłam, co potwierdził pan Tregarron, biedny człeczyna bez nogi, którego przywieziono do auli na wózku. O dziwo jednak zaspokoiliam oczekiwania widowni, która wielokrotnie prosiła o bis. Rozpoczęłam od wykonania kilku ludowych piosenek i wersetów z Szekspira: „Odejdź, odejdź śmierci”, we własnej interpretacji. Na ostatnie wyjście, jako że publiczność - składająca się z bogato ubranych, cherlawych dam i dżentelmenów - wciąż krzyczała: „Bis! Bis! Jeszcze! Jeszcze!” wybrałam ulubioną piosenkę pana Sama i pana Billa, którą śpiewałam z nimi setki razy:

*Wyjrzała przez okno biała jak mleko,*

*On takie wyjrzał czarny jak kruk.*

*Hej ho! Hej ho! Hej ho! Hej ho! Czarny jak kruk.*

*Czego ty ode mnie chcesz?*

*Żonę jeszcze nie chcę być, nie zabierzesz mnie*

*Hej ho! Hej ho! Hej ho! Hej ho! Nie zabierzesz mnie!*

Oczywiście wielu słuchaczy znało ją i przyłączyło się do śpiewu. Jak następnego dnia napisało *Echo Bath*: „Było to bezprecedensowe wydarzenie w historii Zimowego Sezonu Koncertowego”...

Pani Debb mamrotała:

- Nigdy nie prosiłam się o to! Wszyscy ci starcy chcą tu przyjechać: lord Glastonbury, lord Frome i sam biskup! Skąd mam wziąć tyle biszkoptów i wina, aby wszystkich ugościć?

W rzeczywistości jednak była zadowolona. Goście przypominali jej dawne czasy w Paragon. A poza tym, gdy dżentelmeni zaczęli się zbierać, zajmowałam się przeważnie własnymi sprawami w Queen Square. Wcale tego nie żałowałam. Lord Glastonbury i biskup, dwaj siedemdziesięcioletni jegomości - zanadto przypominali mi doktora Moultrie.

Wkrótce moje spokojne życie zakłóciło pewne nieprzyjemne zdarzenie.

Po kilku koncertach zauważyłam grupę młodych mężczyzn, których natrętnie spojrzenia wskazywały wyraźnie, iż chcą mnie poznać. Nie było to jednak łatwe. Panna Orrincourt bowiem, bardzo zasadnicza w tych sprawach, uznała, że młode damy biorące udział w koncercie, natychmiast po przedstawieniu muszą opuścić aulę. Do Queen Square wracałyśmy w wynajętych dorożkach. Dziewczęta odsyłano natychmiast do łóżek. Spały przykryte kołdrami wyposażonymi w tasiemki, po to aby mogły zostać użyte jako ubranie na wypadek nagłej inwazji Francuzów w środku nocy. Ja zaś udawałam się do domu przy New King Street, otrzymawszy uprzednio zgodę.

Czasami grupka młodzieńców zbierała się przy szkole pani Haslam, aby z aplauzem powitać nasz powrót po koncercie, lecz woźny zabraniał im podchodzić do nas zbyt blisko. Ponieważ nie miałam ochoty na samotną wędrówkę w nocy ulicami Bath, w obawie o moją, jak dotąd nieskalaną reputację, poprosiłam Tomasza, służącego pani Debb, aby wychodził mi naprzeciw i odprowadzał do domu. Czynił to bardzo sumiennie za opłatą w wysokości sześciu pensów tygodniowo. Pani Debb nie wiedziała o tym, gdyż na sam początek dała mi do zrozumienia, że nie mogę oczekiwać takich usług.

Przemykałam więc przez bramę ogrodową, gdzie czekał na mnie Tomasz i jak dotąd udawało nam się zachować to w tajemnicy.

Uczennice szkoły pani Haslam nie pozostawały obojętne na urok eleganckich adoratorów.

- Znani są jako Piękni z Bath - wytłumaczyła mi panna Cleone Artingstall. - Och, są tak przystojni! Lord Edward Weatherspill, Augustus Link, Daniel Dane-Fotherby, a zwłaszcza lord Harry Finch!

- Proszę, panno Artingstall, proszę śpiewać gamy - ucięłam krótko.

- Och, jak mogę śpiewać gamy, kiedy myślę wciąż o lordzie Harrym? Czy widziała go pani, panno Fitz-William?

- Nie, nie widziałam go.

- Jest taki romantyczny... z włosami kręconymi jak u elfa i świecącymi czarnymi oczyma! Zupełnie jak lord Byron. Och, panno Fitz-William... czy czytała pani *Godziny próżnowania*?

W rzeczy samej czytałam i pod każdym względem uważałam poezję Byrona za gorszą od wierszy pisanych przez mych dwóch przyjaciół.

- Gama C-dur, panno Artingstall.

- Jest młodszy od syna księcia Flintu.

- C-dur.

- Och, kto by sobie zawracał głowę gamą C-dur!

- Panna Orrincourt mówi, że młoda dama nie zabłyśnie w towarzystwie, jeśli nie opanuje podstaw muzyki.

W końcu, wzdychając i mamrocząc coś pod nosem, postanowiła zaśpiewać.

- Nie wiem, jak może pani być tak nietolerancyjna, panno Fitz. Kiedy myślę o lordzie Harrym, serce zaczyna mi gwałtownie bić.

Moje zachowanie spowodowane było nie tyle nieczułym sercem, ile brakiem zainteresowania. Grupa obcych, młodych, przystojnych mężczyzn, uśmiechających się i wzdychających do uczennic seminarium, nie robiła na mnie najmniejszego wrażenia. Pewnego dnia jednak los zrządził, iż spotkałam samego lorda Harry'ego, co sprawiło, iż moja dotychczasowa opinia na jego temat uległa zmianie.

Zimowe koncerty zakończyły się. Wiosna - spóźniona, leniwa i deszczowa - zaczynała powoli wkradać się do ogrodów i na ulice Bath. Wróciłam do starego zwyczaju zabierania Puga na popołudniowy spacer do Green Parku. Mała, żelazna brama prowadziła do wewnętrznego ogrodu, który - jak się domyślałam - stanowił niegdyś własność prywatną.

Tu właśnie przechadzałam się z Pugiem, który - z racji sędziwego wieku - cierpiał na ataki astmy. Pierwsze kwiaty w tym zacisznym miejscu, krokusy i przebiśniegi, przypominały mi ogrody w Kinn Hall, gdzie pomiędzy wysokimi brzegami płynął mały strumyk, a pierwsze wiosenne kwiaty często pojawiały się już w styczniu, a czasami nawet i w grudniu. Spacerując, zastanawiałam się, co działo się z Triz i lady Hariot i czy wciąż przebywały w Portugalii. Od dawna nie docierały do mnie żadne wieści na ich temat. Francuzi zajęli już całą Hiszpanię i dotarli aż do Porto. Napoleon wprowadził na tron swego brata Józefa na tronie w Madrycie. Być może moje przyjaciółki znalazły bezpieczne schronienie w Lizbonie, gdzie wciąż stacjonowały wojska brytyjskie. Mówiło się, że sir Artur Wellesley został wysłany na półwysep, aby stawić czoło wojskom napoleońskim, dowodzonym przez marszałków Soult'a i Ney'a. Pułkownik Brandon służył pod dowództwem Wellesley'a w Indiach. Być może, jeśli jego rana się zagoiła, on także zdecydował dołączyć do starego dowódcy? Cóż jednak zrobiłaby wtedy pani Brandon? Czy pozostałaby przy mężu? A może wróci do Anglii?

Rozmyślania te były jałowe i przygnębiające. Pani Ferrars nie przysłała mi żadnych nowych wiadomości dotyczących miejsca pobytu pułkownika. Jedyne informacje na temat wojny docierały do mnie od pani Debb. Każdego ranka bowiem wybierała się do pijalni wód, gdzie przynajmniej pół godziny poświęcała na lekturę gazet. Pani Debb nie podobało się, że sir John Moore wycofał się do Coruñy.

- Tylko mężczyzna może tak spartaczyć robotę! - zwykła mawiać. - Gdyby dowódcą była kobieta, nie doszłoby do tego. Dałybyśmy Soultowi popalić,

Bonapartemu także! - Wypowiadała jego imię, lekceważąc zasady francuskiej wymowy.

- Powinna pani służyć w kawalerii - stwierdziłam, żartując sobie z niej, lecz ona odrzekła zupełnie poważnie:

- Masz rację, moje dziecko. Wojny są głupie i kosztowne, lecz będą wybuchały dopóty, dopóki rząd nie odda spraw w ręce kobiet. Nie nastąpi to jednak ani za twego, ani za mojego życia. Opuszczając ogród o zmroku, zahaczyłam niechcący rękawiczką o zardzewiałą klamkę przy bramie. Zatrzymałam się, próbując uwolnić ją delikatnie, żeby nie rozerwać drogiego jedwabiu. Pug bardzo mi przeszkadzał, kręcąc się i ciągnąc za smycz.

- Proszę pozwolić, że pani pomogę - usłyszałam za sobą uprzejmy głos, a duża męska dłoń umiejętnie odczepiła nitkę od szorstkiej powierzchni klamki. - A ty siedź cicho - skarcił Puga - czy nie widzisz, że twoja pani ma kłopoty?

Pies przestał ciągnąć za smycz.

- Jestem panu bardzo zobowiązana - powiedziałam zadowolona, że przedmiotem jego uwagi była moja lewa ręka. Prawą ukryłam pod płaszczem.

- Nie ma mowy o żadnym zobowiązaniu. Od dawna już czekałem na taką okazję, aby móc się pani przedstawić. Słyszałem pani śpiew. Panna Fitz-William, czyż nie? Nazywam się Harry Finch. Wiem o pani wszystko, panno Fitz-William, ponieważ moja kuzynka, Maria Glanville, ucęszcza do szkoły pani Haslam. Opowiadała mi o pani wiele cudownych rzeczy, także to, że jest pani wielbicielką poezji, podobnie zresztą jak ja! Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo chciałem porozmawiać z panią o moich ulubionych autorach i wierszach!

Jego głos był niezwykle przyjemny, ciepły i przymilny.

Och! Jak łatwo można nas zwieść, jeśli tylko bardzo czegoś pragniemy! Harry Finch nie mógł wybrać bardziej interesującego dla mnie tematu. W ciągu minuty, wracając do Green Parku, pograżyliśmy się w dyskusji o Walterze Scotcie i lordzie Byronie. O tym, czy można porównać ich twórczość i czy Szkocja była tak samo



dobrym miejscem na akcję opowieści o rycerzach i dramatów, jak romantyczne Włochy, góry i doliny Turcji.

Odważyłam się zapytać o wiersze mych przyjaciół pana Billa i pana Sama. Zdziwił się słysząc, że ich znam. Powiedział, że wprawdzie sam ich nie czytał, lecz z tego, co wiedział, utwory pana Billa i pana Sama były przepełnione niebezpiecznymi, rewolucyjnymi ideami. Roześmiałam się szczerze, nakazując, aby zapoznał się choć z jednym z wierszy tych autorów, zanim zacznie wyrażać błędne opinie na ten temat.

Mój nowy znajomy wyglądał na zdziwionego taką reakcją. Przypatrywał mi się uważnie. Jego powierzchowność, jak zauważyłam, w pełni zasługiwała na zachwyty panny Artingstall. Mnie także przypadł do gustu. Przypominał mi bowiem trochę drogiego pana Sama, chyba ze względu na głęboko osadzone oczy i błyszczące czarne loki, opadające w uroczym nieładzie. W rzeczywistości był przystojniejszy od pana Sama, który miał grube wargi, a kiedy wpadał w zachwyt, poruszał dolną szczęką. Nikt jednak nie był w stanie dorównać panu Samowi, przynajmniej ja tak uważałam. Podobieństwo to jednak, choć być może tylko powierzchowne, zjednywało mu moją przychylność. Poza tym, spotkanie z mężczyzną, z którym mogłam dyskutować na temat interesujących mnie spraw, stanowiło nie lada przyjemność. W ciągu ostatnich kilku lat bowiem spędziłam tak wiele godzin, dni, tygodni i miesięcy, przysłuchując się głupim rozmowom na zupełnie obojętne mi tematy. W Dolinie Bękartów mówiło się przynajmniej o rzeczach istotnych dla naszego życia: czyja żona umarła, czyja świnia uciekła, czyj dach się zawalił. Głosowaliśmy nad sposobami rozwiązywania trudnych sytuacji. Lecz tu, w Bath, rozmowa, jak się wydawało, była celem samym w sobie. Tematy znajdowały się jak drzewo na opał, którego używano jednak w rozrzutny sposób, tylko po to, aby podtrzymywać ogień. Rozmowy więc miały zagłuszyć ciszę i wypełnić wolno płynący czas. Czas, który - jak mi się wydawało - można było spędzić znacznie ciekawiej. Wiekowi przyjaciele pani Debb, dziewczęta w szkole i

nauczyciele czytali książki, brali udział w przedstawieniach teatralnych, ale nie dlatego, że interesowała ich literatura i sztuka, lecz po to, aby mieć temat do pogawędek.

- Musicie rozmawiać, panienki! - wciąż powtarzała panna Orrincourt. - Dżentelmeni, wasi ojcowie i adoratorzy, zawsze muszą się dobrze bawić. Kiedy nie polują, nie strzelają, nie rządzą, nie ustanawiają praw, nie walczą, trzeba zapewnić im rozrywkę. Dlatego zawsze musicie mieć w zanadrzu gotowe tematy do rozmów, aby w każdej chwili móc zabawić towarzystwo.

Słuchając tego, przypominałam sobie lady Hariot, jej ogromną wiedzę, dowcip, inteligencję, zmarnowane przy dziedzicu. Chciałam spotkać mężczyznę, który będzie interesujący. A jeśli go nie znajdę, podobnie jak owa dama w jednej z ballad, umrę, nie poślubiwszy nikogo.

W moim przypadku zresztą było to więcej niż prawdopodobne.

Ale oto, ku memu zdziwieniu, znalazł się mężczyzna, który potrafił mnie czymś zainteresować. Szedł obok mnie, rozmawiając o Crabbem, Cowperze i sir Charlesie Grandisonie. Kiedy rozstawaliśmy się przy bramie parku, nagle wyciągnął kartkę z kieszeni i podał mi ją, po czym odezwał się błagalnie:

- Tak jak mówiłem, od dawna szukałem okazji, aby panią poznać, panno Fitz-William, nie przyszedłem więc z pustymi rękoma. Tę kartkę, jest trochę wygniecioną, jak pewnie pani zauważyła, nosiłem przy sobie przez kilka tygodni w nadziei na nasze szczęśliwe spotkanie.

Zastanawiałam się, jak długo to trwało. Powiedział mi bowiem, że studiuje na uniwersytecie w Cambridge, zaintrygowało mnie więc to, że ma tyle wolnego czasu, aby rozkoszować się przyjemnościami w Bath.

- Tak bardzo chciałbym, aby spojrzała pani na te wersy, panno Fitz-William! I zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby jak najszybciej usłyszeć pani opinię. Czy często spaceruje pani w parku o tej porze?

Rozważnie odpowiedziałam, że od czasu do czasu zdarza mi się tu bywać, lecz nie jestem panią mojego czasu itd., itd. On uklonił się elegancko, zdejmując kapelusz, spod którego wysypały się loki. Chciał uścisnąć moją dłoń, lecz wciąż trzymałam w niej kartkę, którą mi dał, po czym zniknął w ciemnościach.

Światło w parku było zbyt słabe, abym mogła przeczytać, co było napisane na kartce, musiałam więc stłumić moją wrodzoną ciekawość aż do chwili, gdy znalazłam się z powrotem w sypialni przy New King Street.

Muszę jednak przyznać, że doznałam rozczarowania.

*Ach, moja pani, gdybym mógł*

*Deszczu kropelką w uszku twym być,*

*A w każdą noc, gdy wokół chłód,*

*W twoją poduszkę swą głowę kryć.*

*Albo klejnotem na szyi twej,*

*Lecz jeśli nie - zwierciadłem być,*

*Byś do mnie rankiem śmiała się.*

*Tak bardzo wtedy pragnę żyć!*

Ten i kilka innych wierszy były smutne i trywialne, poniżej intelektualnych możliwości mojego nowego przyjaciela i moich oczekiwań. Wydawało mi się dziwne, że człowiek, opowiadający z podziwem i przejęciem o Cowperze i Scotcie stworzył coś tak pustego. Co więcej, odniosłam wrażenie, że gdzieś to już słyszałam. Czułam także - muszę to przyznać - że moja krytyczna postawa miała wymiar osobisty. Jeśli bowiem wersy te miały być adresowane do mnie, to lord Harry przeoczył fakt, że w przeciwieństwie do większości uczennic w szkole pani Haslam, nie nosiłam kolczyków. Pani Debb miała parę srebrnych okrągłych kolczyków z gagatem, które kiedyś chyba chciała mi pożyczyć, lecz nigdy tego nie zrobiła. Straciłam więc nadzieję.

A jednak, przekonywałam się, inteligencja i umiejętność doceniania dzieł literackich nie zawsze szły w parze z talentem pisarskim. Było przecież wielu

świątecznych krytyków literatury, którzy nie potrafili napisać krótkiego wierszyka. A jeśli lord Harry umiał docenić talenty innych, czegoż więcej można było od niego wymagać. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi więc, że z pewnością szybko nauczę się dostrzegać własne ograniczenia. Czy to ja miałam być tą osobą, która powinna rozwiać jego iluzje dotyczące własnego talentu? Szczerze wierzyłam, że nie. Wolałam, aby zrobił to za mnie ktoś inny.

Takie i podobne myśli przebiegały przez moją głowę tego wieczoru, kiedy śpiewałam arie operowe Mademoiselle Duvan z jej *Suite de les Génies* dla pani Debb i jej przyjaciół a trochę później, grając na harfie wariacje Haendla. Godziny zdawały się upływać szybciej niż zwykle, a gdy znalazłam się w łóżku, znów usłyszałam jak echo powracający ciepły i czarujący głos: „Wiem o pani bardzo dużo, panno Fitz-William”. Zastanawiałam się, co jeszcze Maria Glanville powiedziała mu o mnie. Nic szczególnie pochlebnego - tego mogłam być pewna. Ta głupia dziewczyna nie potrafiła odróżnić jednej nuty od drugiej, a zapytana o najprostszą rzecz związaną z muzyką, drętwiała ze strachu. Z pewnością powiedziała swemu kuzynowi, że byłam przeraźliwym smokiem. Przyjemnie byłoby, gdyby zmienił zdanie na mój temat... Myśląc o tym, zapadłam w sen.

Nie będę się rozwodzić, w jaki sposób rozwijała się moja znajomość z lordem Harrym Finchem. Powiem tylko, że czując się samotna i bezbronna, z ogromną radością oczekiwałam następnego spotkania i chodziłam do Green Parku tak często, jak tylko pozwalały mi na to okoliczności i pogoda; wiosna tego roku była bowiem niezwykle deszczowa.

Harry nie zawsze tam był. Tymczasem dni stawały się coraz dłuższe, a do parku przychodziło dużo ludzi, aby pospacerować i cieszyć się urokami wiosny. Nasze szanse na bardziej intymne spotkanie stawały się coraz mniejsze, choć wybierałam się na spacer późną porą, ku niezadowoleniu Puga i pani Debb.

Nie chciałam opowiadać pani Debb o moim nowym znajomym. Choć nasze spotkania nie były tajemnicą, czułam instynktownie, że panna Orrincourt byłaby zła,

dowiedziawszy się, że jedna z jej nauczycielek zaczęła się regularnie spotykać z dżentelmenem. Na zmianę jej opinii w tym względzie nie miałyby wpływu ani niewinne okoliczności, ani pełne szacunku intencje i chwalebna przeszłość adoratora. Choć lord Harry był dobrze ułożonym młodzieńcem, różnica pozycji społecznej wystarczyła, aby rzucić cień wątpliwości i zdyskredytować naszą znajomość. Staralam się zatem nie myśleć zbyt dużo na temat tego aspektu naszych stosunków. Byliśmy przyjaciółmi i lubiliśmy rozmawiać o książkach, co w owym czasie zupełnie mi wystarczało. Kiedy zadawał pytania na temat mego pochodzenia, umiejętnie unikałam odpowiedzi. Nigdy nie sugerowałam, aby przedstawił się pani Debb. Byłam bowiem pewna, że nie chciałaby go poznać. Harry zaś nie proponował innego miejsca spotkania.

Czasami tylko rozbrzmiewał mi w uszach głos Fanny Huskisson: To prawdziwy nędzarz, jeśli chcesz znać moje zdanie! Nie zaproponował ci nawet filiżanki czekolady ani jabłka od ulicznego sprzedawcy! Uważam, że to wstyd zadawać się z takim biedakiem... i pomyśleć, że jego ojciec to bogacz z milionami.

Wypowiadając te słowa Fanny Huskisson, wulgarna i prosta dziewczyna, nie miała pojęcia, że istnieje coś ważniejszego, owa szczególna nić porozumienia łącząca intelektualistów.

Dowiedziawszy się, że lord Harry spędził swe szkolne czasy w Eton, uznałam za stosowne zapytać, czy spotkał Hoby'ego. Po chwili namysłu jednak uznałam, że nie był to dobry pomysł. Mógłby odkryć moją przeszłość. Zdecydowałam więc, że w następnym liście do Hoby'ego - obecnie studenta King's College w Cambridge - zapytam go, czy zna lorda Harry'ego. Jego opinia mogłaby okazać się całkiem interesująca.

Od czasu do czasu zastanawiałam się, co stało się z resztą Pięknych z Bath, z przyjaciółmi lorda Harry'ego. Pewnego razu zapytałam o nich. Odpowiedział wymijająco, że widział ich któregoś dnia na wyścigach konnych. Śmiejąc się stwierdził, że byli zagorzałymi hazardzistami. Jeśli nie grali na wyścigach, to

zakładali się o to, jakiej barwy będzie sierść pierwszego psa, który wyjdzie z rynku, albo o liczbę łabędzi pływających przy Parade Gardens.

- Ned Weatherspill i Gus Link założyli się kiedyś o liczbę włosów w brodzie kowala w Corsham - powiedział, śmiejąc się jeszcze głośniej.

- Lecz, na miły Bóg, w jaki sposób dowiedzieli się, który z nich miał rację?

- Ned zapłacił mu za zgolenie brody.

- A on zgodził się?

- Nie, ale tak go upili, że dopięli swego. I Ned wygrał swój zakład. Zmusili fryzjera, aby policzył włosy trzy razy.

Zastanawiałam się nad tą historią, która, muszę przyznać, trochę mnie zdziwiła. Bynajmniej nie dlatego, że bezczelność młodzieńców przewyższała dziwaczne pomysły Hoby'ego i dzieciaków w Dolinie Bękartów, lecz dlatego, iż zakładałam, że dobrze wychowani synowie lordów zabawiają się w bardziej wyrafinowany sposób.

- Teraz wszyscy moi przyjaciele udali się do Cambridge. I ja także powinienem tam wracać - dodał słabym głosem. - Nabrałem jednak złego zwyczaju folgowania sobie. Czy zgadnie pani, co mnie tu trzyma, opóźniając mój wyjazd?

Spojrzał na mnie wielkimi ciemnymi oczyma i powtórzył:

- Czy może pani zgadnąć? Czy nie zapyta mnie pani, co mam na myśli?

Nagle poczułam niepokój. Cudowny wieczór, pierwszy w deszczowym tygodniu, skusił nas do pójścia dalej niż zwykliśmy się przechadzać. Zmusiliśmy protestującego Puga, by siedł z nami do Beechen Cliff. Rosły tam dostojnie skłaniające się ku ziemi drzewa, które przypominały mi o spacerze wzdłuż wybrzeża do St Lucy of Godsend z moimi dwoma przyjaciółmi. Sama nie doszłabym aż tak daleko, gdyż według obowiązujących zasad dobrego wychowania samotny spacer w tej okolicy nie przystoił młodej damie. Niewiele dziewcząt ze szkoły pani Haslam odważyłoby się wybrać tak daleko.

- Lordzie Harry - powiedziałam z wahaniem w głosie, aby przerwać ciszę, która nagle spowiła nas jak kokon - jest coś, o czym chciałam powiedzieć, właściwie wcale nie chciałam, lecz muszę...

- Ach! - wykrzyknął, kładąc rękę na moim ramieniu. Przeraziłam się ciepłem jego dłoni i tym, że drżała. - Ach, oczywiście - mówił dalej - myślę, że nie musimy już być tak formalni. „Lordzie Harry”! Czy nie mogłaby pani mówić do mnie Hal, tak jak czynią to moi przyjaciele? A czy ja nie mógłbym, proszę, mówić do pani Elizo?

Rozejrzałam się wokół. Znajdowaliśmy się na małej polance wśród bukowego lasu, na której stały ławki. Rozpościerała się stąd wspaniała panorama Bath, dachów, iglic i płynącej w dole krętej rzeki.

Poprowadził mnie do ławki i wykonał gest zachęcający do zajęcia miejsca, potem usiadł, przodem do mnie wyciągając rękę na oparciu.

Czułam niepokój, ale i przyływ odwagi. Ostatnimi czasy wymykałam się z domu, praktykując nową umiejętność, sztukę zalecaną przez pannę Orrincourt, prowadzenia rozmowy, unikając ryzykownych tematów, i poruszając się w bezpiecznych dla mnie rejonach. Teraz poczułam jednak, że nasze stosunki zaszły tak daleko, że nie można już było dłużej ukrywać prawdy.

- Dobrze, Hal.

- Ach! - wykrzyknął gwałtownie. - Jak cudownie, jak niezwykle to słowo brzmi w twoich ustach! Hal! Nie podejrzewałem nawet, że ma tyle wdzięku! Od dziś to imię będzie mi się podobać jeszcze bardziej, bo wypowiedziałas je twym czarującym głosem...

- Mam nadzieję. Być może zmienisz zdanie, kiedy usłyszysz, co mam ci do powiedzenia, mój drogi Halu. Muszę ci bowiem z przykrością powiedzieć, że nie wierzę, iż masz talent do poezji. Twój prawdziwy geniusz, być może, przejawia się w czymś innym - w krytyce, być może eseistyce czy filozofii, w sztuce pisania listów...

Wpatrywał się we mnie uważnie z uchylonymi ustami. Podobnie jak pan Sam, pomyślałam. Oczy lorda spochmurniały. Na czole pojawiły się kropelki potu, choć wieczór nie był ciepły. Nagle zbladł, a ja poczułam się winna, że byłam zmuszona pozbawić go złudzeń.

Po chwili wyjąkał:

- Elizo, jest coś jeszcze, o czym... o czym, niech to diabli, to trudne... nigdy nie byłem w tak diabelsko trudnej sytuacji.

Coś dziwnego zaczęło dziać się z jego twarzą, jakby ogarnęła go gorączka, a strach mieszał się z ekscytacją, żalem i wstydem.

Strach jednak dominował.

Strach przed czym?

Przedemną?

Moje zmysły bardzo się wyostrzyły. Zawsze tak było. Nie wiem, czy była to cecha wrodzona, czy też rozwinęła się z czasem, kiedy mieszkałam w Dolinie Bękartów, gdzie czujność była warunkiem przetrwania. Oczy i uszy, nawet mój zmysł powonienia, wyostrzyły się jak u lisa czy zająca. Teraz trzy rzeczy zaalarmowały mnie jednocześnie: usłyszałam trzask gałęzi i coś, co brzmiało jak tłumiony śmiech. Zobaczyłam, jak Pug gwałtownie odwraca łeb i dostrzegłam wymowne wybrzuszenie pod spodniami lorda Harry'ego. Poczułam zapach jego potu, zapach strachu, wstydu i podniecenia.

Poderwałam się na równe nogi, chwytając Puga. Lord Harry także wstał, nie kryjąc swego pożądania.

- Proszę, moja droga, och, proszę, nie odchodź! - złapał mnie niezgrabnie, ściągając szal z mych ramion. Uderzyłam go mocno, chód w Dolinie Bękartów uznano by to za mały prztyczek w ucho i zostawiając za sobą szal, ruszyłam w mrok. Instynkt podpowiadał mi, aby unikać ścieżki i okolic, z których dobiegały głosy. Pobiegałam więc przed siebie, po czym schowałam się w ciemnym zagajniku. Przykucnęłam i uspokoiwszy Puga, zamarłam w bezruchu.



Wtem usłyszałam głosy, krzyki, kroki i przekleństwa.

- Niech to diabli, gdzie ta dziwka uciekła?
- Myślałem, że wszystko jest na dobrej drodze...
- Niech to wszyscy diabli! Uciekła...
- Hop, hop! Kochanie! Gdzie się chowasz?

Przyjaciele lorda Harry'ego, Piękni z Bath, jak szybko odgadłam, wściekli biegali wokoło, szukając mnie i oskarżając swego towarzysza o nieudolne prowadzenie rozmowy.

- Niech cię piekło pochłonie, Hal, dlaczego nie byłeś bardziej bezpośredni? Po cóż cała ta gadanina! Niech cię wszyscy diabli! Wpakować nas w tarapaty...

Hal próbował się bronić.

- Musiałem ją przekonać! Wszystko szło świetnie, zanim wy...
- Przekonać! Boże, przekonałeś z takim skutkiem, że mała wyczuła, o co chodzi i się zmyła...
- Przestańcie, patrzcie, przez te cholerne jeżyny podarłem sobie skarpetkę...
- Panienko! Panienko Fitz! Gdzie się panienka ukryła?
- Wyjdź, kochanie, niech na ciebie popatrzymy!
- Hop, hop! Hop, hop!

Czułam silny zapach alkoholu. Jeden z nich kilkakrotnie był już obok mnie. Na szczęście byli zbyt pijani, żeby mnie zauważyć. Złorzecząc i krzycząc na Hala, w końcu się poddali i uznali, że musiałam wrócić do miasta. Kłócąc się, ruszyli więc w tym kierunku.

- Rozmawiałem z nią o poezji, czyż nie? - oświadczył wściekłym i obrażonym tonem Harry Finch, kiedy szli gęsiego ścieżką, przeszukując krzaki jeżyn. - Wszystko zmierzało we właściwym kierunku. Całymi dniami rozmawialiśmy o poezji. Nawet gdy zamawiałem obiad, słowa mimowolnie się rymowały. A teraz cały mój wysiłek i ciężka praca poszły na marne, ponieważ wy, głupcy, nie mogliście cicho posiedzieć w krzakach przez dziesięć minut...

Usłyszałam, jak oddalali się coraz bardziej przeklinając swój los. „Stawianie pieniędzy w White Hart” to ostatnie słowa, jakie do mnie dotarły.

Kiedy głosy zupełnie ucichły, wróciłam do ławki w nadziei na odzyskanie szala. Niestety, mężczyźni zabrali go ze sobą.

Tak więc, zmarznięta, zła, brudna i z ciężkim sercem, zmierzałam do domu przy New King Street, trzymając Puga, który wyraźnie okazywał swoje niezadowolenie, dysząc ciężko.

Lecz jego dezaprobata była niczym w porównaniu z powitaniem, jakie po powrocie zgotowała mi pani Debb.

Było już późno.

- Miałyśmy właśnie zawiadomić strażę! - Powiedziała pani Debb, głaszcząc i uspakajając Puga. W pokoju poczułam odór brandy, znacznie silniejszy od tego w lesie. - Biedny staruszek! Gdzie byliście tak długo? Gdzie jest twój szal, panienko? I co, na Boga, robiłaś przez ten czas?

Szal został zakupiony w Norwich, a dostałam go od pani Debb. Był stary, znoszony i cerowany, lecz wciąż piękny.

- Proszę pani, wydarzyło się coś nieprzyjemnego. Nie zamierzam tego ukrywać i opowiem pani całą historię.

I tak też uczyniłam.

Pullett, która weszła, aby przynieść mi coś ciepłego do picia, została, aby wysłuchać mej opowieści. Pod koniec pani Debb wstrzymała oddech.

- Ale oni... oni nie zrobili ci krzywdy?

- Nie, proszę pani, choć z pewnością mieli taki zamiar. I uderzyłam pana Harry'ego w ucho. Mam nadzieję, że nabiłam mu sporego siniaka - dodałam z satysfakcją.

- Głupie dziecko.

Pani Debb wcale mnie nie zwymyślała. Mówiła, jak zwykle, ostrym, lecz spokojnym tonem.

- Ci mężczyźni mają twój szal. I teraz wszyscy w Bath dowiedzą się, że tam, w parku zabawiali się z tobą po kolei.

- To przecież kłamstwo.

- W jaki sposób możesz tego dowieść?

- Wydaje mi się, że mogłabym pójść do lekarza... - zawahałam się jednak, uprzytomniwszy sobie, jakiego upokorzenia musiałabym doznać. - Panna Orrincourt z pewnością wymówi mi pracę - dodałam załamany głosem.

- Nie zrobi tego, jeśli tylko ma trochę oleju w głowie. A wierzę, że ma. - Pani Debb spojrzała na mnie. - Jesteś bardzo głupim dzieckiem. Wierzyłam, że mimo młodego wieku masz zdrowy rozsądek i jesteś roztropna. Lecz teraz widzę, że się myliłam. Niech to będzie dla ciebie nauczka, moje dziecko! Nigdy, przenigdy, nie interesuj się mężczyzną, który przekonuje cię, że podziela twe zainteresowania i gusta. To wszystko kłamstwa. Taka znajomość nie przyniesie ci żadnych korzyści. Takim mężczyznom tylko jedno w głowie. Przynajmniej masz nauczkę na przyszłość.

Zmarszczyła czoło i mówiła dalej:

- W takich okolicznościach ten list przyszedł w dobrym momencie. - Z małej torebki wyciągnęła kartkę. - To prośba od Edwarda Ferrarsa, której właśnie miałam odmówić. Dlaczego on, na Boga, uważa, że ma prawo do szczególnych względów? Skoro jednak sprawy przyjęły taki obrót, spełnisz jego życzenie, a biedna kuzynka Eleonora także na tym skorzysta.

- Pani Ferrars?

Pani Debb rozwinęła kartkę.

- Delaford nawiedziły powodzie. To wilgotne, niezdrowe miejsce, położone nisko, na płaskim terenie. Wystarczy, że popada przez tydzień, a już woda wylewa z kanału. Połowa wioski choruje na tyfus. Kilka kobiet już zmarło. A twoja kuzynka Eleonora, bo chyba prawo uważa ją za krewną, skoro Edward Ferrars korzysta teraz z twoich usług, traktując poniekąd jak członka rodziny, tak więc twoja kuzynka

Eleonora leży w łóżku, śmiertelnie chora. I oprócz jakiejś półrozumnej kobiety nie ma tam nikogo, kto mógłby się nią opiekować.

- Wielkie nieba, proszę pani! Biedna pani Ferrars! Chcą, abym przyjechała? - tu do głowy doszedł mój zdrowy rozsądek.

- Dlaczegoż jednak nie posłała po swoją córkę? Po Nell?

- Ha! Ha! Ha! - spazmy śmiechu wstrząsnęły panią Debb.

- Równie dobrze można by poprosić o pomoc konstelację Andromedy!

Oczywiście ojciec Nell napisał do niej, lecz jak się okazało, razem ze swoimi przyjaciółkami wybierała się właśnie w podróż na północ Anglii. Nie można więc liczyć na pomoc Nell.

- Jeśli istotnie mogę się na coś przydać - rzekłam z powątpiewaniem - to oczywiście pojadę. Kuzynka Eleonora, pani Ferrars, nie ma łatwego charakteru, lecz jeśli mogę coś dla niej zrobić... Poza tym...

- Poza tym, lepiej, żebyś wyjechała z Bath, dopóki skandal nie ucichnie. Jutro jest sobota, pojedź więc z samego rana. Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy sobie życzyli, jest to, aby ludzie zaczęli dostrzegać pewne związki.

- Dostrzegać związki...?

Pani Debb nie miała jednak zamiaru rozwijać tej myśli.

- Uciekaj do łóżka, moje dziecko. Jestem zmęczona.

Istotnie, nie wyglądała najlepiej. I jakby nagle się zestarzała. Poczułam się winna.

- Proszę pani, jest mi naprawdę bardzo przykro, że... że to, co zrobiłam, spowodowało na panią kłopoty. Nie chciałam... nie chciałam zrobić nic złego. Myślałam, że znalazłam przyjaciela.

Głęboko osadzone oczy spojrzały na mnie niecierpliwie. Cała jej twarz poorana była zmarszczkami, przypominającymi skałę pokrytą rowami wyrzeźbionymi przez wodę.

- Moje dziecko, na naszą zgubę wszyscy myślimy w ten sposób. Jeśli znajdziesz przyjaciela na całe życie, będziesz szczęśliwa. Jeśli tak się stanie, powinnaś dziękować niebiosom, poszcząc i radując się, jak tylko potrafisz. Teraz, proszę, zostaw mnie samą.

Tego samego wieczoru, gdy w smutku przyglądałam się zadrapaniom i siniakom, Pullett cicho zakradła się do mojej sypialni, przynosząc gorącą wodę i kompresy.

- Nie martw się, kochanie, napiszę jego imię na kartce i wrzucę ją do strumyka. A potem zobaczymy, co się stanie, zobaczymy!

- Co masz na myśli? - zapytałam strwożonym głosem.

- Nieważne, panno Lizo! Co będzie, to będzie.

I wyszła, stąpając cicho na palcach i kiwając głową.

## Rozdział szósty

---

Tak więc w dość posepnym nastroju udałam się następnego dnia do Delaford.

Zostawiłam wiadomość dla panny Orrincourt wyjaśniając, że pani Ferrars ciężko zachorowała, muszę więc zająć się nią. Wydawało się niemożliwe, aby jakiegokolwiek plotki na temat przykrego wydarzenia dotarły do szkoły. Istotnie, zanim jeszcze wyruszyłam w podróż, otrzymałam przyjazną odpowiedź, dostarczoną przez chłopca na posyłki. Panna Orrincourt pisała, że będzie im mnie brakować, lecz moim obowiązkiem jest, by jak najszybciej znaleźć się przy łóżku dobrodziejki. Wyraziła też nadzieję, że moja nieobecność w szkole nie będzie trwała zbyt długo. Przesyłała również najlepsze życzenia dla pana i pani Ferrars.

Nie wspomniała nic o Nell ani o Małgorzacie Dashwood. Być może panna Orrincourt czuła, że nawet jeśli któraś z nich pojawiłaby się w Delaford, nie przyniosłoby to większego pożytku.

Oprócz tej wiadomości dostałam jeszcze jeden liścik, napisany na różowym papierze, zwiniętym w kształcie trójgraniastego kapelusza.

- Co to jest? - spytałam posłańca.

Może to przeprosiny od lorda Harry'ego Fincha? Spojrzałam na kartkę z pewną niechęcią, jakby nagle mogła zionąć trującym jadem.

- Nie wiem, panienko. Jakaś pani zostawiła to w szkole. Panna Orrincourt stwierdziła, że najlepiej będzie, jeśli to panience przyniosę, razem z listem od niej.

A więc nie był to lord Harry, chyba że wiadomość dostarczyła jego znajoma.

*Droga panno Fitz-William:*

*Słyszałam pani śpiew podczas ostatniego koncertu i muszę przyznać, że zrobił na mnie ogromne wrażenie! Nie tylko ze względu na cudowny głos, lecz także na niezwykle podobieństwo do pewnej mej znajomej, panny Elizy Williams, której od dawna nie widziałam i której poszukuję. Jestem przekonana, że musi pani być jej*

*krewną! W czasach młodości była ona mą najlepszą, najukochańszą przyjaciółką i powiernicą. Było to już dawno, wiele lat temu. Wtedy nazywałam się Clara Partridge. Obecnie noszę nazwisko Jeffereys. Będę bardzo szczęśliwa mogąc panią poznać i, być może, dowiedzieć się czegoś o osobie, za którą tęsknię i którą tak uwielbiałam.*

List pochodził z Walcot Street.

Nie muszę chyba mówić, że złością napawał mnie fakt, iż wiadomość ta przyszła właśnie teraz, kiedy nie mogłam na nią odpowiedzieć. Postanowiłam jednak napisać do pani Jeffereys z Delaford i spotkać się z nią, gdy tylko wrócę do Bath. Wszystko wskazywało na to, że będzie mi w stanie udzielić informacji na temat mojej matki, a być może także i ojca. Ta nowa nadzieja na przyszłość dodała mi siły. Teraz bowiem odczuwałam tylko wstyd i słabość, zdając sobie sprawę z tego, że tak wiele straciłam w oczach pani Debb, i mych własnych. Ja! Która tak wysoko ceniłam własną przebiegłość! - dałam się zwieść pustym obietnicom, jak naiwna uczennica seminarium. Czułam złość i upokorzenie, a ból mego serca ukoilo dopiero przybycie do Delaford.

Straszne warunki panujące w wiosce sprawiły, iż oderwałam się od dotychczasowych myśli.

Łatwo można było dostrzec, że powódź była groźna, gdyż ślady wody widniały wysoko na ścianach pobielanych chat. Gałęzie, krzewy i padłe zwierzęta leżały tam, gdzie uniosła je woda, a cuchnący odór rozchodził się dookoła. Woda nie całkiem jeszcze ustąpiła, a konie i powóz, którym jechałam, rozbryzgiwały muliste kałuże pokrywające drogę.

Ludzie nie wychodzili z domów. Wszędzie panowała śmiertelna cisza.

- Co za straszny widok - powiedział woźnica, rozglądając się smutno wokoło. Wysadził mnie przy plebanii, która wyglądała trochę lepiej niż sąsiednie domostwa, jako że położona była na niewielkim wzniesieniu. Woda przepłynęła na wysokości progu, lecz nie doszła do okien.

Przed drzwiami frontowymi błoto sięgało po kostki. Zastukałam do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Wiedziałam, że drzwi nigdy nie zamykano od środka, tak więc bez namysłu pchnęłam je i weszłam do środka.

Mały pokój wyglądał tak, jak go zapamiętałam, był jednak znacznie brudniejszy i zaniedbany. Ceglana podłogę pokrywała cienka warstwa błota, a leżący na niej dywanik był kompletnie mokry. W domu cuchnęło.

- Hop! Hop! Czy jest tu ktoś?

Nie usłyszałam odpowiedzi. Ślizgając się, poszłam więc dalej, korytarzem do kuchni. W piecu już dawno wygasło, a wokoło porozrzucone były brudne naczynia. W pomieszczeniu panował koszmarny smród błota i psujących się warzyw. Drobną kobietą stała w bezruchu tyłem do mnie, gapiąc się przez okno. Na dźwięk moich kroków odwróciła się powoli. Była to Sal - opóźniona w rozwoju dziewczyna z wioski, która czasami przychodziła do domu, aby pomóc Cerne w cięższych pracach, w zmywaniu podłogi lub praniu zasłon.

- Dzień dobry, Sal - powiedziałam. - Pamiętasz mnie? Gdzie jest Cerne?

Popatrzyła na mnie błędnym wzrokiem i potrząsnęła głową. Przypomniałam sobie, że prawie nie mówiła. Nagle coś usłyszałam. Pobiełam na górę.

- Kuzynko Eleonoro? - zawołałam.

Słaby jęk dotarł do mnie z głównej sypialni. Otworzyłam na wpół zamknięte drzwi. Moim oczom ukazał się widok podobny do tego, jaki zastałam na dole. W pokoju leżały talerze i miski po zupie, brudne ręczniki wisiały na krzesłach, a w powietrzu unosił się kwaśny odór choroby i brudnej pościeli. Na łóżku leżała kobieta. Po dobrej chwili rozpoznałam panią Ferrars. Jej twarz przybrała kolor gliny, policzki miała zapadnięte, włosy zaniedbane i tłuste, a kończyny niewyobrażalnie chude.

Znów wydała z siebie cichy jęk.

- Pić... pić...



Rozejrzałam się wokoło. W pokoju nie było nic do picia. Zebrałam naczynia, choć wszystko, czego dotknęłam, było odrażająco brudne:

- Za chwilę wrócę, kuzynko Eleonoro - powiedziałam, po czym zbiegłam ze schodów.

- Czy w tym domu jest jakaś woda? Woda? - zapytałam Sal. Dziewczyna wciąż stała przy kuchennym oknie. Potrząsnęła głową, wskazując na ogród. Wiedziałam, że wodę na plebanii czerpało się ze studni. Teraz jednak ucierpiała od powodzi. Woda ze studni nie nadawała się już do picia, nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

Przypomniałam sobie, że pod schodami Edward Ferrars trzymał kilka butelek wina, zarezerwowanych na bardzo rzadkie i szczególne okazje, choć taka nigdy nie nadarzyła się w czasie mojej poprzedniej wizyty, a także beczkę jabłecznika. Popijał go czasami po ciężkim dniu pracy na plebanii.

Znalazłam korkociąg, otworzyłam butelkę czerwonego wina i zaniósłam pełną szklankę na górę do pokoju kuzynki Eleonory. Podtrzymując ją ramieniem, przyłożyłam szklankę do jej ust, aby mogła się trochę napić. Ciężkie powieki uniosły się nad jej zapadniętymi oczyma. Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Nell? - wymamrotała. - Nell?... Nie...

- Nic nie szkodzi - powiedziałam cicho, układając ją ponownie w brudnej pościeli.

Kolejne trzy godziny spędziłam na sprzątaniu, zapędzając do pracy także biedną Sal. Pracowałam tak ciężko, jak nigdy dotąd w całym moim życiu. Po długiej walce z wilgotnym drewnem na opał udało mi się rozpalić w piecu. Zagotowałam wodę w kotle i uprałam pościel. Wyszorowałam wszystkie naczynia. Chudziutki kurczak, skubiący ziarenka w podmokłej części ogrodu, został zabity, oskubany i ugotowany. Wodę do tego celu wzięłam ze studni we dworze. Usytuowany na niewielkim pagórku, nie ucierpiał podczas powodzi. Nakazałam Sal, aby naznosiła

wody, nie sądziłam bowiem, aby dziewczyna mogła okazać się pomocną w innej pracy.

Mniej więcej co dziesięć minut usiłowałam namówić biedną Eleonorę - teraz przynajmniej leżącą w czystej pościeli i świeżo upranej koszuli nocnej - aby wypić jeszcze kilka łyków wina. W ciągu trzech godzin wypić już prawie dwa pełne kubki, co korzystnie wpłynęło na jej wygląd. Twarz nabrała kolorów. Eleonora zapadła jednak w sen przypominający stan alkoholowego upojenia.

Zaczęło zmierzchać. Nie pytałam Sal o miejsce pobytu Edwarda, gdyż było oczywiste, że nie miała o tym bladego pojęcia, a jeśli nawet, to i tak by mi nie odpowiedziała. Domyśliłam się, że załatwiał sprawy parafian i tak też było. Wkrótce usłyszałam stapanie jego starej kobyły i przez kuchenne okno zobaczyłam, jak pan Ferrars wyprzęga i prowadzi zwierzę do budynku służącego za stodołę, oborę i kurnik.

Po kilku minutach wszedł do domu. Od czasu, gdy go widziałam, postarzał się o jakieś dziesięć lat. Jego włosy posiwiwały jeszcze bardziej i przerzedziły się, a twarz była bardziej koścista. Wyraz powagi charakterystyczny dla jego oblicza nie zmienił się na mój widok ani też na widok zmian, jakie zaszły w domu podczas jego nieobecności. Uznał, że tak powinno być. Z pewnością był na skraju wyczerpania.

- Moja żona, pani Ferrars, jak ona się czuje? - wyszeptał zmęczonym głosem.
- Śpi, ale chyba czuje się teraz trochę lepiej.

Pokiwał głową. Chciał usiąść, gdy nagle jakby sobie coś przypomniał i powoli, ciężkim krokiem ruszył po schodach. Jego wizyta w sypialni trwała krótką chwilę, a kiedy schodził, jego podłużna twarz wyrażała ogromne niezadowolenie.

- Czy to ty otworzyłaś butelkę wina? Dlaczego to zrobiłaś bez mojej zgody?
- W domu nie było nic do picia.

Rozpoczął długie przemówienie na temat konieczności oszczędzania i szacunku dla cudzej własności. W środku tego wykładu po prostu wyszłam. Nigdy

nie znajdowałam przyjemności w spieraniu się z upartymi ludźmi, a Edward Ferrars zdecydowanie do nich należał. Podważanie jego argumentów byłoby bezcelowe.

Tak więc, zamiast się kłócić, przyniosłam miskę rosółu i okrągły bochenek chleba, który upiekłam nad ogniem. Na szczęście spiżarnia, gdzie znajdowały się worki z mąką, wsparta była na dwóch kamieniach, tak więc powódź jej nie dosięgła. Stała się natomiast schronieniem dla myszy.

Pan Ferrars jadł w milczeniu. Nagle odezwał się:

- To jest mięsny rosół. Skąd wzięłaś mięso?

- Zabiłam kurczaka.

- Zabiłaś kurczaka? Czy w spiżarni nie było ziemniaków, brukwi albo marchwi?

Były, ale większość zgniła. Wyrzuciłam je więc, podobnie jak siedemnaście małych garnuszków zjełczanego tłuszczu i skwaśniałego mleka i spleśniałe kawałki suszonego mięsa.

Powiedziałam więc tylko, że pani Ferrars potrzebowała więcej pożywienia. Nawet w Dolinie Bękartów, gdzie żyło się bardzo biednie, nigdy nie widziałam nikogo tak bliskiego śmierci z głodu, pragnienia i zaniedbania.

Pan Ferrars westchnął, poddając się w końcu, po czym wstał oznajmił:

- Idę spać.

- Pościeliłam panu łóżko w pokoju Cerne. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli kuzynka Eleonora zostanie sama i będzie mogła spać spokojnie. - Ignorując jego niezadowolony wyraz twarzy zapytałam: - Gdzie właściwie jest Cerne?

- Poszła opiekować się siostrą. Cerne zaraziła się od niej. Właśnie wracam z pogrzebu.

Potem dowiedziałam się, że tego dnia odprawiał jeszcze dwa inne pogrzeby i odwiedził trzech umierających.

- To zła wiadomość - powiedziałam. - Bardzo mi przykro. Cerne była miłą osobą. Kuzynce Eleonorze będzie jej brakować.

Nie odpowiedział nic na te słowa, lecz po chwili dodał:

- Jutro muszę być w kościele za pięć siódma, aby odprawić poranną mszę. Czy dopilnujesz, abym obudził się na czas?

Skinęłam twierdząco głową i wróciłam do kuchni, aby nastawić owsiankę i zagotować wodę. Dosypałam do paleniska w nadziei, że ogień utrzyma się do rana. Sal dawno już poszła do domu. Posłałam sobie łóżko w pokoju Nell, tym samym, gdzie nocowałam w czasie poprzedniego pobytu.

Następnego dnia dobry los sprawił, iż pan Grisewood, prawnik, zawitał do Delaford w sprawach związanych z dworem. Pojawił się na plebanii, pytając o Edwarda Ferrarsa, który pojechał akurat do chorego parafianina.

Pan Grisewood nie próbował ukryć przerażenia na widok wsi.

- Miłosierny Panie! Słyszałem o powodzi, nie miałem jednak pojęcia, że może to wyglądać aż tak źle! Muszę napisać do pułkownika. Z pewnością chciałby, aby go o tym zawiadomiono.

- Och, proszę pana! Czy wie pan, gdzie w tej chwili przebywa pułkownik Brandon?

Zawahał się przez chwilę.

- Nie, moja droga panno Fitz-William, niestety nie jesteśmy tego pewni. Kilka miesięcy temu otrzymaliśmy od niego wiadomość. Zabrało mu wiele czasu, żeby się z nami ponownie skontaktować. Pułkownik zawiadamiał, że zamierza przerwać podróż i zatrzymać się w Lizbonie, zanim powróci do kraju. Napiszę do niego na adres przedstawicielstwa Anglii. Powinien wiedzieć o tym, co stało się we wsi. Być może zechce natychmiast powrócić do wioski.

- Czyżby nie miał zamiaru wracać?

- Nie. Z tego, co wiem, zamierzał dołączyć do swego pułku.

- Czy myśli pan, że można przeznaczyć część funduszy na pomoc ludziom we wsi?

Byłam tam dziś rano, aby sprawdzić, czy można liczyć na pomoc dla dotkniętej nieszczęściem plebanii. Wszystkie jednak domostwa były w podobnym lub nawet gorszym stanie. Zwróciłam się więc do pana Grisewooda:

- Potrzeby są ogromne. Zapasy zostały zniszczone przez wodę. A tyfus zabił już wiele osób.

Nie dodałam, że państwo Ferrars tak samo potrzebowali pomocy jak parafianie, lecz otrzymawszy obietnicę wsparcia, postanowiłam dopilnować, aby mieszkańcy plebanii dostali swoją część z tego, co nadejdzie.

Pułkownik, jak się okazało, przed wyjazdem zrobił zapasy na wypadek podobnej katastrofy. Powodzie w tym rejonie zdarzały się często, ale ta była wyjątkowo silna. Pan Grisewood obiecał, że węgiel, ubrania i zapasy żywności zostaną natychmiast wysłane z Dorchester.

- Czy mogę zobaczyć panią Ferrars? - zapytał.

Powiedziałam, iż sądzę, że jest to możliwe. Dziś czuła się już lepiej, rozpoznała mnie po kilku chwilach, potem wzięła kąpiel i zjadła trochę owsianki. Pan Grisewood wrócił od niej śmiertelnie przerażony.

- Dobry Boże, muszę przyznać, że to wielkie szczęście, panno Fitz-William, iż przybyła pani właśnie teraz. W przeciwnym razie nawet nie chcę o tym myśleć... Dlaczego, na Boga, Ferrars nie powiadomił mnie o sytuacji? - wymamrotał pod nosem.

- Pracował do upadłego, całe dni spędzał u parafian. Poza tym - dodałam cicho - ma ogromne poczucie dumy.

- Głupiec - mruknął Grisewood.

Spojrzał na mnie tak, jakby oczekiwał, że zaproponuję mu coś do picia. Przypomniałam sobie o małych szklaneczkach, które zauważyłam w trakcie poprzedniej wizyty.

- Czy mogę zaproponować panu szklaneczkę jabłecznika? Pan Ferrars ma już bardzo mało wina, a to, co zostało, przeznaczył na wypadek nieoczekiwanych okoliczności.

Wyraz twarzy pana Grisewooda wyraźnie sugerował, że smak jabłecznika nie jest mu obcy.

- Nie, dziękuję, kochanie. Muszę już jechać. Może uda mi się spotkać pana Ferrarsa po drodze. A tak przy okazji, gdzie przebywa pani Dashwood?

- Z tego, co wiem, proszę pana, na całe szczęście na kilka tygodni przed powodzią pojechała, aby spotkać się z krewnym, sir Johnem Middletonem. Wysłał wiadomość, że starsza pani zostanie z nim, aż sprawy w wiosce będą się miały lepiej.

Prawnik kiwnął głową.

- Tak, tak, sir John to człowiek o wielkim sercu. Starsza pani zostanie u niego tak długo, jak będzie to potrzebne. Zastanawiam się, panno Fitz-William, czy mogę powierzyć pani klucz do dworu? Zamierzałem powierzyć go panu Ferrasowi, lecz skoro jest tak zajęty, a pani, jak widzę, jest osobą odpowiedzialną... Doprawdy, to wielkie szczęście, że sprawy przybrały taki obrót. Pomyślałam o lordzie Harrym i mojej nadwyreżonej reputacji w Bath. Nie wspomniałam ani słowem o całym zdarzeniu, lecz powiedziałam grzecznie, że będę szczęśliwa, mogąc pomóc panu Grisewoodowi.

- Pułkownik zamierza sprzedać część posiadłości. Jako że nie ma żadnego potomka, postanowił..., ale to nie powinno pańienkę obchodzić. Być może będę potrzebował map posiadłości, które pułkownik trzyma w gabinecie we dworze. Wyślę po nie posłańca z Dorchester. Czy byłaby pani tak miła i poszukała ich dla mnie, jeśli okażą się potrzebne?

Obiecałam tak zrobić, jeśli przyjdą odpowiednie polecenia. Pan Grisewood skłonił głowę, jakby chciał poklepać mnie po policzku, lecz zmienił zdanie i powiedział tylko:

- Cieszę się ogromnie, że pani tu jest, panno Fitz-William. Pan Ferrars nie czynił żadnych aluzji do wizyty pana Grisewooda. Dopiero dwa lub trzy dni później, kiedy zapas węgla i żywności został rozdany, odezwał się zimno:

- Rozumiem, że pan Grisewood powierzył pani klucz od dworu, panno Fitz-William?

- Istotnie, proszę pana, gdyż poza mną nie było nikogo w domu. Wisi tam, na haku do fajerek.

Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że pan Ferrars nie darzył mnie sympatią. Jego niechęć zdawała się narastać z każdym dniem, choć starał się skrzętnie ją ukrywać. Nie próbowałam rozwikłać skomplikowanych i złożonych powodów jego antypatii. Był zamkniętym, rozczarowanym życiem mężczyzną, którego postępowanie pozostawało dla mnie niezrozumiałe. Dawno temu coś nie poszło po jego myśli. Wydawało się, że pan Ferrars nie żywi ciepłych uczuć do nikogo, być może z wyjątkiem żony, choć ich długoletni związek nie był szczęśliwy. We wszystkich innych sprawach kierował się jedynie uczuciem. Wieśniacy, jak odkryłam, nie przepadali za nim, lecz ufali mu i okazywali należyty szacunek.

- Och - mruknął pan Ferrars, patrząc na klucz - hmm, dobrze. Tak, właściwie może równie dobrze tu wisieć. Czy rodziny w Crouch End otrzymały swój przydział węgla i jedzenia?

- Tak, proszę pana. Amos Pollard zawiózł je wozem.

Amos Pollard był starym człowiekiem, który doglądał trzy wychudzone krowy Edwarda Ferrarsa.

- Jak czuje się moja żona?

- Jej stan poprawił się na tyle, że pani Eleonora może już czytać.

- Czytać... Lepiej byłoby, gdyby zajęła się modlitwami.

- Na modlitwę także ma czas - ucięłam krótko.

I rzeczywiście, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, pijąc grzane piwo z jajkiem i rosół, Eleonora Ferrars zdecydowanie zaczęła dochodzić do siebie.

- Gdzie jest Cerne? - to pierwsze pytanie, jakie zadała, a ja uznałam, że nie ma sensu ukrywać przed nią prawdy. Eleonora, jak oceniłam, miała silny charakter, czego zresztą teraz dowiodła. Westchnęła tylko i stwierdziła, że ma nadzieję, iż Cerne zasłużyła na wieczny odpoczynek. Dodała, iż jej obecność w tym domu była prawdziwym dobrodziejstwem.

Stopniowo, w miarę upływu dni, odkrywałam przed Eleonorą całą prawdę o powodzi w Delaford. Na szczęście, sprawy miały się już znacznie lepiej. Błoto wysychało pod wpływem marcowych wiatrów. Ciężko chorzy na tyfus dawno już umarli, inni, podobnie jak Eleonora, powoli wracali do zdrowia. Codzienne obowiązki Edwarda Ferrarsa nie były już tak męczące. Wciąż jednak większą część dnia spędzał poza domem, a Eleonora i ja miałyśmy czas na długie, nie kończące się rozmowy. W ciągu tych dni nabrałam dla niej szacunku i polubiłam ją. Podobnie jak mąż miała silne poczucie obowiązku. Od czasu do czasu ujawniała oznaki specyficznego poczucia humoru, mrużąc coś niesłyszalnym prawie głosem, nigdy jednak w obecności pana Ferrarsa.

- Powiedz mi, proszę - zagadnęła ostrożnie któregoś dnia, kiedy pomagałam jej zwijać wełnę - czy dobrze układa się między tobą a ciotką Montford Debb? Pytam, bo spędziłaś z nią już cztery lata.

Zastanowiłam się.

- Czy dobrze? Nie jestem pewna. Z pewnością nasze stosunki są poprawne. Staram się nie zwracać uwagi na jej dziwactwa. Nie jest uciążliwa, dopóki w domu wszystko układa się po jej myśli. W końcu to jej dom - dodałam.

- Czy jest ci tam ciepło? Czy dobrze cię karmi?

- Tak, tak - odrzekłam i pomyślałam, że jest mi tam znacznie lepiej niż u pani Ferrars.



Czerwieniąc się i nie odrywając wzroku od włóczki, Eleonora, najwyraźniej zażenowana, spytała:

- Czy przypadkiem nie słyszałeś, czy moja ciotka nie wspomniała, jakie dyspozycje zostawiła w testamencie?

Wiem, kto ci kazał o to zapytać, pomyślałam. Sama nie zdobyłabyś się na odwagę. Przemawia przez ciebie głos Edwarda Ferrarsa.

Chcąc oszczędzić jej wstydu, odpowiedziałam szybko:

- Nie, kuzynko Eleonoro, pani Debb nigdy nie rozmawiała ze mną o swych planach. - Nie jest jednak osobą specjalnie zamożną. Nie sędzę, aby miała duży majątek. - dodałam, nie wspominając o cierpkich aluzjach czynionych pod adresem „ludzi żyjących w wiecznym oczekiwaniu na spadek po nieboszczykach”.

Eleonora nic nie odpowiedziała. Być może żywiła nadzieję, że oszczędny sposób życia gwarantuje pokaźne oszczędności. Żałowałam, że nie mogę powtórzyć jej słów pani Debb: „Równie dobrze mogę im powiedzieć, żeby nie spodziewali się wiele po moim testamencie”. Uznałam jednak, że zważywszy na stan zdrowia pani Ferrars, powinnam jej tego oszczędzić. Powiedziałam więc:

- Sędzę, że lepiej będzie nie wiązać wielkich nadziei z majątkiem pani Debb i nie liczyć na jej dobre serce.

Westchnienie było jedyną odpowiedzią Eleonory. Po chwili odezwała się:

- To dziwne, że rozmawia mi się z tobą znacznie łatwiej niż z Nell.

- Hm - zastanowiłam się - prawdopodobnie dlatego, że Nell rzadko bywa w domu.

- Stara się tego unikać.

Nell, pomyślałam, woli ekskluzywne wnętrza.

Wydawało mi się, że Eleonora bardzo tęskni za siostrą. Bardziej nawet niż za córką. Tak wiele historii, które opowiadała, zaczynało się od słów „Marianna mówi” lub „Marianna zwykła mawiać”. W moim umyśle powstał więc obraz osoby żywej, romantycznej, pełnej pasji, będącej przeciwieństwem Eleonory. I ta właśnie kobieta

wyszła za mąż za mężczyznę starszego o prawie dwadzieścia lat i wyjechała z nim do Indii. Dlaczego?

Stopniowo także zrozumiałam, że Edward Ferrars, choć bardzo starał się stłumić w sobie tę emocję, żywił zdecydowaną niechęć do szwagra i szwagierki. Zastanawiałam się, dlaczego? Czyżby dlatego, że posiadali tak dużo, a on tak mało? Czy może dlatego, że mogli pojechać do Indii, zostawiając go, aby pilnował wsi, radził sobie z powodzią, katastrofami i chorobą za niewielką zapłatę? A jednak, według tego, co mówili ludzie, pułkownik Brandon był przyjaznym i uprzejmym człowiekiem. Z pewnością mógł zapewnić szwagrostwu lepszy byt. Zauważyłam, iż ilekroć Edward Ferrars wspominał o dworze, zawsze pogardliwie cedził słowa z zaciśniętych ust.

Kiedy po czterech czy pięciu dniach Eleonora zaczęła przypominać osobę, jaką pamiętałam, zadziwiła mnie pewnego popołudnia, wyciągając kluczyk i prosząc, abym z kufra na ubrania wyjęła plik papierów.

- Nie, nie to - powiedziała, oddając mi kartki, które jej podałam. - Miałam na myśli te przewiązane zieloną wstążką. Na pierwszej stronie widnieje napis *Charlotta*.

Znalazłam w końcu to, o co prosiła i podałam jej. Eleonora wciąż nie opuszczała łóżka. Teraz mogła już siedzieć, opierając się o poduszki. Pakiet miał kilka centymetrów grubości. Na wszystkich stronach widniał ten sam ostry charakter pisma.

- Czy to powieść? - moja ciekawość wzięła górę nad dobrymi manierami.

- Tak - odpowiedziała, wzdychając i uśmiechając się w zadumie. - Jak widzisz, napisałam ich kilka... *Charlotta* to druga z kolei. Uważam jednak, że jest najlepsza. Przyszło mi na myśl, że teraz leżąc w łóżku, mam czas, aby ją przejrzeć i przygotować porządną kopię. Nie żywię wielkich nadziei na to, że ją opublikują. Ale przydałoby się trochę pieniędzy.

Byłam pod ogromnym wrażeniem, być może dlatego, że nie oczekiwałam po Eleonorze pisarskich zdolności.

- Czy pan Ferrars to czytał?

- Boże miłościwy, nie! On nigdy nie czyta powieści. Uważa, że to wulgarne, banalne rzeczy.

Istotnie. Zauważyłam bowiem, że gdy tylko słyszałyśmy charakterystyczne trzaśnięcie frontowych drzwi, Eleonora szybko chowała stronę, nad którą pracowała, pod kartkę papieru z rozpoczętym listem do siostry, matki lub córki.

- Czy zna kuzynka nazwiska wydawców? - zapytałam.

- Gdyby tylko mój szwagier był tutaj! On jest bardzo czytany, poradziłby mi, do kogo się zwrócić. Moja siostra zwykła czytać powieści i ma nawet kilka we dworze. Myślałam, że mogłabym wziąć adresy ze stron tytułowych. Pamiętam tylko dwa nazwiska - Chapman & Hall.

Zapytałam, czy mogę przeczytać manuskrypt. Gdy się zgodziła, zabrałam go do sypialni i pochłonęłam w kilka wieczorów.

- Kuzynko Eleonoro, myślę, że jest kuzynka bardzo mądra!

W jaki sposób udało się wymyślić taką historię... tak prosto z głowy? Postacie są pełne życia, a dialogi szalenie zajmujące! Te dwie okrutne siostry, które wykorzystywały biedną pannę Charlotte, i ta śmieszna starsza pani, i ten głupi zarozumialec, który myśli tylko o swej tabakierce, i ci dwoje, którzy oszczędzają każdy grosz! Musiała kuzynka dużo przebywać wśród arystokracji, jeśli była pani w stanie opisać to tak zręcznie.

- Nie, nie - powiedziała wzdychając. - Tylko raz. Lecz to wystarczyło.

Wszędzie można spotkać takich ludzi, nie tylko w wyższych sferach.

Zdałam sobie sprawę z tego, że miała rację. Wielu takich ludzi spotkałam przecież w Bath.

- Droga kuzynko Eleonoro, naprawdę uważam, że trzeba to opublikować. To doskonała lektura. Znacznie lepsza niż książki, jakie czyta pani Debb.

- Biorąc pod uwagę naszą obecną ciężką sytuację - powiedziała - nie przeczę, iż dodatkowe źródło dochodu z pewnością jest nam potrzebne. Nawet Edward może się na to zgodzić. Z tego, co wiem, zamierzasz iść dzisiaj do dworu, aby poszukać map dla pana Grisewooda.

- Tak, planowałam pójść dziś po południu, gdy skończę rozdawać ubrania.

- W takim razie - stwierdziła Eleonora - będę bardzo zobowiązana, jeśli pójdziesz do buduaru Marianny, to pokój we wschodnim skrzydle na pierwszym piętrze, z widokiem na ogród różany, przejrzysz książki, które stoją na półce i zanotujesz adresy kilku wydawców. Mam nadzieję, że nie sprawi ci to kłopotu?

- Ależ skądże znowu!

Bywając w kuchni przy New King Street, stopniowo zapoznawałam się ze sztuką kulinarną obserwując kucharkę, panią Rachelę. Nabyte umiejętności przekazywałam teraz pani Ashcott, nieszczęsnej kobiecie, która podczas epidemii tyfusu straciła męża i syna. Cieszyłam się, że mam zajęcie, pozwalające mi choć na krótko uciec od tego, co działo się wokoło. Pod moim czujnym okiem pani Ashcott ugotowała na obiad smakowity rosół. Po posiłku, gdy Edward swym starym zwyczajem pojechał do wioski, zostawiłam Eleonorę i udałam się do dworu Delaford.

Od dawna, muszę to przyznać, ogromnie pragnęłam odwiedzić domostwo pułkownika i Marianny Brandonów, tym bardziej że przed ciekawskimi spojrzeniami chronił go wysoki mur z cegły i rosnące wokół drzewa. Sponad ich wierzchołków widać było jedynie części dachu. Idąc podjazdem, prowadzącym do dworu, ujrzałam przed sobą dużą, staromodną rezydencję, zbudowaną przynajmniej dwieście lat temu. Po prawej stronie znajdował się sad, po lewej zaś ogrodzony ogród. Kamienne słupki przedzielały okna, a łukowate wejście było niskie i masywne. Drzwi frontowe jednak otworzyły się łatwo. Do środka wkroczyłam nieśmiało i z poczuciem winy, że zjawiam się tutaj nieproszona, pod nieobecność właścicieli.

W zakurzonej domu panował przeraźliwy chłód. Dwór doglądany był przez dozorcę, który jednak - podobnie jak wiele innych osób - zmarł w trakcie epidemii i jak dotąd nie znaleziono następcy. Pobiegłam na górę szerokimi, dębowymi schodami, w nadziei, że tam chłód nie będzie tak dokuczliwy. Znalazłam się w szerokim korytarzu prowadzącym do pokoju Marianny. Stały tu nowoczesne meble, półki z książkami, a w oknach wisały perkalowe zasłony. Ściany przyozdabiały obrazy zapewne wykonane przez samą Mariannę, jak się domyślałam, rozpoznając miejscowe krajobrazy. Na środku stał fortepian. Okna wychodziły na ogród, w którym rosła wielka morwa i cis. Wyobrażałam sobie, jak w tym przyjemnym pokoju siostry Dashwood spędzały razem czas w wiosenne poranki i jesienne popołudnia, rozmawiając, czytając, a może grając w duecie lub śpiewając. Coraz bardziej zdawałam sobie sprawę z tego, jak wielkim cierpieniem musiała być dla Eleonory utrata towarzystwa Marianny.

Choć poprzednio czułam uprzedzenie do Marianny Brandon - miała przecież tak wiele, a jej siostra tak mało - teraz jednak odczuwałam jedynie współczucie. Zastanawiałam się, czy brakowało jej domu i Eleonory, czym zajmowała się w Indiach i co robi teraz w Portugalii? Czy nie brakowało jej książek, fortepianu, ogrodu różanego z rosnącą w rogu morwą?

Czując się jak intruz, pospiesznie spisałam adresy ze stron tytułowych kilku powieści. Dlaczego Eleonora ich nie pożyczyła? Jestem pewna, że Marianna nie miałyby nic przeciwko temu?

W momencie, gdy zamykałam pierwszy tom *Eweliny*, z książki wypadła kartka.

Był to portret, naszkicowany tą samą ręką, co wszystkie obrazy na ścianach. Przedstawiał młodego mężczyznę o ciemnych włosach, czarnych oczach, delikatnych ustach, z wysokim czołem częściowo ukrytym pod opadającymi lokami. Przez dłuższą chwilę badałam ten przypadkowo odkryty skarb. Fakt, że portret był schowany między stronami książki, a nie zawieszony na ścianie w ramce, wydawał

się sugerować, że miał dla właścicielki ogromne znaczenie. Czy tym mężczyzną mógł być pułkownik Brandon? Nie, jego podobizna wraz z podobizną żony wisiały w salonie. A może tak wyglądał w młodości? Raczej nie. Włosy pułkownika Brandona, dość już przerzedzone, były brązowe, a nie czarne, a jego oczy miały szarawy odcień, tak więc rysunek przedstawiał kogoś innego. Poza tym, Marianna nie знаła go, kiedy był młody. Gdy się poznali - jak doniosła mi Eleonora - pułkownik Brandon miał już trzydzieści pięć lat. Byłam pewna, że rysunek został wykonany ręką Marianny, przypominał bowiem portrety Eleonory i pani Dashwood wiszące na ścianach. Nie, to z pewnością nie mógł być pułkownik Brandon. Zaczęłam więc wpatrywać się dokładniej, w poszukiwaniu innych dowodów tożsamości przystojnego nieznanego i prawie byłam pewna, że pośród zmarszczeń nogawki jego spodni widnieje litera „W”. Czy siostry Dashwood miały jakiegoś znajomego, którego imię zaczynało się na literę „W”?

Przy najbliższej okazji zapytam Eleonorę. Odkryłam w sobie dziwną i niecierpliwą ciekawość, aby poznać tożsamość tej osoby - być może dlatego, że mężczyzna ten przypominał mi trochę pana Sama. Potem zaśmiałam się z siebie samej i schowałam portret między kartki książki. Odkrycie podobieństwa do pana Sama już raz przysporzyło mi niemało kłopotów.

Pośpiesznie zbiegłam na dół, niczym złodziej, i udałam się do gabinetu pułkownika Brandona. To tu - jak powiedział mi Edward Ferrars - przechowywane były mapy.

Po drodze znajdowało się wejście do piwnicy. Pamiętałam, o co prosił mnie Edward Ferrars. Jeśli wybierzesz się do dworu, bądź tak miła i sprawdź piwnice, czy nie wlała się do nich woda. Nie zapomnij zabrać ze sobą świeczki.

Sprawdziłam więc pomieszczenia w piwnicy. Nie było tam wody, lecz moim oczom ukazał się niezwykle widok: piwnicę wypełniały ustawione od podłogi do sufitu zakurzone butelki z alkoholem. Porto, bordo, malaga. Constantia. Koniak.

Diabolino. Dlaczego, na Boga, zastanawiałam się, kiedy ludzie w wiosce umierali od zatrutej wody, Edward Ferrars nie skorzystał z tych zasobów?

Chciałam zabrać kilka butelek, na wszelki wypadek, dla siebie i Eleonory. Kiedyś, gdy mieszkałam w Dolinie Bękartów, uczyniłabym tak bez chwili zastanowienia.

Co mnie powstrzymało? Jakiś wewnętrzny głos zabraniał mi tego, choć nie rozumiałam dlaczego.

Wdrapałam się z powrotem po kamiennych schodach, zdmuchnęłam świeczkę i udałam się do gabinetu. Był to duży pokój, elegancko urządzone, z ogromnym biurkiem i mapami. Tutaj pułkownik Brandon zarządzał swoją posiadłością. Nie przypadł mi do gustu, a jednak dał mi dziwne poczucie komfortu i bezpieczeństwa. W takim pokoju jak ten, pomyślałam, mogłabym pracować i czuć się potrzebna.

Wtem, po raz drugi tego dnia, dostrzegłam coś, co wprowadziło mnie w osłupienie.

Na ścianie, za biurkiem, wisały dwa miniaturowe owalne portrety, oprawione w proste złote ramki. Na pierwszy rzut oka wydawały się przedstawiać tę samą osobę. Dopiero po chwili zauważyłam, że kobiety miały inny kolor włosów. Jedna, o poważnym wyrazie twarzy i ciemnych włosach, przypominała portret Marianny Dashwood wiszący w korytarzu. Druga zaś, uśmiechnięta, o tycjanowskich włosach, mogłaby być mną! Długo wpatrywałam się w portret w kompletnym zdumieniu, potem szybko spakowałam potrzebne mapy, zamknęłam drzwi do pokoju i przejęta udałam się z powrotem w kierunku plebanii.

Tam sprawy miały się inaczej niż zwykle.

Eleonora, która ostatnio wstawiała już z łóżka i ubierała się, lecz wciąż przebywała na górze, tym razem zeszła na dół do salonu. Edward wrócił tym razem bardzo wcześnie. Zastałam ich w trakcie sprzeczki.

- Mówię ci raz na zawsze, nie będę tego tolerował - usłyszałam jego zimny i oschły głos. - To nie przystoi. Żona pastora, jeśli jest przy zdrowych zmysłach, nie powinna nawet myśleć o czymś tak niemoralnym i mieć tak wybujałe ambicje.

Zamilkł w pół słowa, kiedy przechodziłam obok parawanu, który zainstalowałam, aby chronił przed silnymi wiatrami dobywającymi się przez nieszczelne drzwi frontowe.

- Och, to ty. Już wróciłaś - zauważył. - Widzę, że znalazłaś mapy, mam nadzieję, że wzięłaś te właściwe. Posłaniec od pana Grisewooda czeka w kuchni. Najlepiej będzie, jeśli zaraz mu je zanieziesz.

Kiedy wróciłam, Edward wyszedł do ogrodu, zatraskując za sobą drzwi, jak miał to w zwyczaju. Przyglądałam mu się przez okno, jak z trudem kopał mokrą i ciężką ziemię.

- Kuzynko Eleonoro, nie jest kuzynka ubrana wystarczająco ciepło - powiedziałam. - I cała się trzęsie. Proszę poczekać chwileczkę, przyniosę grubszy szal. Trzeba także dołożyć do ognia.

Edward Ferrars, jak większość mężczyzn, nie był w stanie porządnie napalić w piecu. Przez swoje skąpstwo nie dokładał więcej niż kilka kawałków drewna. Kiedy przyniosłam cieplejsze okrycie, dostrzegłam, że perkalowa suknia, którą miała na sobie Eleonora, nie była szyta na nią. Dorzuciłam do ognia. Po chwili zrobiło się przyjemnie ciepło.

- Przyniosłam adresy, o które pani prosiła - powiedziałam.

Westchnęła. Jej sympatyczna, zatroskana twarz nie zmieniła wyrazu. Po chwili odpowiedziała:

- Obawiam się, że zmarnowałaś czas. Pan Ferrars nie zgodził się na mój plan.

- Zabronił kuzynce?

Krew się we mnie zagotowała. Mało brakowało, a wybiegłabym do ogrodu i przeprowadziła wściekły atak na tego człowieka, który zdeterminowany kopał



ziemię w ogrodzie, nie zważając na wiatr. Jakim prawem niweczył wysiłki żony? Zwłaszcza gdy chodziło o korzyść dla nich obojga.

Eleonora spokojnie ciągnęła dalej:

- Edward ma rodzinę w Londynie. Jego matka to bogata kobieta, a poza tym brat... szwagierka... Nie życzyliby sobie, aby ich krewna zajmowała się taką działalnością jak pisanie powieści. A mój mąż jest duchownym...

- Przecież w pisaniu powieści nie ma nic złego! Pomyśl, kuzynko, o Fanny Burney! Jest damą dworu w pałacu, tak przynajmniej słyszałam.

- Nie przekona to pana Ferrarsa.

- Mogłabyś publikować anonimowo. Wiele kobiet umieszcza na swych książkach notkę: „Napisane przez damę”.

- Tak - powiedziała z wahaniem w głosie. - W jaki jednak sposób dostarczę powieść do wydawcy? I jak nawiązać korespondencję? Nie wyobrażam sobie, że mogłabym... nie, nie mogłabym... sprzeciwić się Edwardowi.

- Ale to niesprawiedliwe!

Spojrzała na mnie wymownie szarymi oczyma, które z powodu przebytej choroby wydawały się teraz większe.

- Edward doznał w życiu wiele niesprawiedliwości, Elizo. Był starszym synem bogatych rodziców, ale w wyniku celowych i mściwych działań... członka jego rodziny, otrzymał to, co należało się młodszemu synowi. Gdyby nie szczodrość pułkownika Brandona, byłibyśmy żebrakami. A... a Edward nie lubi korzystać z uprzejmości innych. Nie narzekam wcale na naszą sytuację w Delaford, ponieważ tak bardzo kocham Mariannę. Nie mamy przed sobą tajemnic. Nigdy nie było między nami zazdrości ani wrogości. Lecz Edward i pułkownik mają... niewiele mają ze sobą wspólnego, może poza tym, że obaj dbają o moralność. Edwarda złości fakt, że traktują go pobłażliwie i że musi wciąż liczyć na pomoc z dworu. I to tylko taką, aby móc przetrwać.

Nie taka to znowu duża pomoc, pomyślałam. Teraz żałowałam, że nie przyniosłam butelki z winem Constantia.

- Poblądliwie? Pracuje lepiej niż niejeden rządca.

- Elizo, to nie ma sensu. Przykro mi, że poruszyłam ten temat.

Porozmawiajmy o czymś innym.

Miałam ogromną ochotę spytać Eleonorę, kim był młody mężczyzna na portrecie ukrytym między stronami *Eweliny*. Powstrzymały mnie jednak skrupuły. Ten przystojny młody człowiek to tajemnica Marianny, a nie moja. Nie mogłam zawieść jej zaufania.

Zapytałam więc o coś innego:

- Kuzynko Eleonoro, kim są młode damy - jedna z ciemnymi włosami, a druga z włosami podobnymi do moich - przedstawione na miniaturowych portretach, które wiszą nad biurkiem pułkownika Brandona w gabinecie?

Eleonora wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Nigdy nie byłam w tym pokoju - zaczęła. - Nigdy nie miałam okazji... kiedy byłam we dworze... - mówiła szybko, usiłując zapanować nad niespokojnymi myślami. Wyraźnie dostrzegłam, że nawet jeśli nie była w pokoju i nie widziała miniatur, wiedziała lub domyślała się, kogo przedstawiały dwa portrety.

- Jedna z nich jest bardzo do mnie podobna! - wyjąkałam. - Kuzynko Eleonoro, czy ona... czy ona mogła być moją matką? A jeśli tak... kim była druga z kobiet? Czy one były siostrami?

Nastąpiła cisza. Potem Eleonora odezwała się:

- Elizo, przykro mi. Nie mogę odpowiedzieć na twoje pytania. Musisz skierować je do pułkownika Brandona.

- Jak mogłabym to uczynić? Przecież go tu nie ma!

W tej właśnie chwili Edward Ferrars wrócił do domu. Słyszałyśmy, jak niecierpliwie wyciera buty w drzwiach kuchni. Po chwili pojawił się w salonie, strzepując krople deszczu z włosów.

- Pada tak bardzo, że nie można pracować. Ktoś jedzie tu od strony Bath -  
zmarszczył brwi. - To chyba Tomasz, służący pani Debb.

RS

## Rozdział siódmy

---

Z wielu powodów cieszyłam się, że wracam z Tomaszem do Bath, przyglądając się po drodze żonkilom w wiejskich ogrodach i pierwiosnkom rozkwitającym pod żywopłotami.

Nikt nie lubi być intruzem, a ja coraz częściej tak właśnie się czułam w obecności Edwarda Ferrarsa, starając się unikać jego chłodnego spojrzenia. Często, gdy myślał, że nie ma mnie w pobliżu, słyszałam, jak mówił do Eleonory:

- Z pewnością damy sobie teraz radę bez niej. Ty i pani Ashcott poradzicie sobie same.

Jego słowa napęłniały mnie bezsilną wściekłością. Wiedziałam bowiem, że Eleonora nie sprzeciwi się mężowi, choć wciąż jeszcze nie wróciła do zdrowia. Wiedziałam, że bez mojego bacznego oka ogień wygaśnie w piecu, pościel znów będzie brudna, a w spiżarni zostaną resztki psującego się pożywienia. Nikt w tym domu nie miał tyle zdrowego rozsądku i wyobraźni, aby postarać się o coś lepszego do jedzenia.

Polubiłam Eleonorę i wierzyłam, że nie zasługuje na samotne życie ze smutnym, rozczarowanym człowiekiem. Dowiedziawszy się, że jej córka Nell znów mieszka w rezydencji Lauderdalesów przy Berkeley Square, wykorzystałam okazję, aby dołączyć krótką wiadomość do listu Eleonory. Napisałam stanowczo, iż obowiązkiem Nell jest przyjechać do Delaford na pewien czas i pomóc matce, zdejmując ciężar obowiązków z jej barków.

Wtrącanie się w sprawy innych ludzi nigdy jeszcze nie przyniosło mi korzyści, lecz zwykle zapominałam o tej smutnej prawdzie, aż w końcu było już za późno.

Mówiąc zupełnie szczerze, cieszyłam się, że zostawiam Delaford. Byłam już bardzo zmęczona uporczywym odorem błota, i gnijących warzyw. Brakowało mi muzyki. Pianino Ferrarsów, po tym jak przez dziesięć dni stało w wodzie, uległo

zniszczeniu. Tęskniłam za śpiewaniem i pracą, nawet za moimi leniwymi uczennicami. Brakowało mi placków pani Debb, jej życiowego realizmu i przyjemnych spotkań w kuchni z panią Rachelą, Pullett i Tomaszem. Co dziwniejsze, brakowało mi nawet Puga.

Lecz wieści z domu przy New King Street, przekazane przez Tomasza, napełniły mnie niepokojem.

- Odważyłem się przyjechać i zabrać panienkę - wytłumaczył mi w drodze powrotnej - bo od czasu panienki wyjazdu pani nie jest już sobą. Albo raczej znowu stała się sobą.

Wyrażanie opinii, bez pracowitego wymachiwania rękoma, zawsze sprawiało mu trudność. Puścił więc lejce i zacisnął pięści. Na szczęście stare konie nie miały ochoty na figle.

- Stała się taka, jak była przedtem, kiedy ją zabrali.

Tomasz miał tu na myśli pobyt pani Debb w więzieniu Ilchester. Przez osiem miesięcy oczekiwała tam na proces za kradzież.

- Jaka wtedy była, Tomaszu?

- Zła. - Potrząsnął głową kilkakrotnie. - Dużo piła. Pan Debb, biedny człowiek, nie mógł tego wytrzymać, lecz nie było innego sposobu, aby jej ulżyć, tylko alkohol pomagał. I, bądź błogosławiony, Panie, piła bardzo dużo. Dwie kwarty tygodniowo, podwójnie destylowanego brandy. Od razu wpadała w oszołomienie, a potem w stupor, mówię panience, na całe dni. Potem, kiedy okazało się, że nie jest winna, od razu się zmieniła, wróciła do zmysłów. Lecz teraz, a dla nas to problem, znowu jest z nią źle, panno Lizo. Muszę po nią chodzić i zabierać od pana Watkynsa.

Pan Watkyns był aptekarzem, a jego sklep znajdował się na rogu Cheap i Union Street.

- Do diaska, Tomaszu! Czy teraz znowu jest w takim stanie?

- Niestety tak, okropnie to wygląda, niech mi panienska wierzy. Ja, Rachela i Pullett mamy nadzieję, że wyciągnie ją panienska z tego.

Dlaczegoż by nie, pomyślałam sobie z pewnością właściwą młodej osobie. Tyle dobrego zrobiłam w Delaford, dlaczego więc nie w Bath?

Jedno spojrzenie na panią Debb wystarczyło jednak, aby wstrząsnąć moim sercem. Ale wcześniej zaniepokoiło mnie inne, drobne zdarzenie. Kiedy wysiadałam z bryczki przy New King Street, starając się nie upuścić koszyka z jajkami, przywiezionymi z Delaford, stanęłam twarzą w twarz z panią Busby, najgorliwszą uczestniczką gier w wista, które odbywały się u pani Debb. Ku memu przerażeniu zatrzymała się, po czym odwróciła głowę i pospieszyła prosto przed siebie.

- Co jej się stało? - zapytałam Tomasza.

Wyglądał na zakłopotanego, lecz odpowiedział:

- Pullett wyjaśni paniencie. Pullett powiedziała: „Jedź i przywieź panienkę. A potem wszystko jej wyjaśnię”. - Tomasz poprowadził konie do stajni.

Pani Debb leżała na sofie w salonie. Okna zasłonięte były do połowy. W jej powitaniu mieszały się ze sobą gorycz i sarkazm.

- Ha. Tak więc zechciałaś łaskawie do nas wrócić, ha? Zmęczyło cię towarzystwo cnotliwych krewniaków? Ha? A może pokazali ci drzwi?

Ciężkie powieki opadały na jej oczy, które wydawały się teraz mniejsze, skośne jak u Azjatów. Miała bladą twarz i zaciśnięte usta. Odniosłam wrażenie, że jest gotowa zaprzeczyć moim słowom, zanim zostaną wypowiedziane.

- Pani Debb - odezwałam się - przykro mi widzieć panią w takim stanie. Miałam nadzieję ujrzeć panią na spacerze, cieszącą się urokami przyjemnego, wiosennego dnia.

- Ha! Marne na to szanse, jako że wszyscy moi przyjaciele odwrócili się ode mnie. Miałabym pokazać się na ulicy? Myślisz, że postradałam zmysły!

Przerażające podejrzenie zrodziło się w moim umyśle. Podczas ciężkich tygodni w Delaford zapomniałam zupełnie o spotkaniu z lordem Harrym i jego

przyjaciółmi, miałam bowiem ważniejsze sprawy na głowie. Czy to możliwe, aby wbrew moim nadziejom ta ohydna historia nie poszła w zapomnienie?

- Czy to moja wina, proszę pani?

Nagle zmieniła temat, jak zwykła to robić, chcąc udzielić mi reprimendy - rozpoczynając bełkotliwą tyradę na temat pewnych siebie, samolubnych i napuszonych ludzi, którzy się popisują, choć w rzeczywistości niewiele mają do powiedzenia, bo nic sobą nie reprezentują.

- Próżność, próżność, bezczelna próżność - skwitowała. - A po co to wszystko? Aby przypodobać się starym dziwakom.

Zauważyłam, że gdy znajdowała się w takim stanie, nie było sensu przeciwstawiać się jej, używając racjonalnych argumentów lub tłumacząc cokolwiek. Chciała mnie skrytykować, trzeba więc było pozwolić jej na to, jeśli miało to pomóc.

- Chyba jest pani głodna - powiedziałam, gdyż często tak właśnie było, kiedy wpadała w kłótniwy nastrój - przyniosę pani biszkopty i szklanę wina.

- Ha! Myślisz, że mnie przekupisz. Nie uda ci się!

Wypiła jednak wino przyniesione przez Pullett, a na biszkopty machnęła niecierpliwie ręką, po czym zapadła w nagły, ciężki sen, który szczerze mnie zaniepokoił, gdyż leżała bez ruchu, głośno chrapiąc. Było mi ciężko. Nie oczekiwałam takiego powitania.

Pożegnanie z Eleonorą okazało się zadziwiająco bolesne.

- Będzie mi cię brakowało, Elizo - przyznała, co mnie zdumiało. Rzadko bowiem przyznawała się do własnych uczuć. - Chciałabym, abyś była moją córką - powiedziała i delikatnie położyła rękę na prezencie, który dostała ode mnie na pożegnanie. Była to mufka. Uszyłam ją dość niezdarnie z resztek narzuty z końskiego włosia. Od środka wyścieliłam ją owczą wełną. Nędzny był to prezent, ale praktyczny. Eleonora bowiem zawsze miała zimne ręce i często chowała je w rękawy.

- A ja bardzo chciałabym, kuzynko Eleonoro, abyś była moją matką. - Wcale jednak nie pragnęłabym, aby Edward Ferrars był moim ojcem, pomyślałam. Może właśnie z powodu jego chłodu Nell stała się tak samolubna i złośliwa?

- Jeśli chodzi o twoją matkę - Eleonora powiedziała pośpiesznie - to radzę ci, ze szczerego serca, abyś nie zajmowała się tą sprawą. Nie odniesiesz z tego żadnych korzyści. Żadnych! Wręcz przeciwnie! Wyrzuć ją z pamięci. To najuczciwsza rada, jaką mogę ci dać. Słyszę, że woła mnie Edward. Do widzenia, moje dziecko. Byłaś dla mnie ostoją przez cały ten czas.

Podniosła mufkę, aby zakryć nią drżące usta.

- Do widzenia, kuzynko Eleonoro. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Lecz delikatny ruch jej głowy zdawał się zaprzeczać takiej możliwości.

Ze złością myślałam o nędznym życiu, jakie wiodą kobiety. Zastanawiałam się, dlaczego tak musi być?

Zobaczyłam biedną Eleonore, zmarzniętą, na wpół wygłodniałą, a to wszystko z powodu głupiej dumy i niewyrozumiałości nędznika, którego niegdyś poślubiła. A oto pani Debb, ma przyjaciół, własny dom i wysokie dochody, a jednak życie nie oszczędziło jej przykrości.

Czy to właśnie te przeżycia doprowadziły ją do takiego stanu?

Pullett odnalazłam w mojej sypialni. Porządkowała właśnie ubrania.

- Niech Bóg panienkę błogosławi, panno Lizo. Co się stało z panienki ubraniami! Od razu widać, że w Delaford nie było pralni.

- Musiałam nosić kilka warstw, aby nie zamarznąć na śmierć. W domu była jedynie zimna woda. Proszę, Pullett, powiedz mi szybko, co stało się z panią Debb. I gdzie jest Pug?

- Ktoś rozwalił mu głowę cegłówką - powiedziała Pullett, przez zaciśnięte usta. - Wydaje mi się, że zrobił to pan Wetherell, właściciel sklepu z towarami tekstylnymi.

- Dlaczego? Dlaczego miałby tak postąpić?



- Aby przestraszyć panią Debb. Traktuje ją okrutnie. Wciąż ma nadzieję udowodnić, że ukradła jego własność. A kłopot polega na tym, że była w sklepie jeszcze kilka razy, gdy udało jej się uciec z domu. Przewracała rzeczy na ladzie i stroiła sobie z niego żarty. Zawsze miała cięty język, nie ma co do tego wątpliwości. A kiedy jest w złym nastroju, jej złośliwość nie zna granic.

Współczułam pani Debb. Wetherell był wstrętnym, grubiańskim człowiekiem, lecz dostrzegałam prowokację po obu stronach.

- A co z panią Busby? Dlaczego tak mnie potraktowała? Pullett wyglądała na jeszcze bardziej zakłopotaną:

- Od czasu, gdy panienka opuściła Bath, po mieście krążyły różne opowieści.

- O mnie? Czy chodzi o tę paskudną sprawę z lordem Harrym i jego kolegami?

Pullett przytaknęła.

- Tak, kochanie. Wydaje mi się, że ten człowiek, nie zamierzam zbrukać sobie ust wymawiając jego imię, pojechał do Londynu i puścił plotkę, jakoby on i jego kumple wykorzystali panienkę tam w krzakach. Na dowód pokazuje szal.

- W Londynie? Któż mnie zna w Londynie i kogo to obchodzi? W tym momencie z ciężkim sercem przypominałam sobie Nell Ferrars i Lauderdalesów.

- A stamtąd plotka dotarła aż tu. Tak więc boję się, panienko - Pullett odwróciła się do pieca - że nie będzie już panienka uczyć w szkole pani Haslam. A wszyscy przyjaciele pani Debb odwrócili się od niej.

Nie zauważyłam wcześniej listu, który stał oparty o świecznik. Wzięłam go teraz trzęsącymi się ze złości rękoma, otworzyłam i przeczytałam jedną stronę.

- Tak, masz rację. To wymówienie od panny Orrincourt. Jakaż byłam naiwna sądząc, że cała ta sprawa pójdzie w zapomnienie. Dlaczegoż jednak przyjaciele pani Debb odwrócili się od niej z mego powodu? Mogę opuścić jej dom, zaraz to uczynię, ale dlaczego ma cierpieć za moje błędy?

- Nie, nie, nie opuszczaj jej, kochanie. To znaczyłoby tyle, co przyznać, że to zdarzenie miało miejsce. Poza tym Rachela, Tomasz i ja mówiliśmy właśnie, że w panience jedyna nadzieja dla pani Debb.

- Och, nie, Pullett! Nie mów tak! Wcale nie ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła!

- Nie, to jej zwykłe zachowanie, panno Lizo. Brakowało jej panienki okrutnie. Tylko panienka może spowodować, że przestanie pić, nikt inny tego nie zrobi.

Pullett podniosła stos brudnych muślinów, po czym wyszła.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Beechen Cliff, miejsce rzekomego gwałtu, pokryte było gęstą, zieloną roślinnością. W ogrodzie obok głośno śpiewał drozd. Gdyby w tych plotkach była choć połowa prawdy o mnie, pomyślałam gorzko. Mogłam się spodziewać jedynie wielu podobnych, pożałowania godnych ataków. Mój wzrok podążył dalej w stronę odległych pagórków, wśród których leżała Dolina Bękartów. Przypomniałam sobie mój pierwszy dzień w Bath, kiedy tak bardzo brakowało mi Triz i lady Hariot, pana Billa i pana Sama. Gdzie teraz byli moi przyjaciele! Utraciłam ich! Utraciłam ich na zawsze! Przypomniałam sobie wersy napisane przez pana Billa:

*Wygnańcze nieszczęsny!*

*Przybądź, gdzieżeś ty?*

*Ojca twego dom otworzy swe drzwi,*

*By tu raz jeszcze spojrzeć w bezkresną dal nieba,*

*Wysłuchać się w szum liści rosnącego drzewa.*

Gdyby tylko dom mojego ojca otworzył przede mną swe podwoje, pomyślałam, z jaką radością przemierzałabym jego korytarze, uwalniając przyjaciół od swego towarzystwa. Gdzie jednak znajdował się ten dom?

Nie. Było to życzenie tchórza. Pullett i Rachela uzależniały wszystko ode mnie. Miały nadzieję, że przywrócę siły pani Debb. Cóż jednak po zdrowiu tej nieszczęśliwej kobiecie? Przyjaciele opuścili ją, pan Wetherell ją prześladował; jej potrzeba uciszania zmysłów przy pomocy opium wydawała mi się zupełnie

usprawiedliwiona. Dlaczego miałabym sprowadzić ją na ziemię? Czy po to tylko, aby dotarła do niej smutna prawda?

Prostując ramiona, zesłam na dół.

Życie przy New King Street przez następne trzy tygodnie upływało w dziwnej atmosferze. Większość czasu spędzałam grając w karty z panią Debb. Opuszczanie domu w ciągu dnia nie miało sensu, było zbyt nieprzyjemne. Tak wielu ludzi w Bath znało mnie - ze szkoły, z koncertów. Nie mogłam dojść nawet do apteki na rogu, nie napotykałam na uniesione brwi, odwracające się ode mnie twarze czy wręcz jawne szyderstwo. Najbardziej irytowało mnie to, że musiałam trzymać nerwy na wodzy, nie odplacać się tym samym i nie używać języka z Doliny Bękartów w stosunku do tych żadnych skandalu, łatwowiernych ludzi.

Musiałam się pilnować, żeby nie zaszkodzić pani Debb. Jeśli o mnie chodzi, nie bardzo się tym wszystkim przejmowałam. Miałam zamiar wyjechać z Bath, gdy tylko pani Debb stanie na nogi. Nie byłam pewna, dokąd chciałam się udać; być może do Plymouth lub do Lizbony, aby odnaleźć małą Triz i lady Hariot, może wreszcie do Londynu w poszukiwaniu szczęścia. Mieszkał tam Hoby; nie poszło mu najlepiej na końcowych egzaminach w Cambridge, w związku z czym jego ojciec znalazł mu posadę w biurze rządu.

*Brak stypendium to najlepszy powód, aby podjąć taką pracę - pisał radośnie, ortografia nigdy nie była jego najmocniejszą stroną - dwie trzecie moich kolegów w pracy trafiło tu w ten sam sposób.*

Nic dziwnego, że nasz kraj stanął w obliczu skutecznej inwazji Francuzów!

Pani Debb powoli wracała do siebie. Odzyskiwała wigor i poczucie krytycyzmu. Jej własny upór i moja postawa przyczyniły się do jej częściowego powrotu do zdrowia.

- Wygrałam z panią trzy razy z rzędu, nie koncentruje się pani na grze - użyłam najskuteczniejszej broni w moim arsenale. Nie mogła się skupić, gdy jej umysł znajdował się pod nieustannym wpływem alkoholu. Nie potrafiła znieść

porażki, zwłaszcza gdy przegrywała ze mną. Tak więc, porcje alkoholu stopniowo zmniejszały się z dwóch kwart do pinta, z pinta do dram i tak dalej.

Zaczynałam mieć nadzieję. A pani Debb zaczęła snuć plany.

- Zamierzam sprzedać ten dom. Nigdy go nie lubiłam, wyniesiemy się gdzie indziej. Lecz dokąd? Oto jest pytanie, jak zwykł mawiać Hamlet.

Teraz jednak miałam już gotową odpowiedź.

- Och, proszę pani! Wyjedźmy do Portugalii!

- Do Portugalii, dziecko? Dlaczego, na Boga, do Portugalii?

- Mam tam dobrych przyjaciół. Ponadto, z tego, co wiem panuje tam bardzo zdrowy klimat. A... a poza tym, można się napić bardzo smacznego wina, a stosunki między ludźmi są przyjazne i bezpośrednie.

- Między Anglikami, jak rozumiem? W moim wieku nie zamierzam uczyć się portugalskiego, tego barbarzyńskiego języka.

- Ależ nie, żyje tam bardzo wiele angielskich rodzin. Zajmują się handlem winem.

- Dobrze, dobrze - powiedziała. - Warto się nad tym zastanowić. - W jej oczach przez chwilę pojawił się słaby blask. Po chwili dodała: - Skonsultuję się w tej sprawie z Penwithem.

- Penwith był jej prawnikiem. Wiedziałam, że pani Debb żyje z renty, którą - mając zdrowy rozsądek - wykupiła za sumę, jaka została jej po mężu.

Z nadzieją zaczęłam rozmyślać o przeniesieniu się do Porto. Mogłybyśmy wsiąść na statek w Bristolu. Zaczęłam notować, kiedy odpływały statki.

Pomysł ten spodobał się Pullett i Racheli.

- Pani potrzebuje zmiany - powiedziała Pullett. - Bath nigdy jej specjalnie nie służyło.

- Zawsze chciała odwiedzić inne kraje - powiedziała Rachel.

- A z panienki ręki wyraźnie wyczytałam podróż zamorską. Czy nigdy dotąd o tym nie mówiłam? Liście herbaty wskazywały na to samo.

Jedynie Tomasza ogarnęły wątpliwości.

- Uczyć się tego języka? Nigdy! - powiedział stanowczo.

Wtedy właśnie spotkałam panią Jeffereys, z domu Partridge. Nie zapomniałam o liście. Lecz w Delaford nie było możliwości, aby nań odpowiedzieć. A teraz, jako że pozostawałam w niełasce, wybrana za zgodą ogółu na czarną owcę Bath, nie wyobrażałam sobie, iż mogłabym zainicjować spotkanie z panią Jeffereys. Tak więc, nie odpowiadałam na jej wiadomość. Bardzo jednak żałowałam, że utraciłam szansę dowiedzieć się czegoś o mojej matce. Ale prowokowanie dalszych plotek i skandalu, byłoby nie w porządku w stosunku do pani Debb.

Jednakże pewnego wieczoru, kiedy wymknęłam się po zmierzchu, aby odetchnąć świeżym powietrzem, usłyszałam, że ktoś mnie woła, a raczej szepce z niepokojem:

- Panno Fitz-William! Och, panno Fitz-William!

Spacerując po molo, kierowałam się w stronę rzeki, zatopiona w myślach o łodziach, żeglarzach i wyprawie do Portugalii.

- Panno Fitz-William.

Odwróciłam się i zobaczyłam drobną kobietą postać drepczącą tuż za mną. Kiedy podeszła, jej twarz wydała mi się znajoma; musiałam ją widzieć kilkakrotnie, być może w pijalni wód lub w auli. Dwadzieścia lat temu zapewne była oszałamiająco piękna. Miała okrągłe oczy i różowe policzki, a czarne loki okalały jej twarz jak u młodej dziewczyny. Ubierała się bardzo schludnie, jak kobiety, które wciąż tęsknią za utraconą młodością, w różowy płaszczyk, a do kapelusika przyczepione były pączki róż. Cienki szal nie skrywał jej twarzy. Przy sobie miała różowy parasol.

- Och, kochanie! Trudno mi było cię dogonić! Chodzisz tak szybko! Myślałam już, że nigdy cię nie złapię! Panna Fitz-William, czyż nie? Nie pomyliłam się?

W jej głosie słychać było walijski akcent. Niezbyt mocny, lecz zauważalny i bardzo intrygujący.

- Tak, nazywam się Eliza Fitz-William.

- Clara Jeffereys - oznajmiła zadyszczanym głosem - z domu Partridge. Mój mąż, pan Jeffereys, ma duży sklep z towarami żelaznymi przy Cheap Street, musisz go znać. Moja matka, pani Partridge, wynajmuje pokoje przy w Edgars Buildings. Bardzo szykowne pokoje i tylko dla dam. Każda kobieta, która wychodzi spod auspicji mojej matki, może być spokojna, że wejdzie do najlepszego towarzystwa.

Słuchałam z zainteresowaniem, lecz nie rozumiałam, co wspólnego miało to ze mną.

- Pani Jeffereys, nie jestem pewna, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że moja sytuacja tutaj w Bath nie jest szczególnie korzystna? Niewykluczone, że to dzisiejsze spotkanie zrujnuje pani życie.

- Och, także coś! Nie dbam o to! - wykrzyknęła głośno, a jednak uważnie rozejrzała się po molo, które o tej porze było puste. - To prawda, że pan Jeffereys nie pochwaliby tego - dlatego też miałam nadzieję spotkać cię pewnego dnia na ulicy, lecz to wszystko bzdury i jestem pewna, że szybko pójdą w zapomnienie, choć z pewnością muszą cię ogromnie złościć. Poza tym rozumiem, w jaki sposób historia twej biednej matki, jeśli znów stanie się tematem plotek - skłoni ludzi do wiary w najgorsze.

- Pani Jeffereys! - krzyknęłam. - O jaką historię pani chodzi? Nikt mi nic nie powiedział. Nikt nie odpowiada na moje pytania. Kim była moja matka? Co jej się stało? Czy pani wie? Czy może mi pani powiedzieć? Wiem tylko tyle, że umarła, kiedy miała siedemnaście lat!

Pani Jeffereys wyglądała na niezmiernie zdziwioną.

- Ależ... kto naopowiadał ci takich rzeczy? Co za bzdury!

- To znaczy... to znaczy, że ona wciąż żyje?

- Kiedy ostatni raz słyszałam o niej... kochanie, jak dawno to było? - policzyła na palcach. - Dziesięć, dwanaście lat temu.

Przejeżdżała przez Bath, z lordem... z przyjacielem... i zatrzymali się w White Hart. Wysłała do mnie wiadomość i spotkałyśmy się... oczywiście nic nie powiedziałam panu Jeffereysowi, lecz tak się szczęśliwie złożyło, że wyjechał w odwiedziny do starszej siostry w Taunton. Och, długo plotkowałyśmy o minionych czasach! Byłyśmy razem w szkole, twoja matka i ja, tu w Bath... nie w szkole pani Haslam, lecz w innej, też bardzo dobrej. A potem zabrał ją pułkownik Brandon, lecz pozwalał, aby przyjeżdżała odwiedzać moją rodzinę. Mój drogi papa żył jeszcze. A Eliza i ja niezmiernie lubiłyśmy spacerować i rozmawiać. Jej słowa odebrały mi mowę.

- Chwileczkę, proszę pani, mówi pani, że moja matka była w Bath, kilka lat temu?

- Tak, tak. To już później oczywiście. Eliza powiedziała, że była w miejscu gdzie się wychowywałaś - Nether Hinton, czyż nie? Lecz nie spotkała cię tam.

- Czy zostawiła mi wachlarz?

- Niestety, nie wiem tego, moje dziecko, ale to bardzo możliwe. Eliza zawsze była najmilszą, najśłodszą osobą. W istocie, wielokrotnie ściągało to na nią kłopoty, gdyż ludzie często wykorzystywali jej dobre serce...

- Mówi mi pani, że moja matka ciągle żyje?

- Ciebie właśnie chciałam o to zapytać! - pani Jeffereys powstrzymała potok słów i zaczęła bacznie mi się przyglądać, jej oczy zrobiły się okrągłe. - To dlatego właśnie tak bardzo chciałam się z tobą spotkać! Byłam pewna, że musisz być jej córką... jesteście tak bardzo do siebie podobne... przypuszczałam, że wiesz, gdzie się znajduje.

- Ale ja zawsze myślałam, że ona nie żyje. Przygryzła wargę.

- Wydaje mi się, że ludzie są... a potem pułkownik Brandon... uprzejmy człowiek, lecz straszny z niego purytanin. Rozumiem teraz, jak to wszystko wyglądało. Sam pułkownik miał problemy. Matka Elizy była jego kuzynką. Umarła w strasznych mękach, a pułkownik, tak przynajmniej mówili ludzie, sam

wychowywał małą Elizę, moją Elizę, sam, można tak powiedzieć. Była jego chrześniaczką.

- Nie jego córką?

- Och, nie, moja droga. Nikt nie wiedział, kim był jej ojciec. Jej matka poślubiła starszego brata pułkownika, lecz potem uciekła od niego. Był brutalem, jak powiadali. Umarł, na szczęście, tak więc pułkownik odziedziczył majątek i wrócił z Indii, aby odszukać Elizę. Bardzo ją kochał, lecz nie mógł się z nią ożenić. Gdy jednak powrócił, było już za późno, ona już nie żyła. Tak więc, wychował jej dziecko - twoją matkę.

- Pułkownik Brandon kochał moją babkę, a ona umarła? I wychowywał jej córkę?

- Przecież ci tłumaczę, kochanie! Potem moja Eliza zakochała się w Willoughbym.

Na dźwięk tego nazwiska moje serce zabiło jak dzwon.

Willoughby. W.

Willoughby.

- Czy miał czarne włosy?

- Jak kruk! Myślę, że był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w moim życiu!

- Gdzie ona go spotkała?

- Tu w Bath. Kiedy mieszkała u mojej rodziny. Willoughby przyjechał z Allenham w hrabstwie Somerset. Mieszkał tam czasami u ciotki. Mówił, iż pewnego dnia odziedziczył tę posiadłość. Spotkałyśmy go w pijalni wód. Było to po tym, jak Eliza i ja opuściłyśmy szkołę. Och, był taki uroczy! Tak uduchowiony! Pełen elegancji, dowcipny, inteligentny i romantyczny. Cóż za sposób wysławiania się! Gdybyś mogła zobaczyć ich razem, byli jak... byli jak... - pani Jeffereys szukała właściwego określenia, lecz na próżno. W końcu powiedziała:

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.



- Cóż się stało potem?

- Tak... - powiedziała pani Jeffereys, składając i rozkładając swą parasolkę - w końcu namówił ją, aby z nim uciekła. Mówił, że pojedą do Gretna Green, lecz obawiam się nigdy tam nie dotarli. Obawiam się również, że nigdy się z nią nie ożenił, gdyż w rok lub dwa lata później przeczytałam w gazecie, że poślubił pannę Grey, bogatą damę z Londynu. Podobno miała pięćdziesiąt tysięcy funtów. A on był szalenie kapryśny, czego się obawiałam. I nie miał własnych pieniędzy. Wtedy ja byłam zaręczona z panem Jeffereysem, nigdy więc nie dowiedziałam się, co stało się z moją biedną, nieszczęsną przyjaciółką. Lecz wydaje mi się, że pułkownik wyzwiał Willoughby'ego na pojedynek.

Na niewiele się to zdało mojej biednej matce, pomyślałam.

- Czy wie pani coś o kobiecie, którą poślubił pułkownik? O pannie Mariannie Dashwood?

- Och, tak! - odpowiedziała ochoczo. - Moja kuzynka Alicja pracuje jako modystka w Clerkenwell i ma przyjaciółkę, która służyła u bogatej damy, pani Jennings. Panny Dashwood zatrzymywały się niegdyś u pani Jennings w Londynie, w czasie kiedy Willoughby poślubił pannę Grey. Biedna panna Marianna... ach, podobno była bardzo piękna! To dla niej właśnie pan Willoughby zostawił moją biedną Elizę. I nic dziwnego, jeśli była choć w połowie tak piękna, jak o niej mówili. Lecz nie miała dużego posagu, biedactwo, tak więc został przy niej tylko trzy miesiące, a potem zostawił ją dla panny Grey i jej pięćdziesięciu tysięcy. Biedna panna Marianna, o mało nie umarła ze smutku. Obawiam się, że moja Eliza musiała mieć złamane serce. Wszyscy mężczyźni są okrutni, wierz mi, kochanie. Wszyscy oprócz pana Jeffereysa - dodała łaskawie.

- A więc Marianna Dashwood także została oszukana przez Willoughby'ego i poślubiła pułkownika. A portret Willoughby'ego schowała w książce - pomyślałam. Biedactwo.

- Przedtem jeszcze była zaręczona z kimś innym, lecz nie chciała go, ten zaś poślubił jej siostrę - pani Jeffereys powiedziała to, jakby chciała mnie zapewnić, że Marianna, choć opuszczona przez Willoughby'ego, miała przynajmniej wielu adoratorów.

- Naprawdę? - wykrzyknęłam z ogromnym zaciekawieniem. - Kto to był? Niestety tego już nie wiedziała.

- Pani Jeffereys, czy jest pani pewna, że nie wie pani nic o miejscu pobytu mojej matki?

- Kochanie moje, powiedziałabym ci, gdybym wiedziała. Jesteś do niej tak bardzo podobna, wiesz o tym - wykrzyknęła znowu, ocierając łzy. - Domyśliłam się, że musisz być jej córką, od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam.

- Kiedy ostatni raz widziała pani moją matkę, wszystko było u niej w porządku i była szczęśliwa?

- Tak, moje dziecko. Istotnie tak było, kiedy przybyła tu i mieszkała w White Hart.

- Z kim wtedy była?

Pani Jeffereys spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Kochanie, mówiąc krótko, z pewnym lordem. Nigdy nie wyjawiała mi jego imienia. Lecz powiedziała mi, że ma jakiś plan. Kiedy chodziłyśmy razem do szkoły, Eliza była zawsze lekkomyślna, lecz widzę, że od tamtego czasu nauczyła się ostrożności. Zamierzała otworzyć interes w Londynie. Mówiła, że zrobi to, gdy tylko odłoży trochę pieniędzy.

- Interes! Jaki interes?

- Dom gry. Wiele z nich, jak sama wiesz - szybko wyjaśniła pani Jeffereys - cieszy się dobrą reputacją.

Zdziwiona tą wiadomością zauważyłam:

- Pani Jeffereys, dwóch dżentelmenów zmierza w naszą stronę. Jeśli nie chciałaby pani, żeby widziano nas razem...

- Och, dziękuję ci, moje dziecko, to rozsądnie z twojej strony. Tak, obawiam się, że pan Jeffereys byłby bardzo... to nieistotne. Dasz mi znać, kochanie, jeśli będziesz coś wiedziała o Elizie? Byłabym szczęśliwa usłyszeć coś o niej...

Mocując się z parasolem, pani Jeffereys pośpiesznie udała się w stronę Avon Street, a ja powoli szłam do domu przy New King Street.

Wydarzenia tego dnia zdumiały mnie. Czułam się tak, jakbym poruszyła mały kamyczek, ściągając ogromną lawinę.



## Rozdział ósmy

---

Tego wieczoru nie rozmawiałam z panią Debb. Ostatnio wcześniej chodziła spać i często leżała już w łóżku, gdy ja wychodziłam na dwór. Kilka razy proponowałam, że zagram z nią w karty albo zaśpiewam, lecz ona, rozglądając się smutno po pustym pokoju, odpowiadała:

- Nie, moje dziecko, nie. Muzyka pasuje do towarzystwa, nie do samotności...

Przenikały mnie dreszcze na wspomnienie radosnych rozmów, śmiechów i piosenek, jakie rozbrzmiewały ongiś z okna salonu przy New King Street.

Muszę przyznać, że po spotkaniu z panią Jeffereys długo nie mogłam zasnąć, gdyż głowę zaprzętały mi przebiegające szybko myśli.

Fakt, że przez tyle lat - przez całe życie - wierzyłam, że mojej mamy nie było już na tym świecie i przypadkowe odkrycie, że nie tylko nie odeszła, ale osiedliła się w Londynie, zarządza domem gry, prowadzi komfortowe, acz niechlubne życie lub jest na utrzymaniu bogatego arystokraty, wystarczyły, aby zburzyć moje uporządkowane dotąd życie.

Cóż moja matka robiła przez te wszystkie lata? Czy pułkownik Brandon kiedykolwiek jej pomógł? Czy on także wierzył, że nie żyje? Dlaczego odwiedziła mnie tylko raz? Czy pułkownik zabronił jej widywać się ze mną? Jaka była moja matka?

Jeśli chodzi o wygląd fizyczny, było jasne, że musiałyśmy wyglądać jak lustrzane odbicia, co oczywiście nie oznaczało podobieństwa charakterów. Pragnęłam jednak dowiedzieć się o niej czegoś więcej. I z pewnością, gdyby tylko dane mi było ją odnaleźć, nie odrzuciłaby mnie. A jeśli obiecała pułkownikowi, w zamian za to, że to on się mną zajmie, że nie będzie się do mnie zbliżać? Albo zażądał tego jej obecny opiekun, któremu być może urodziła dzieci?

A jakie miejsce zajmował tu mój ojciec, Willoughby? Wiedziałam tylko, że poślubił pannę Grey i jej pięćdziesiąt tysięcy funtów i oczekiwał spadku - małej posiadłości w Somerset, której nazwy zapomniałam. Allingham? Annington? Prawdopodobnie nie znajdowała się daleko od Delaford.

Przypomniałam sobie uwagę poczynioną przez Edwarda Ferrarsa trzy lata temu, kiedy sądził, że nie słyszałam, o czym rozmawiał z żoną. Eleonora spytała wtedy: „Czy myślisz, że ludzie będą mówić?”, a on odpowiedział: „On mógłby się o tym dowiedzieć... Podobieństwo jest zdumiewające”.

Chodziło zatem o podobieństwo nie do Willoughby'ego, lecz do matki. Porzucił ją tak samo jak Mariannę Dashwood i być może wiele innych kobiet, zanim związał się z panną Grey i jej pięćdziesięcioma tysiącami. Niezbyt wysoko ceniłam Willoughby'ego, mego ojca, choć był przystojny, energiczny, tryskający humorem, człowiekiem wrażliwym i inteligentnym. „Wszyscy mężczyźni są okrutni”, powiedziała pani Jeffereys. Przekonałam się o tym już wcześniej, w Dolinie Bękartów, gdzie frywolni ojcowie pozostawiali potomstwo, nie chcąc się do niego przyznać.

Ilu mężczyzn, których znałam, nie byłoby zdolnych do takiego okrucieństwa? Był więc Edward Ferrars - ostoja moralności, pułkownik, był Tomasz, no i oczywiście panowie Bill i Sam. Cóż jednak naprawdę o nich wiedziałam? Pan Sam miał żonę, pan Bill siostrę, ale czy szanowali i wspierali te kobiety? A jeśli mieli dzieci, czy sami je utrzymywali?

Zastanawiałam się, czy mogłabym napisać list do Willoughby'ego na adres w Allingham czy Ammingham, Somerset: Drogi panie, mam powody przypuszczać, że jestem pańską córką. Byłabym szczęśliwa pana poznać i wielce zobowiązana, gdyby zdecydował się pan podać mi adres mojej matki i łożył na moje utrzymanie. Znając jednak szczegóły z jego życia, mogłam domniemywać, że dawno już wydał pięćdziesiąt tysięcy panny Grey. Poza tym, jak ona sama zareagowałaby na wieść o moim istnieniu? Prawdopodobnie wcale nie chciałaby mnie poznać.

Nękana zagmatwanymi i sprzecznymi myślami w końcu zasnęłam.

Następnego ranka pobiegłam do pani Debb, aby donieść jej o zdarzeniach dnia poprzedniego.

Ostatnio wylegiwała się aż do południa, a czasem nawet dłużej. Znalazłam ją w łóżku, bladą i otuloną w wełniany szal. Wiosenne poranki wciąż były mroźne. Z niepokojem zastanawiałam się, jak radziła sobie Eleonora Ferrars i czy pani Ashcott pamiętała, aby zgotować owsiankę. Pani Debb piła kakao, na jej twarzy malował się smutek i obrzydzenie. Porozrzucana korespondencja leżała na pościeli.

- Niech pani posłucha! Odkryłam niesamowitą rzecz! Ignorując moją uwagę powiedziała:

- Spójrz na to! - i rzuciła we mnie listem. Rozpoznałam pismo Edwarda Ferrarsa. Zaczęłam czytać:

*Droga Pani,*

*Żałuję, że zmuszony jestem zawiadomić panią o pożałowania godnej i skandalicznej sprawie, o której dowiedzieliśmy się z wiarygodnego źródła. Sprawa ta związana jest z młodą osobą, przebywającą obecnie w pani domu. Młoda osoba, której rzecz się tyczy, znana jest jako panna Fitz-William. Wiadomość, jaką otrzymałem, powstrzymuje mnie, aby kiedykolwiek jeszcze wziąć ją pod mój dach. I usilnie zalecam, aby pani także nie traciła czasu i wyrzuciła tę nędzną kreaturę ze swego domu. Przykro mi donieść, iż zachowanie tej osoby przeczy wszelkim zasadom moralności i przyzwoitości.*

*Mam zaszczyt, droga pani, pozostać pani pełnym szacunku przyjacielem*

*Edward Ferrars*

Wiarygodne źródło! - krzyknęłam rozzalona. - Jestem pewna, że to wiarygodne źródło to nikt inny, tylko ta żalсна pleciuga Nell Ferrars!

Teraz, oczywiście, pożałowałam, że napisałam do Nell, by wróciła do domu i zajęła się matką. List Edwarda Ferrarsa był najwyraźniej konsekwencją mego zachowania.

- To dlatego, że napisałam do niej, iż powinna wrócić do Delaford. Naturalnie Nell wolała zostać przy Berkeley Square i przymilać się do lady Heleny. Ale proszę posłuchać, nadszedł chyba najwłaściwszy moment, abym powiedziała pani o tym, czego się dowiedziałam...

Nie zastanawiając się, zrelacjonowałam przebieg spotkania z panią Jeffereys. Pani Debb słuchała w ciszy.

- Jak sama pani widzi - zakończyłam - nie będę już dłużej ciężarem dla pani i nie będę przynosić więcej kłopotów, gdyż, jestem tego pewna, gdy opuszczę ten dom, pani przyjaciele z pewnością wrócą... Udam się na poszukiwania mojej matki...

- L....lll....lecz...

Jej jąkanie bardzo mnie zdziwiło. Nagle stała się jeszcze bledsza... zupełnie blada.

- O co chodzi, proszę pani?

- Mieliśmy jechać do Pppp... Port...

Pani Debb zwała się do przodu, prosto na tacę ze śniadaniem. Pullett przybiegła na dźwięk uderzenia.

- Och, panno Lizo! Co, na Boga, panienka jej powiedziała?

Krztusząc się, wyjaśniłam Pullett, co się stało, gdy biegłyśmy po ciepłą wodę i ręczniki. Wytarłyśmy twarz pani Debb i ułożyłyśmy ją wygodnie, podczas gdy Tomasz pędem pojechał po lekarza.

- Powiedziała panienka, że chce jechać do Londynu w poszukiwaniu matki? Och, panno Lizo... pani tak bardzo cieszyła się na wyjazd do Portugalii... tak często o tym wspominała: „Kiedy już wyjedziemy z panną Lizą w beztróską podróż do Lizbony” - mówiła - „będziemy robić to i owo...”

Spoglądałyśmy na siebie w ciszy, a ja przeklinałam dzień, kiedy się urodziłam.

Doktor powiedział, że pani Debb miała wylew, lecz może wrócić do zdrowia.

- Obawiam się jednak, że jej stan pogorszył się z powodu nadużywania alkoholu, zwłaszcza brandy, którą raczyła się przez ostatnie kilka tygodni.

Przyczyną były też listy z pogrózkami, które otrzymywała od Sydneya Wetherella.

„Proszę zapłacić pięćdziesiąt funtów albo zawiadomię wszystkich i przyprowadzę świadków, którzy zeznają, że widzieli, jak 15 stycznia wkładała pani dwie chustki i jard jedwabnej wstążki...

Pół tuzina podobnych listów znalazłyśmy w jej torebce.

- Och, moja biedna pani! - zapłakała Pullett. - Dlaczego nigdy mi o nich nie powiedziała? Nic dziwnego, że chciała popłynąć do Portugalii i uciec od tego łajdaka.

Lecz pani Debb nie było dane pożeglować do Portugalii.

Jej stan zdrowia poprawił się na tyle, że mogła rozmawiać, a nawet trochę zjeść. Jej dusza jednak cierpiała. Pani Debb prawie nie zwracała na nas uwagi, kiedy wchodziłyśmy i wychodziłyśmy, gdy do niej mówiłyśmy i przynosiłyśmy jej posiłki. Jej oczy i myśli błądziły gdzieś daleko.

Pewnego dnia odezwała się do mnie cicho:

- Jak mówiłaś, kto jest twoim ojcem, moje dziecko?

- Willoughby, proszę pani.

- Czy ja go znam? - zapytała jeszcze słabszym głosem.

- Nie wiem, proszę pani.

- Nie, nie sędzę, abym go znała. I nie wydaje mi się, by znał go pan Debb.

Pan Debb zaprzętał jej myśli. Często o nim mówiła, jakby wydawało jej się, iż za chwilę wejdzie do pokoju. Innym razem, zacinając się, oznajmiła:

- Chciałabym, abyś wzięła moje rubiny, Elizo.



- Ależ, proszę pani...!

Rubiny stanowiły ogromnie elegancki i drogocenny zestaw składający się z naszyjnika, bransoletki, kolczyków i dwóch dużych, okrągłych broszek. Czasami pani Debb wkładała cały komplet, aby dodać blasku nudnym wieczorom spędzonym na wieście w towarzystwie znajomych. Ostatnimi czasy nie nosiła biżuterii.

Śmiejąc się, powiedziała:

- Ależ, proszę pani, zawsze mi pani mówiła, że rubiny nie są dla mnie. Nie pasują do moich włosów.

- Nieważne. Są dużo warte. Pieniądze będziesz mogła w coś zainwestować.

- Cóż jednak stanie się z biednymi Ferrarsami? Eleonora potrzebuje pieniędzy bardziej niż ja.

- To nie twoja sprawa! - mruknęła. - Zrobię to, na co będę miała ochotę.

- Tak, proszę pani, oczywiście - starałam się ją uspokoić.

- Nic im nie jestem winna. Zabraniam ci... Dam te rubiny, komu zechcę - powtórzyła, a ja powstrzymałam się przed komentarzem, iż ustne dyspozycje co do podziału majątku nie mają mocy prawnej.

Pani Debb nie poprzestała jednak na tym. Wezwała Rachelę i Tomasza, a Pullett kazała przynieść kamienie schowane w mahoniowej szafie, przywiezione z poprzedniego domu.

- Dajcie to Lizie. Dajcie jej to do rąk - wysapała. - Teraz będziecie świadkami... wy dwoje... Rachelo! Tomaszu!

- Proszę pani - zawahała się Rachelę, a jej twarz zmarszczyła się z niepokoju - trzeba to napisać. Musi pani coś napisać. Tomasz powie to samo.

Tomasz skinął głową.

Pani Debb nie mogła pisać. Była w stanie postawić jedynie kilka niewyraźnych, rozmazanych znaków i niewiele więcej.

- Powinniśmy wezwać prawnika - pana Penwitha - on może napisać oświadczenie złożone pod przysięgą albo coś w tym rodzaju.

Pani Debb wolno pokiwała głową.

- Jutro... rubiny... dla Elizy - powtórzyła. Tej nocy umarła.

Byłam przy niej, gdyż Pullett, która czuwała przy łóżku, zaniepokojona jej oddechem, posłała po mnie. Podniosłyśmy ją i zaproponowałyśmy trochę brandy, to bowiem zawsze pomagało pani Debb. Gdy Pullett poszła po alkohol, pani Debb otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

- Proszę pani? - zapytałam cicho. - Czy pani rzeczywiście zabrała tę koronkę?

Jedno oko zamknęło się powoli. Potem drugie. Żadne z nich nie otworzyło się już więcej. Po chwili pomogłam pani Debb oprzeć się o poduszkę.

Pullett, która wróciła właśnie z brandy, wydała z siebie długi, przeciągły jęk.

Nie dostałam rubinów. Pan Penwith, prawnik, choć był uczciwym człowiekiem, przeraził się tym pomysłem. Pullett, Rachela i Tomasz na próżno zapewniali go, że taka była wola pani Debb, wszyscy mogą to poświadczyć. Nie uwierzył w ani jedno słowo.

- Moi dobrzy ludzie, każdy może wszystko powiedzieć! Pewne rzeczy muszą zostać podpisane i przypieczętowane. W testamencie pani Debb jest wyraźnie napisane, że rubiny mają zostać oddane pani Busby. Sam się o to zatroszczyć - zakończył, wkładając pudełko pod pachę.

W testamencie pani Debb zapisała pięćset funtów kuzynce, pani Eleonorze Ferrars. Ucieszyło mnie to niezmiernie, choć obawiałam się, że mąż Eleonory przywłaszczy wszystko co do pensa na rzecz probostwa. Pozostała, drobną biżuterię, oprócz rubinów, rozdzieliła pomiędzy swych perfidnych przyjaciół, którzy ją opuścili, a dom przy New King Street zapisała „moim wiernym sługom Racheli i Tomaszowi Kennetom”. Sto funtów przeznaczyła dla Pullett. Mnie nic nie przypadło w udziale, w testamencie była tylko dziwna wzmianka: „Zapisuję moją drogą Pullett i pannę Elizę Fitz-William sobie nawzajem”.

- To niepojęte, nie do przyjęcia - stwierdził pan Penwith ze złością. - Powiedziałem o tym pani Debb, lecz ona zrobiła to, co chciała; nie zwróciła uwagi na moje rady. Oczywiście to nic nie oznacza, nic zupełnie!

Pani Debb zostawiła bardzo mało pieniędzy. Sprzedaż mebli i rzeczy osobistych z ledwością pokryła zapisy testamentowe.

Cieszyłam się ze względu na Tomasza i Rachełę, którzy postanowili opiekować się domem i wynajmować go, co w Bath zawsze zapewniało dostatnie życie.

- A panienka będzie naszym pierwszym gościem, panno Lizo, za darmo i na tak długo, jak sobie tego panienka życzy. Pani Debb darzyła panienkę ogromną sympatią i wiemy, iż z pewnością życzyłaby sobie tego.

- Och, Rachelo, przysporzyłam jej tylko zmartwień. Żałuję, że w ogóle weszłam jej w drogę.

- To bzdury, panienko. Ona panienkę kochała. Przez te ostatnie kilka lat była szczęśliwsza i radośniejsza niż kiedykolwiek od śmierci pana Debba.

Teraz było już za późno. Żałowałam ogromnie, że nie zadałam pani Debb więcej pytań na temat jej męża, dzieciństwa i poprzednich lat życia. Zachowanie to właściwe jest młodym ludziom, którzy myślą, że czas nie ma granic, oczekując, iż starsi będą żyli wiecznie. Pytania zawsze odkłada się na później.

Nie miałam zamiaru pozostać w Bath, o czym powiedziałam Tomaszowi i Racheli. Nic mnie tu już nie trzymało.

- Jadę do Londynu, poszukać matki.

- Pojadę z panienką - oświadczyła Pullett.

Prawdę mówiąc, choć ujęło mnie jej oddanie, propozycja ta niezbyt mnie ucieszyła. Czułam, że obecność Pullett może okazać się uciążliwa i niewygodna.

- Nie, nie, Pullett. Musisz zostać tu w Bath, z przyjaciółmi. Skąd mam wiedzieć, czy starczy mi pieniędzy dla nas obu? Właściwie nie spodziewam się, że będę w stanie utrzymać samą siebie.

- Pomogę panience - odrzekła Pullett. - Mogę pracować, szyć i prać. A szanująca się panna nie powinna podróżować sama.

Zrozumiałam dobrze, co chciała powiedzieć: teraz będziesz musiała odzyskać utracony szacunek.

Nikt z przyjaciół pani Debb nie pojawił się na jej pogrzebie. Tylko Tomasz, Rachela, Pullett i ja opłakiwaliśmy jej śmierć przy grobie. Wróciliśmy do domu w ciszy, pozostawiając ją samą, spoczywającą w trumnie, pod mokrą od deszczu ziemią. Miałam nadzieję, że połączy się z panem Debbem i że rubiny będą ocierać skórę na szyi pani Bussy, siwowłosej plotkarki.

Pullett i ja wyjechałyśmy do Londynu, uprzednio poczyniwszy odpowiednie przygotowania. Usilnie nakłaniana przeze mnie, Tomasza i Rachelę, Pullett ulokowała otrzymane sto funtów w banku. Tak więc, miałyśmy bardzo niewiele pieniędzy. Wydałam już prawie całą ostatnią pensję ze szkoły pani Haslam, a pani Debb nie wypłaciła służącym ostatniej tygodniówki. Sprzedałam kilka książek, które dostałam podczas mego pobytu w Bath. Rachela i Tomasz sprzedali fortepian pani Debb. Nie będzie go już potrzebowała, jak powiedzieli.

Napisałam list do pani Jeffereys, zawiadamiając ją o mych zamiarach. Przysłała mi adres swej kuzynki pani Widdence, modystki w Clerkenwell, która, jak pisała, często wynajmowała pokoje na poddaszu za niewielką opłatą.

Tak więc, przynajmniej w Londynie miałam adres, pod który mogłam się udać.

Zajmę się tym i pieniędzmi - oświadczyła Pullett stanowczym głosem, wkładając kartkę z adresem pani Widdence do torebki. Podczas pakowania wciąż gdakała jak kura, doprowadzając mnie do wściekłości. Biedna Pullett! Nowy obowiązek przyprawiał ją o niemałą dumę.

- Pani dobrze wiedziała, co pisze, dodając to krótkie zdanie do swego testamentu! - powtarzała. - Pani Debb znała naturę panienci i wiedziała, że potrzebuje panienka roztropnej opiekunki.

Tak oto, w przyjaznym nastroju udałyśmy się w podróż do Londynu. Żalowałam jedynie i czułam złość, myśląc o tym, że obecność Pullett zniweczy moje szanse na wielką przygodę...

Dojechawszy do Londynu po zmroku, wysiadłyśmy przy Paddington Green, gdzie chwilę wcześniej skończył się jarmark wielkanocny. Tłum powoli się rozchodził, ludzie krzyczeli, biegali, co chwila słychać było wybuchające petardy.

- Co teraz zrobimy, panienko?

Pullett rozglądała się ze strachem. Pewność siebie nagle ją opuściła.

- Musimy znaleźć dorożkę, która zawiezie nas do Clerkenwell. Zostań tutaj z tobołkami, a ja poszukam najbliższego postoju.

- Niech panienka szybko wraca! - krzyknęła Pullett. Gdy sprowadziłam dorożkę, była już bliska paniki.

- Myślałam, że nigdy już panienki nie zobaczę! Ten tłum jest taki okropny!

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, kiedy wydała z siebie przerażający wrzask.

- Pieniądze! Nie ma pieniędzy! Moja portmonetka! Ktoś musiał wyciągnąć ją z kieszeni!

Jak szalona zaczęła się obmacywać, usiłując udowodnić samej sobie, że się myli. Niestety okazało się, że portmonetka z całym naszymi oszczędnościami przepadła.

- Och, panienko Lizo! Co teraz zrobimy? Co zrobimy?

- Co się dzieje? - podejrzliwie dopytywał się dorożkarz, słysząc lamentowanie Pullett. Dowiedziawszy się, co się stało, zatrzymał konie, odmówił dalszej drogi i wyrzucił nas na ulicę. Wymachując batem, życzył nam jak najgorszego losu i po chwili zniknął nam z oczu.

- Och, proszę, przestań jęczeć, Pullett! Przez ciebie ludzie się na nas patrzą.

Dotarłyśmy do zaludnionej dzielnicy. Spojrzałam w górę na oświetlone napisy i odkryłam, że znajdowałyśmy się na rogu Oxford Road i Bond Street.

- Usiądź na tobołkach, Pullett, i rozłóż swój szal, a ja będę śpiewać.

Zainspirowana płaczem Pullett, który ściągnął już uwagę przechodniów, rozpoczęłam mój recital donośnym, przeciągłym okrzykiem. W Dolinie Bękartów zwykliśmy przywoływać się w ten sposób, jeśli rozdawano coś dobrego lub chcieliśmy się w coś pobawić:

Och, hoooo! Och hooo! Och hooo!

Śpiewało się to lub krzyczało na całe gardło, zmieniając tonację. Dźwięk ten miał ogromną siłę i przebijał się bardzo daleko, nawet przez londyński zgiełk.

Przechodnie odwracali się, aby na mnie spojrzeć.

Potem, nie czekając już dłużej, rozpoczęłam ballady, które zwykłam śpiewać w Somerset, nie układne arie operowe, godne publiczności w Bath, lecz wesołe, rytmiczne piosenki. Spodobały się przechodniom, wkrótce więc przyłączyli się do śpiewu. Udało się. Zgromadził się tłum, a po jakimś czasie spora grupka nuciła, tupiała i kiwała głowami.

Kilka pensów spadło na szal, który Pullett nerwowo rozpostarła na ulicy, potem jeszcze kilka, potem srebrna moneta czy dwie, a potem deszcz pieniędzy. Dostrzegłam nawet błysk złota.

Wtem, ni stąd ni zowąd, pojawił się wściekły posterunkowy.

- Wynoście się stąd, kobiety! - Nie przytoczę dokładnych słów, których użył. - Nie możecie tu tego robić! To porządna okolica! Tamujecie ruch uliczny!

Odpowiedziałam z najlepszym akcentem z Queen Square - panna Orrincourt byłaby dumna, słysząc mnie.

- Tak ogromnie mi przykro, panie oficerze, lecz w tłumie przy Paddington ktoś ukradł nasze pieniądze. Musimy dostać się do Clerkenwell. Teraz jednak już chyba wystarczy nam na dorożkę, jak pan myśli?

Szybko zebrałam pieniądze z ziemi, po czym wcisnęłam mu w dłoń błyszczącą monetę.

- Och, skoro tak - powiedział - znajdę panience dorożkę. Tylko proszę już nie śpiewać! To zabronione, będę zmuszony zabrać panienkę ze sobą. Proszę się rozejść, proszę się rozejść - poganiał tłum, który powoli i bardzo niechętnie zaczął się rozchodzić. W chwilę potem posterunkowy zniknął w poszukiwaniu dorożki.

- Na mą duszę, proszę pani! - wykrzyknął elegancko ubrany mężczyzna, który podczas recitalu wpatrywał się we mnie uporczywie. - Na mą duszę, potrafi pani śpiewać stare ballady! Wydawało mi się, że jestem znów w Eton! Ma pani głos, który zadowoliłby nawet handlarza śledzi. Na mą duszę, naprawdę! Jeśli będę wyprawiał przyjęcie, od razu zatrudnię panią. Na mą duszę, naprawdę to zrobię!

Mówił powoli, w sztuczny sposób, wpatrując się we mnie przez szkiełko osadzone w rączce laski. Uśmiechał się przy tym, pewny siebie, jakby chciał mnie wy badać.

- Dziękuję panu - odrzekłam chłodnym tonem i zajęłam się zwijaniem szala Pullett. Pieniądze zawiązałam w chustce.

- Och, chodź już, mój drogi, na litość boską! - wykrzyknęła elegancko ubrana, piękna kobieta o ostrych rysach twarzy, ciągnąc za rękę mego rozmówcę. Najwyraźniej nie spodobałam się jej. Pogardliwym wzrokiem obrzuciła mój niestaranny strój, znoszony czepek i brudne włosy wystające spod słomkowego ronda. - Chodź już, Robercie, proszę! - powtórzyła. - Spóźnimy się do twojej matki! - co powiedziawszy, pociągnęła go mocno za sobą. Wolno podążył za nią, jakby chciał podkreślić swoją niezależność, rzucając za siebie kilka spojrzeń.

W tym momencie nadjechała dorożka. Pogoniłam Pullett, aby wsiadła i podałam jej tobołki.

- Nie znamy adresu! - jęknęła. - Nie znamy adresu w Clerkenwell!

- Dowiemy się na miejscu. Chciałybyśmy dotrzeć do domu pani Alicji Widdence - wyjaśniłam dorożkarzowi. - Wynajmuje pokoje nad sklepem z kapeluszami. Wydaje mi się, że mieszka pod numerem piętnastym. - Skinął głową, najwyraźniej przyzwyczajony do takich niedokładnych wskazówek.

Podziękowałam przyjaznemu posterunkowemu i właśnie miałam wdrapać się do dorożki, kiedy podszedł do mnie starszy dżentelmen.

- Przepraszam, proszę pani - odezwał się uprzejmie - czy jest pani profesjonalistką?

- Profesjonalistką, proszę pana? - spojrzałam na niego badawczo.

- Muzykiem.

- Ja... tak... uczę muzyki i śpiewu.

- Cudownie - wymamrotał - cudownie. Pozwoli pani, że dam pani moją wizytówkę.

I podał mi bilet wizytowy, który włożyłam do chustki wraz z monetami.





## Rozdział dziewiąty

---

Pani Alicja Widdence była pulchną kobietą o miękkich rysach i delikatnym głosie. Niezliczone pukle jej złocistych loków zawdzięczały swój kolor sztuce fryzjerskiej, a nie naturze. Poruszała się szybko i lekko, a jej wzrok był przenikliwy i bystry. Nic, co robili pracownicy, nie uszło jej uwadze, a w zakładzie w Clerkenwell zatrudniała przynajmniej trzydzieści pracowników, dziesięć czeladniczek, nie mówiąc już o uczennicach, tragarzach, gońcach i sprzedawczyniach. Duża część pracy wykonywana była poza zakładem. Skrojone spódnice o rozmaitych wzorach, niezależnie od tego, jak dobry i drogi był materiał, rozsyłano do zszycia biednym dziewczynkom i ubogim szwaczkom mieszkającym w kamienicach przy wąskich uliczkach na północy miasta. W sklepie praca posuwała się szybko i bez przerw. Zatrudnione tu dziewczyny mogły czuć się szczęśliwe, jeśli udało im się przespać cztery godziny w ciągu nocy. Kreacje pani Widdance słynęły z oryginalności, a suknie, płaszcze, kożuszki były poszukiwane przez wszystkie modne damy. Dlatego właśnie pani Alicja obawiała się, że któryś z jej projektów może zostać wykradzony lub trafi do konkurencji.

Nie miałyśmy najmniejszego problemu z odnalezieniem jej posiadłości, gdyż od razu rzucała się w oczy. Na północ od Clerkenwell Road pani Widdence posiadała trzy domy stojące obok siebie. Znajdowały się tam salony wystawowe o dużych, ładnych oknach przedzielonych mosiężnymi poprzeczkami, na których wisiały próbki wyrobów - elegancka suknia przystrojona delikatnymi kwiatkami, koronkowy szlafrok i jedwabna kamizelka. Na górze znajdowały się duże pracownie z długimi stołami, przy których siedziały uczennice szyjące tak szybko, jakby od tego zależało ich życie. Część poddasza przeznaczano na miejsce do spania dla pracowników, kiedy znalazły chwilę czasu, aby się zdrzemnąć. Pozostałą część pani Widdance wynajmowała takim osobom, jak my. Piwnice służyły za magazyn.

- Coś śmierdzi w tym domu! - powiedziała Pullett, marszcząc nos z niezadowoleniem. - Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że pod piwnicami jest kloaka, panno Lizo. To nie jest zdrowe miejsce, jeśli ktoś by mnie pytał o zdanie.

Pullett, która o mało nie doprowadziła nas do zguby tracąc portmonetkę, pragnęła na nowo zdobyć moje zaufanie, przypominając mi o swych nadludzkich mocach. Później, istotnie dowiedziałyśmy się, że jej diagnoza była słuszna. Pod piwnicami odkryto dół kloaczny, a co więcej, odnaleziono w nim kilka martwych ciał dziewcząt, które zaginęły w tajemniczych okolicznościach.

Kiedy przedstawiłyśmy nasze listy uwierzytelniające i zapłaciłyśmy cztery szylingi za tydzień pobytu z góry, zapytałam panią Widdence, czy zna miejsce pobytu mej matki. Lecz tu spotkał mnie zawód. Pani Widdence nie słyszała nigdy o takiej osobie. Nikt o nazwisku Williams nie otwierał domu gry w Londynie, ani też nikt, kto posiadał taki dom, nie odpowiadał opisowi mojej matki. A pani Widdence miała dostęp do takich informacji. Jednak, jako że wcześniej pracowała u pani Jennings, mogła - co zresztą chętnie czyniła - dostarczyć nam wiadomości na temat innych członków rodzin Dashwood i Ferrars.

Sama pani Jennings, uprzejma, bogata, stara kobieta - w jej domu przy Berkeley Street mieszkały siostry Dashwood w czasie, gdy Willoughby zalecał się do Marianny - umarła dwa lata wcześniej na puchlinę wodną. A gospodyni zostawiła pokaźny spadek. Pani Palmer, młodsza córka pani Jennings, nie przyjeżdżała już do Londynu, lecz przebywała w Cleveland - w posiadłości swego męża niedaleko Bristolu. Podobnie pan John Dashwood, starszy brat Eleonory Ferrars, rzadko widywany był w mieście. Zajmował się ciągłym odnawianiem i przebudową swego dworu Norland w Sussex. Stara pani Ferrars, matka Edwarda, wciąż mieszkała przy Wimpole Street, a jej młodszy syn Robert, który poślubił pannę Lucy Steele, miał dom niedaleko Hanover Square i odwiedzał matkę każdego dnia. Starsza panna Steele nigdy nie wyszła za mąż i wróciła do swych krewnych w Plymouth. Sir John Middleton, który poślubił starszą córkę pani Jennings, miał dom

przy Conduit Street, a w Londynie przebywał rzadko. Jego pierwsza żona umarła, więc powtórnie ożenił się z dużo młodszą od siebie kobietą.

Nic z tego, co odnosiło się do zupełnie nieznanym mi osób, nie zaciekało mnie specjalnie, aż do chwili, gdy pani Widdence dodała:

- Lady Middleton kupuje tutaj bardzo wiele sukien, a sir John jest bardzo hojny, nie oszczędza na niczym, co podoba się jego pani. A panna Dashwood często z nią przychodzi, czasami odwiedza nas także starsza pani, kiedy jej umysł pozostaje niezmacony. Obie są także stałymi klientkami mojego sklepu przy West End.

Aha! - pomyślałam. - Być może, jest to dla mnie szansa spotkania Małgorzaty Dashwood. Teraz, kiedy wiem już wszystko o Willoughbym, nie może skrywać przede mną informacji, jakie posiada. Może nawet wie, gdzie on się teraz znajduje.

- Co słyhać u panny Nell Ferrars, siostrzenicy panny Dashwood? Tej, która mieszka u lady Heleny Lauderdale?

- Och, one nigdy tu nie przychodzą! Są zbyt dystyngowane i eleganckie, żeby odwiedzać tę część miasta. Odwiedzają natomiast salon przy Bond Street, a lady Helena wydaje tam dużo pieniędzy. Panna Ferrars nic nie kupuje. Dobry Boże, ona nie ma nawet pięciu pensów. Czasami lady Helena kupuje dla niej sukienkę lub parę pończoch. Mówi się, że panna Nell znalazła odpowiedniego kandydata. To także może zmienić sytuację.

Nieszczęśnik, pomyślałam. Z pewnością nie zdaje sobie sprawy z tego, za kogo się zabiera? Gdyby tylko wiedział, z pewnością uciekłyby gdzie pieprz rośnie. Chyba że jest starym wygą...

- To bogaty kupiec z Indii, znacznie starszy od niej - powiedziała pani Widdence, potwierdzając moje przypuszczenia. - Pan Józef Sedgwick. Często zmienia żony. Panna Ferrars będzie trzecią. Wydaje mi się jednak, że sytuacja szybko może się zmienić... - Rozejrzała się czujnie po pracowni, po czym za-grzmiała:

- Panno Smith! Ten stan jest zbyt długi, widzę to nawet stąd! Bezmyślna, nieoszczędna dziewczyna!

Pracownica zrobiła się biała jak kreda i spuściła głowę, wracając do pracy.

Nasze pokoje były bardzo maleńkie, pani Widdence nie miała więc nic przeciwko temu, abym większość czasu spędzała z Pullett w dużym salonie wystawowym na dole. Miejsce to przypominało klub albo salę zgromadzeń, z połyskującą podłogą i czerwonymi aksamitnymi zasłonami. Polakierowane mahoniowe lady umieszczone były z tyłu, aby nie przeszkadzały kupującym i ich przyjaciółom, którzy w ciągu dnia wypełniali całą salę, rozmawiając, przechadzając się, oglądając ubrania lub gapiąc się na sprzedawców.

- Nie lubię pani Widdence, panno Elizo - codziennie wieczorem powtarzała Pullett, gdy byliśmy już na poddaszu. - Ma wokół siebie brzydką łunę, czerwono-purpurową. To kolor surowej wątroby, ohydny, niech mi panienska wierzy. A jeśli pyta mnie panienska o zdanie, to ten sklep jest niewiele lepszy od domu publicznego. Tu na poddaszu dzieją się nieprzyzwoite rzeczy, a biedne uczennice zapracowują się na śmierć. Mój ojciec chciał kiedyś, bym została szwaczką, lecz mama wybiła mu to z głowy i zdecydowała, żebym poszła na służbę. Jestem jej bardzo wdzięczna, że tak zrobiła. Panno Elizo, wydaje mi się, że nie powinniśmy tu zostać, nic dobrego z tego nie wyniknie. A poza tym, w jaki sposób zarobimy na utrzymanie?

W księgarni przy Strand Street umieściłam ogłoszenie o lekcjach śpiewu, gry na fortepianie i harfie, lecz jak dotąd nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Prawdopodobnie, jak powiedziała Pullett, ludzie mieszkający w sąsiedztwie nie byli dystyngowani. Nikt w tej części Londynu nie życzył sobie lekcji muzyki.

Całą uwagę skupiałam na obserwowaniu londyńczyków, ich żon, córek, przyjaciółek i kochanek, którzy wchodzili i odwiedzali salon wystawowy. Naiwnie wierzyłam w duchu, że prędzej czy później, jeśli tylko będę wpatrywać się w ich twarze wystarczająco długo, odnajdę tych, których szukam. Myśli o moich

rodzicach zaprzętały moją głowę przez większą część czasu. Z tego, co wiedziałam, oboje żyli gdzieś na tym świecie, tylko gdzie?

- Zostaniemy tu tylko tydzień lub dwa, Pullett, i rozejrzemy się za czymś bardziej odpowiednim. Wiem już, jak się utrzymamy, mogę zaśpiewać kilka piosenek na ulicy i zarobić trochę pieniędzy.

- Nigdy w życiu! - krzyknęła Pullett z wyrazem niesmaku na twarzy. - Nie pozwolę na to! Co by powiedzieli opiekunowie panienki?

- Jacy opiekunowie? Jakie to ma znaczenie, czym się zajmuję?

Utrata pani Debb i Eleonory Ferrars pozostawiła pustkę, której nie potrafiłam niczym wypełnić.

A jednak niektóre argumenty Pullett wydawały się zupełnie słuszne.

Zajmowałyśmy ciemne i wilgotne poddasze, a Clerkenwell Road, choć dość uczęszczana, była wąska i brudna. Zadowolona więc, że mam wymówkę, aby udać się w bardziej przestronne rejony Londynu, zasugerowałam Pullett, abyśmy przeszły się do innego zakładu pani Widdence przy Bond Street. Zaopatrzyłam się w mapę i odkryłam, że nie było to wcale daleko, a droga zajmie prawdopodobnie mniej niż godzinę.

Pullett jednak niezbyt lubiła chodzić.

- Niech panienka idzie, jeśli ma panienka ochotę, ale proszę uważać i mieć oczy otwarte. I żadnego śpiewania na ulicy! Ja tu zostanę i zaceruję znoszone muśliny, i pomogę trochę tym biednym, małym uczennicom.

Tak więc z lekkim sercem, zadowolona, że przynajmniej raz udało mi się zostać samej, gdyż, nieprzyzwyczajona do ciągłego towarzystwa i nadzoru, byłam nim bardzo zmęczona, wybrałam się w kierunku zachodnim. Łagodna wiosna przeszła już w ciepłe lato, ulice były suche i pełne kurzu, a smród zepsutego jedzenia i końskich odchodów mieszał się ze świeżymi zapachami pierwiosnków i wonnych laków sprzedawanych na ulicy. Znajomy ból przeszył mi serce, gdy przypominałam sobie kaczeńce i pierwiosnki przy strumyku w Dolinie Bękartów.

Londyn był przyjemnym, tętniącym życiem miastem, o niewątpliwie swobodniejszej i beztroskiej atmosferze niż ta, jaka panowała w Bath. Czułam się tu wolna.

Sklep pani Widdence przy Bond Street nosił nazwę Florinda. Głosił to napis na szyldzie, wykonany z mosiężnych liter, wiszący nad drzwiami wejściowymi. Salon wystawowy kusił okazałych rozmiarów napisem *Premier Magazin*. Znajdowały się tu wielkie lustra sięgające od podłogi do sufitu, na podłodze leżał brzydki, gruby dywan w kolorach fioletu i bursztynu, a zasłony w oknach uszyte zostały z ciemnozielonego aksamitu. Przy ścianach stały wąskie, wysokie stołki.

Na szczęście znalazłam odzwiernego, pracował przy Clerkenwell. Rozpoznał mnie i przyjaźnie skinął głową. Weszłam do środka, nie zwracając na siebie uwagi tłumowi modnie ubranych klientów. Zapewne myśleli, iż jestem pokojówką, która wybrała się na przechadzkę ze swą panią.

Znalazłam cichy kącik w miejscu, gdzie lada zbiegała się ze ścianą, i tam oddałam się przyjemności przyglądania się twarzom.

Docierały do mnie skrawki rozmowy:

- Dziewięć szylingów za jard to zdecydowanie za drogo.
- Na krawat?
- Pięć szylingów to dobra cena.
- Ten materiał w paski będzie się strzepić. Jestem tego pewna.
- Jakiego koloru mają być wykończenia?
- Muszę zdobyć rzemyki do moich czarnych butów.
- Och, co za dziura. Nie wiem, czy da się ją zacerować.
- Przepraszam pana, stoi pan na mojej sukni!

Tutejsi klienci pochodzili ze znacznie wyższych sfer niż ci przy Clerkenwell - myślałam właśnie, gdy nagle usłyszałam znajomy, donośny głos.

- Liza! Liza Wielkoreka, jako żywo! Słyszałam plotki, że jesteś w mieście, lecz nie bardzo w to wierzyłam. Teraz jednak widzę, że to prawda!

Przed sobą ujrzałam uśmiechniętą twarz z okalającymi ją jasnobrązowymi lokami. Obfite kształty zdobiła modna suknia z krey w oliwkowe paski. Całości dopełniał wielki kapelusz przystrojony piórami.

- Nigdy bym w to nie uwierzyła! Sądziłam, że do końca życia będziesz mieszkać w Bath! Podobnie myślał Hoby. A ty tutaj, na Bond Street!

- Fanny! Fanny Huskisson! Co... co za niespodzianka spotkać cię...

- Nigdy do mnie nie napisałaś! - powiedziała z wyrzutem w głosie. - A obiecałaś, że będziesz do mnie pisać. W każdym razie słyszałam o tobie od Hoby'ego. Aha! Do niego pisałaś znacznie częściej niż do swej przyjaciółki Fanny! Czy zrobiłaś już zakupy? Wyjdźmy stąd jak najszybciej i chodźmy na filiżankę kawy w Grillons. Pragnę, abyś mi wszystko o sobie opowiedziała. Prawdę mówiąc, słyszałam skandaliczne opowieści!

Wyciągnęła mnie ze sklepu i podążyłyśmy w stronę Albemarle Street. Ku memu zdziwieniu, w Grillons - najlepszym hotelu, odwiedzanym przeważnie przez arystokrację, jeśli nie przez samych członków rodziny królewskiej, Fanny została powitana z szacunkiem. Poprowadzono nas do małej, przytulnej alkowy.

- Sama prowadzę hotel - wytłumaczyła Fanny. - Oczywiście, nie tak duży jak ten! Znajduje się przy Bedford Row, jest tam kawiarnia i tawerna. Lecz - mrugnęła do mnie - my wszyscy prowadzący interesy w tej branży znamy się dobrze. Poproszę cafe Talleyrand, Sam - zwróciła się do uśmiechniętego kelnera. Jej francuski akcent pochodził wprost z Doliny Bękartów.

Kawa była zmieszana z odrobiną brandy.

- Dlaczego Talleyrand? - zapytałam.

- Skąd mam wiedzieć? Widocznie taka kawa przypadła temu dżentelmenowi do gustu. Ale teraz proszę, opowiedz o sobie!

Tak więc, dokonując pewnych skrótów, przedstawiłam moją historię. Fanny kręciła z niedowierzaniem głową.

- Ach, to dzikusy, ci chłopcy z Bath. Słyszałam jednak, że szczęście im nie dopisuje! - Wciąż mówiła z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców zachodniej Anglii. - Twój przyjaciel Harry Finch i jego kumpel Ned zostali zatrzymani za długi. Są w więzieniu i z pewnością posiedzą tam jeszcze trochę, gdyż ich bogaci krewni znudzili się ciągłym płacaniem kaucji. Ale cóż ty, kochanie, robisz w tym mieście?

- Szukam rodziców.

- Dlaczego? - Fanny wyglądała na ogromnie zdziwioną. - Co za różnica, czy ich znajdziesz czy nie? Nigdy nie miałam najmniejszego pojęcia, kto jest moją matką. Nie mogę jednak powiedzieć, aby mnie to martwiło. Wręcz przeciwnie!

- Ty jednak przynajmniej znasz swego ojca? To on pomógł ci założyć interes?

Ojciec Fanny, podobnie jak tata Hoby'ego, był ministrem w rządzie i wysokim urzędnikiem w radzie handlowej. Choć oficjalnie nie przyznawał się do swej córki, pozostawał z nią w zażyłych stosunkach. Często odwiedzał jej hotel.

- Zostań ze mną, Lizo! - zaproponowała z właściwą sobie szczerością. - Planuję otworzyć kawiarnię, prawdopodobnie przy Jermyn Street. Mogłabyś nią zarządzać! To lepsze niż uczyć muzyki albo wplątywać się w dziwaczne sytuacje w lasach Bath z grupą przebrzydłych facetów.

- Ależ, Fanny... mówiłam ci...

- Tak, tak... - przerwała mi. - Nie widzę sensu w marnowaniu czasu na poszukiwaniu mamy i taty. Gdyby chcieli cię odnaleźć, zrobiliby to. Oto mój adres - podała mi bilet wizytowy. - Przemyśl to, kochanie, ale pospiesz się. I daj mi odpowiedź. Wierz mi, nie ma dla ciebie przyszłości w muzyce ani w nauczaniu. Nikt cię nie zatrudni po tym, co stało się w Bath. A my, kobiety z Doliny, jak wiesz, nie możemy mieć nadziei, iż kiedykolwiek zostaniemy zaakceptowane w wyższych sferach. Jesteśmy skazane same na Siebie. A dajemy sobie radę zupełnie nieźle, zapewniam cię!



- Z pewnością masz rację - zgodziłam się smutnym głosem, gdy Fanny - radosna, wulgarna grubaska - wstawiała od stolika. Chowając jej bilet, odnalazłam inny zwinięty w kieszeni, o którym zapomniałam. Wyjąwszy go, przyjrzałam mu się uważnie.

- Doktor Giovanni Fantini. Czy znasz to nazwisko, Fanny?

- Tak, słyszałam - powiedziała niezbyt pewnym tonem. - To ktoś związany z muzyką.

- White Club, gdzie to jest?

- Och, to jeden z dużych klubów. Mieści się przy St James. Czy wiesz, Lizo, skąd po raz pierwszy dowiedziałam się, że jesteś w mieście? Otóż pracuje u mnie mała Sue Scrope, pamiętasz ją? Przysięgała na wszystko, że pewnego wieczora słyszała, jak śpiewałeś przy Bond Street. Ha, ha, ha, kochanie, powiedziałam jej, że Liza nigdy nie upadłaby tak nisko. To przecież najlepszy sposób, aby zrujnować sobie życie. A teraz musisz być szczególnie ostrożna, z powodu tej historii w Bath, zwłaszcza że pochodzisz skąd pochodzisz... Poza tym, mam dla ciebie radę, kochanie: nie zostawaj ze starą panią Widdence ani dnia dłużej niż to konieczne... wiesz, jak na nią mówią? Szkarłatna Rajfurka! Przyjedź do mnie, a będziemy się dobrze bawić! O mój Boże, jak późno! Muszę się zbierać! Sam, czy możesz zawołać dorożkę?

Wybiegła w podskokach, a ja poszłam w stronę Albermarle Street i wróciłam do Florindy, gdyż nie przyjrzałam się jeszcze wszystkim klientom.

Moja cierpliwość się opłacała. Po mniej więcej godzinie do środka weszła osoba, na którą bardzo czekałam - panna Małgorzata Dashwood. Towarzysząca jej kobieta udała się na górę, jak się domyślałam, aby zrobić przymiarke sukni. Panna Dashwood oglądała wstążki i wykończenia, lecz nic nie wskazywało na to, aby miała ochotę je kupić.

- Panno Dashwood - wyszeptałam jej do ucha. Odwróciła się, jakby coś ją użądliło.

- Panna Fitz-William! - wysapała. - Wielkie nieba! Cóż za niespodzianka. Nie miałam... nie miałam pojęcia, że jesteś w mieście.

Rozejrzała się wokół z niepokojem, przerażona, iż ktoś z jej znajomych mógłby zauważyć, jak ze mną rozmawia.

- Panno Dashwood, czy mogę z panią porozmawiać przez kilka minut? Czy możemy wyjść?

Pełnym napięcia wzrokiem spojrzała w górę, lecz jej towarzyszka jeszcze nie wracała.

- Ależ... ależ tak, oczywiście.

Bardzo zdenerwowana poszła ze mną na Hanover Square.

- Panno Dashwood, chciałabym, aby powiedziała mi pani coś... cokolwiek o moim ojcu, Willoughbym. Z tego, co wiem, znała go pani dość dobrze, czyż nie?

- Och - zawahała się, z trudem łapiąc oddech. - Musisz zrozumieć, byłam wtedy dzieckiem, miałam trzynaście, może czternaście lat, kiedy on... kiedy on zalecał się do mojej siostry Marianny. On naprawdę... wyglądało na to, że ją kocha. Zupełnie zwariował na jej punkcie. A Marianna zadurzyła się w nim bez pamięci. W istocie, obawialiśmy się, że jego odejście doprowadzi ją do śmierci. Był bardzo przystojny. Poświęcał jej tyle uwagi! Dopiero później zrozumialiśmy, że wszystko to było oszustwem, gdyż kilka miesięcy wcześniej podobny afekt żywił do panny Wil... do twojej matki. A potem, zaledwie kilka tygodni później, oświadczył się panie Grey!

- Ale, czy pani siostra... czy jest szczęśliwa z pułkownikiem Brandonem?

- To jak słaba herbata po mocnym likierze - odrzekła Małgorzata Dashwood nieoczekiwanie. - Dla niej oczywiście. Nie wróciła już do siebie, jej życie zmieniło się raz na zawsze. To dlatego nigdy nie zgodziła się, aby mieć dziecko, z pułkownikiem. Dlatego nigdy nie chciała ciebie ujrzeć. - Westchnęłam głośno, a ona ciągnęła dalej: - Miałam nic o tym nie wiedzieć. Jestem niezamężna, nie przystoi mi o tym słuchać. - Zaśmiała się ze złością. - Oczywiście, wszyscy wiedzieliśmy, że

pułkownik łoży na twoje wychowanie w Somerset. Lecz Marianna nie zgodziła się na twój przyjazd do Delaford. I nie chciała cię odwiedzać. Nie pozwoliła nawet pułkownikowi, aby do ciebie jeździł.

- A moja matka? Gdzie ona była w tym czasie?

Panna Dashwood wzruszyła ramionami.

- Kto to wie? Umarła pewnie w jakimś przytułku, podobnie jak wcześniej jej matka.

Spojrzała na mnie przenikliwym wzrokiem. Życie nie obchodziło się łaskawie z panną Dashwood, pomyślałam, od kiedy odeszła z pracy w szkole pani Haslam. Ucieczka nie przyniosła jej ani wolności ani radości.

- A Willoughby? - zapytałam.

- Gdybym była tobą, panno Fitz-William - zaczęła. Nagle jej oczy zrobiły się bardzo duże. - O Boże litościwy - wysapała.

Dziwnie znajomy, przeciągły głos odezwał się za moimi plecami:

- A niech mnie diabli! Czy to moja urocza szwagierka Małgorzata! Małgorzata Dashwood! Wyglądasz, jakby ktoś przyłapał cię na kradzieży w kościele! Z kim tak rozmawiasz potajemnie... na mą duszę! Czy to nie jest Słodka Śpiewaczka z Bond Street! Słowik z dzielnicy Mayfair! Czy można marzyć o większym szczęściu! - Mężczyzna spoglądał na mnie z wyższością. - Przecież to ja i moja droga żona tamtej nocy bardzo pragnęliśmy dowiedzieć się, jak się nazywasz i poprosić, byś zaśpiewała na naszym przyjęciu...

- Nie mieszaj mnie w to! - przerwała jego droga żona, która także wpatrywała się we mnie pełnym złości wzrokiem. - Proszę cię, nie mieszaj mnie w te sprawy, kochanie! Nie chciałabym, aby ktokolwiek łączył mnie z tą dziewczyną. Jestem ogromnie zdumiona, panno Dashwood, że zniża się pani do rozmowy z taką osobą!

Ale przerażona Małgorzata Dashwood zniknęła już za rogiem. Chłodno przeprosiłam parę i pomimo okrzyków mężczyzny: „Halo! Halo! Przepraszam panią!” udałam się w drogę powrotną do domu, zła z powodu pojawienia się

nieznajomych i dlatego, że tak niewiele udało mi się wyciągnąć z Małgorzaty Dashwood.

Jeśli ten impertynent był jej szwagrem, to z pewnością musiał to być Robert Ferrars, młodszy brat Edwarda, ulubieniec matki. Lecz cóż za różnica! Nie przepadałam za Edwardem - któż by go lubił? Zdecydowanie wolałam go jednak od Roberta.



## Rozdział dziesiąty

---

Następnego dnia pani Widdence z przyjaznym, szerokim uśmiechem na twarzy oznajmiła, że słyszała, iż mam piękny głos, melodyjny jak u słowika. Odpowiedziałam, że z pewnością znaleźliby się tacy, którzy mają na ten temat odmienne zdanie. Przyznałam jednak, że szkoliłam głos i pochwalałam się recitalami w Bath.

Ciekawa byłam, do czego zmierzała.

- Chodzi o to - zaczęła pani Widdence - że jest takie miejsce zwane Tivoli - podrzędny salon odwiedzany jedynie przez ubogich klientów. Prowadzi go kobieta, która ma czelność zwać się Madame Deloraine, choć według mej wiedzy, nie ma prawa do tego nazwiska... Nazywa się po prostu Jane Higgs, urodziła się w Hackney...

Przerwała, aby złapać oddech. Przypomniałam sobie bardzo elegancko wyglądający sklep, który minęłam przy Bond Street poprzedniego popołudnia. Tivoli - głosił połączony napis.

- Tak więc, w Tivoli - kontynuowała pani Widdence - młode damy grają na harfie i skrzypcach, aby zabawić kupujących i ludzi z ulicy.

Teraz zrozumiałam, do czego zmierzała, lecz zdecydowałam się siedzieć cicho aż do momentu, kiedy wytłumaczyła, o co jej chodziło.

- Zastanawiałam się, panno Fitz-William, czy pewnego popołudnia nie zechciałyby pani zaśpiewać dla nas... oczywiście w salonie przy Bond Street, nie tu... jeśli nie ma pani innych niecierpiących zwłoki zobowiązań...?

Obrzuciła badawczym spojrzeniem moje niezbyt ciekawe odzienie. Byłam pewna, że umierała z ciekawości, aby dowiedzieć się, dlaczego spędziłam tak wiele czasu w jej sklepie, przyglądając się klientom.

- Nic zbyt żywego ani frywolnego, panno Fitz-William, raczej kilka ładnych ballad... Wyobrażam sobie, że będzie to doskonała rozrywka dla moich klientów. Zgodzi się pani ze mną?

- Jakie przewiduje pani wynagrodzenie, pani Widdence?

Na te słowa wstrzymała na chwilę oddech, po czym odrzekła:

- Taki występ będzie dla pani reklamą, panno Fitz, a pani nazwisko stanie się sławne pośród ludzi wysoko urodzonych. Nie sądziłam, że będzie pani oczekiwać zapłaty...

Wymieniłam sumę, jaką otrzymywałam za koncerty w Bath. Pani Widdence była wstrząśnięta.

- Ach tak... nie wiem... - odezwała się niechętnie. - Skoro tak wiele czasu spędza pani w salonie wystawowym...

- Owszem. Muszę jednak dbać o reputację, pani Widdence.

Na te słowa rzuciła mi wściekłe spojrzenie i odezwała się urażonym tonem:

- Czy mogę spytać, cóż tak niegodnego i zagrażającego reputacji widzi pani w zabawianiu moich klientów, którzy pochodzą z najlepszych kręgów towarzyskich w tym mieście?

- Och, nie mam nic przeciwko pani klientom, pani Widdence, lecz nie mogę dopuścić do tego, aby moja osobą stała się zbyt... abym stała się zbyt dyspozycyjna, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

- Tak, tak - odpowiedziała łagodniejszym tonem.

- Wiem, co można zrobić! - powiedziałam, jakby pomysł ten właśnie wpadł mi do głowy. - Dam recital dla pani klientów przy Bond Street, a w zamian za to wraz z Pullett będziemy mogły tu mieszkać przez trzy tygodnie. Co pani na to?

- Hmm! - zauważyła niechętnie - Widzę, młoda damo, że głowę ma pani nie od parady! Umie się pani targować. Możemy spróbować... co się tyczy zaś pani stroju...

Chciała, abym włożyła jedną z jej kreacji. Zaoponowałam stanowczo.

- Nie będę w stanie zaśpiewać jednego dźwięku, pani Widdence, gdy będę miała na sobie ubranie, za które nie zapłaciłam. Głos ugrzęźnie mi w gardle.

Niechętnie zgodziła się na moje warunki.

- Nie może pani wyglądać jak biedne kaczątko, panno Fitz. Nędzna byłaby to reklama moich towarów.

- Znajdę coś stosownego, pani Widdence, Pullett przygotuje jedną z moich wieczorowych sukni i doprowadzi ją do porządku.

Musiała się tym zadowolić. Uzgodniłyśmy, że mój pierwszy recital odbędzie się w najbliższą sobotę. Pullett spędziła ten czas, cerując czarno-białą muślinową sukienkę, którą zwykłam wkładać na występy w Bath. Pracowała bardzo niechętnie. Pomysł pani Widdence zupełnie jej się nie podobał.

Magazinière pani Widdence, wysoka, pełna wdzięku kobieta, wystrojona w fioletową, jedwabną suknię przyozdobioną koronkami, Francuzka, która kilka lat wcześniej uciekła z Paryża w czasie krwawych wydarzeń w mieście, oświadczyła klientom dźwięcznym głosem, że za chwilę rozpocznie się występ muzyczny.

- *Mesdames, mesdemoiselles, messieurs! Silence! Ecoutez, s'il vous plait!*

Parę osób odwróciło się z zaciekawieniem. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam śpiewać.

Wcześniej tego dnia prosiłam o to, abym mogła usiąść na ladzie, lecz pani Widdence nie spodobał się ten pomysł.

- Nadałoby to występowi nieformalny charakter... co mogłoby mieć poważne następstwa, o które zresztą nie dbam, panno Fitz. Wyglądałoby to bardzo dziwnie! Nie... najlepiej będzie, jeśli stanie pani tyłem do lady... może postawić pani przed sobą krzesło tak, aby klienci nie wpadali na panią.

Tym razem ja musiałam zadowolić się jej propozycją.

Występ był trudny, znacznie trudniejszy niż recitale w Bath, gdzie wykonawcy, stojąc na scenie, oddzieleni byli od publiczności. Czułam się gorzej niż podczas

desperackich występów na ulicy. Tam mogłam zachować anonimowość, a przechodnie przyglądali się albo odchodzili, jeśli takie było ich życzenie.

Tu jednak, mój występ wzbudzał irytację i złość. Czułam, że niektórzy są rozdrażnieni. Przyszli tu bowiem, aby kupić parę rękawiczek, przyjrzeć się kolorom wstążek, czy też popatrzeć na sprzedawczynię, a mimowolnie stali się moją publicznością.

Zaśpiewałam „Tam, gdzie piją pszczoły” w aranżacji pana Arne i krótki utwór Szekspira „Nie wzdychajcie już panie” w aranżacji pana Smitha. Potem, gdy czułam już, że ledwo skupiam uwagę widowni, która zachowywała się zupełnie obojętnie, jeśli nie wrogo, zaśpiewałam balladę „Wyjrzała przez okno”. W Bath ta piosenka cieszyła się wielkim powodzeniem. Tutaj także wywarła pewne wrażenie, bo słuchacze stanęli w miejscu przez kilka chwil i ściszyli rozmowy. Występ zakończyłam melancholijną balladą „Zdradzona panna”, o której nagle sobie przypomniałam.

Pieśń ta przyszła mi do głowy dlatego, że przez ostatnie kilka dni na próżno przemierzałam miejskie przytułki w poszukiwaniu matki. Jej rodzicielka, jak wiedziałam, została odnaleziona przez pułkownika Brandona w takim właśnie miejscu. Porzucona zarówno przez męża, jak i kochankę, żyła w najgorszych warunkach. Choć była to okrutna perspektywa, wydawało mi się, że moja matka mogła znaleźć się w podobnej sytuacji. Nikt przecież o niej nie słyszał, a jej plany otwarcia domu gry mogły się nigdy nie ziścić.

Nie spotkałam jednak ani jej ani też nikogo, kto mógłby mi pomóc. Wysłuchałam niezliczonej ilości historii - ściskających serce opowieści o ubogich dziewczynkach ściągniętych do miasta fałszywymi obietnicami, tonących w długach. Nie mogąc ich spłacić, zaczęły sprzedawać swe ciała, co na początku wydawało się łatwym sposobem wyjścia z opresji, wkrótce jednak okazywało się błędnym kołem. Ciała tych kobiet szybko traciły świeżość, a proceder był niebezpieczny i niósł ze sobą groźbę chorób.



Zaśpiewałam więc tę balladę ze złością i smutkiem, myśląc o ciężkiej sytuacji tych kobiet i mojej własnej niemocy i bezradności.

- Hej! Zaśpiewaj teraz coś radosnego! - pani Widdence wyszeptała mi do ucha.

- Nie, to wystarczy - odrzekłam jednak. - Nie ćwiczyłam ostatnio. Jestem zmęczona.

Zauważyłam, że klienci pani Widdence wcale nie mieli ochoty, aby dla nich śpiewać. Rozległy się obojętnie brzmiące oklaski, trochę gwizdów, po czym salon wypełnił się dźwiękami rozmów.

Pani Widdence była wyraźnie niezadowolona.

Wtem wysoki, młody mężczyzna zaczął przepychać się w moją stronę przez tłum kupujących.

Był mocno zbudowany, blady i bardzo dobrze ubrany. Krytycznym okiem, jakie sobie wyrobiłam po tak wielu dniach przebywania w tym miejscu - przyjrzałam się jego wspaniale skrojonemu ciemnoszarym surdutowi, jasnoszarym spodniom, błyszczącym butom i białemu halsztukowi. Brązowożółte włosy i twarz pokryta piegami wydały mi się bardzo... bardzo znajome.

- Hoby! - krzyknęłam radośnie. - Co za szczęście spotkać cię tutaj! Wyglądasz... wyglądasz tak poważnie!

Wyglądał nie tylko poważnie, lecz i dostojnie, żeby nie powiedzieć groźnie. Jego twarz zmieniła się trochę przez ten czas, wypełniła, ogorzała i dojrzała. Nasze spotkanie nie ucieszyło go tak bardzo, jak mnie.

- To nie jest odpowiednie miejsce na rozmowę - rozpoczął i rozejrzał się po salonie, zmarszczywszy czoło.

- Pani Widdence - zwróciłam się do właścicielki salonu spoglądającej mi przez ramię, nie usatysfakcjonowanej wynikiem swych starań. - Pani Widdence, oto mój stary przyjaciel, pan... pan Robert Hobart, którego nie widziałam przez wiele lat.

Czy możemy udać się do pani biura i porozmawiać przez kilka chwil o starych czasach?

Zgodziła się niechętnie.

Wydawało mi się, że znała już Hoby'ego. Patrzyła na niego z szacunkiem. Po drodze do biura wpadliśmy na Nell Ferrars i lady Helenę.

- Elizo! - chłodnym tonem odezwała się Nell. - Jak sędzę wszyscy spodziewaliśmy się, że wcześniej czy później najesz się wstydu. Przykro mi jednak, że wybrałaś ten właśnie sposób, aby zaprezentować swoją pozycję w towarzystwie.

Lady Helena nie powiedziała ani słowa, uniosła jedynie podbródek i odwróciła głowę. Uznałam, że lepiej będzie nie odpowiadać.

Gdy tylko Hoby i ja weszliśmy do biura pani Widdence, gdzie stały wielkie wiklinowe kosze pokryte impregnowanym jedwabiem i stół, na którym piętrzyły się rachunki, zaczęliśmy się kłócić.

- Lizo, jak możesz zachowywać się tak nierozsądnie? Powinnaś przecież wiedzieć, że przybywając z Othery, musisz dbać o reputację, jak nikt inny. Nie powinien jej splamić nawet jeden szept. Wierzyłem, że jesteś bezpieczna, żyjąc uczciwie w Bath, a tu nagle, co odkrywam? Najpierw wdajesz się w dwuznaczną sytuację z podejrzanymi typami w Bath, a teraz cały Londyn dowiedział się o tobie...

- To nieprawda! To wszystko stek kłamstw! A poza tym, dlaczego cały Londyn miałby się interesować moją osobą?

- Ponieważ to bardzo interesująca historia! - powiedział Hoby wściekłym tonem. - A na dodatek, jakby tego było mało, musisz śpiewać te koszmarnie ballady o zdradzonej pannie i o dziewczynie, która nie chce wyjść za mąż. Czyżbyś zupełnie postradała rozum? Czy chcesz, aby wszyscy opluwali cię i wytykali palcami na ulicy? Dlaczego, na Boga, musiałaś opuścić Bath i przyjechać tutaj?

- Pani Debb umarła. A ja straciłam posadę w szkole, z powodu... z powodu tego, co się stało.

- A więc to tak! Sama widzisz! A czego oczekiwałaś, robiąc z siebie głupca?

Co w ogóle zamierzasz robić w Londynie?

- Przyjechałam odnaleźć matkę. I ojca.

- Och - wymamrotał zdezorientowany.

- Czy wiesz, Hoby... czy kiedykolwiek słyszałaś... co stało się z

Willoughbym?

Wciąż patrzył na mnie tak, jakbym postradała rozum. Czułam się jak wyczerpany maratończyk, który musi biec dalej, bo inaczej upadnie.

- Bardzo chcę odnaleźć rodziców - powiedziałam cicho. - Ty nie masz takiego problemu, Hoby. Twój ojciec stoi na czele rady do spraw rybołówstwa... przeczytałam o tym w gazecie, i znalazł dla ciebie dobrą posadę... czym ty właściwie się zajmujesz?

- Jestem asystentem pana Nasha, pomagam mu w działalności publicznej. Pracujemy nad Regent Canal i projektujemy nową ulicę, która ma biec na północ od Piccadilly - wyrzucił z siebie szybko.

- Tak, jak myślałam! To bardzo absorbująca praca, tak myślę! Lecz co ja mam robić? Nikt nie zaoferował mi pracy przy budowie kanału. .

- Ty masz muzykę.

- Ha! Widzisz, dokąd ona mnie prowadzi. Mam wielką ochotę przyjąć propozycję Fanny Huskisson.

- Tej ladacznicy! Zabraniam ci! Zabraniam! Cokolwiek ma ci do zaoferowania. Jestem pewien, że nie będzie to godna praca.

- Któż dał ci prawo do tego, aby mówić mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić? Dlaczego... dlaczego - wyjąkałam - dlaczego nawet nie odpowiadałeś na moje listy! Choćby od czasu do czasu!

- Co się zaś tyczy tej starej okropnej kobiety, pani Widdence, wszyscy wiedzą, że stręczy do nierządu dziewczyny dla połowy arystokracji w tym mieście... - krzychał właśnie, gdy pani Widdence weszła do pokoju.

- Panie Hobart - odezwała się lodowatym tonem - muszę poprosić pana o opuszczenie tego pomieszczenia. Nie przystoi panu przebywać w zamkniętym pokoju z młodą damą. Proszę wyjść! A poza tym, jakiś dżentelmen pragnie porozmawiać z panienką. Tak więc, proszę uprzejmie, aby nas pan opuścił.

Posyłając mi pełne złości spojrzenie, Hoby, czerwony na twarzy, wyszedł z biura.

- No, no, no! - powiedziała pani Widdence sarkastycznym tonem. - Ma pani interesujących przyjaciół! Teraz to jednak nieistotne, Signor życzy sobie z panią rozmawiać. Mam nadzieję, że będzie pani zachowywała się bardziej odpowiednio, przysłał go bowiem Jego Miłość Książę Cumbrii!

Powiedziawszy to, zmarszczyła brwi, po czym z grymasem na twarzy opuściła pokój, zostawiając mnie sam na sam z gościem.

*Signor* był tym samym dżentelmenem, który podszedł do mnie wcześniej przy Bond Street.

- Dałem panience mój bilet, *signorina* - zaczął, zbliżając się do mnie. - Dlaczego nie napisała panienka do mnie? Szukałem panienki w gospodach i hotelach całego Londynu...

Choć posługiwał się poprawnym angielskim, silny akcent zdradzał jego pochodzenie.

- Muszę pana przeprosić. Byłam ogromnie zajęta. Rozejrzał się wokół z niezadowoleniem.

- To miejsce nie jest odpowiednie. Może mi panienka towarzyszyć, jeśli naturalnie ma panienka ochotę.

- Dokąd miałabym się wybrać? Moja przyjaciółka w Clerkenwell będzie na mnie czekać...

Pullett odmówiła przybycia na Bond Street, nie chcąc słuchać mego recitalu. Występowanie w takim miejscu uznała za niegodne, poza tym była przekonana, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Ach, tym razem nie zamierzam panienki długo zatrzymywać - powiedział doktor Fantini. - Pragnąłbym jednak coś pani pokazać, co być może zachęci panią do wysłuchania mej propozycji. A dotyczy to pani przyszłości.

Choć miałam wiele wątpliwości, skorzystałam z wymówki, by opuścić salon pani Widdence. Szybko wytłumaczyłam jej, o co chodzi, i podążyłam za siwowłosym dżentelmenem, przeciskając się przez tłum, ściągając spojrzenia i komentarze zebranych. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, mężczyzna poprowadził mnie do jednej z bryczek stojących na ulicy. Zauważyłam, że na bocznych drzwiach umieszczony był herb, a powoził nią elegancki woźnica.

- Czy jedziemy daleko, proszę pana?

- Tylko do Grosvenor Square - zapewnił mnie doktor Fantini.

- Potem zostanie panienka odwieziona do miejsca zamieszkania.

Podróż do Grosvenor Square była krótka i odbyła się w zupełnej ciszy.

Zatrzymaliśmy się przed elegancką posesją znajdującą się po południowej stronie placu. Mój towarzysz wprowadził mnie do domu, witany w drzwiach przez kłaniającego się sługę. Wkrótce znaleźliśmy się w pokoju.

- Moja droga - odezwał się doktor Fantini. - Muszę poprosić cię, abyś spojrzała na portret wiszący na ścianie.

Był to portret mojej matki, pięknie namalowany, podpisany imieniem i nazwiskiem - Tomasz Lawrence.

- Wielkie nieba - powiedziałam cicho. - Wielkie nieba!

Mechanicznie odsunęłam krzesło i usiadłam, nie odrywając wzroku od portretu, Doktor Fantini milczał, pozwalając mi na studiowanie obrazu przez kilka minut. Potem odezwał się spokojnym głosem:

- A więc, moja droga panienko, czy pozwoli mi pani teraz coś powiedzieć?

- Oczywiście.

- Pani matka nazywała się Eliza Williams. Czyż tak? A panienka urodziła się około roku 1793?

- Istotnie tak było, według mej najlepszej wiedzy, proszę pana.

- Matka zostawiła panią pod opieką, tak jak obiecywała, pułkownika Johna Brandona, a sama wybrała się do Londynu aby... ach... rozpocząć karierę operową. Podobnie jak panienka, miała niezwykle silny głos o... dużej skali. Przypadkowo usłyszał ją śpiewającą partię Eleny w *Elena'e Paride* mój pracodawca, książę Cumbrii, którego tak ujął jej głos... wygląd i... zachowanie, że poprosił ją, aby zamieszkała w jego domu. -

- I stała się jego kochanką? - zapytałam.

- Moja droga panno, mój pan, książę Cumbrii nie jest... nie jest człowiekiem, z którego należy sobie żartować. Jest człowiekiem silnego charakteru o nieskazitelnej opinii. W tym czasie był o dwadzieścia siedem lat starszy od panny Williams i od wielu lat pozostawał w nieszczęśliwym związku. Żył w separacji z żoną. Miał z nią troje dzieci. Był bardzo zajęty sprawami rządowymi, piastując w tym czasie urząd ministra skarbu. Niezmiernie przywiązał się do panny Williams i tak już pozostało. Pragnął, aby zawsze była przy nim... czy to w dworze Much Zoyland przy Alderbrooke w Wiltshire, czy też w tym domu w Londynie. Nie mógł znieść rozłąki dłuższej niż dzień.

- Błagam, niech mi pan powie, gdzie teraz jest moja matka?

- Twoje narodziny, panno Elizo, naraziły na niebezpieczeństwo życie pani matki. Lekarz ostrzegał ją przed ponowną ciążą, Jego zdaniem kolejne dziecko mogłoby ją zabić. Wiadomość ta była dla niej straszna. Twoja matka była bowiem ogromnie oddana swemu panu, kochała go i chciała urodzić jego dziecko. Jej pragnienie nie miało się ziścić. Nie chciał, by zaszła w ciążę. Ta kobieta była jego radością, jak powiedział i była ważniejsza niż dziecko. W końcu jednak postawiła na swoim. Dwa lata temu zaszła w ciążę. Niestety, przewidywania lekarzy okazały się słuszne. Umarła przy narodzinach. Dziecka także nie udało się ocalić.

- Gdzie jest pochowana? - spytałam cicho po chwili.

- Przy Much Zoyland. Czy chciałabyś odwiedzić jej grób?

- Oczywiście, bardzo! Oczywiście! - wykrzyknęłam, a potem nie byłam w stanie się powstrzymać. Zbyt wiele spadło na mnie tego okropnego dnia. Uderzyłam w płacz i upadłam na dywan.

Doktor Fantini rozumiał mnie i szczerze mi współczuł. Pozwolił mi płakać, potem podniósł mnie i poprowadził do sypialni, gdzie przy pomocy chusteczek i wody lawendowej mogłam doprowadzić się do porządku.

Kiedy pojawiłam się z powrotem, doktor Fantini czekał na mnie ze szklanką mocnego, słodkiego wina.

- Co to jest? - zapytałam, sącząc ostrożnie.

- To porto. Książę, podobnie jak pan Pitt, woli porto niż bordo. Posiada winnicę w Portugalii. Czy rozumie już panienka, o co chodzi?

Twierdząco skinęłam głową.

- Książę przesyła propozycję, aby pojechała panienka ze mną do Much Zoyland. Jeśli zgodzi się panienka, książę podejmuje się utrzymywać panienkę, wykształcić i opłacać lekcje śpiewu...

- Mój głos był już szkolony - zaoponowałam.

- Taaak... - doktor Fantini odparł przeciągle - wiele mu jednak brakuje do doskonałości, panno Lizo.

Och. Czy zniosę, zastanawiałam się, perspektywę dalszych ćwiczeń, dalszej nauki? A jednak bardzo chciałam zobaczyć grób mojej matki. I spotkać kogoś, kto ją tak bardzo kochał. Mogłabym porozmawiać o niej z księciem. A - kto wie - być może on wiedział też coś o Willoughbym.

Poza tym, w każdej chwili mogłabym opuścić Much Zoyland, gdybym tylko zechciała, albo gdyby nie odpowiadało mi towarzystwo księcia.

- Czy książę wie o mojej... o mojej reputacji? I o tym, skąd pochodzę?

- Książę jest bardzo dobrze zorientowany we wszystkich sprawach.

- Opowiem mu całą moją historię.

- Bardzo dobrze, *signorina*.

- Ale jest coś jeszcze. Mam tu przyjaciółkę, oddaną służącą i wierną towarzyszkę, którą bardzo pragnęłabym zabrać ze sobą.

- Ależ oczywiście - doktor Fantini odrzekł uprzejmie. - To ze wszech miar słuszna decyzja.

Tak więc, wszystko zostało postanowione.

RS



## Rozdział jedenasty

---

Książę Cumbrii ubierał się staromodnie. Nosił ogromną perukę z końskiego włosia, która z pewnością ważyła dobre kilka funtów. Jego płaszcz kończył się dużych rozmiarów mankietami i okazałymi guzikami i był tak sztywny, że odstawały od niego poły, a bardzo długi żabot zawsze lśnił nieskazitelną bielą. Obcasy jego butów były wyższe niż nakazywała obecna moda - gdyż książę nie był wysokim człowiekiem, choć zawsze rzucającym się w oczy - a w przedniej części ozdobione srebrnymi sprzączkami. Zmarszczki na twarzy świadczyły o troskach, smutku i niemłodym już wieku. Czarne brwi ponad głęboko osadzonymi oczyma - największymi jakie w życiu widziałam - odznaczały się wyraźnie na bladawej skórze. Jego dudniący głos nigdy nie bywał szorstki.

Gdy się poznali, moja matka miała osiemnaście, a on czterdzieści pięć lat. Spędzili razem piętnaście lat, do momentu jej przedwczesnej śmierci. Książę wyglądał na starszego niż był w rzeczywistości. Poruszał się wolno, a jego sylwetka, poza chwilami, gdy dosiadał konia, pozostawała zgarbiona. Sam nie grał na żadnym instrumencie, poza kotłami, lecz uwielbiał słuchać gry i śpiewu, i otaczał się ludźmi, którzy znali się na muzyce. Jego osobisty sekretarz, Solomon Mayhew, doskonale grał na fortepianie, służący był utalentowanym skrzypkiem. Nawet małego gońca Książę namawiał do śpiewania i pogwizdywania.

Dwór w Much Zoyland, ulubiona siedziba księcia w Wiltshire, był duży, o nieregularnym planie, zbudowany na ruinach opactwa w czasach królowej Elżbiety. Pałac był przestronny, z szerokim, trawiastym dziedzińcem. W środku znajdowało się dużo małych, przytulnych i niewysokich pokoi. Prowadziły do nich ogromne korytarze, od których odbiegały małe wąskie korytarzyki. Niektóre z drzwi były tak szerokie, że mogłaby przez nie przejechać zaprzęgnięta karoca, inne znów tak wąskie, że szczupła osoba musiała się przeciskać przez nie bokiem.

Pokochałam to miejsce od pierwszego wejrzenia.

- Podoba mi się tu! - powiedziała Pullett, rozglądając się śmiejącymi się oczyma, kiedy jechałyśmy aleją, spoglądając na symetryczne ogrody z jaskrawymi dywanami kwiatów i przystrzyżonymi żywopłotami. - W takim miejscu chętnie osiadę na stałe.

Podobnie zareagowała ujrzawszy księcia:

- Otacza go dziwna, niebieskoszara aureola, nie są to jednak złe kolory. Wygląda jak niebo przed wschodem słońca, kiedy nie wiadomo czy będzie ładny, czy brzydki dzień.

Przed wyjazdem do Zoyland musiałam załatwić jeszcze jedną sprawę, choć nie miałam na to ochoty.

W niedzielę poszłam wraz z niechętną temu Pullett odwiedzić Nell Ferrars w Kensington Gardens. Napisałam do niej liścik, wyznaczając spotkanie w tym właśnie miejscu.

- Ona nigdy nie przyjdzie - powiedziała Pullett, która znała Nell od wczesnego dzieciństwa i nie była o niej najlepszego zdania. - Myśli panienka, że opuści swe dobrze ułożone, eleganckie znajome i przybędzie na spotkanie? Na pewno nie po tym, co się stało!

Powiedziałam Pullett o mojej porażce w czasie występu przy Bond Street. Trzeba przyznać, że wbrew oczekiwaniom powstrzymała się od złośliwych uwag.

- Wydaje mi się, że Nell przyjdzie. Może nawet przyprowadzi swych szlachetnych krewnych, aby dostarczyć im rozrywki lub po prostu z ciekawości - powiedziałam.

W liście do Nell napisałam:

*Chciałabym porozmawiać z panią przez kilka minut o czymś bardzo ważnym, co dotyczy pani matki. Mam wielką nadzieję, że poświęci mi pani trochę czasu i przybędzie na spotkanie.*

- Na mą duszę! - wykrzyknęła Pullett, kiedy przeszliśmy kilka razy w tę i z powrotem po Broad Walk. - Oto i ona!

- I przyprowadziła ze sobą wspaniałych krewnych - zauważyłam. Ku mojemu ogromnemu przerażeniu, Nell przybyła w towarzystwie Roberta Ferrarsa i jego sprytnej żony Lucy.

- Witam, panno Fitz - wycedził Robert Ferrars, kiedy cała trójka zbliżyła się do nas - chyba byłoby lepiej, gdyby wróciła pani do Bath i swych młodych uczennic. Tam ma pani powodzenie, a londyńska publiczność, jak się zdaje, nie oceniła pani śpiewu najwyżej, czyż nie?

- Nie bądź głupcem, Robercie - odezwała się jego lepsza połowa. - Szkoła już jej nie przyjmie.

- Panno Ferrars. Chciałabym porozmawiać z panią na osobności - zwróciłam się do Nell.

- A cóż to takiego! Cóż tak wyjątkowego ma pani do powiedzenia, czego nie możemy usłyszeć?

- Jeśli panna Nell uzna za stosowne opowiedzieć o tym państwu, to już jej sprawa. Może jednak wolałaby zachować te sprawy dla siebie.

- Jestem pewna, że nic mnie to nie obchodzi - powiedziała panna Ferrars ostrym tonem. - Robercie!

Urażeni, zostali w tyle, podczas gdy Pullett szła przed nami.

- Więc... o co chodzi? O czym tak ważnym powinnam wiedzieć? - dopytywała się Nell kwaśnym tonem.

Z torebki wyciągnęłam list i podałam jej. Pochodził od wydawcy Johna Murraya, który mieszkał przy Albermarle Street pod numerem dwanaście.

*Droga pani, na pani prośbę, wiedząc, że nie zamierza pani przebywać dłużej w metropolii, przeczytaliśmy powieść pani przyjaciółki znacznie szybciej niż nakazuje to zwykła procedura. Musimy przyznać, iż całkowicie podzielamy pani opinię na temat utworu. Podobnie jak pani, uważamy, że jest to cudowna i interesująca*

*opowieść, która z pewnością przypadnie do gustu czytelnikom. Jest nam ogromnie miło zaproponować następujące warunki publikacji (tu zostały wyszczególnione). Pragniemy, aby była pani tak uprzejma i przysłała nam adres przyjaciółki. Chcemy bowiem porozumieć się z nią osobiście. W czasie wizyty w ostatnim tygodniu zawiadomiła nas pani, że istnieje jeszcze kilka innych, gotowych już powieści. Mój partner i ja pragnęlibyśmy zapoznać się z nimi w nadziei, iż także przypadną nam do gustu. Jesteśmy przekonani, że książka, którą przeczytaliśmy, osiągnie sukces.*

- O co w tym wszystkim chodzi? - dopytywała się Nell, oddając mi kartkę. W tonie jej głosu wyczuwałam zdziwienie i zniecierpliwienie. - Nie wiem nic na temat powieści. Dlaczego mi to pokazujesz?

- Tę powieść napisała twoja matka - powiedziałam. - Ma jeszcze pięć innych, ukrytych w skrzyni w sypialni.

- Więc?

- Więc ma szansę na pokaźny dochód z pisarstwa. W przyszłości życie na probostwie w Delaford może okazać się znacznie łatwiejsze. Oczywiście, jeśli twój ojciec zaakceptuje tę sytuację.

- To nie moja sprawa - stwierdziła Nell jeszcze bardziej bezczelnym tonem. - Muszą to sami rozstrzygnąć.

- Czy nie chciałabyś, aby twej matce wiodło się choć trochę lepiej?

- Jaki, na Boga, ty masz w tym interes? - dopytywała.

- Posłuchaj, Nell. Wiesz, że twoja babka cierpi na chorobę umysłową?

- To zmęczona życiem stara kobiecina - wymamrotała Nell. - I cóż z tego?

- Eleonora, twoja matka, ma przecucie, że pojawiają się u niej oznaki tej samej przypadłości. Nie wiem, na ile jej przypuszczenia są słuszne, jednak ona bardzo się tego obawia. Jeśli uda jej się korzystnie sprzedać sześć powieści, które napisała w tajemnicy i w takim trudzie - jeśli więc uda jej się to zrobić, będzie zabezpieczona przed... przed tak straszną przyszłością. Będzie miała wystarczająco

dużo pieniędzy, aby zapewnić sobie opiekę i opłacić pielęgniarkę. Przestanie obawiać się straszliwej smutnej starości. Rozumiesz teraz?

Nell wyglądała na zakłopotaną.

- Moja ciotka Marianna jej pomoże. Zostanie z nią. I wuj Brandon też.

- Wątpię w to. Nie wiadomo, gdzie znajdują się obecnie. Być może nigdy nie wrócą do Anglii. A wiesz, że twój ojciec nie jest troskliwym mężem. Całe dni spędza poza domem.

- Och...! - Była najwyraźniej zakłopotana. - Cóż mam więc zrobić?

- Mogłabyś pojechać do domu i stanąć po stronie matki, jeśli twój ojciec próbowałby zapobiec opublikowaniu jej powieści.

- Jestem zaręczona!

- Wiem o tym, Nell. Ale mam ci jeszcze coś do powiedzenia, na temat twego przyszłego męża i śmierci jego poprzedniej żony.

- O co ci chodzi? Co chcesz mi powiedzieć? Wpatrywała się we mnie czerwona z wściekłości.

- Posłuchaj, Nell. Kiedy ty leżałaś spokojnie w kołysce, ja walczyłam z przeciwnościami losu, tak więc posłuchaj mnie uważnie.

Opowiedziałam jej to, co usłyszałam od pani Widdence o Józefie Sedgwicku i okolicznościach śmierci jego ostatniej żony. I poprzedniej. I o tym, co mężczyźni robią z kobietami, które zdane są na ich łaskę.

- Nie wierzę ci! - oświadczyła stanowczo. - To wszystko stek wynaturzonych plotek.

Zauważyłam jednak, że wstrząsnęło nią to, co usłyszała.

- Na razie - rzuciłam, odwracając się, aby zawołać Pullett. - Przed moim wyjazdem z Delaford Ralph Mortimer pytał o ciebie. Skończył służbę w armii i wygląda na to, że teraz zarządza majątkiem ojca.

- Co ma to wspólnego ze mną? - spytała.

Widziałam jednak, że Nell myśli o czymś intensywnie. Przez kilka minut stała nieporuszenie, uderzając w ziemię parasolką. Nie wyglądała, jakby szczególnie spieszyła się, aby dołączyć do swych towarzyszy.

Nie zaprzeczę, że gdy po raz pierwszy ujrzałam księcia Cumbrii, poczułam ukłucie lodowatego, paraliżującego strachu. Przypomniałam sobie czasy, gdy kilkanaście lat temu, trzymając w ręku półpensówkę, przemierzałam ulice wioski w drodze na plebanię do doktora Moultrie. Nigdy nie wspominałam i nie wspomnę o tym, co robił doktor Moultrie. Jak już wcześniej napisałam, opowieść moja zawiera jedynie część zdarzeń, które miały miejsce w moim życiu.

Wystarczy powiedzieć, że szybko zrozumiałam, iż Jego Miłość, oprócz wyglądu, w żaden sposób nie przypominał doktora Moultrie. Wręcz przeciwnie, był najbardziej uczciwym i ciepłym, człowiekiem o nieskazitelnej opinii i przyjemnym usposobieniu. W istocie, nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś podobnego.

Zdenerwowanie, które odczuwałam w trakcie pierwszego obiadu sam na sam z księciem, było nieuchronne. Książę dał mi trochę czasu, abym wypoczęła i odzyskała siły po dwóch dniach podróży z Londynu. Do obiadu zasiadł w szykownym popołudniowym stroju: satynowych bryczesach i aksamitnym surducie, z ogromnym emeraldem świecącym się pośród marszczeń tkaniny wokół szyi. Żałowałam, że nie mam na sobie staromodnych, pięknych rubinów pani Debb.

Już jednak po kilku minutach poczułam się zupełnie swobodnie.

Gdy książę spojrzał na mnie, w jego oczach pojawiły się łzy, które po chwili zaczęły spływać mu po policzkach.

- Wybacz mi, moje dziecko - powiedział, niezgrabnie wycierając oczy chustką - ale jesteś tak bardzo podobna do swej drogiej matki, że twój wygląd naprawdę mnie zaskoczył. Doprawdy poznałbym cię, nawet gdybyśmy spotkali się w Zanzibarze! Nic dziwnego, że Fantini był tak podniecony, gdy zobaczył cię na Bond Street. Och, dobry Boże, jaka szkoda, że nie przebywałaś z matką od urodzenia. Zaoszczędziłoby ci to wiele cierpień i kłopotów. Cóż za nieszczęsny głupiec z tego

Brandona, że na to nie pozwolił. Żywił jednak przekonanie, że nie powinnaś być wychowywana przez upadłą kobietę. Twoja matka była jego kuzynką, tak więc z tobą także łączyły go więzy krwi. Przywiązanie do rodzinnej tradycji i duma nie pozwoliły mu zmienić tej decyzji. I do czegoż to doprowadziło? Pozostawił cię samej sobie i teraz... ty marnujesz swoje życie!

- Jeśli o to chodzi, proszę pana... ja...

- Jedyne, co Brandon ma na swoją obronę, to fakt, że na początku chciał zabrać cię do swego domu. Niestety, sprzeciwiła się temu pani Marianna, dziwaczne stworzenie, ze swymi romantycznymi pomysłami i zabawnymi uprzedzeniami. A potem wyjechali za granicę.

- Czy spotkał pan pułkownika i panią Brandon, proszę pana?

- Nie, moje dziecko, lecz mam przyjaciela i sąsiada, sir Johna

Middletona, on zna ich dobrze. Zajrzy do nas niedługo... spotykam się z nim bardzo często... A teraz moje dziecko, nie chcę, abyś niepokoiła się, czy też opatrnie zrozumiała moje zamiary względem swej osoby - kontynuował książę, podając mi talerz z kaczką i oliwkami. - Nie zamierzam czynić żadnych miłosnych prowokacji... to, doprawdy, byłoby prawie jak kazirodztwo, choć mogłoby to być niezwykle przyjemne. Jesteś tak bardzo podobna do matki. Ostatnio jednak, ona i ja... nie byłoby to możliwe. Od czasu nieszczęśliwego upadku z konia nie jestem już... nie jestem zdolny... nie mogę go podnieść. Możesz wobec tego traktować mnie jak starego teścia, moje dziecko. Tak zresztą postrzegała mnie ostatnio twoja droga matka.

- Ależ, proszę pana - potok pytań natychmiast przebiegł mi przez głowę. Zastanawiałam się przez chwilę, czy będę miała odwagę je zadać. Skoro jednak książę rozpoczął tak szczerą i bezpośrednią rozmowę, było mi łatwiej.

- Tak, moje dziecko? Jak mam się zwracać do ciebie? Nie mogę mówić na ciebie Eliza, tak jak na nią, to sprawiałoby mi zbyt wielki ból. Może więc Lizzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu?

- Ależ nie, proszę pana. Jeśli chodzi jednak o moją matkę, z relacji doktora Fantiniego zrozumiałam, że zmarła przy porodzie. Jak w takim razie, biorąc pod uwagę to, co powiedział pan wcześniej, mogło się to zdarzyć?

- Ach, moja głupiutka Lizzie, oto jak do tego doszło - powiedział pośpiesznie, dolewając wina do kieliszków. - Twoja matka chciała mi zrobić przyjemność... rodzaj prezentu, rozumiesz. Nie mam dziedzica, często więc ubolewałem nad faktem, że nie mogę zostawić tego domu synowi. Bardzo jestem przywiązany do tego miejsca. A mój spadkobierca, Stannisbrooke wyznaczony przez księżną jest bezgranicznie nudnym i głupim człowiekiem! Nie mogę znieść myśli, że mógłby tu zamieszkać. Miałem ulubionego siostrzeńca, syna mego młodszego brata, Michaela Ravenswortha, który zwykł mnie tu odwiedzać. Był kapitanem w marynarce, to poczciwy człowiek...

- Nie żyje? - spytałam delikatnie, jako że książę znów pocierał nerwowo oczy.

- Niestety. Biedak stracił życie w czasie tej przekłętej wyprawy na Walcheren. Co za strata! Wart był dziesięciu synów. Zawsze pragnąłem, aby to on był spadkobiercą. Wracając jednak do Elizy, On i Eliza skłonili się ku sobie i umyślili, że wiadomość o jej ciąży ucieszyłaby mnie... a w tym domu znowu będzie dziecko... i rzeczywiście... bardzo mnie to uradowało. Byłem niezmiernie szczęśliwy...

- Dobry Boże... - westchnęłam słabym głosem, myśląc, że „skłonili się ku sobie” nie było szczególnie trafnym opisem. Myślałam o ryzyku, na jakie matka się narażała... na jakie oboje się narażali... Czy rzeczywiście byli tak wielkoduszni, próbując dać księciu spadkobiercę jego posiadłości? A może się kochali? Może był to romans? W końcu, między księciem i moją matką istniała duża różnica wieku, a Michael Ravensworth był przystojnym, młodym kapitanem, romantycznym młodzieńcem z temperamentem. Nie było mi dane poznać prawdy. Z pewnością nie od księcia, który kochał ich oboje, a utrata dwóch bliskich mu osób pogrzyżyła go w szczerym smutku. Być może, nie mogłam oprzeć się tej myśli, sprawy potoczyły się



korzystnie dla księcia, choć tragicznie dla młodej pary, zaoszczędzając wszystkim kłótni, przykrości i rozczarowań.

- Czy kiedykolwiek poznał pan mego ojca, pana Willoughby'ego?

- Nie - przecząco pokręcił głową - lecz mój przyjaciel sir John znał go dobrze.

Sir John opowie ci wszystko. Ach, z tego co wiem, był pożałowania godnym osobnikiem. Ale to twój ojciec, moja droga Lizzie, nie przystoi więc źle o nim mówić. Jeśli chodzi o miejsce jego pobytu, nie mogę ci pomóc, mam jednak nadzieję, że sir John będzie lepiej zorientowany.

Bardzo dziwnie czułam się, mieszkając we dworze w Zoyland, gdzie mojej matce, której nigdy nie poznałam ani nie pamiętałam, udało się zostawić po sobie tak głęboki ślad. Hodowano tu psy, które wzrastały przy niej i ptaki, którymi się opiekowała. Eliza, jak wnioskowałam, bardzo lubiła zwierzęta. Miała papugi, małpki, a nawet żółwia, węża i zająca. Niektóre z nich zdechły w międzyczasie, inne zaś, jak na przykład małpki, zmieniły właściciela. Wielka, czerwonoszara papuga wciąż siedziała na drążku w małym salonie i od czasu do czasu podnosiła łeb, aby wrzasnąć: „Dzień dobry, Elizo!”. Jej skrzeczący głos zawsze przyprawiał mnie o dreszcze. Stary spaniel, ulubieniec matki, czasami przybiegał, aby położyć łeb na mych kolanach.

W szufladzie biurka matki, w małym pokoju, którego używała jako gabinetu, znalazłam sterty papierów - notatki, zapiski, kartki pokryte pismem dziwnie podobnym do mojego, listę prezentów dla domowników na Boże Narodzenie. Na dole widniało pytanie: „Cóż jednak powinnam kupić jemu? Tak dobremu, tak kochanemu, posiadającemu wszystko oprócz tej jednej rzeczy... o Boże!”

Na samym dole sterty papierów, odnalazłam odręcznie napisany wiersz, a na górze kartki, ktoś wykaligrafował Willoughby:

*Miłość - myślę - nie tyle ślepa jest, co głucha:*

*Bo gdyby miało być inaczej,*

*Kto wytłumaczy,*

*Czemu ten, którego wielbię, mimo mej rozpaczy*

*Wyznań i czułych próśb nie słucha.\**

\* Przeł. Stanisław Barańczak.

Biedna Eliza! Ze smutkiem i współczuciem zastanawiałam się, jak długo moja matka trwała w swych uczuciach do niewiernego kochanka i doznałam ogromnej ulgi, gdy kilka miesięcy potem odkryłam, że nie stworzyła tego wiersza sama, lecz przepisała go z prac Jonsona.

Odwiedzałam jej grób bardzo regularnie - czasem z księciem, czasem sama. Księżę prawie codziennie przynosił świeże kwiaty, zwykle w fioletowym odcieniu, gdyż, jak mówił, był to ulubiony kolor matki. Grób leżał na najbardziej oddalonym krańcu małego cmentarza, graniczącego z ogrodami Much Zoyland. Tak więc, aby do niego dotrzeć, trzeba było jedynie przejść przez trawnik i bramę.

- Z okna sypialni widzę jej grób - oznajmił księżę z zadowoleniem. - Myślę więc, że nie jest tam samotna, poza tym koi to mój smutek.

Na nagrobku wybił datę jej śmierci i napis *Moja droga, kochana Eliza*.

W zbiorze wierszy Cowpera, gdzie znalazłam poprzednie wersy, schowany był list, który niezmiernie mnie wzruszył:

*DO MEJ CÓRKI*

*Córeczko droga!*

*Nie znam twego płaczu,*

*Powiedz, jakie oczy, jakie usta masz,*

*Samotne życie jest nam przypisane,*

*Matki twej córeczko tajemnicza twarz.*

*Gdy już śmierci strasznej ciemną przejdę bramę,*

*Wierzę, że tuż za nią będziesz córko ma,*

*Co los nam niesie, co nam w życiu dane,*

*Nie obawiam się, nie lękam, co Pan Bóg mi da.*

W żadnej książce nie odnalazłem tego wiersza, dlatego wywnioskowałam, że matka musiała go napisać sama. W domu była też niezliczona ilość wyszywanych poduszeczek, gobelinów, które tkala. Na ścianach wisiały oprawione w ramki pejzaże, namalowane farbami wodnymi lub kredkami. Była też szuflada pełna piór i wachlarzy - jedwabnych, z kości słoniowej, koronki, pergaminu. Ze smutkiem dorzuciłam do nich ten, który dała mi w prezencie. Były też jej książki - głównie powieści, lecz także zbiory esejów i poezji ustawione na półce w alkwie.

W taki oto sposób poznawałam własną matkę.

Żył jeszcze stary koń, na którym jeździła. Beztróska skubał trawę na wybiegu. Nigdy nie nauczyłam się dobrze jeździć konno, choć kiedyś z chłopcami od czasu do czasu jeździłam na oklep przez wrzosowiska. Teraz lekcje jazdy znalazły się więc w moim grafiku zajęć, razem z lekcjami śpiewu i muzyki, języków i literatury.

Mimo że byłam nauczycielką w szkole pani Haslam, wkrótce dano mi do zrozumienia, choć w bardzo uprzejmy i delikatny sposób, że w mojej edukacji istnieją poważne luki.

- Ależ nie rozumiem, dlaczego powinnam zgłębiać takie rzeczy? - spytałam księcia pewnego dnia, kiedy podawał mi tom pamiętników. Ich lektura, jak powiedział, miała poszerzyć moją wiedzę o historii Europy.

- Edukacja, moja droga Lizzie, jest celem samym w sobie. Jesteś młodą, uzdolnioną i inteligentną osobą. Twój umysł potrzebuje jednak duchowej stawy. Dzięki wiedzy nie zagubisz się w życiu. Przyniesie korzyść nie tylko tobie, ale i twoim bliskim.

- Gdyby pozwolono mi kształcić się w konkretnym kierunku, mogłabym w przyszłości liczyć na jakieś stanowisko lub pozycję - powiedziałam, myśląc o Hobym i jego pracy.

- Och, jeśli o to chodzi, moje dziecko, jest to poza wszelką dyskusją.

Książę wypowiedział to uprzejmym, lecz nie znoszącym sprzeciwu tonem i odszedł do własnych zajęć.

Podczas przejazdów po parku w Zoyland, w trakcie pracowitej nauki tkactwa - w tej sztuce nie dorównywałam matce, ćwicząc na fortepianie i kształcąc głos u doktora Fantiniego, najbardziej uważnego i skrupulatnego nauczyciela jakiego znałam, dużo rozmyślałam i wspominałam.

Często wspominałam panią Debb i opowiedziałam jej historię księciu.

Jak zawsze, zainteresował się tym:

- Masz niezwykłą umiejętność opisywania ludzi, moja droga Liz! Zupełnie, jakbym znał panią Debb osobiście. Jestem pewien, że jej towarzystwo sprawiłoby mi ogromną przyjemność.

- Och, też tak sędzę, a ona z pewnością cieszyłaby się, mogąc pana poznać. Do tej pory jednak zastanawiam się, czy rzeczywiście ukradła tę koronkę. Jeśli chodzi o rękawiczki, to wiem, że je wzięła, lecz jestem prawie pewna, że zrobiła to jedynie po to, aby zażartować sobie ze sprzedawcy. Ten człowiek ją dręczył. Ale jeśli istotnie to zrobiła, nie rozumiem dlaczego? Jakie były motywy jej postępowania? Miała przecież wysokie dochody. Nie musiała kraść.

- Zaryzykowałbym twierdzenie - powiedział ksiązę - iż była znudzona i chciała ożywić swoje życie. Kobiety, podobnie jak mężczyźni, potrzebują trochę stymulacji, tak mi się wydaje. W swoim życiu spotkałem kilka kobiet uprawiających hazard, a także takie, które polowały jak walkirie.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Jego wytłumaczenie było tak proste, tak oczywiste! Dotarło do mnie, że w taki sam sposób można było wytłumaczyć ryzykowne życie mojej matki.

Nigdy jednak nie przyszło księciu na myśl, że miałam podobne potrzeby, i być może, kierowałam się takimi samymi pobudkami...

- Zaśpiewaj, proszę, tę nową piosenkę - poprosił ksiązę. - Ogromnie mi się podoba. Potem zawołamy Solomona, abyście razem zagrali duety Haydna.

Muzyka była wielką pasją księcia. Słuchając jej, wpadał w nastrój uniesienia i był szczęśliwy, mogąc siedzieć godzinami, wybijając rytm na kolanach lub na bębnach i nucąc wszystko, co nadawało się do śpiewania.

Ponieważ do lipca zostało jeszcze trochę czasu i parlament wciąż obradował, książę wyjeżdżał na pewien czas do londyńskiej posiadłości, aby brać udział w debatach.

- Chciałbym zabrać cię ze sobą do miasta, moja droga Liz - oznajmił kiedyś - abyś towarzyszyła mi podobnie jak twoja nieodżałowanej pamięci matka. Jeden dzień rozłąki był dla mnie koszmarem! I to samo zaczynam odczuwać w stosunku do ciebie. Nie mogę jednak myśleć wyłącznie o sobie. Lepiej będzie, jeśli zajmiesz się teraz nauką i śpiewaniem gam tu, w Zoyland.

Zastanawiałam się czasami, czy potrzeba kobiecego towarzystwa, niegdyś mej matki, a teraz mojego, wynikała z chęci udowodnienia, że książę wciąż przyciągał do siebie eleganckie, uzdolnione, młode osoby. A może po prostu przywiązywał się do ludzi. Mnie także brakowało jego towarzystwa, gdy przebywał w mieście. Był bowiem życzliwym, mądrym i pełnym życia człowiekiem. Jego nieobecność jednak pozwalała mi zająć się czytaniem i myśleniem.

- To najwspanialsze miejsce... - oznajmiła Pullett. - To najwspanialsze miejsce, w jakim kiedykolwiek się znajdowałam. Panno Lizo, niech panienka uważa, aby nie obrazić Jego Miłości.

Pullett zaprzyjaźniła się serdecznie z panią Budgen, gospodynią w Zoyland. Spędzały wiele godzin razem, rozwodząc się nad talentami, umiejętnościami i wadami mej matki, roztrząsając, które ze zdolności odziedziczyłam po niej.

- Ta ręka na przykład! Skąd ona ją ma? Jej matka miała taką samą. Nie wiemy jednak, kim był jej ojciec.

- Pewnie Cyganem, nie ma co do tego wątpliwości. Z politowaniem kiwnęły głowami.

Przyglądając się z uwagą, choć bez wstępu, mym rękoma, książę powiedział, że jeśli wyraziłabym takie życzenie, chętnie opłaci najlepszego chirurga w Europie, aby je zoperował, zmniejszając liczbę palców do pięciu i doprowadzając rozmiar większej ręki do normalnego. Podziękowałam mu z całego serca i odpowiedziałam, że zastanowię się poważnie, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, on zaś przystał na to. Pullett jednak była przeciwna zmianom:

- Niech wszystko zostanie tak jak jest, panno Lizo - powiedziała. - Tak, jak została panienka stworzona przez naturę, tak powinno pozostać. Bóg wiedział, co czyni.

Tego samego zdania był Tark, główny stajenny, który zwykł towarzyszyć mi w przejażdżkach konnych, gdy książę przebywał w Londynie.

- Niech panienka nikomu nie da tknąć swej niezwyklej ręki - rzekł. - To przyniesie nieszczęście. Tak powiem Jego Miłości, jeśli panienka będzie sobie tego życzyć.

- Dlaczego, Tark? Wierzę ci, dlaczego jednak tak uważasz?

- Ach - powiedział. - Moja babcia miała w sobie cygańską krew. Pochodziła z Savernake Forest, gdzie w tamtych czasach mieszkało wielu cyganów. Ona powiedziałaby, że taka ręka jak panienki, z sześcioma palcami, to wielkie szczęście. To oznaka tego, że wcześniej czy później spełnią się miłosne marzenia panienki.

- Rozumiem. Już raz przyniosła mi szczęście - powiedziałam, wspominając uratowanie Triz. Jak dawno to było!

Opowiedziałam księciu o mojej przyjaźni z panem Billem i panem Samem. Bardzo go to zainteresowało.

- Mam wszystkie zbiory ich poezji. I wydaje mi się, że twój pan Sam od czasu do czasu przyjeżdża na wykłady w Bristolu. Czy chciałabyś go posłuchać?

- Och, proszę pana? Czy to możliwe? Czy naprawdę mogłabym?

- Nie widzę nic, co stałoby na przeszkodzie.

Istotnie, na jesieni tego roku, nie pamiętam czy był to październik, czy listopad, książę był tak uprzejmy, że zabrał mnie, tak jak obiecał, na specjalną wyprawę do Bristolu, aby posłuchać wykładu pana Sama na temat literatury. Prelekcja miała się odbyć w hotelu Mangeons. Książę cierpiał ostatnio z powodu podagry, uznał więc, że leczenie w gorących źródłach Bristolu dobrze by mu zrobiło. Wybraliśmy się więc, mając na uwadze oba cele podróży.

Nie będę ukrywać, iż opuszczenie Zoyland na kilka dni, aby pochodzić po ulicach, zwiedzić sklepy i biblioteki, nie było dla mnie trudne. Książę wynajął dom przy Dowry Square. Wcześniej wysłał tam służących, aby wszystko było przygotowane, gdyż pogoda stawała się coraz gorsza i zanosilo się na ostrą zimę. Tymczasem, na kontynencie europejskim powoli upadało imperium Napoleona.

Czasami zastanawiałam się, ozy teraz, kiedy walki już się skończyły, pułkownik Brandon i jego żona powrócą do Anglii. Gdyby jednak mieli tak uczynić, to przy obecnym stanie rzeczy nic nie wskazywało na to, aby wydarzenie to mogło mieć jakikolwiek wpływ na moje życie.

W Bristolu, pomimo różnorodnych atrakcji: kąpieli w gorących źródłach, towarzyskich spotkań w pijalniach wód, zwiedzania sklepów, kawiarni i wspaniałej biblioteki publicznej - zaprzątnięta byłam, oczywiście, jedną myślą, jedynym uczuciem - oczekiwałam na spotkanie z drogim panem Samem.

Widząc, jak bardzo to przeżywam, książę, bardzo delikatnie i ostrożnie, ostudził moje emocje.

- Obawiam się, moje dziecko, że może wydać ci się bardzo zmieniony. Słyszałem z wielu źródeł, że nie jest z nim dobrze. Pije bez przerwy i, jak mówią ludzie, używa zbyt dużo opium. Och, dobry Boże! Poeci... zawsze sprowadzają na siebie nieszczęście.

W nocy przed wykładem agent księcia załatwił dla nas najlepsze miejsca w pierwszym rzędzie sali balowej w hotelu Mangeons. Stąd widziałam wyraźnie zmiany, jakie zaszły w drogim panu Samie.

Spóźnił się, nie przepraszał jednak, po czym przystąpił do odczytu z ogromnym zapalem. Mówił o Szekspirze.

Od samego początku, gdy tylko zaczął mówić, zapomniałam zupełnie o tym, jak bardzo się zmienił. Zmężniał od czasu, gdy go widziałam po raz ostatni, dlatego wydawał się niższy. Jego twarz zaokrągliła się i zaczerwieniła, a włosy, trochę przerzedzone, rozjaśniła siwizna. Jego oczy pozostały dokładnie takie same, wielkie, ciemne. Miał na sobie niezbyt czyste i nieporządne ubranie, a halsztuk niezdarnie zawiązany. Jego prawa noga była wyraźnie spuchnięta.

Lecz jego głos przeniósł mnie z powrotem w przeszłość. Mówił bardzo szybko nie używając notatek, a jednak każde słowo brzmiało wyraźnie, jak dźwięk rogu na polowaniach. Słuchając go, przeniosłam się w ciągu chwili na most nad rzeką Ashe. Czułam, że zwraca się właśnie do mnie.

Opowiadał o *Hamlecie*. „Porównajmy prosty język z codziennego życia, rozpoczynający dramat, z dzikimi, kapryśnymi lirykami na początku *Makbeta*... Przyprawiające o ciarki uczucie, kiedy dwóch świadków siedzi, aby wysłuchać historii o duchach... O nieba! szkoda słów dla tych, którzy potrafią i dla tych, którzy nie potrafią właściwie ocenić Szekspira!

Siedziałam zaszłuchana, gdyż słowa wydobywały się z jego ust dokładnie w taki sposób, jak to zapamiętałam - cudowny i porywający. Ten człowiek jest geniuszem, pomyślałam. Nie ma co do tego dwóch zdań. To geniusz.

Pod koniec wykładu zabrzmiały gromkie brawa. Pan Sam prawie nie zwracał na nie uwagi. Wykonał rutynowy ukłon i udał się w kierunku drzwi, trochę się chwiejąc.

- Czy chcesz podejść i porozmawiać z nim, kochanie? - uprzejmym tonem spytał księżę. - Chodźmy naokoło, na tył sceny.

Lecz, gdy tam dotarliśmy, pan Sam już wychodził.

Udaliśmy się więc za nim i dopadliśmy go w pobliżu wyjścia.



- Proszę pana! - odezwał się książę. - Panie Coleridge! Moja podopieczna, Panna Fitz-William chciałyby przypomnieć się panu.

Pan Sam popatrzył na mnie z roztargnieniem. Z jego oczu wycierała choroba, a czarne źrenice były prawie niewidoczne. Błądą jak kreda twarz zrosiły kropelki potu. Zlepione, tłuste włosy rozrzucone były w nieładzie.

- Proszę pana! Panie Samie! Czy pan mnie pamięta? Somerset? Ashett? W kościele St Lucy? Czy pamięta pan, jak wraz z panem Billem chodziliśmy na spacer?

- Ashett? - wymamrotał. - Ashett? Nie, nie, nie pamiętam. Wybaczcie mi państwo... - w pośpiechu przeszedł obok nas i wyszedł na mokrą od deszczu ulicę.

Szok i rozczarowanie zgasiły moją radość. Przejście od szlachetnego błyskotliwego wykładu do gwałtownej, ponurej rzeczywistości okazało się zbyt ciężkie. Trzymałam się mocno ramienia księcia, o mało co nie zemdlawszy z bólu i smutku.

Na szczęście powóz stał niedaleko. Książę i Tark pomogli mi wsiąść i wkrótce byliśmy z powrotem w domu przy Dowry Square, gdzie ogień już palił się w kominku. Książę zmusił mnie do wypicia szklanki ciepłego wina.

- Nie możesz go oskarżać, moje biedne dziecko. Rozmawiałem z jego doktorem, który powiedział mi, że pan Sam cierpi z powodu reumatycznej choroby serca i ramienia, nie wspominając już o szkodach, jakie wyrządziły ogromne ilości opium i brandy, które stale przyjmuje. To zadziwiające, że w takim stanie jest jeszcze zdolny do wygłaszania wykładów, zwłaszcza takich, jak dzisiejszy! Niech mu Bóg błogosławi! Cóż to był za wykład. Nieszczęsny człowiek! Nieszczęsny! Mówią, że rozpadł się na części. Nawet jego przyjaciel, pan Wordsworth, nie miał skrupułów, nazywając go zgniłym i nieznośnym pijakiem.

Nie mogłam spać tej nocy, wierciłam się i przewracałam z boku na bok, płacząc rzewnymi łzami. Na śniadanie przyszłam z tak czerwonymi oczyma, że choć

planowaliśmy pozostać w Bristolu i wysłuchać dalszych siedmiu wykładów, książkę sprzeciwił się temu.

- Będiesz się męczyć, moje dziecko. - Wróc raczej do własnej biblioteki i przeczytaj raz jeszcze wiersze pana Sama. Jego twórczość przetrwa, nawet gdy nie będzie go już na tym świecie.

- Ma pan zupełną rację - powiedziałam słabym głosem. Wróciliśmy zatem do Zoyland. Jak się potem dowiedzieliśmy, wykłady zostały odwołane z powodu choroby pana Sama.

- Nie wydaje mi się także, aby gorące źródła pomogły na moją podagrę - stwierdził książkę.

Niedługo potem sir John Middleton przyjechał do Zoyland, przywożąc ze sobą kuzynkę, starą panią Dashwood - coraz chudsza, słabsza, bledsza i bardziej oddalona od rzeczywistości niż wtedy, gdy widziałam ją w Delaford. Wciąż jednak widać było, że kurczowo trzyma się życia.

- Niech Bóg ma ją w opiece, lubi krótkie wycieczki - powiedział sir John. Był dobrze zbudowanym, radosnym mężczyzną o czerwonej twarzy. Zdawało się, iż lepiej się czuje przebywając wśród chłopów niż siedząc w salonie, popijając sherry i jedząc biszkopty. - Prawdę mówiąc, żona czasami ma dość jej towarzystwa. Moja małżonka jest już bardzo bliska rozwiązania. Zaczynają ją denerwować drobiazgi, na które kiedyś nie zwróciłaby nawet uwagi. Niektóre z przyzwyczajzeń starszej pani, jej zwyczaj rozmawiania z domami, o ptakach, sami wiecie...

- Och tak. Pamiętam. - powiedziałam. - Kiedy była w Delaford...

- Właśnie, właśnie!

Pani Dashwood przechadzała się po pokoju, ignorując przygotowaną dla niej szklankę ratafii, podśpiewując sobie i od czasu do czasu mamrocząc jakieś słowa.

- Słyszeliśmy radosne wieści od kuzynki Eleonory. - Sir John upewnił się, że jego krewna nie czyni żadnej szkody, po czym kontynuował: - Eleonora jak się wydaje, wiercie lub nie, napisała książkę! I znalazła wydawcę, który gotów jest ją

opublikować! Dostanie za to sto dziesięć funtów. Całkiem ładna sumka, czyż nie? A ci wydawcy gotowi są wydrukować jeszcze pięć innych książek, które przez cały ten czas ukrywała. Dlaczego, na mą biedną duszę, Eleonora zawsze była taka cicha i ułożona? Nikt nie spodziewał się, że drzemią w niej takie pokłady wyobraźni? Gdyby chodziło o Mariannę, zawsze zadumaną, wiecznie o czymś myślącą... - tak, lecz Eleonora! O mało nie padłem trupem, gdy się dowiedziałem. A jeśli książki będą miały wzięcie, a wydawcy uważają, że to całkiem możliwe, będzie to najkorzystniejsza zmiana na plebanii w Delaford, która, śmiem twierdzić, znajdowała się ostatnio w opłakanym stanie. Kuzynka Eleonora napisała bardzo piękny list do mojej żony, w którym zawiadamia, że jest szczęśliwa, iż wkrótce znów powita matkę u siebie. Z tego, co wiem, panna Nell jest w domu.

Westchnęłam, myśląc, że sprowadzenie pani Dashwood do domu będzie dodatkowym obciążeniem dla Eleonory. Bez wątpienia jednak darzyła matkę ogromnym przywiązaniem.

- Czy mówiła, czy można było wywnioskować z jej listu, w jaki sposób pan Ferrars odebrał wiadomość o pisarskiej karierze żony? - zapytałam.

Sir John uśmiechnął się do mnie konspiracyjnie. „Napuszony, purytański, obraźliwy i samolubny człowiek, jakiego nigdy wcześniej nie spotkałem”, wyraziłem się kiedyś o panu Ferrarsie. - Z listu odczytałem, że zupełnie nie spodobał mu się ten pomysł. Lecz to nie Eleonora, a ktoś z jej przyjaciół pokazał książkę wydawcy, tak więc nie mógł jej za to obwinić. Jednego jestem pewien: teraz gdy Brandon i Marianna są za granicą, Bóg jeden wie gdzie, sukces Eleonory to prawdziwe zbawienie dla nich.

- Moja podopieczna chciałaby wiedzieć, sir Johnie - powiedział książę - czy wie pan, gdzie przebywa obecnie jej ojciec, Willoughby.

- Och, tak, wiem! - odparł sir John. - Nie dalej jak dwa miesiące temu dostałem od niego list. Nieszczęśnik! Biedny Willoughby! Był takim

sympatycznym, wesołym sąsiadem. Miał najlepszego pointera, jakiego w życiu widziałem.

- Cóż się z nim stało? - wykrzyknęłam.

- Ach, widzi panienka, cudem uniknął tarapatów. Wpadł w długi, napisano o nim w gazecie. Musiał sprzedać wszystko, co miał, lecz i to nie wystarczyło i gdyby nie opuścił kraju tak szybko, z pewnością znalazłby się w Newgate. Pożyczył ode mnie 250 funtów, lecz nie mam o to pretensji. Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę - dodał, zwracając się do księcia i zniżając głos.

- Och, co za okropna historia! - wykrzyknęłam. - Cóż jednak stało się z panną Grey, jego żoną?

- Ach, umarła jakiś czas temu. Z tego, co mówią ludzie, niezbyt ją opłakiwał. Biedny człowiek, to był fałszywy trop... pościg w złym kierunku... jego serce, jego żal... wszystko i skierowane było do panny Marianny. „Gdybym tylko z nią został”, zwykł do mnie mawiać, „byłbym teraz lepszym człowiekiem”. Zawsze uważałem to za stek bzdur, gdyż panna Marianna nie była kobietą, która potrafiłaby żyć o chlebie i wodzie. Przy jego upodobaniu do hazardu i braku majątku, szybko poszliby z torbami.

- W jakim więc kraju przebywa obecnie, proszę pana?

- Napisał mi w liście, że wyjeżdża do Portugalii, do Lizbony. Życie tam nie jest drogie z tego co wiem, Francuzi zostali rozgromieni, a ten omamiony biedaczyna dowiedziawszy się z jakiś plotek, że pułkownik Brandon i jego żona zamierzają zatrzymać się w Portugalii w drodze powrotnej z Indii, udał się tam czym prędzej. Jestem przekonany, iż Willoughby pojechał z nadzieją, że ponownie ujrzy pannę Mariannę, choć, jeśli o to chodzi, wydaje mi się, że prędzej dosięgłaby go kula Brandona. Z tego co wiem, ci dwaj już kiedyś zmierzyli się ze sobą. Brandon jest twardy jak stal, choć nie wygląda na takiego. I niech mnie diabli, to on w końcu łożył na utrzymanie córki Willoughby'ego przez te wszystkie lata!

- Czyli na moje, proszę pana! - przypomniałam.

- A więc to ty, moje dziecko, wybacz mi proszę! Nie przypominasz Willoughby'ego, dlatego zapomniałem. Willoughby ma kruczoczarne włosy, to typowy romantyk. Wszystkie młode damy oglądały się za nim. Lecz ty, przysięgam, wyglądasz zupełnie jak matka.

- W istocie. Jest jak jej lustrzane odbicie - powiedział książę, uśmiechając się do mnie radośnie.

- Zawsze wydawało mi się - ciągnął dalej sir John, który rzadko słuchał tego, co mówili inni ludzie, jeśli było tego więcej niż dwa czy trzy słowa - iż Brandon i jego żona wyjechali za granicę z powodu Willoughby'ego. Był tylko czterdzieści mil od nich w Combe Magna, dając wszystkim do zrozumienia, że wciąż pożąda Marianny. Co w takim wypadku powinien zrobić biedny mąż? Jestem pewien, że gdyby Willoughby wybrał się za morze, Brandon sprowadziłby ją do Anglii w okamgnieniu.

Wkrótce książę zabrał sir Johna, aby ten obejrzał jego psy, lecz nie miałam wątpliwości, że chcieli porozmawiać na osobności. Zostałam więc, aby zabawiać panią Dashwood.

Kobieta wciąż przechadzała się po pokoju, oglądając rozmaite przedmioty i wpatrując się w akwarele mojej matki.

- W tym domu jest ptak - zauważyła.

- Nawet kilka, proszę pani - powiedziałam. - Papuga, dwa kanarki i szczygieł...

- Nie, nie, ptak, ptak. Ptak.

To samo mówiła w Delaford. Tam jednak nie było żadnego ptaka.

- Jaki ptak, proszę pani?

- Ptak w klatce, więzień. - Spojrzała na mnie pełnym determinacji wzrokiem, marszcząc brwi, a jednak nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wcale mnie nie widziała. Zupełnie jakby szukała czegoś skrytego głęboko w mej duszy.

- Moja córka Eleonora, moja córka Marianna, moja córka Małgorzata... gdzie one teraz są? Gdzie one są? Czy mają się dobrze?

- Pani córka Eleonora ma się dobrze... bez wątpienia wkrótce się spotkacie. -  
Uspokoiliam biedną kobietę. - Napisała książkę.

- Książkę, książkę?

Z małego stolika podniosłam tomik wierszy.

- Książkę, taką jak ta. Nosi tytuł *Charlotta*. Zostanie opublikowana.

Skinęła głową w zamyśleniu. Nie byłam w stanie stwierdzić czy zrozumiała, czy nie. Lecz wydawało się, że posiada jeszcze zdolność racjonalnego myślenia.

- A Małgorzata?

- Jest w Londynie. Korzysta z radości przebywania w towarzystwie -  
powiedziałam, choć miałam wątpliwości czy rzeczywiście tak było.

- A Marianna? Moja piękna Marianna? - jej głos zadrżał.

- Jest razem z mężem, pułkownikiem Brandonem - odpowiedziałam szybko.  
Miałam nadzieję, że to, co mówię, było prawdą. - Czy pamięta pani pułkownika  
Brandona, dobrego, uprzejmego człowieka?

Czasami czułam, jakbym brała udział w przedstawieniu, jako jedyna ludzka istota grająca pośród kukiełek. A Brandon, Marianna, Willoughby, Eliza to aktorzy tego spektaklu, z którymi nigdy nie będzie mi dane się spotkać.

Namówiłam panią Dashwood, aby zjadła podwieczorek składający się z zimnego kurczaka, owoców i ciasta. Potem, razem z Pullett, położyłyśmy ją na łóżku w chłodnym pokoju, aby odpoczęła.

Nadal jednak rzucała niespokojne spojrzenia wokół siebie, krzyżąc nieszczęśliwym głosem:

- W tym domu jest ptak, w tym domu jest ptak. Proszę, wypuście go! Dom, dom, odpowiedz mi! Gdzie jest ten ptak? Dlaczego nigdy go nie wypuścicie?

## Rozdział dwunasty

---

Po roku spędzonym w Zoyland gdy mój głos bardzo się poprawił pod wpływem lekcji pobieranych u doktora Fantiniego - przynajmniej sam tak twierdził - księżę zaczął zapraszać profesjonalnych muzyków i śpiewaków z Londynu, wystawiając opery i oratoria, w których śpiewałam główne partie. Występom tym towarzyszyły zazwyczaj przyjęcia.

Przy takich okazjach dawano mi do zrozumienia, że choć brałam udział w występach i siadałam do posiłków wraz z księciem, miałam nie odzywać się do gości. Czasami, podczas nieformalnych okazji, kiedy z wizytą przybywali tak dobrzy znajomi czy krewni jak sir John Middleton, pozwalano mi zamienić z nimi parę słów. Nie wolno mi było jednak wdawać się w rozmowy z wybitnymi osobami z towarzystwa.

W szczególności odnosiło się to do kobiet.

W trakcie jednej z takich okazji pani Marsonby, żona biskupa Bath i Wells, siedząca naprzeciw mnie przy stole, tak bardzo zapomniała się, że przechylając się przez stół odezwała się w te słowa:

- Moja droga, zaśpiewałaś tę arię z wielkim wyczuciem! Nie mogłam powstrzymać łez!

Księżę rozgniewał się bardzo, po posiłku zabrał biskupa na stronę, aby powiedzieć mu, iż jego żona przekroczyła ustanowione granice, które obowiązywały w jego domostwie, i że jeszcze jedno takie uchybienie „może stać się przyczynkiem do zrezygnowania z przyjemności muzycznych wieczorów”. Biskup przeprosił za zachowanie żony i obiecał, że takie *faux pas* nigdy się więcej nie powtórzy.

Ktoś mógłby się zastanawiać, dlaczego w tak dwuznacznej, jeśli nie poniżającej dla mnie sytuacji miałam pozostać bierna? Odpowiedź byłaby złożona i skomplikowana.

Po pierwsze, szczerze kochałam księcia, a on ze swej strony wydawał się głęboko do mnie przywiązany. Kochał moją matkę, a ja zastępowałam mu ją. Był mi bardzo bliski. Nigdy nie pozwoliłam sobie na zmniejszenie formalnego dystansu między nami, zawsze zwracając się do niego „proszę pana” czy „Wasza Miłość”. Mimo to nasze stosunki były ciepłe i przyjazne. Przyzwyczajiliśmy się do siebie. Nigdy wcześniej nikt mnie nie kochał, oprócz Triz, jak więc mogłam oprzeć się takiej pokusie?

Szczerze mówiąc, nie czułam się uboższa, kiedy wykluczano mnie z rozmów z szacownymi osobami. Jak już wcześniej mówiłam, ich wymyślne, kulturalne i sztuczne rozmowy męczyły mnie, nie miałam więc szczególnej ochoty brać w nich udziału. Gdy dyskutowano o tym, na czym się znałam, czy też o książkach, które książkę przyniósł mi do przeczytania, o muzyce lub polityce, wtedy słuchałam gorliwie i wyciągałam własne wnioski na temat elokwencji i sprytu zabierających głos. Potem wraz z księciem często wymieniałam uwagi i wrażenia. Nigdy jednak nie pokusiłam się o wypowiedzenie własnych opinii publicznie ani też o wzięcie udziału w salonowych dyskusjach. Nie odczuwałam takiej potrzeby.

Jeśli chodzi o sprawy materialne, sytuację moją uznałabym za komfortową. Żyłam w luksusie, traktowana z szacunkiem i przyjaźnie - przez wszystkich mieszkańców domu księcia, którzy zwracali się do mnie jak do swej pani i prosili o pomoc w drobnych sprawach, zbyt trywialnych dla uszu księcia, które wymagały sensownych rozwiązań.

Towarzyszyłam księciu w czasie jego wizyt w domu przy Grosvenor Square, poznając wielu znanych polityków. Wybrałam się z nim do galerii obrazów przy Pall Mall, do Royal Academy, do Covent Garden i Drury Lane, gdzie wystawiano dzieła Szekspira, Sheridanana i wielu innych twórców, a nawet sztukę zatytułowaną *Remorse* - niezbyt dobrą, według mnie - napisaną przez pana Sama. Książę i ja spędziliśmy kilka tygodni w Londynie podczas niezmiernie chłodnej zimy 1814 roku, w czasie której Tamiza zamarzła na kilka tygodni. Na pokrytej lodem rzece,



nazwanej Ulicą Zamarzniętej Krainy, urządzono zimowy jarmark. Na straganach można było kupić ostrygi, kąkole i pierniki z imbirem. Niestety, książę bardzo się przeziębił, a po pewnym czasie jego stan się pogorszył, co przykuło go do łóżka na kilka tygodni. I choć dosyć szybko wrócił do zdrowia, ciężka choroba wyczerpała go. Od tamtej pory mniej czasu spędzał w mieście, a więcej w Zoyland.

W tym właśnie czasie ponownie zobaczyłam się z Hobym.

Spotkanie z Hobym w salonie pani Widdence przy Bond Street sprawiło mi wiele bólu i bardzo rozgniewało. Nie opisałam mych uczuć wcześniej, gdyż skryły się one bardzo głęboko. On, który w czasach młodości był mi tak wiernym przyjacielem i sprzymierzeńcem, choć na swój szorstki i beztroski sposób, tak często stawał po mojej stronie i ochraniał mnie, teraz zachował się tak obojętnie. Nie przywitał się ciepło, nie wspominał przeszłości, a jedyną rzeczą, którą mnie uraczył, była złość i chłodne, krytyczne uwagi. Rozzłościło mnie to i zasmuciło ogromnie. Żywiłam nadzieje, że Hoby pożałuje swego zachowania i napisze do mnie list, spróbuje się spotkać lub wykona gest pojednania, lecz nie uczynił tego. A mój wyjazd do Zoyland zaprzepaścił nadzieję, iż nasze stosunki ulegną poprawie.

Wiele miesięcy zabrało mi przetrwanie bólu wywołanego tym spotkaniem.

Bardzo się więc zdziwiłam, gdy książę zawiadomił mnie pewnego dnia, że zaprosił pana Johna Nasha i jego młodego asystenta, pana Roberta Hobarta, aby spędzili kilka dni w Zoyland, doradzając mu w sprawie budowy kanału.

Dawno już opowiedziałam księciu wiele historii na temat mojego dzieciństwa w Nether Othery - przynajmniej te, które uznałam za stosowne dla jego ucha. Z innych źródeł natomiast dowiedział się o szczegółach dotyczących dalszych losów niektórych z mych przyjaciół z dzieciństwa, na przykład Fanny Huskisson i licznego potomstwa lorda S. Dzieci tego ostatniego, w większości już dorosłe, prowadziły barwne życie w metropolii. Niektóre zaakceptowane zostały przez towarzystwo, innym nie poszło tak dobrze. Imię Hoby'ego nigdy jednak nie pojawiło się w naszych rozmowach, choć czasami wpadało mi w oko w trakcie czytania artykułów

w *The Times* czy *Morning Post* na temat prac nad Regent Street i Regent Canal.

Wzdychałam - nie mogę zaprzeczyć - nad prawami panującymi w tym kraju, gdzie Hoby torował sobie drogę w wielkim świecie, a mnie nie było to dane.

Teraz powiedziałam księciu, że znam Hoby'ego od dzieciństwa i próbowałam wyrazić moje poglądy na temat niesprawiedliwości społecznej. Poblążliwie pokiwał głową.

- Ach, moja droga, istnieje różnica między kobietami i mężczyznami. Jeśli chodzi o mężczyzn, nie ma to większego znaczenia czy urodzili się z prawego, czy nieprawego łóża. Wielu chłopców poczętych z nieślubnych związków doczekało się sławy w świecie. William of Normandy był na przykład jednym z nich! Spójrz na księżęta, na nieślubnych potomków Karola II! Kobiety jednak, Boże pobłogosław ich serca, muszą dbać o reputację, w przeciwnym razie do czego by to doszło? Możesz uważać to za niesprawiedliwe, moje dziecko, i bez wątpienia po części tak jest, ale przecież, płeć piękna otoczona jest troską i nie musi kłopotać się o utrzymanie.

Miałam wiele dowodów na to, że bywało zupełnie inaczej. Na przykład to, że wiele kobiet nie było na utrzymaniu mężczyzn, wręcz przeciwnie, żyły w skrajnej nędzy. Co więcej, wielu kobietom, które znalazły się w najlepszych kręgach towarzyskich, daleko było, delikatnie mówiąc, do nieposzlakowanej reputacji. Na przykład lady Melbourne, o której mówiło się, że jej sześcioro dzieci miało różnych ojców. Powstrzymałam się jednak przed rozpoczęciem kłótni. Ostatnimi czasy książę szybko się męczył, a ja nauczyłam się odczytywać gesty świadczące o jego wyczerpaniu. Zwykł pocierać swe czoło jedwabną chusteczką, jakby w nadziei, że oczyści swój umysł.

Poza tym, nie wypadało mi sprzeczać się z nim na ten temat. Czułam się bowiem kochana, a każde moje najmniejsze życzenie zawsze było spełniane. Jedynie najgłębsze pragnienia pozostawały bez odzewu.

Kiedy Hoby i pan Nash przybyli do Zoyland, z początku widziałam ich bardzo krótko, jedynie w czasie kolacji. Cały dzień bowiem przebywali z księciem poza domem, jeżdżąc po jego majątku i debatując nad miejscem odpowiednim do przepływu wody. Trzeciego dnia praca została ukończona, powrócili więc wcześniej do domu.

Rozkazałam, aby posiłek południowy podano w pokoju zwanym obserwatorium, jako że przylegała doń szklarnia, gdzie książe trzymał swój wielki mosiężny teleskop. W gwiazdziste noce zwykł przechadzać się i obserwować planety.

Na prośbę księcia dotrzymywałam towarzystwa gościom, siedząc z boku i robiąc na drutach krawat dla księcia. Nagle książe odezwał się do mnie:

- Liz, moje kochanie, czy nie wspominałaś kiedyś, że bardzo chciałabyś mieć ogród z fontanną?

- Tak, proszę pana, istotnie, lecz to tylko niewinna zachcianka.

- Czemu jej nie ziścić! Mamy tu dwóch młodych mężczyzn, którzy potrafią szukać wody tak dobrze, jak służący Patryk strzela z łuku. Wyjdźmy i poszukajmy odpowiedniego miejsca, korzystając z obecności tak znakomitych ekspertów.

Było przyjemne, majowe popołudnie. Wyszliśmy przez szerokie oszklone drzwi na zielony trawnik, który rozpościerał się przez trzysta jardów, aż do stóp łagodnego wzniesienia, porośniętego narcyzami, dzwonkami i storczykami.

- A więc, młody człowieku, pokaż panie Fitz swe umiejętności - powiedział książe, któremu Hoby najwyraźniej bardzo przypadł do gustu. Mnie zaś ogromnie spodobał się pan John Nash, mężczyzna o okrągłej, pomarszczonej, lecz pełnej radości twarzy, śmiejących się ustach i zakrzywionych brwiach, które często unosił. Miał około sześćdziesięciu lat, był jednak błyskotliwy i pełen życia. Opisywał mi dwór, który właśnie budował dla regenta, za Carlton House. W rezydencji tej regent miał przyjmować cara Rosji, króla Prus i innych europejskich dygnitarzy podczas ceremonii letnich. Dzięki Bogu, wojna na kontynencie już się skończyła.

Powiedziałam panu Nashowi, że biorąc pod uwagę, jak wiele ma obowiązków, to bardzo miło z jego strony, że znalazł chwilę czasu, aby przybyć tu, udzielić memu opiekunowi kilku rad i podzielić się swym doświadczeniem.

- Moja droga, to dla mnie ogromna przyjemność wydostać się z Londynu na chwilę i przyjechać do tak pięknego zakątka. Zwłaszcza teraz, gdy miasto jest tak bardzo zaludnione. Poza tym, to zaszczyt spędzać czas w towarzystwie księcia, który jest jednym z najlepszych i najbardziej inteligentnych ludzi, jakich znam.

- Podejź tu, moja droga Liz - zawołał książę. - Chodź i wypróbuj wynalazek pana Hobarta.

Przez ostatnie trzy dni trzymałam się z daleka od Hoby'ego, tak nakazywała bowiem grzeczność. Unikałam rozmowy i jego wzroku, lecz teraz, jak się wydawało, już dłużej nie mogłam przed nim uciekać.

Przeszłam przez trawnik i wzięłam w rękę rozwidloną gałązkę leszczyny, którą mi podał.

- Musisz trzymać ją oburącz tak, aby dwa odgałęzienia wskazywały na ciebie, a jedno w przód - wytłumaczył spokojnym, beznamiętnym tonem. - Odwróć wnętrze dłoni do góry, a kciuki odegnij do siebie.

Nic z tego nie było dla mnie nowością, jako że wraz z Hobym, Willem i Jonathanem często przypatrywaliśmy się staremu Gathercolemu szukającemu źródła na studnię, gdy dotychczasowe, z którego korzystała wieś, wyschło.

Lecz nieoczekiwane dotyk szorstkich i ciepłych rąk Hoby'ego, kiedy złapał mnie za nadgarstki i z profesjonalną troską ułożył moje palce na przyrządzie, był niepokojący. W okamgnieniu przeniosłam się w odległe czasy, które - jak sądziłam - zostały dawno już pogrzebane i wyparte z mej pamięci.

Uświadomiłam sobie - widząc jego zdziwiony wzrok - że Hoby zdążył zapomnieć o mojej dziwnej dłoni. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie o niej. Jego ręce trzęsły się, kiedy podawał mi różdżkę.

- Chodź, Lizo, kochanie! - zawołał ksiązę. - Zobaczmy, czy potrafisz wydobyć wodę ze skały, jak Mojżesz strumień ze skały w Meriba!

- Musisz chodzić w tę i z powrotem - poinstruował mnie Hoby, wciąż tym samym beznamiętnym głosem. - Nie poruszaj przyrzędem, trzymaj go nieruchomo. I nie oczekuj zbyt wiele, pozwól niech on pracuje za ciebie.

Uczyniłam, jak powiedział.

- Nie patrz na patyk! - zawołał Hoby.

Przeniosłam wzrok wyżej, spoglądając na łagodne, zielone wzniesienia, na stary, czerwony dom otoczony drzewami, na trzech mężczyzn, którzy uśmiechając się stali w słońcu i przyglądali mi się. Pan Nash i ksiązę zaczęli się śmiać, twarz Hoby'ego jednak pozostała smutna. Miał teraz mniej piegów, jak zauważyłam, choć wciąż na nosie i na policzkach widać było kilka brązowych plamek. Ubrany był bardzo starannie i stosownie do okazji. Miał na sobie dopasowany strój do jazdy konnej i odpowiednie buty. Był bardzo blady. Zastanawiałam się, jakie życie prowadzi w Londynie. Czy ma żonę? Dzieci? Dom? Kochankę? Czy jest ambitny? Czy satysfakcjonuje go poziom życia? Wydało mi się niezwykle, że z jednej strony znałam go doskonale - mogłam wykonać mapę wszystkich blizn, jakie pozostały na udach i brzuchu po upadkach ze skał w Growly Head. Z drugiej jednak strony, nie miałam bladego pojęcia, co mu chodzi po głowie.

Leszczynowa gałązka nagle podskoczyła w moich rękach. Zaskoczona, upuściłam ją na ziemię.

- Niech mnie diabli! Spójrzcie na to! Wydaje mi się, że znalazła wodę! - wykrzyknął ksiązę, niezmiernie zdziwiony.

- Istotnie, wygląda na to, że znalazła! - krzyknął pan Nash, podobnie zdumiony.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Hoby cicho. Podniósł gałązkę i podał mi ją, ponownie kładąc moje ręce na dwóch odgałęzieniach.

Nie wiem czy jego dłonie drżały tym razem. Moje z pewnością tak.

- Wróć tam, gdzie byłaś poprzednio i przejdź się jeszcze raz do tego miejsca.

Podążyłam więc tą samą drogą, a różdżka zachowała się identycznie, wyraźnie się odchyłała.

- No, no! - krzyknął pan Nash. - Wydaje się, że panna Fitz ma do tego dar, Wasza Miłość. Niech mnie wszyscy święci! Nie musi pan już nigdy wynajmować profesjonalistów, w pana domu mieszka ukryty talent! Zrób próbę Robercie, sprawdź, czy różdżka w twych rękach pokaże to samo miejsce, które odnalazła przed chwilą panna Eliza.

Trzęsłam się cała, prawie łkałam.

- Kochanie, czy na pewno nie jest ci zimno? - powiedział książę. Poklepał mnie po ramieniu, wytarł moje oczy własną chusteczką. - Co za niespodzianka! Któż mógł przypuszczać, że masz taki talent? Posiadasz jednak tak wiele umiejętności, że niczemu nie należy się dziwić.

W czasie, gdy starał się mnie uspokoić, przypatrywał się Hoby'emu. Idąc drogą, którą wcześniej obrałam, Hoby otrzymał podobny rezultat. Różdżka podskoczyła w jego rękach i upadła na ziemię.

- No, no! Teraz ogród panienki będzie tak mokry, jak tylko sobie tego panienka zażyczy. Oczywiście, jeśli Wasza Miłość nie ma nic przeciwko temu, aby kopać na boisku do gry w krykieta!

- Panienka wie, że może mieć wszystko, czego sobie zażyczy - powiedział książę. - Lilie, kaczeńce, perkozy będą rosły w tym właśnie miejscu, jeśli tylko takie jest jej życzenie.

- Dziękuję... dziękuję panu - powiedziałam, na wpół śmiejącym się i na wpół płaczącym głosem. - Jest pan dla mnie zbyt dobry. Muszę wrócić do domu, wydaje mi się, że ta różdżka przyprawiła mnie o ból głowy!

- To był dla niej szok - usłyszałam głos księcia, kiedy odchodziłam pozostawiając ich samych, czując smutny wzrok Hoby'ego na swoich plecach. - Lizzie nigdy nie cierpi na bóle głowy!

Był to ostatni wieczór, jaki spędziłam z Hobym. Książę zaprosił kilku sąsiadów na kolację, aby poznali pana Nasha i jego asystenta. Byli wśród nich biskup z żoną, a także lord Giles Trevelyan, namiestnik królewski wraz z małżonką. Wykręcając się bólem głowy poprosiłam o zwolnienie mnie z obowiązku uczestniczenia w posiłku.

Książę oczywiście zgodził się, nigdy bowiem nie był wymagający, lecz później nadeszła wiadomość z zapytaniem, czy czuję się wystarczająco dobrze, aby zaśpiewać dla gości. Nie chciałam okazać się nieuprzejmą, tak więc włożyłam wieczorową suknię i zeszłam do salonu, aby zabawić gości ariami Haendla, Arne'a i Bononciniego. Książę podszedł do mnie energicznym krokiem, uprzejmie podał mi wino i spytał o moje samopoczucie. Odpowiedziałam, że czuję się lepiej, w istocie, ból głowy był przecież niczym innym, jak tylko dyplomatyczną ucieczką.

Po posiłku - jako że powietrze było bardzo przyjemne, a księżyc świecił jasno - goście wyszli na taras.

- Ach, panie Hobart, niech pan zabierze panienkę, aby zaczerpnęła trochę świeżego powietrza - powiedział książę, który zmuszony był zająć się żoną biskupa.  
- Z pewnością dobrze jej to zrobi.

Hoby zabrał mnie na spacer. Odeszliśmy dalej od domu niż reszta gości, udając się do wiśniowego sadu. Drzewa pokryte białymi kwiatami wyglądały jak w zimie.

- Jak możesz to znosić? - spytał Hoby agresywnie. - Jak możesz znosić swoją pozycję w tym miejscu? Zabawka, laleczka, która może rozmawiać tylko z księciem, chyba że on uzna za stosowne, aby zamieniła parę słów z kim innym. To tak, jakbyś była kobietą sułtana. Doprawdy, nie ma różnicy! Ty, która byłaś zawsze dziką, wolną dziewczyną, ty Lizo! Co cię trzyma w Zoyland? Nie jesteś biedaczką, masz możliwości, masz głos, mogłabyś z powodzeniem znaleźć pracę na scenie...

- Bardzo jestem ci zobowiązana! - odparłam, trzęsąc się z gniewu. - Mogę ci powiedzieć, że gdy ostatni raz byliśmy w Londynie, otrzymałam propozycję z

opery... tak! Z opery Covent Garden... za trzy tysiące funtów i dodatkowe wynagrodzenie, jeśli śpiewałabym dla nich przez cały sezon.

- Dlaczego zatem nie skorzystałaś z tej propozycji? Czy postradałaś zmysły?

- Książę nie czuł się najlepiej, z pewnością bardzo by mu się to nie spodobało

- to byłoby niewdzięczne wobec niego...

- Niewdzięczne? Na Boga, Lizo! On zmarnował ci życie, zniszczył twoje dobre imię...

Hoby nie chciał najwyraźniej pamiętać, że w czasie naszego poprzedniego spotkania, zanim poznałam jeszcze księcia, powiedział mi, że moje dobre imię zostało już zszargane po incydencie w Bath, nie wspominając już o impertynenckim i wulgarnym recitalu w salonie wystawowym pani Widdence.

Nie omieszkałam powiedzieć o tym Hoby'emu.

- Książę zupełnie się tym nie przejął! Nie przeszkadzało mu to! Wziął mnie do siebie, troszczył się, wyedukował, nauczył dobrych manier...

- Z jakim skutkiem? Przecież nigdy nie wejdiesz do towarzystwa. Równie dobrze mogłabyś być trędowatą, nietykalną...

- Lecz on jest dla mnie dobry, Hoby! Zawsze był uprzejmy. Robił dla mnie wszystko, co było w jego mocy, nawet ten ogród. Tylko wyjrzyj...

Nagle miarka się przebrała: pomyślałam o dobrym, pełnym poświęcenia, uczuciowym, starym człowieku, wciąż cierpiącym z powodu utraty mojej matki, lecz pragnącym spełniać wszystkie moje zachcianki. Przywoływałam w pamięci wspomnienia niespełnionych marzeń - Willoughby'ego i Marianny, mojej matki i jej kochanka, i pani Debb wzywającej swego dawno zmarłego już męża, który dla jej dobra spędził w więzieniu osiem miesięcy.

- Och, jaki jest cel tego wszystkiego? Och, do czego ten świat zmierza? - wyszeptałam i chwiejnym krokiem zbliżyłam się do ławki stojącej przy grubym żywopłocie na końcu sadu. Usiadłam i ukryłam twarz w dłoniach.



Hoby natychmiast objął mnie ramieniem, przytulił policzek do mojej twarzy, wypowiadając pospiesznie słowa pocieszenia wprost do mego ucha.

- Liza-loo! - Tak zwykł na mnie mówić dawno temu. - Kochanie! Nie płacz! Nie płacz tak! Ciii! Posłuchaj! Nie płacz! Nie chciałem sprawić ci przykrości. Po prostu... nie mogę znieść tego, że jesteś tak daleko, jak jabłko na drzewie, tak nieosiągalna! To nie ma sensu, kocham cię... kocham cię... zawsze cię kochałem, tak myślę. Zawsze, od dawien dawna. To dlatego... to dlatego... och, proszę przestań płakać!

Podobnie jak księżę, wyjął chusteczkę i próbował wytrzeć moją twarz.

- Nie płaczę! - wyszeptałam. - Nigdy nie płaczę.

Istotnie, przez chwilę prawie zaczęłam się śmiać ze zdziwienia. Ogarnęło mnie tak przyjemne, znajome uczucie, gdy siedziałam przytulona do Hoby'ego. Przytuliłam się do niego, myśląc, że moglibyśmy być teraz na wrzosowisku między kępami kwiatów, muskani wiatrem znad Growly Head.

Tak jednak nie było.

Wkrótce wydobyłam się z jego uścisku, wstałam, wzięłam głęboki oddech i wróciłam do zmysłów.

- Nie, kochany Hoby, nie wolno nam tego robić. To złe. Nie należymy już do siebie. Moje miejsce jest tutaj, a twoje w Londynie...

- Posłuchaj, Lizo! Nie jesteś żoną starego księcia, nie żyjecie w zalegalizowanym związku...

- Nie mów takich rzeczy... to nonsens! To prawda, nie jesteśmy małżeństwem. Ale łączy nas tak wiele... przywiązanie, wdzięczność, szacunek, obowiązek...

- To jednak wbrew naturze. Jest od ciebie tyle lat starszy...

- Co w tym takiego niezwykłego? Różnica wieku nie stanowi przeszkody w zawarciu małżeństwa.

- Gdybyś pojechała ze mną do Londynu...

- Czy prosisz mnie, abym wyszła za ciebie, Hoby? Nastąpiła długa cisza.

Potem Hoby odezwał się:

- To niemożliwe, Lizo. Nie teraz. Moja kariera dopiero się rozpoczyna, dopiero co nabrała rumieńców... dzięki panu Nashowi mam doskonałych klientów. Jestem zapraszany do dworów i doradzam ludziom, którzy trzy lata temu nawet nie znali mego imienia... wszystko dzieje się tak szybko...

- Tak, rozumiem to - odpowiedziałam uprzejmie. - W tak wspaniałym życiu nie ma miejsca dla dziewczyny takiej jak ja, wykorzystanej na Beechen Cliff przez Pięknych z Bath, która, co najważniejsze, pochodzi z Doliny Bękartów.

Wstałam i ruszyłam przed siebie.

Szybko podbiegł do mnie, a jego głos był teraz jeszcze bardziej natarczywy, jakby wymagający:

- Lizo, kocham cię! Nie wiedziałam, że tak bardzo! Czy zupełnie już zapomniałaś o naszym dzieciństwie? Nie wierzę! Kochałaś mnie wtedy... wiem, że tak! O Boże, jak było wtedy dobrze! Nie pamiętasz?

- To, co pamiętam, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

- Proszę, nie odchodź, Lizo! Nie zostawiaj mnie!

Zostawiłam go wbrew prośbom i weszłam do domu, gdzie księżę zegnał się właśnie z gośćmi. Jak było to w zwyczaju przy takich okazjach, stałam dwa kroki za nim i grzecznie dygałam. Odpowiadano mi skinieniem głowy i uśmiechem.

Następnego ranka pozostałam w swym pokoju aż do momentu, kiedy pan Nash i jego asystent odjechali. Księżę wydawał się trochę zawiedziony, iż nie zeszłam rano na śniadanie i nie pożegnałam się z nimi.

- Myślałem, moje dziecko, że będziesz miała więcej do powiedzenia staremu przyjacielowi, panu Hobartowi. To taki rozmowny, sympatyczny młody człowiek! Czyż nie przyjemnie wspominało wam się stare czary w Dolinie Bękartów?

Księżę lubił słuchać opowieści o tym niechlubnym miejscu.

- Nie, proszę pana. Pan Hobart stał się teraz tak szacownym człowiekiem, że lepiej nie przypominać mu o tych czasach.

- Co za szkoda! A co z ogrodem? Czy mam zawołać McPhee'ego i wydać mu stosowne rozkazy?

- Nie, mój drogi panie. Bardzo dokładnie to przemyślałam i nie sądzę, aby warto było psuć pana piękną ziemię. Tak więc, zmieniłam zdanie. Wolałabym natomiast, aby zabrał mnie pan do Londynu na kilka dni. Pan Nash powiedział mi, że sklepy pełne są nowych, cudownych kreacji przywiezionych prosto z Paryża.



## Rozdział trzynasty

---

Lato 1814 roku, kiedy lud Anglii śpiewał, tańczył, puszczał zimne ognie, zabawiał zagranicznych gości i udawał się w podróż na kontynent - który przez tak długi czas wydawał się niedostępny - zastało mnie zawiedzioną, opuszczoną i bez sił do życia. Kiedy księżę odwiedzał Londyn, aby brać udział w majówkach, nie miałam ochoty mu towarzyszyć i najczęściej zostawałam w Zoyland.

- O co chodzi, moje dziecko? - pytał mnie raz po raz. - Czego ci brakuje? Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nic, proszę pana, dziękuję. Jest pan niezwykle uprzejmy, a ja mam wszystko, o co tylko poproszę.

Mogłabym jednak powiedzieć, że oprócz tego, czego nie można kupić za pieniądze: szczęśliwego dzieciństwa, powrotu bliskich, zacerowania dziur i zszycia rozerwanych strzępów mego życia.

Pewnego razu, kiedy byłam sama, księżę przebywał w Londynie przemawiając w Izbie Lordów, spadłam z konia w czasie przejażdżki po parku w Zoyland. Z powodu pękniętego obojczyka zmuszona byłam pozostać w łóżku przez kilka dni. Księżę przybył zaniepokojony z Londynu, przywożąc na konsultacje oddanego mu doktora Swintona, który przez ostatnie dwadzieścia lat był jego prywatnym lekarzem i troszczył się także o moją matkę.

Obaj mężczyźni oddali się cichej i bardzo długiej rozmowie w kącie mej sypialni, podczas gdy Pullett krzątała się po pokoju, składając i rozkładając ręczniki, przenosząc przedmioty z jednego miejsca na drugie, tylko po to, aby mieć wytłumaczenie i przemknąć się obok nich, podsłuchując, o czym mówią.

- Wyobraź sobie! Jego Miłość pyta doktora, czy to możliwe, abyś spadła z konia naumyślnie! - doniosła mi ze złością.

- To śmieszne! Jakbym była w stanie coś takiego zrobić!

W każdym razie, pomyślałam, gdybym kiedykolwiek miała chęć zakończyć życie, z pewnością wybrałabym skuteczniejszy sposób.

- A teraz rozmawiają o twojej matce - doniosła mi znowu, przynosząc kawałek skórki cytrynowej, abym potarła nią palce.

- Mojej matce! Co, na Boga, ona ma wspólnego z moim upadkiem?

Na to pytanie ksiązę udzielił mi odpowiedzi po wyjściu lekarza, za co byłam mu wdzięczna. Doktor Swinton bowiem, choć zręczny praktyk, wstydził się zawsze próbując wytłumaczyć coś kobiecie, pograżając się w gąszczu niewytłumaczalnych eufemizmów.

- Wydaje się, moja droga, że doktor wykorzystał sposobność, aby dokładnie cię zbadać, gdy byłaś nieświadoma. Obawia się, że zrobiłaś sobie krzywdę w okolicy lędźwi... lub też, że możesz cierpieć na tę samą przypadłość, co twoja biedna matka, tak więc rodzenie dzieci będzie dla ciebie bardzo niebezpieczne.

Patrzyłam na księcia bezmyślnym wzrokiem.

- Lecz - mówił dalej - choć Swinton powiedział mi, że w tych okolicach jesteś dość wąska - wymagasz więc troski i zachowania ostrożności, nie sądzi, aby przekreślało to możliwość posiadania potomstwa.

- To bardzo miło z jego strony, że zadbał o sprawdzenie tego - powiedziałam.

- Lecz sprawa ta wydaje mi się odległa. Nie rozumiem dokładnie jej związku z pękniętym obojczykiem.

- Wiesz, moja droga - odezwał się ksiązę bez zbędnych wstępów - doktor i ja nie jesteśmy ślepi. Obaj zauważyliśmy, że w ciągu ostatnich miesięcy posmutniałaś, chorujesz, nie odzywasz się zbyt często. Doszliśmy do wniosku, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Milczałam, zastanawiając się, do czego zmierza i domyślając się zarazem, jaki może być rezultat jego wyводу.

- Nie ma co ukrywać - kontynuował ksiązę. - Życie, jakie tu prowadzisz, nie służy kobiecie w twoim wieku. Nie mogę temu zaprzeczyć. Ja sam nie jestem w

stanie zaspokoić twych potrzeb... a niech to wszystko! A jednak tak bardzo pragnąłbym dziedzica, żeby majątek nie wpadł w ręce tego diabła z piekła rodem, Stannisbrooke'a.

- Lecz, proszę pana...

- Pozwól, że skończę, moje dziecko - powiedział, przytrzymując moją rękę. - Bardzo się do ciebie przywiązałem... i wiem, że ty także mnie lubisz, każdy by to dostrzegł... lecz kiwanie głową jest tak dobre jak puszczenie oczka ślepemu koniowi... Chodzi mi o to, że nie uznałbym za niestosowne, gdybyś... uciekła spod mej kontroli na krótką chwilę i przyniosła mi następcę... najlepiej chłopca, który może uszczęśliwić nas oboje. Dałabyś mi spadkobiercę, który odziedziczyłby ten dom. Sama zaś miałabyś kogoś, kim mogłabyś się opiekować i troszczyć... rozumiesz?

Jego donośny, autorytatywny głos zawisł w powietrzu. Księżę patrzył na mnie spod swych krzaczastych brwi.

- Lecz kto, mój drogi panie - odezwałam się po dłuższej chwili - kto to ma być, kogo widzi pan jako ojca tej małej istoty? Widzę wiele przeszkód w pańskim planie, lecz pierwszy i najważniejszy jest taki, że tak mało... tak niewielu mężczyzn przyjeżdża do Zoyland.

Nie zjawił się jeszcze ani jeden, który choć trochę by mi się podobał - dodałam w myśli. Księżę wyglądał na zakłopotanego.

- Wiesz, moje dziecko, zastanawiałem się nad tym sympatycznym młodym chłopcem, który był u nas z Nashem i instruował cię, jak szukać wody, ha? Poza wszystkim to twój stary znajomy, mówiłaś, że znasz go od dzieciństwa, to nie to samo, co obca osoba... chyba sama rozumiesz? Jesteście dobrymi przyjaciółmi. W tej sprawie nie musielibyście zachowywać szczególnej delikatności.

- Na Boga, proszę pana... taka propozycja wymaga zgody dwóch stron. O własnych uczuciach nie zamierzam teraz mówić, ale pan Hobart może mieć coś przeciwko...

- Hmm! - powiedział książę. - Jeśli o to chodzi, nie należy być zbyt pewnym siebie. Myślę, że pan Hobart da się przekonać. Tak, istotnie tak właśnie myślę.

Nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa.

- Oczywiście potrzebne będą odpowiednie przygotowania - powiedział książę.

- Wszystko musi się odbyć uczciwie i legalnie. Ty pozostaniesz w Zoyland do końca swego życia... to nie ulega wątpliwości. Wprawdzie trzeba będzie zapłacić dużo pieniędzy, jako że nie ma tu pokrewieństwa, nie będzie to jednak przeszkodą, aby twoje dziecko odziedziczyło majątek...

Spojrzał na mnie, a jego twarz poczerwieniała z entuzjazmu dla własnego planu.

- Twoja droga matka byłaby taka szczęśliwa!

- Czy pytał pan pana Hobarta? Czy przedstawił mu pan ten plan?

- Przy szklance wina w White's - przytaknął książę.

- I co on na to?

- Początkowo wydawał się zaskoczony... trochę zakłopotany, lecz potem...

myślę, że można by go przekonać. - Po chwili zastanowienia książę dodał: - Jest młodym mężczyzną o bardzo delikatnej naturze. Niezwykle wrażliwej. Mówił o tym domu... o Zoyland... w sposób świadczący o dobrym smaku. Ma oko do pięknych rzeczy.

Równie dobrze mógłby zostać ojcem - pomyślałam.

- Nie wydaje mi się, że z jego strony możemy się spodziewać przeszkód - zakończył książę.

- Nie, mój drogi panie, obawiam się, że największa trudność leży tu - odpowiedziałam spokojnie, wskazując palcem na siebie.

- Ach tak? Ach tak, kochanie? - wykrzyknął książę bardzo zakłopotany. - Czy nie podoba ci się ten młody człowiek? Byłem przekonany... zrozumiałem... wydawało mi się...

- Wolałabym nie snuć domysłów na temat tego, w co pan wierzył - odpowiedziałam.

- Pochodzi z Othery, tak jak ty, i po tym wydarzeniu w Bath... sama rozumiesz? - starał się wytłumaczyć książę, teraz znacznie spokojniej, jakby czuł się okrutnie potraktowany. - Myślałem, że będzie to dla ciebie możliwość ułożenia sobie życia, hmm? W końcu nie jesteś jedną z tych napszonych, nietykalnych młodych dam, które trzeba by brać siłą na podłódze, dzięki Bogu!

- Bardzo mi przykro, że rozczarowałam pana. Nie widzę jednak siebie w takiej roli.

Wydawał się naprawdę onieśmielony. Próbował odezwać się kilkakrotnie, ale powstrzymał się, nerwowo pocierając brew jedwabną chusteczką.

- Niech będę przeklęty! Byłem tak pewien, że ten plan spodoba się wszystkim - wymamrotał, wyglądając jak rozżalone dziecko, któremu odmówiono zabawki. Wyszedł z buduaru, udając się do biblioteki, gdzie spędził następne dwie godziny, wściekle pisząc coś na kartce piórem, przekreślając wszystko, co napisał, mnąc kartki i wyrzucając je. Zastanawiałam się, czy próbował napisać list do Hoby'ego, zawiadamiając go, że plan zapewnienia dziedzica w Zoyland upadł. A mnie, nie będę zaprzeczać, szkoda było księcia. Żałowałam, iż nie mam takiej mocy, aby spełnić jego życzenia.

Tego wieczoru zauważyłam, że książę utyka. Raz czy dwa razy nie mógł znaleźć słów, zupełnie jakby stłoczyły się w jego umyśle, niczym stos gruzu po powodzi przy moście na rzece Ashe. Następnego dnia jednak wydawał się znów być sobą, uprzejmy i uważny, opiekuńczy jak zawsze.

- Jeśli chodzi o naszą wczorajszą rozmowę, moja droga - zaczął, kiedy przechadzaliśmy się po lipowej alejce - nie będziemy do niej więcej wracać, dobrze? Chyba że zmienisz zdanie. Wtedy, jak wiesz, wystarczy tylko powiedzieć, czego pragniesz. Jedno twoje słowo, a młody człowiek przybędzie tu w okamgnieniu.



- Dziękuję, proszę pana. Jest pan bardzo uprzejmy, jak zawsze. Ale wydaje mi się, że nie zmienię decyzji.

Oboje westchnęliśmy i przez kilka jardów szliśmy w milczeniu.

Miesiąc później otrzymałam list od lady Hariot Vexford.

Przybył z Amarente, w Portugalii, a napisany został rok wcześniej.

Zaadresowany był do mych prawników w Dorchester, zrozumiałam więc, że list, który napisałam do lady Hariot i Triz z Bath, podając adres pani Debb, nie dotarł do nich. Prawnicy zaadresowali go ponownie i wysłali do pani Haslam, która przekazała go Edwardowi Ferrarsowi, ten z kolei wysłał go do domu pani Debb w Bath. Stamtąd niewprawną w pisaniu ręką, niewątpliwie pani Racheli, odesłała go do pani Widdence w Londynie. Co dziwne, był zaadresowany do Zoyland. Być może, miała nadzieję, że odwiedzę jej sklep, skoro mam tak dostojnego opiekuna.

Lady Hariot pisała:

*Moja droga Elizo!*

*Zwracam się do ciebie, gdyż jesteś w tej chwili - w co głęboko wierzę - jedyną nadzieją dla mojej nieszczęsnej córeczki, do której, jak wiem, czułaś kiedyś prawdziwe i głębokie przywiązanie. Bardzo dobrze pamiętam, jak cierpliwie pomagałaś jej w lekcjach, śpiewałaś, opowiadałaś historie, brałaś udział w dziecięcych grach i spełniałaś jej zachcianki, i jak wspaniałym towarzystwem byłaś, spędzając z nią czas w pokojach dzieciennych i ogrodach Kinn Hall. Moje serce krwawi boleśnie, gdy przypominam sobie tamte dni. Brakowało mi wtedy poczucia bezpieczeństwa, lecz och! Jakże pogodne i pełne nadziei na przyszłość wydają się teraz te dni, w porównaniu z tym, co przydarzyło się nam od tego czasu.*

*Kiedy przybyliśmy do Portugalii, znalazłyśmy mieszkanie, o czym chyba już pisałam (jeśli tylko mój list do ciebie dotarł) - u mej siostry, lady Anny Foliot w Lizbonie. Jej mąż pracował w ambasadzie brytyjskiej, lecz ze szkodą dla nas został potem przeniesiony do Brazylii. Moja córeczka Teresa wiele wycierpiała w trakcie*

*podróży do Portugalii. Zaczęłam się nawet obawiać, czy przetrwa tę niebezpieczną podróż morską przez nawiedzany sztormami Ocean Atlantycki. Pewna Portugalki, przyjaciółka mojej siostry, zaoferowała nam pokój w Porto. Tak więc, przeniosłyśmy się do tego miasta. Udzielając lekcji gramatyki angielskiej i literatury klasycznej, byłam w stanie nas utrzymać, choć na niezbyt wysokim poziomie. Kiedy zjawili się Francuzi, musiałyśmy uciekać. Schronienie znalazłyśmy u sióstr zakonnych z klasztoru Świętej Klary, które przeniosły się do niezbyt wygodnego schronienia w ruinach klasztoru w górach, na północ od rzeki Duero. To miejsce musiałyśmy opuścić, gdy nieustraszony sir Arthur Wellesley przerzucił swe oddziały przez rzekę i wyparł Francuzów na północ od miasta. Wraz z siostrami zostałyśmy poprowadzone na północ. Wielokrotnie ledwie udawało nam się ujść z życiem.*

*Wszystko to działo się cztery lata temu. Chciałyśmy oczywiście wrócić do Porto, jak nazywają to miasto Portugalczycy, kiedy najeźdźcy zostali wyrzuceni z miasta. Przez długi czas jednak nie było to możliwe, jako że kraj został zupełnie zniszczony. Nie było transportu, wszystkie konie i muły zostały zabrane przez jedną lub drugą armię.*

*Wycofujący się Francuzi nie mieli litości. Palili wioski, niszczyli plony, wieszali biednych wieśniaków, mordowali księży. Przez miesiące żyłyśmy, wierz mi, jedząc wrony ugotowane w occie, czarny chleb i trochę ryżu. Nie było sposobu, aby przedostać się przez góry na południe inaczej niż pieszo. Moje biedne dziecko nie dałoby sobie rady. Dlatego wraz z kilkoma siostrami, zostałyśmy w opuszczonej wiosce, gdzie domy były zupełnie zniszczone. Przez dwa lata mieszkaliśmy tam, a nasza sytuacja stopniowo się poprawiała. Przędłyśmy i tkaliśmy koźlą wełnę, uprawiałyśmy ogród, ratując stratowane winorośla. Sadziłyśmy kukurydzę przy brzegach strumyka i łapałyśmy świnię, które uciekły w sosnowy las. W końcu byłam w stanie wysłać wiadomość do pana Crofta w Porto - jego córkę uczyłam łaciny - prosząc go o pożyczkę, abyśmy mogły wrócić do miasta.*

*W tym czasie jednak po zdewastowanym kraju wciąż kręciły się oddziały bandytów i korsarzy. Niektórzy zdezerterowali z pokonanych armii francuskich, inni byli po prostu zbirami i wyrzutkami. Banda takich okrutników przybyła do naszej wioski. Żywili szaleńcze przekonanie, że w naszym spokojnym górskim schronieniu wycofująca się francuska armia zakopła garnek zawierający dwieście milrejsów w złotych i srebrnych monetach, a także diamenty z Brazylii. Nie mogliśmy im wythumaczyć, że się mylili. Wykopali wszystkie nasze starannie zasadzone warzywa, rozbili ściany, które w tak ogromnym trudzie zbudowałyśmy, lecz nic nie znaleźli. Dali więc upust wściekłości i rozczarowaniu, wyżywając się na bezradnych kobietach. Dwie z nich na miejscu zakłuli bagnietami. Być może to one właśnie miały szczęście. Bez wątpienia znajdują się teraz w raju. Nie mieli odwagi mnie maltretować. Tacy bandyci są bardzo przesądni i prawdopodobnie wierzyli, że skoro mam dziwne oczy, to muszę być pod wpływem złych mocy. Przywiązali mnie powrozami do naszego warsztatu tkackiego w gołębniku, gdzie byłam zmuszona godzinami wysłuchiwać krzyków ich ofiar. Wśród wielu była też moja córeczka. Potem opuścili wioskę, podkładając ogień pod część domostw. Na szczęście ulewa ugasiła pożar i po kilku godzinach byłam w stanie wyzwolić się i ruszyć z pomocą ocalałym. Odnalazłam Teresę, okaleczoną, posiniaczoną, zmalretowaną i wykrwawioną. To cud, że jeszcze żyła. Inne kobiety nie były w lepszym stanie. Dwie z nich umarły. Powoli, w ciągu następnych tygodni, udało im się wrócić do siebie. Lecz moje dziecko nigdy nie powróciło do zdrowia. Pozostało nieme i sparaliżowane od pasa w dół. Biedna istotka nie odzywa się zupełnie, tylko łzy wypływają z jej oczu.*

*Dzięki pieniądzom, które przysłał pan Croft, udało mi się przetransportować ją aż do Amarante, gdzie przebywamy w tej chwili. Mamy nadzieję udać się do Vila Real, gdzie podobno jest lekarz. Lecz Teresa była tak osłabiona podróżą, że obawiałam się o jej życie. Ksiądz w tym mieście powiedział mi, że jego zdaniem rozmiar koszmaru i bólu, jaki przeżyła Teresa, doprowadził ją do stanu katalepsji, z*

*którego wyrwać może ją tylko silne, radosne przeżycie. Wydaje mi się, że ma rację. Jak dotąd, wszelkie moje próby nie poskutkowały.*

*Tak więc, moja droga Elizo, wiem, że proszę cię o bardzo dużo. Być może proszę cię o coś, czego nie będziesz w stanie spełnić. Przypuszczam bowiem, że możesz w tej chwili być mężatką lub zajmujesz się sprawami, których nie będziesz mogła pozostawić tak nagle, aby popłynąć do Portugalii. Lecz gdyby to było możliwe, wierzę, że twój przyjazd mógłby wydostać moje dziecko z okrutnego więzienia, w którym tkwi już tak długo. Błagam cię, jeśli to tylko w twojej mocy, postaraj się przybyć do nas.*

*Jak mogę się upewnić, że otrzymasz ten list? A moja córeczka nie umrze do czasu, kiedy zdołam cię odnaleźć? Nie mam takiej pewności. Bardzo jednak wierzę w twoje przywiązanie do Teresy, i ufam, że jeśli tylko będzie to w twojej mocy, przyjedziesz, a wtedy być może będziesz mogła jej pomóc.*

*Przenosimy się w pobliże Vila Real. Gdybyśmy z jakiegoś powodu opuścili to miejsce, udaj się do sióstr w Porto. Klasztory kontaktują się ze sobą, zakonnice będą więc wiedziały, gdzie mieszkają obcokrajowcy. Jeśli zapytasz o „Angielkę i jej chorą córkę Teresę”, każdy z pewnością ci pomoże.*

*Twoja przyjaciółka na zawsze  
Harriot Vexford*

Przeczytałam ten list, siedząc w różanym ogrodzie księcia w gorące i wilgotne lipcowe popołudnie. Usypiający zapach rozwiniętych róż i rozgrzanych kamieni otulił mnie jak koc, a z łąk dobiegało ciche granie koników polnych.

Byliśmy w stanie wojny, pomyślałam, mój kraj walczył z Francją, odkąd byłam dzieckiem, cóż jednak wiedziałam o wojnie? Toczono bitwy - Trafalgar, Vitoria, Salamanca. Tonały statki, topili się marynarze, żołnierze ginęli od kul armatnich, a wszystko po to, aby ochronić wyspę. Ale w jaki sposób wydarzenia te wpływały na mnie, Elizę Williams? Zdawało mi się, że to jeden z aktów sztuki

Szekspira czy Sofoklesa. A moje przyjaciółki, lady Hariot i Triz, spotkały się z wojną twarzą w twarz. Moje myśli podążyły za pułkownikiem Brandonem i Marianną. Zdarzało mi się myśleć o nich krytycznie, gdyż nie interesowali się mną, odkąd przenieśli się do Indii, czy też podróżowali z Indii do Portugalii. Skąd jednak mogłam wiedzieć, jakie troski stały się ich udziałem, jakim niebezpieczeństwom musieli stawić czoło?

Gdy tylko przeczytałam list, chciałam pokazać go księciu. Niestety, przebywał akurat w Londynie, brał udział w wielkiej fecie w Carlton House (w specjalnym pawilonie zaprojektowanym przez pana Nasha) wydanej na cześć sir Arthura Wellesleya, który został księciem Wellington.

Księżę powrócił do Zoyland następnego dnia, zmęczony i posepny.

- Londyn to istny dom wariatów - powiedział zirytowanym tonem. - Pokryli Hyde Park orientalnymi świątyniami, pagodami, mostami i wieżami. Nie będzie już mleka, krowy zostały wygnane z parku, a wszystkie praczki zajmują się teraz zupełnie czym innym.

- Och, proszę pana! Błagam... błagam... niech pan przeczyta ten list!

Księżę zaczął czytać, marszcząc brwi, jego wargi zacisnęły się, a oczy zachmurzyły pod krzaczastymi brwiami.

Dotarłszy do końca listu, księżę nie odezwał się ani słowem, nadał jedynie policzki, ciężko wzdychając. Potem ponownie przeczytał list, powoli i uważnie.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że tej nieszczęsnej istotki może już nie być na tym świecie? - powiedział w końcu, odwracając kartkę, aby znaleźć datę.

- Tak...

- Lecz wyobrażam sobie, że nie odwiedzie cię to od próby udzielenia jej pomocy? Czyż nie? Pełne litości serce panienki nigdy jeszcze nie pozwoliło, aby taka prośba pozostała bez odpowiedzi. Tego jestem pewien! Żebracy, włóczędzy, sprzedawcy uliczni - wszyscy nieudacznicy tego świata zwracają się uniżenie, prosząc cię o datki.

- Hm... - westchnęłam - wiem dobrze, co to znaczy być samotnym i nie mieć przyjaciół...

- Ha! Wydaje mi się, że szansa spotkania pani Marianny stanowi dodatkową zachętę?

- Przepraszam?

- Post scriptum...

Nie zauważyłam post scriptum w rogu kartki: *Z tego co wiem, pani Marianna Brandon, wdowa, jak mniemam, po twym opiekunie, przebywa obecnie u sióstr w klasztorze Świętej Klary w Porto.*

- Wielkie nieba! - krzyknęłam do księcia. - W takim razie, to oznacza... że pułkownik Brandon dokonał żywota.

- Niewątpliwie zginął w bitwie, biedaczysko.

- Nic dziwnego, że nigdy nie powrócił do Delaford.

- Należy mieć nadzieję, iż pani Marianna powiadomiła prawników - powiedział książę oschłym tonem. - Lecz teraz, kochanie, jeśli, jak śmiem przypuszczać, zamierzasz wybrać się do Portugalii ze swą misją, mam tylko jeden warunek.

- Oczywiście, proszę pana! - odpowiedziałam trochę nieobecny głosem, gdyż moje myśli krążyły właśnie wokół Marianny Brandon. Czy zamierzała pozostać w Porto, czy też chciała powrócić do Anglii? Czy Willoughby'emu, memu ojcu, udało się ją odnaleźć? Czy teraz, gdy nie było już pułkownika Brandona, zostaną razem?

Książę mówił dalej:

- Oto mój warunek, moje dziecko. Będę ci towarzyszył do Portugalii osobiście. Mój statek, Miranda, odpływa z Bristolu za dziesięć dni z ładunkiem ryb i suchym prowiantem. To doprawdy wielkie szczęście! Możemy mieszkać w Factory House w Porto, w czasie gdy będziesz kontynuować poszukiwania. Mój służący,

Bliven, będzie nam towarzyszył. Zajmie się także przygotowaniami. A mój agent w Portugalii, Enrique Morton, pomoże ci w poszukiwaniach.

- Proszę pana...

Muszę przyznać, że byłam cokolwiek przerażona planem księcia. Perspektywa podróży w jego towarzystwie, ze wszystkimi tego konsekwencjami, nie przyprawiała mnie o szczególną radość. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że będę działać na własną rękę, że będę sama i wolna.

- Planowałem wysłać tam Blivena - kontynuował książę - aby sprawdził, jak sprawy się mają po napaści Francuzów, lecz on zawsze przedstawiał mi powody, dla których taka podróż nie byłaby wskazana. Teraz pojedę tam sam, tak będzie lepiej. Cieszę się już na myśl o spacerach wzdłuż Rua Nova des Inglezes. Porto to przyjemne miasto.

Postanowiłam nie sprzeciwiać się. Potem cieszyłam się, że moje myśli pozostawiłam dla siebie, gdyż doktor Swinton stanowczo zaprotestował przeciwko temu, aby jego pacjent wybrał się w taką podróż.

- Wasza Miłość, wygląda pan na zmęczonego, a ostatnio zauważyłem, że chodzi pan chwiejnym krokiem. Byłoby to niewskazane... nie do pomyślenia... nie ma mowy.

- Podróż morską mogłaby jednak postawić mnie na nogi - zaprotestował książę.

- Być może, lecz nie podróż przez Zatokę Biskajską, i to w sierpniu, mój drogi panie! Lada dzień można oczekiwać silnych wiatrów! Byłoby to głupotą... skończoną głupotą!

Książę klóciłby się dalej, lecz tego właśnie dnia zachwiał się na schodach tarasowych i gdyby nie szybka reakcja służącego, który złapał go na czas, mógł upaść i zrobić sobie krzywdę.

- Och, Boże miłosierny! Staję się niezgrabnym, cherlawym starcem - lamentował biedny książę. - Wkrótce nikt z moich przyjaciół nie będzie chciał spotykać się ze mną.

Widząc, że posmutniał, delikatnie starałam się go rozweselić.

- Istotnie! Łatwo bowiem pana zirytować. Szybko się pan obraża, a pana dowcipy są ostre, jak żądło. I nie potrafi pan dostrzec humoru w żartach, które opowiadają inni.

- Śmieszna istotko! - pociągnął mnie za ucho. - Tak więc, musisz wybrać się ze swą misją beze mnie. Zaklinam cię na wszystkie świętości, abyś nie wałęsała się po obcym kraju ani minuty dłużej, niż będzie to konieczne i gdy tylko twoja misja zostanie dopełniona, wracaj pospiesznie do biednego, starego przyjaciela w Zoyland.

- Oczywiście, proszę pana. To zrozumiałe - powiedziałam bezradnym tonem. Moje serce zaczęło krwawić. Jak mogłam mu to obiecywać? Skąd mogłam wiedzieć, jak potoczą się sprawy, gdy odnajdę lady Hariot i Triz? Roztrząsanie tego nie miało jednak sensu.

- Zanim zabierzesz się za pakowanie - kontynuował książę radośniejszym tonem - chcę, abyś zamówiła gęś albo kilka przepiórek. Zaprosiłem na jutro pana Nasha, a sir John Middleton powiedział, że wpadnie, aby się z nim spotkać... Och, całkiem bym zapomniał, młody pomocnik pana Nasha będzie mu towarzyszył.

Zapowiedź przyjazdu Hoby'ego stanowiła dla mnie niezbyt miłą nowinę. Uśmiechnęłam się jednak, dygnęłam, po czym poszłam wydać odpowiednie instrukcje gospodyni.

- A więc to tak! - powiedziała Pullett, gdy zmieniałam suknię. - A więc wybiera się panienka do Portugalii? I nie powiedziała mi panienka o tym ani słowa! To nieładnie mieć tajemnice przed kimś, kto może być pomocny.



- Miałam zamiar ci powiedzieć - powiedziałam wpinając pióra we włosy. -  
Wydaje się, że w tym domu plotki rozchodzą się z prędkością błyskawicy.  
Powiedziałabym ci.

- Jadę z panienką - Pullett wściekle zacisnęła usta.

- Och, nie!

- Och, tak!

- Przecież nienawidzisz podróży statkiem! A wszyscy mówią, że Zatoka Biskajska to najgorsze miejsce na świecie.

- Jadę, tak czy inaczej. Nie pozwolę na to, aby panienska sama radziła sobie z kłopotami w obcym kraju. Nie wiadomo, co wpadnie panience do głowy. Dlaczego nie mogłaby panienska zostać i poślubić tego sympatycznego, młodego człowieka, pana Hobarta? Zupełnie tego nie rozumiem.

Niechcący wbiłam spinkę w skórę głowy i zagryzłam zęby z bólu:

- Małżeństwo z nim nie wchodzi w grę. Nie poprosił mnie o rękę.

- Poprosiłby, gdyby była panienska bardziej stanowcza. A ma dobrą łunę...  
dobry, czysty żółty kolor. Potem Jego Miłość pozostawi mu Zoyland i wszystkim nam będzie się dobrze powodziło.

- Czy możesz zamilknąć, podać mi szczotkę i odejść stąd. Wyszła, dumnie unosząc głowę.

Podczas wizyty Hoby był jeszcze bardziej nieśmiały. Pretekstem do odwiedzin był projekt domku letniego, który pan Nash miał przygotować dla księcia. Mężczyźni wyszli, rozprawiając o tym pomysle przez większą część dnia. Sir John Middleton, który przybył na obiad tego wieczoru, wciąż mówił o swym nowo narodzonym dziecku.

- Ten malec ciągle się uśmiecha. Jest dla mnie więcej wart niż jego czerwonolicy starszy braciszek, podobny do mojej pierwszej żony. To przekleństwo, że człowiek nie może sam wybrać spadkobiercy. Gdybym mógł, nie zostawiłbym grosza tej okropnej kobiecie, mojej pierwszej żonie.

Księżę westchnął, zgadzając się z tą opinią i dopił do końca wielki kielich czerwonego wina.

- Proszę pana, proszę pana! - błagającym tonem zawołał doktor Swinton. - Obiecał pan, że będzie ostrożny z alkoholem.

- A niech to, zabierzcie to ode mnie! Nie mogę napić się łyka wina, nawet gdy Lizzie wyjeżdża w daleką podróż do Portugalii, a McPhee mówi, że gąsienice dostały się do upraw i nie będziemy mieć moreli...

Przyłapałam Hoby'ego, wpatrującego się we mnie z niepokojem.

Po posiłku, kiedy starsi mężczyźni odpoczywali, wciąż popijając porto, podszedł do mnie. Siedziałam w salonie i grałam sonaty Cimarosa.

- Dlaczego wyjeżdżasz do Portugalii? - dopytywał się bezceremonialnie.

- Pamiętasz lady Hariot i Triz?

- Oczywiście, że pamiętam. Opowiedziałam mu o liście lady Hariot.

- To nierozsądne - powiedział. - Zupełnie nierozsądne! Po pierwsze, w jaki sposób zamierzasz je odnaleźć? Po drugie... jeśli ten list szedł do ciebie tak długo, możliwe że biedna dziewczyna już dawno umarła. Ile ona ma lat?

- Wydaje mi się, że szesnaście lub siedemnaście.

- Z pewnością już umarła, możesz być tego pewna, wyprawiasz się tam na próżno. A ty możesz znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie. Ten kraj dźwiga się z wojny i francuskiej okupacji, i pełno tam wyjętych spod prawa opryszków... Nie mówisz w ich języku... nigdy wcześniej nie byłaś za granicą... dlaczego miałabyś tak się narażać? Lady Hariot nigdy nie zrobiła dla ciebie tak wiele, z tego, co pamiętam...

- Była dla mnie jak matka...

- Słyszałem również, że Bonaparte nie jest dobrze pilnowany na Elbie, może więc uciec, a wtedy Francuzi powstaną znowu... Musisz to przemyśleć, Lizo. To naprawdę bardzo nierozsądne przedsięwzięcie.

- Sam księżę nie miał obiekcji co do mego wyjazdu - powiedziałam chłodnym tonem. - Muszę pana prosić, panie Hobart, aby zatrzymał pan swe rady dla tych, nad którymi sprawuje pan władzę. Ja do nich nie należę.

Hoby wciąż pochylał się nade mną, ja zaś wstałam od fortepianu i poszłam w kierunku drzwi.

- Skoro tak bardzo zaprzyjaźniłeś się z księciem - dodałam, wychodząc z pokoju - możesz przychodzić i odwiedzać go, gdy mnie nie będzie.



## Rozdział czternasty

---

Rozłąka z księciem okazała się ciężkim przeżyciem. Bezbrzeżny smutek ogarnął nas oboje. Księżę spoglądał na mnie ze swego krzesła jak stary zrozpaczony pies, który nie może zrozumieć, dlaczego nie pozwolono mu towarzyszyć właścicielowi podczas spaceru. Oczy księcia ukryte pod krzaczastymi brwiami, pełne były łez. Nie mógł mówić.

- Wrócę do pana tak szybko, jak będzie to możliwe, obiecuję. Naprawdę, naprawdę. - Słowa same wypływały z moich ust, choć wcale nie miałam zamiaru ich wypowiadać. Poczulałam ukłucie w sercu. Dlaczego, zastanawiałam się, dlaczego ludzie muszą sprawiać sobie tyle bólu?

Opuszczenie Zoyland nie był proste. Domownicy ze smutkiem przyglądali się memu wyjazdowi, błagając, abym nie przedłużała pobytu w Portugalii, lecz spieszyła z powrotem do domu.

- Jego Miłości i nam będzie panienki bardzo brakowało - powiedział stary Tark.

Pullett wpadła w posepny nastrój kilka dni wcześniej. Jej pożegnalne spojrzenia, gdy odjeżdżaliśmy - na krzaki, drzewa i zakręty - pełne były wyrzutu. Co gorsza, podróż morską na statku Miranda okazała się fatalna od samego początku. Byłam wdzięczna księciu za to, że nie zdecydował się zrealizować zamiaru towarzyszenia mi w podróży.

Byliśmy na morzu już ponad dwa tygodnie. Wiał przeciwny wiatr, a fale w Zatoce Biskajskiej były tak wielkie i silne, że choroba morska zmożła nawet marynarzy, a biedna Pullett leżała na koi na wpół żywa, przez sześć dni niezdolna do przyjmowania żadnego pokarmu oprócz zimnej wody. Była tak chora, że jej żołądek odmawiał nawet kawałek chleba.

Wtedy zdarzyło się coś okropnego. Pewnego wieczoru Pullett opuściła kabinę - małe, zamknięte pomieszczenie, nie większe od budy dla psa, narzekając na duszności i trudności z oddychaniem. Wyszła więc na pokład, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

W przeciwieństwie do wszystkich innych osób na statku nie rozchorowałam się, lecz byłam wycieńczona nie kończącą się opieką nad Pullett przez sześć ostatnich dni. Ogromnie zmęczona wdrapałam się do hamaka - co przypominało dosiadanie narowistego konia - zamierzając odpocząć przez dziesięć minut, aby potem udać się na poszukiwanie Pullett. Zapadłam jednak w głęboki sen, który trwał aż do wschodu słońca. Ku memu przerażeniu, gdy obudziłam się rano, Pullett nie było w kabinie, a kiedy wygramoliłam się na pokład, nikt nie był w stanie mi powiedzieć, gdzie jest. Sztorm wciąż był gwałtowny, tak więc jedynym wytłumaczeniem było to, że biedna kobieta, bardzo osłabiona, w nocy musiała zostać zmieciona z pokładu. Wiedziałam, że nie umiała pływać, nie było więc najmniejszej szansy, aby przeżyła.

Gdybym jej nie opuszczała, pomyślałam, nie doszłoby do tego, a Pullett żyłaby jeszcze przez kilka dobrych lat. Nie miałam pojęcia, w jakim była wieku. Mogła mieć około pięćdziesięciu lat, lecz silna i zdrowa, często chwaliła się, że nigdy nie chorowała. Nie miała rodziny, a jedynymi jej przyjaciółmi byli Rachel i Tomasz. Jej przedwczesna śmierć obarczyła mnie poczuciem winy na długi czas, tym większym, iż w przeszłości jej samozwańcza władza nade mną często doprowadzała mnie do złości i raczej denerwowała niż radowała i wzruszała. Lecz teraz brakowało mi jej stanowczej kontroli i opieki, bardziej niż bym przypuszczała.

Och, jak bardzo brakowało mi przyjaznego, ciepłego, bezkrytycznego towarzystwa księcia!

W końcu statek obrał kurs na wschód i wpłynęliśmy w górę rzeki Duero, omijając niebezpieczną mieliznę u jej ujścia. Po pewnym czasie dopłynęliśmy do Porto. Książę miał rację. Było to ładne, stare miasto, ze stromymi uliczkami,

dachami i iglicami wznoszącymi się warstwowo i majestatycznie po obu stronach rzeki. Miejsce to przypominało Bristol, tak przynajmniej mi się wydawało. Przycumowaliśmy w pobliżu magazynu *armazem*, skąd wino księcia było dowożone do Anglii. W końcu dane mi było stanąć na brzegu nowego dla mnie świata.

Powinnam się czuć wolna jak ptak. Istotnie, wszystko naokoło bardzo mnie interesowało. Patrzyłam na niewysokie, korpulentne, lecz pełne gracji kobiety o bladych twarzach i czarnych oczach, ubrane w dopasowane kamizelki, białe, lniane spódnice, halki z serży, muślinowe chustki pod ciężkimi, czarnymi kapeluszami, przystrojonymi złotym i błyszczącym jedwabiem. Dodatkem do ich stroju były czarne koronkowe szale i parasolki, chroniące przed słońcem. Mężczyźni nosili kapelusze z szerokim rondem, krótkie surduty i obcisłe spodnie sięgające do łydki. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili buty z drewnianymi podeszwami. Niektórzy wieśniacy mieli płaszcze wykonane z sitowia. Zewsząd dochodziły odgłosy dzwonów... dzwoneczków na szyjach kóz, dzwonów kościelnych, oślich dzwoneczków, a w powietrzu unosił się zapach ryb i odór odchodów. Ulice były brudne. Zapewne nie spodobałoby się to Pullett.

Bliven, zarządca księcia, niezbyt uprzejmy jegomość, wyraźnie niezadowolony z konieczności zadawania sobie trudu w mojej sprawie, poprowadził mnie przez teren magazynów, w większości należących do angielskich przewoźników wina, do English Factory House. Był to duży, granitowy budynek, opuszczony i trochę zniszczony w czasie francuskiej okupacji, obecnie służący tym samym, co poprzednio, celom.

Tu, Enrique Morton, miejscowy agent księcia, czarnowłosa mężczyzna, w połowie Portugalczyk, załatwił mi nocleg w hotelu i transport w górę rzeki Duero na *barco rabelo*. Była to łódź o płaskim dnie, używana do przewożenia beczek wina z licznych winnic znajdujących się w górnym biegu rzeki. Wiele takich barek można było zobaczyć w tych okolicach. Łodzie te miały kwadratowe żagle i ster w kształcie wiosła obsługiwany przez trzech mężczyzn. Były przestronne i mogły

zabrać od dwudziestu do osiemdziesięciu beczek porto. Drogi w tym kraju były bardzo złe, o czym wkrótce miałam się przekonać, dlatego prawie cały transport wina odbywał się drogą wodną.

W Porto miałam spędzić dzień, postanowiłam więc udać się prosto do klasztoru Świętej Klary, aby dowiedzieć się, czy lady Hariot i Triz udało się tam dotrzeć.

Kupiłam czarny kapelusz, aby nie wyróżniać się zbyt wiele spośród innych kobiet na ulicy, po czym udałam się do klasztoru, który - jak się okazało - leżał niedaleko od nadbrzeża i English Factory House. Język portugalski był tak bardzo gardłowy, że z początku prawie zupełnie go nie rozumiałam, lecz używając mieszanki francuskiego i hiszpańskiego, których nauczyłam się mieszkając u księcia, byłam w stanie się porozumieć. Dowiedziałam się, że w klasztorze znajdowały się dwa domy, jeden dla mnichów, a drugi dla sióstr zakonnych. Udałam się do tego drugiego, który mieścił się na szczycie wysokiego wzgórza, skąd rozpościerały się wspaniałe widoki na szeroką, krętą rzekę Duero. Ujrzawszy w dole całe miasto, zastanawiałam się, w jaki sposób nieustraszony sir Arthur Wellesley przerzucił oddziały przez rwącą rzekę pod ostrzałem Francuzów znajdujących się na północnym jej brzegu,

Zastanawiałam się, czy pułkownik Brandon brał udział w tym przedsięwzięciu.

Znalazłszy się w klasztorze, podeszłam do małej kratki w ścianie i podałam powód swego przybycia furtiance. Ta zaś kazała mi poczekać w małym przedsionku z pobielonymi ścianami, gdzie znajdowało się tylko kilka dębowych stołków.

Poprosiłam o spotkanie z siostrą mówiącą po angielsku i wkrótce za plecami usłyszałam miękki głos wydobywający się zza innej kratki, który najpierw pobłogosławił mnie po portugalsku, a potem dodał:

- Spik Inglisz.

Zapytałam siostrę, czy wie, gdzie przebywa Angielka i jej chora córka.

Powiedziała, że pójdzie o to zapytać, po czym zniknęła. Po dłuższej chwili wróciła. Dowiedziałam się, że gdy ostatni raz o nich słyszała, a było to dawno temu, lady i jej córka mieszkały w klasztorze w Vila Real.

- *A que distancia?*

- Około trzydziestu mil, jak sędzę.

Podziękowałam jej z całego serca za wskazówki, zostawiając datek na klasztor. Książę był bardzo hojny. „Jeśli musisz jechać, to przynajmniej uspokoi mnie świadomość tego, że jesteś odpowiednio zabezpieczona”, powiedział.

Kiedy ponownie przechodziłam obok pomieszczenia zajmowanego przez furtiankę, zauważyłam wysokiego mężczyznę. Usiłował się czegoś dowiedzieć. Jego głos, postura i strój wyraźnie wskazywały na anglosaskie pochodzenie.

- Czy jest pani pewna, że nie ma żadnych wiadomości? - pytał. - Proszę sprawdzić raz jeszcze.

- Dobrze, zapytam jeszcze raz, Señor.

Przybysz miał na sobie długi płaszcz z kapturem i czarny kapelusz głęboko nasadzony na głowę. Udało mi się dostrzec jedynie fragment jego twarzy. Spojrzał na mnie przelotnie, gdyż ubrana byłam na czarno, jak prawie wszystkie Portugalki, a na głowie miałam kapelusz skrywający oblicze. Poza tym mężczyzna najwyraźniej był pochłonięty własnymi sprawami. Miał głęboko osadzone oczy, siwiejące loki, a na jego twarzy malował się smutek i wyczerpanie. A także zły humor. Nerwowo stukał laską w kamienną podłogę, jakby nie był przyzwyczajony do czekania i to w chłodnym przedsionku. Schodząc w dół, pomyślałam, że miał niechlujne ubranie i zakurzone buty.

Książę ostrzegał mnie przed niewygodami portugalskich mieszkań, a jego posępne przewidywania sprawdziły się co do joty. Kiedy przewracałam się na twardym łóżku, pogryziona przez pchły, wsłuchując się w deszcz uderzający w ledwo trzymający się ściany budynku parapet, twarz nieznanego mężczyzny powracała kilkakrotnie.



Zagubiona wśród Portugalczyków, zastanawiałam się nad tym, jak to możliwe, że przystrajali budynki fasadami z biało-niebieskich malowniczych płytek, a jednocześnie nie przeszkadzało im to, że szczury beztrąsko przechadzały się po ulicach, niezliczone zaś insekty gryzły odwiedzających? Próbowałam też uzmysłwić sobie, kogo tak silnie przypominał mi nieznajomy Anglik.

Nie, mój drogi czytelniku, nie był to pan Sam, choć błyszczące czarne oczy przypominały trochę utraconego bohatera. Był to ktoś, kogo często widywałam ostatnimi czasy. Któż to mógł być?

Zastanawiałam się jednak na próżno, w końcu zapadłam w sen. Nie na długo jednak. Obudziły mnie dzwony kościelne bijące ze wszystkich stron. Na dworze padał rześisty deszcz, przed którym także ostrzegał mnie książę.

- Portugalia to przedsionek Oceanu Atlantyckiego - powiedział. - Niewątpliwie silne wiatry morskie mają swój udział w produkcji wspaniałych win, które przysyłane są z Duero. To właśnie one, gleba i klimat, gorący w lecie i chłodny w zimie, sprawiają, że wina z regionu Duero nie mają sobie równych nigdzie na świecie. Tak przynajmniej sędzę. To właśnie przywiodło tam Anglików kilka wieków temu, aby handlowali nowofundlandzkimi dorszami w zamian za wino.

Pogoda, jako że nie byłam wielbicielek portu, nie ucieszyła mnie specjalnie. Wstałam więc i zjadłam śniadanie. Składało się z twardego chleba, herbaty i dżemu, przyrządzonego, jak mi się wydawało, z dyni. Wkrótce zjawił się pan Morton, aby odprowadzić mnie do łodzi.

Dowiedziawszy się, że chcę pojechać do Vila Real, oświadczył, że nie będzie to stanowić problemu. Winnice księcia leżały bowiem na wschód od wioski Peso da Régua położonej nad rzeką Duero, a *barco* dowiezie mnie aż do miejsca, gdzie będę mogła wynająć muły, aby przeprowadzić się przez góry Trás-os-Montes i dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Troskliwy książę wyposażył mnie we wszelki potrzebny sprzęt - mahoniową skrzynię z metalowymi talerzami i garnkiem do gotowania wody, łyżkami, nożami,

paczkami suchych biszkoptów, rodzynek, herbaty i w nieprzemakalny płaszcz. Ujrawszy jednak, że na *barco robelo* jest niewiele miejsca, zostawiłam wszystkie rzeczy, poza nieprzemakalnym płaszczem, pod opieką tragarza w Factory House. Nie miałam najmniejszych wątpliwości co do tego, że każdy, kto dorastał w Dolinie Bękartów, poradzi sobie z przeprawą przez góry Portugalii bez takiego wyposażenia.

Z pewnością trudno byłoby znaleźć miejsce dla tych przedmiotów na *barco*, pełnej ułożonych w stosy pustych beczek na wino. Winobranie, jak powiedział Morton, zacznie się już wkrótce, na początku września.

- Początek winobrania zależy od położenia winnicy. Uprawy księcia w Quinta dos Rosas znajdują się na bardzo ciepłym, osłoniętym zboczu. Zbiory zaczynają się więc tam wcześniej niż gdzie indziej. Z pewnością będziesz chciała obejrzeć winnice - dodał niechętnie. Uspokoił się jednak, gdy powiedziałam, że uzależniam to od tego, czy uda mi się odnaleźć lady Hariot, a jeśli tak się stanie, to z pewnością z nią pozostanę.

- Co dzieje się w czasie winobrania?

- Wynajmujemy *gallegos*, hiszpańskich pracowników sezonowych, takich jakby Cyganów, którzy migrują na południe w czasie sezonu. Ugniatają winogrona w *lagares*, wielkich kamiennych kadziach. To ciężka praca, odpowiednia jedynie dla najsilniejszych mężczyzn. Jedna zmiana pracuje nieprzerwanie przez osiemnaście godzin. Mężczyźni, którzy najmują się do tego zajęcia, są brudni, dzicy i grubiańscy.

- Dlaczego zmiana trwa tak długo?

Postanowił nie odpowiadać na to niezbyt mądre pytanie, oświadczył jedynie stanowczo:

- To nie jest miejsce odpowiednie dla kobiet. Oni śpiewają bardzo wulgarne piosenki w czasie ugniataania.

Zauważyłam, iż Morton, podobnie jak Bliven, uważał za bardzo nieroztropne z mojej strony, że przyjechałam do doliny Duero w sezonie winobrania. Bardzo prawdopodobne, iż myślał, że jestem niespełna rozumu.

Droga w górę rzeki trwała kilka dni. Sprzyjał nam zachodni wiatr, lecz przy tak silnym prądzie potrzebowaliśmy wiosła i żagli, aby *barco* mogła posuwać się do przodu. W nocy życzliwie przyjmowano nas w *qintas* mieszczących się przy brzegach rzeki. Pogoda wciąż była straszna. Choć nie mogłam dojrzeć wszystkiego, czułam, że to miejsce musi być piękne. Wysokie, zielone pagórki wznosiły się po obu stronach rzeki, od czasu do czasu wyzierając spod mgły i padającego deszczu. Plantacje ukształtowane były w tarasy podzielone w zależności od upodobań właściciela. W krajobrazie tym majestatyczna dzikość mieszała się z matematyczną dokładnością. Nie widziałam przedtem nic podobnego.

Ze smutkiem zastanawiałam się, w jaki sposób wykorzystałby to pan Sam.

- Panie Morton, chciałabym udać się za potrzebą - oświadczyłam pierwszego dnia. - Co należy w tym celu zrobić?

- Nic - odpowiedział krótko i bezceremonialnie.

- W takim razie, niech pan będzie tak dobry i poprosi przewoźników, aby odwrócili się i nie spoglądali w moją stronę.

Wyraźnie uznał, że to żądanie było niepotrzebne i małostkowe. Żeglarze nie wykazywali takiej subtelności, odpowiadając na głos natury.

W południe posiłek składający się z czarnego chleba, *bacalhau* (suchej, słonej ryby), oliwek i wina, został podany żeglarzom nie przerywającym pracy i mnie także. Siedziałam na skrzyni z sardynkami, chowając nogi, aby nie podeptali ich krzątający się mężczyźni.

Kuląc się pod nieprzemakalnym płaszczem księcia, postanowiłam, że gdy tylko będę mogła, napiszę do niego list, aby podziękować za niezwykle cenny podarunek. Nie chciałam pisać o śmierci Pullett, gdyż bardzo by go to zaniepokoiło.

Jedzenie zupełnie przemokło, ponieważ jednak czarny chleb był twardy, a suchy dorsz okrutnie słony, wypłukane przez deszcz smakowały zupełnie dobrze.

Trzeciego dnia o zmierzchu dotarliśmy do Peso da Régua, sporej wioski rozpościerającej się wzdłuż stromych brzegów rzeki. Wiele winnic posiadało magazyny i domy mieszkalne, gdyż miejsce to było idealne do zakotwiczenia łodzi. Nasza *barco* została przycumowana, a pan Morton odprowadził mnie do *pousada*, nędznego pomieszczenia, w którym miałam spędzić noc. Moja sypialnia z glinianą podłogą znajdowała się na poddaszu. W pokoju stało łóżko sklecone z desek, a na nim leżała kołdra z kozłej skóry, tak krótka i pełna robaków, że znów z radością skorzystałam z nieprzemakalnego płaszcza księcia. Belki u stropu także pełne były robaków. Kolacja całkiem mi smakowała. Podano zupę z kurczaka, bekonu, ryżu, fasoli, chleba i nie wiem ilu jeszcze składników. Chciałam zwiedzić wioskę, ale deszcz wciąż padał, uznałam więc, że najlepiej będzie, jeśli pójdę spać. Pan Morton obiecał załatwić muły, które następnego dnia rano miały zabrać mnie do Vila Real.

Jeden muł i dwóch mężczyzn? - dopytywałam się przy śniadaniu, jedząc czarny chleb, popijając mlekiem. - A ten muł wygląda, jakby nadawał się tylko pod nóż. Dlaczego ma mi towarzyszyć aż dwóch przewodników? Jeden z pewnością by wystarczył.

- Mułów wciąż brakuje - kwaśno zauważył Morton.

W jego głosie wyczuwało się nutę zniecierpliwienia. Najwyraźniej chciał się mnie pozbyć.

- Podczas wojen z Francuzami zarówno muły, jak i woły zupełnie wyginęły. A lepiej mieć dwóch przewodników, do obrony. Możecie napotkać na bandy *gallegos* podróżujące na południe. To dzicy ludzie, nie znający prawa. Dlatego Manuel i João będą cię bronić.

- Dziękuję - powiedziałam, powstrzymując się przed stwierdzeniem, że obaj przewodnicy wyglądali na rzezimieszków nie różniących się od *gallegos*. - Czy znają drogę do Vila Real?

- Oczywiście! To jakieś siedem mil stąd, ale trzeba przejść przez góry. Powinniście jednak dotrzeć do celu przed zmierzchem.

- Dziękuję - powiedziałam raz jeszcze, stawiając stopę na drewnianym strzemieniu i wspinając się na muła. Dwaj przewoźnicy przytrzymywali strzemiona po obu stronach i z łatwością dotrzymywali kroku mułowi, który biegł truchtem.

Początkowo nasza droga wznosiła się zygzakiem między winnicami. Deszcz przestał padać i nastał piękny dzień. Moje serce cieszyło się na widok gór, głębokiej doliny rzeki i zielonych pagórków rozciągających się wokoło.

Drogi istotnie znajdowały się w opłakanym stanie, a kiedy dotarliśmy do pofalowanych terenów położonych wysoko, rozwidlały się we wszystkich kierunkach. Zrozumiałam, że przy mglistej lub deszczowej pogodzie, bez słońca jako przewodnika, łatwo byłoby się zgubić.

Manuel i João byli małomówni, wymieniali zaledwie kilka słów mniej więcej co pół godziny. Lecz gdy słońce wzeszło wysoko nad horyzont, zdawało mi się, że Manuel powiedział:

- Nadszedł czas, aby coś zjeść.

Byliśmy już bardzo daleko od doliny Duero, w środku prawie niezamieszkanego rejonu górskiego. Znajdowało się tu niewiele pól uprawnych, a francuskie armie pozostawiły i tak nieliczne domy w stanie ruiny. Na niektórych stokach rosły sosny, a wydrążone wodą zbocza gęsto porastały orzechowce.

Zatrzymałam muła i zsiadłam.

Morton przyniósł trochę jedzenia. Rozsupłam zawiniątko i podałam chleb oraz wędzoną kielbasę mężczyznom. Potem usiadłam na skale - aby zjeść moją rację. Znajdowaliśmy się w górskiej dolinie, u podnóża urwiska.

Przewoźnicy szybko pochłonęli swe porcje, po czym João odszedł za potrzebą, jak się domyślałam. Spoglądając tępo na jego towarzysza, nagle ujrzałam, jak jego oczy robią się coraz większe, a usta się zaciskają. Po chwili wykonał gest, aby zwrócić na coś moją uwagę, po czym zawołał:

- *Señora...*

Idąc za jego spojrzeniem, rzuciłam się w bok, nie zdołałam jednak uniknąć ciężkiego uderzenia w głowę. To João podkradł się, zamierzając roztrzaskać mi głowę kawałkiem skały.

W wysokich butach do jazdy miałam ukryty długi nóż. Wyciągnęłam go i dźgnęłam João z całej siły prosto w klatkę piersiową.

- *Jesus Maria!* - jęknął i upadł na ziemię krwawiąc.

Tymczasem Manuel porwał mój nieprzemakalny płaszcz, który uprzednio zdjęłam, gdyż zrobiło się gorąco. Próbował dostać się do muła, lecz byłam szybsza. Złapałam za wodze i zagroziłam mu nożem, choć w głowie wciąż kręciło mi się od uderzenia, a serce biło jak oszalałe.

Manuel nie stanowił jednak większego zagrożenia. Pozostawiając swego towarzysza, uciekł trzymając w garści mój płaszcz, wdrapał się za róg urwiska i wkrótce zniknął mi z oczu.

Siodłając muła zastanawiałam się, co powinnam uczynić z João. Okolica była niezaludniona. Jak dotąd nie spotkaliśmy żywej duszy, tak więc gdybym go tu zostawiła, prawdopodobnie wykrwawiłby się na śmierć.

Trzymając wodze, ostrożnie zbliżyłam się do niego, ale ze zdumieniem odkryłam, że był już martwy. Nóż dosięgnął zapewne jego serca. Był to prezent od księcia, podobnie jak elegancka para butów, tak sprytnie uszytych, że w jednym mogłam ukryć broń, a w drugim portmonetkę.

Ostrożnie chowałam ostrze, z powagą i zdziwieniem zastanawiając się nad faktem, iż właśnie zabiłam człowieka, w ciągu jednej krótkiej chwili pozbawiłam go życia. Nagle usłyszałam głos, który o mało co nie zwałił mnie z nóg.

- *Hola, Señora!* Wygląda na to, że wybrała sobie pani złe towarzystwo do podróżowania!

Ujrzałam dwóch przypatrujących mi się mężczyzn. Obaj byli wysocy, ciemnoskórzy z czarnymi lokami. Wyglądali niechlujnie. Mieli na sobie sztruksowe spodnie i zakurzone kapelusze o szerokich rondach.

- Widzieliśmy, co się stało - odezwał się jeden z nich. - Byliśmy tam, na szczycie skały, widzieliśmy, jak ten przestępca podnosi kamień, aby rozbić pani głowę... *Dios!* To byłoby uderzenie! A jak Señora odskoczyła w bok i wykończyła go tak sprawnie jak matador, *brava!*... A potem ten tchórz uciekł. I bardzo dobrze! Ale co z tym?

- Nie żyje - powiedziałam. - Nie zamierzałam go jednak zabić.

- *Morra!* Niech odejdzie z tego świata. To mała strata. Lecz pani, Señora, nie jest Portugalką, prawda?

- Nie, jestem Angielką. Wy także nie jesteście Portugalczycami, jak przypuszczam.

- Nie, proszę pani, jesteśmy ugniataczami winogron z Hiszpanii. Przyjechaliśmy na południe, aby uczciwie zarobić parę groszy. Na co dzień pracujemy jako palacze.

Uśmiechali się do mnie bardzo serdecznie.

- Jesteście *gallegos*? Myślałam, że oni zawsze podróżują w grupach?

- To prawda. Zostawiliśmy jednak naszych towarzyszy na górze urwiska, aby przybyć pani z pomocą.

- Jesteście odważni! Czy moglibyście jeszcze być tak uprzejmi i powiedzieć mi, czy ta droga prowadzi do Vila Real?

- Tak - skinęli twierdząco głowami. - Proszę iść tak, aby mieć słońce za sobą, a dotrze pani na miejsce za trzy godziny. Ale może życzyłaby pani sobie, abyśmy jej towarzyszyli?

- Nie, nie. To bardzo uprzejme z waszej strony, ale poradzę sobie sama.

- *Bueno!* Jak sobie pani życzy. Cóż jednak zrobimy z tym śmieciem? - zapytał, wskazując na zwłoki João.

- Nie wiem. Wrzucie go do kanału.

Pod urwiskiem, w miejscu, gdzie rósł ciernisty jałowiec i jeżyny, znajdowała się szczelina. Robotnicy umieścili tam ciało, przejrzawszy wcześniej zawartość kieszeni mężczyzny. Znaleźli kilka srebrnych monet. Podzielili się nimi, najpierw proponując je mnie, lecz przerażona odrzuciłam ich propozycję.

- Najwyraźniej Señora nie jest przyzwyczajona do wojny. Zwycięzca zabiera łup.

- To prawda - powiedziałam. - Nie jestem przyzwyczajona do wojny.

Wolałabym, abyście to wy wzięli pieniądze. Jestem szczęśliwa, że przybyliście mi z pomocą.

Naprawdę, była to duża ulga. Ich przyjazna obecność złagodziła natłok koszmarnych myśli przebiegających przez głowę, gdy uświadomiłam sobie, iż popełniłam morderstwo.

- Señora będzie szczęśliwa - odezwał się nagle jeden z nich, patrząc spokojnie i bez współczucia na moją prawą rękę, ściskającą wodze. - Jest pani *d...*

Użył nieznanego mi hiszpańskiego słowa.

- Mimo to, powinna się pilnować - powiedział drugi. - Okoliczni wieśniacy to barbarzyńcy, zacofani ludzie... wierzą, że osoba z takimi dłońmi jak Señora, musi być *l...*

Tu padło jeszcze jedno obce słowo.

- Co to znaczy?

- Tak mówi się o kimś, kto w nocy staje się dziką bestią i pożera owce i dzieci.

- Och, wilkołak. Może to dlatego tych dwóch uznało, że najlepiej będzie się mnie pozbyć.

- Ach, nie! Oni po prostu zachowywali się zgodnie ze swą naturą. Gdybyśmy się natknęli na tego drugiego łobuza, wyrwalibyśmy mu wątrobę. Czy jest jeszcze coś, co moglibyśmy dla pani zrobić, Señora? Czy chciałaby pani poznać naszych towarzyszy? To bardzo dobrzy ludzie. - Pochylił się w moją stronę. Choć wyglądali



groźnie, zdawało mi się, że byli ludźmi o dobrym sercu, przychylnie nastawionymi do świata. Obraz ten przeczył temu, co wcześniej opowiadano mi o *gallegos*.

Podziękowałam im z całego serca, ale odmówiłam oznajmiając, iż muszę pilnie odszukać chorą przyjaciółkę.

- *Adios, Señora. Vaya con Dios.*

- *Vaya con Dios.*

Tak oto rozstaliśmy się. Zapamiętam ich jednak do końca życia. Pokrzepiona tym spotkaniem, ruszyłam w dalszą drogę, mając słońce za sobą, tak jak mi doradzono. Wkrótce ponad leśnymi wzgórzami ujrzałam dachy domów. Było to niewątpliwie Vila Real, królewskie miasto. Muł posuwał się coraz wolniej. Zdecydowałam, że sprzedam go w Vila Real i, jeśli będzie to możliwe, kupię innego. Miałam prawdziwe szczęście, że João i Manuel nie wiedzieli, jak dużą sumę wiozłam ze sobą. Inaczej bowiem znaleźliby sposób, aby mnie zabić. Pod dorobionym denkiem mojego czarnego kapelusza znajdowały się banknoty i dokumenty. A w lewym bucie było tyle złotych monet, że można by za nie kupić winnicę. Wszystko dzięki księciu.

Pewnego dnia, myślałam, opowiem księciu o śmierci João.

Nikomu więcej. Muł z trudem posuwał się naprzód, a ja rozmyślałam o śmierci, do której doprowadziłam. Wiedziałam, że muszę pogodzić się z tym faktem i pozbyć się poczucia winy. Żałowałam tylko, że nie znałam tego człowieka lepiej. Jego śmierć była przypadkowa. Gdyby to był doktor Moultrie! Albo dziedzic Vexford! Czy jego brat! Albo jeden z Pięknych z Bath. Wtedy miałabym przynajmniej powód. Ale o tym człowieku nie wiedziałam nic, nawet tego, czy miał żonę... Vila Real było sporym, brudnym miastem z dużymi, zniszczonymi domami i szerokimi ulicami, położone wysoko, na szerokiej i nie osłoniętej równinie. Panowała tu cisza, a po ulicach spacerowali opatuleni w szale staruszkowie. Zapytałam o drogę do klasztoru, a gdy tam dotarłam, dowiedziałam się, iż istotnie lady Hariot i jej chore dziecko zatrzymały się u zakonnicy na jakiś czas - *Eu! la doenta!* -

Korzystając jednak z okazji, że właśnie przejeżdżał pociąg pełen kupców z towarem, postanowiły pojechać do Lamego. To miasto położone na południe od Duero, gdzie znajdował się sławny kościół, Nossa Senhora dos Remédios. Prowadziło do niego wiele, wiele schodów. Odbywały się tam ceremonie cudownego uzdrawiania, przynajmniej tak mówiono. Zakonnice przekonane były, że dziecko z pewnością wróciło już do zdrowia i może chodzić.

Siostry z radością zaoferowały mi nocleg. Ulokowały mnie w czystej celi o wybielonych ścianach. Leżąc na sienniku wypchanym sitowiem, próbowałam zasnąć. Wciąż widziałam twarz Manuela, i nerwowo drgające powieki, gdy jego towarzysz podnosił kamień. Uświadomiłam sobie wtedy, że moje życie zależy od szybkiego ruchu, ucieczki. Trafiły mnie straszne sny. Budziłam się zdziwiona, że leżę na twardej ziemi.

Rankiem, przeglądając się w malutkim lusterku, nie większym niż moneta pięcioszylingowa, które dostałam w prezencie od Pullett na ostatnie Boże Narodzenie (biedna Pullett!), zobaczyłam, że cios w głowę, który zadał mi João, pozostawił ślady w postaci dwóch widocznych siniaków.

- Ajajaj - wykrzyknęły z przerażeniem siostry. - Co ci się stało?

Wy tłumaczyłam im, że spowodował to spadający ze skały kamień. Ta odpowiedź im wystarczyła.

- To często zdarza się w górach.

Zmusiły mnie jednak, abym została w Vila Real przez parę dni, co szczerze mnie uradowało, ponieważ czułam się słaba i zmęczona, a głowa bolała mnie niemiłosiernie.

- Na szczęście, ojciec Soeiro będzie jechał do Lamego. Możesz się z nim zabrać.

Patrząc ponownie w małe lusterko i widząc posiniaczoną twarz, nagle zdałam sobie sprawę, kogo przypominał mi dziwny Anglik z Porto: mnie samą!

## Rozdział piętnasty

---

Ojciec Soeiro był niesłychanie wesołym i rozmownym towarzyszem. Podróżował wygodnie, eskortowany przez dwóch służących jadących konno i jednego objuczonego muła. Najwyraźniej, jeśli chodziło o zdobywanie czworonożnego transportu, dobry ojciec miał większe znajomości niż Enrique Morton. Dzięki jego uprzejmości, mogłam wymienić mojego kiepskiego wierzchowca na zdrowszy okaz. Tak więc w czasie podróży do Peso da Régua poruszaliśmy się znacznie szybciej niż miało to miejsce w czasie mojej poprzedniej wędrówki. Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie João dokonał żywota, powstrzymałam się od spoglądania w szczelinę skalną, gdzie leżało jego ciało. Ojciec Soeiro nic nie zauważył. Kontynuował swoją rozprawę o Anglikach: najwspanialsza rasa, wielkich miłośników polowań na zające, niecierpi rozcieńczających porto sokiem z czarnego bzu.

- Lecz my, Portugalczycy, wydaliśmy edykty zakazujące tego procederu - oznajmił tryumfującym tonem.

- Jestem pewna, że książę Cumbrii zabrania stosowania takich praktyk w swoich winnicach - powiedziałam.

- Miejmy nadzieję, że jest tak w istocie. Ale trzeba przyznać - westchnął - że Anglicy to wyśmienici żołnierze. Ach, chociażby Wellington! - wymówił to jak Velington. - Co za człowiek! Widziałem go. Miał na sobie jasnoszary surdut. *Nosso Grande Lorde!* Wysłał tysiące wozów z bronią przez niebezpieczne wzniesienie z doliny Duero do Lamego. To było przed oblężeniem Ciudad Rodrigo. Poczekaj, aż zobaczymy tę górę! Będiesz zachwycona. Miał trzy armie i przerzucił je w tajemnicy, a potem przepędził Francuzów na wschód. A gdy przekraczał rzekę wyznaczającą granicę z Hiszpanią, krzyknął „Żegnaj Portugalio!”. Ach, co za człowiek!

Ojciec Soeiro miał na sobie ciemnoniebieski płaszcz i kapelusz z zagiętym rondem. Gdy mijaliśmy człowieka palącego węgiel drzewny czy zbierającego szyszki do koszyka, czy też wieśniaka orzącego pole zakrzywioną złamaną gałęzią, albo rybaka zarzucającego sieci w strumieniu pełnym pstrągów, każdy z nich padał na kolana i pozdrawiał ojca słowami; „*Bon dia, Señor Padre!*”, a on odpowiadał, błogosławiąc „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, nasz Pan”, na co wieśniacy odpowiadali „Na wieki wieków”.

Wszystko planował z wyprzedzeniem. Kiedy dotarliśmy do Peso da Régua, czekała tam wąska łódka, *saveira*, która miała nas przewieźć przez rzekę. „*Agua de Duero, caldo de pollas*” zacytował ojciec Soeiro dumnie, patrząc w dół na kłębiącą się wodę, co miało oznaczać, że woda jest pełna ryb, tak jak rosół pełen mięsa. Na przeciwległym brzegu stały już muły.

- *Nada, nada* - powiedział ojczulek, gdy zaproponowałam, że opłacę moją część. - Przekaż te pieniądze na kościół Nossa Senhora.

Ostrożnie rozglądałam się po ulicach Régui, zastanawiając się, czy ujrzę tam Manuela albo pana Mortona. Myślałam o tym, czy istniał jakiś związek między Mertonem a dwoma przewodnikami. Czy też po prostu - zniecierpliwiony towarzystwem kobiety powierzonej mu w opiekę przez pracodawcę - pozbył się mnie, oddając pierwszym lepszym łotrom?

Nie spotkałam żadnego z nich. Bez wątpienia Morton przygotowywał się do winobrania.

Zastanawiałam się, co powiedziałby ojciec Soeiro, gdybym zwierzyła mu się, że zabiłam człowieka, lecz nie miałam najmniejszego zamiaru tego uczynić.

W rzeczywistości, myślałam, teraz, gdy nie było już Pullett, nie istniał nikt poza księciem, komu powierzyłabym taką tajemnicę. Kiedyś mogłam zwierzyć się pani Debb. Z pewnością podeszłaby do tego spokojnie. Eleonora Ferrars? Nie, to niemożliwe. Czułaby się zobligowana do przekazania tego swemu mężowi.

Wspominając Eleonorę, zaczęłam rozmyślać o jej siostrze Mariannie. Czy to możliwe, abym spotkała ją w trakcie podróży po Portugalii, w tym dziwnym kraju, gdzie drogi nie były lepsze niż ścieżki do przepędzania bydła, mimo to trzy lata temu angielskie, francuskie i hiszpańskie armie przemierzyły Portugalię konno wzdłuż i wszerz. A miasta były tutaj tak małe i tak odległe od siebie. Zastanawiałam się, gdzie na tej ziemi znalazła schronienie Marianna Brandon. A jej mąż, pułkownik Brandon? Czy naprawdę nie żył? Najbardziej jednak ciekawiło mnie pytanie, gdzie znajdował się Willoughby.

Podczas dwóch dni odpoczynku w Vila Real moje pierwsze przypuszczenie nabrało znamion realności. Mężczyzna, którego widziałam w klasztorze w Porto, był moim ojcem. To wrażenie nie opuszczało mnie.

Zdałam sobie sprawę, że jego twarz miała dokładnie ten sam kształt, co moja. Podobnie osadzone oczy, z tą tylko różnicą, że były czarne. I podobny głos - szorstki i donośny. Miałam nadzieję, że moją twarz nigdy nie pokryją takie zmarszczki wyrażające smutek i niezadowolenie - lecz nie było to niemożliwe. Nic dziwnego, że wydawał mi się znajomy. Oglądałam jego twarz w lustrze każdego dnia.

Szukał kogoś w klasztorze, dowiadywał się. Podobnie jak ja. Być może spotkamy się znowu.

Lamego położone było wysoko w górach na południe od rzeki Duero. Na szczycie wzgórza stał kościół Nossa Senhora dos Remédios, do którego prowadziła niezliczona ilość schodków. Prawdziwi pielgrzymi wdrapywali się na schody na kolanach, recytując modlitwę na każdym stopniu. Dla leniwych czy niewierzących zrobiono ścieżkę, okrążającą wzgórze. W mieście stała majestatyczna katedra i kilka pięknych domostw. Były tu także ruiny po kościele sprzed pięciuset lat.

Wszystkie moje nadzieje i myśli koncentrowały się wokół klasztoru, który leżał poniżej kościoła Nossa Senhora i słynął z ceremonii uzdrawiania.

Pożegnałam się z ojcem Soeiro, który kierował się do pałacu biskupa, a on życzył mi wszelkiej pomyślności. Popędziłam muła drogą okalającą wzgórze. Na samym szczycie znajdował się mały lasek sosnowy. Zostawiłam tam muła przywiązanego do drzewa i skierowałam kroki w stronę miejsca urzędowania furtianki. Zapukałam i spytałam grzecznie:

- Kobieta i jej chora córka? *Meniña* Teresa?

Furtianka skinęła głową, dając do zrozumienia, że tu właśnie są. W tak piękny dzień z pewnością siedzą w ogrodach. Jeśli Señora pójdzie tą ścieżką na prawo, potem skręci w lewo i jeszcze raz w lewo, a potem przejdzie przez gaj pomarańczowy, z pewnością znajdzie kobiety na tarasie, w miejscu, gdzie powietrze jest najświeższe...

Dokładnie stosując się do instrukcji, przeszłam przez ogród warzywny, w którym dwie siostry ciężko pracowały, krzątając się między zagonami kapusty, dyniami, karczochami i pomidorami. Podążyłam przez ogród kwiatowy, pachnący różami i geranium, i dalej przez sad. Wychodząc z cienia, znalazłam się na ogromnym tarasie, skąd rozciągał się imponujący widok na panoramę dachów, iglic i winnic znajdujących się w dole.

Z pewnością nie siedziałyby w takim słońcu, pomyślałam. W tym momencie jednak dostrzegłam ogromną sosnę na dalekim końcu tarasu, rzucającą cień wielkości sali balowej. Pod pniem drzewa siedziały dwie postaci, jedna na kamiennej ławce, a druga na plecionym krześle.

Moje serce z radości urosło do rozmiarów dyni uprawianej przez siostry w ogrodzie. Wolnym krokiem przeszłam przez cały taras i zbliżyłam się do dwóch postaci.

Pod drzewem siedziała lady Hariot i Triz.

Lecz jakże zmienione.

Oczywiście poznałam je. Nie można było się pomylić. Lecz lady Hariot przypominała mi zakrzywioną gałąź, którą wieśniak orał pole. Była wychudzona,

ogorzała i zgarbiona. Jej oczy jednak wyglądały tak, jak je zapamiętałam, jedno patrzyło na mnie, a drugie wpatrywało się w dal.

A Teresa. Czy to mogła być Teresa? Moja mała, śliczna towarzyszka zabaw? To blade, chude, skulone stworzenie z kościstymi, bezwładnymi członkami, skrzywioną twarzą i błędnym wzrokiem. Te oczy widziały coś straszego? Na jej widok moje serce przeszył strach.

A jednak mnie poznała.

Z początku myślałam, że oszalała - jej twarz była bez wyrazu. Dziewczynka nie reagowała na nic, co działo się wokół niej.

Lecz gdy mnie dostrzegła, poruszyła się, a jej ręce zacisnęły się na oparciach fotela. Wydała z siebie cichy okrzyk, po czym wypowiedziała potok niezrozumiałych dla mnie słów. Jej wykrzywione usta ułożyły się w uśmiech. Stopniowo zaczęłam rozumieć, co do mnie mówiła:

- Aliza! - szeptała - Aliza! Aliza! Aliza!

- Och, Triz! Moja kochana, mała Triz!

Uklękałam przy niej, uścisnęłam ją i pocałowałam wykrzywioną twarz. Jednak - przykro mi to powiedzieć, choć jest to prawda - musiałam przełamać wstręt, aby to zrobić. Była tak bardzo inna od mojej małej jasnowłosej podopiecznej i towarzyszki. Istotnie, wyglądała jak podmienione dziecko - dziwne, wysuszone stworzenie podobne do elfa pozostawione przez ludzi gór w miejsce ludzkiego niemowlęcia. Była ciężko chora, wypaloną istotą. Jakże okrutnie potraktował ją los.

Lady Hariot złapała mnie za ręce - z siłą, jaką pamiętałam, a jej ciepły, pełen powagi głos przeniósł mnie od razu do Kinn Hall, do Growly Head, do ogrodów Doliny Bękartów.

- Eliza! Moje najdroższe dziecko! Przybyłaś! Odnalazłaś nas! Och, jesteś taka dobra! Widzisz, Teresa cię poznała! Nawet w tym portugalskim kapeluszu! Zdejmij go, proszę i pokaż nam się cała!

Zdjęłam więc kapelusz i chustkę, układając go starannie pod kamienną ławką.

- Nie zmieniłaś się ani trochę - oświadczyła lady Hariot.

- W przeciwieństwie do nas! Teresa też tak myśli! Wydaje mi się, że to właśnie chce powiedzieć.

Triz mamrotała coś niezrozumiale w zapamiętaniu, jej cienkie rączki zaciskały się i rozwierały, a oczy wpatrywały się we mnie.

- Czy wiesz - wyszeptała lady Hariot - od tamtej pory nie wypowiedziała ani słowa. Naprawdę wierzę, że twoje przybycie może.... może... - jej usta zadrgały, zakryła je ręką. Otoczyłam ją ramieniem.

- Najdroższa lady Hariot! Tak bardzo cieszę się, że panią odnalazłam.

- Mam nadzieję - odezwała się po chwili, starając się ukryć wzruszenie, delikatnie gładząc Triz po włosach koloru siana - mam nadzieję, droga Elizo, że opuszczenie Anglii i przybycie tutaj nie sprawiło ci trudności? - Jej głos był nieobecny, a oczy spoglądały w kierunku córki. Przynajmniej jedno z nich. Drugie wpatrzone było w horyzont.

Pomyślałam o nieszczęśliwym księciu i jego oczach pełnych łez. Pomyślałam o Pullett zagubionej w Zatoce Biskajskiej i o tym, jak zadziwiająco łatwo mój nóż zagłębił się między zębami João.

- Nie bardzo - odpowiedziałam.

- Mam nadzieję, że możesz zostać z nami dłużej. Wierzę, że teraz, gdy dzięki tobie Teresa zareagowała i przemówiła, uda się przywrócić ją do życia. Popatrz! Poruszyła lekko kolanem.

- Aliza - odezwała się znowu Triz. I dodała: - Cartur, Cartur.

- O co może jej chodzić? - zapytała zdziwiona lady Hariot. - Cartur? Cóż to takiego, kochanie?

- Wydaje mi się, że Triz pamięta nasze zabawy. Udawałyśmy króla Artura i sir Bediwira.



- Bedwir, Bedwir - zgodziła się radośnie Triz. Jej puste oczy otworzyły się szeroko. A potem nagle ziewnęła, kiwnęła głową i zamknęła powieki. Spojrzałam zaniepokojona na lady Hariot, lecz ona wydawała się zupełnie spokojna.

- Czasami tak robi. Łatwo się męczy i zapada w sen zupełnie nieoczekiwanie. To dlatego musimy... musimy karmić ją papką... ciężko jej połykać... Poza tym, wydaje mi się, że siostry dodają trochę soku z maku do jej jedzenia, aby była spokojna. Przedtem wpadała w szal, to było przerażające.

- Och, lady Hariot. Co pani przeżyła. Dla pani było to jeszcze gorsze niż dla niej.

- Nie wiem... lecz teraz - powiedziała - mam nadzieję, że będzie lepiej.

Siostra ubrana w niebieskie szaty zmierzała w naszym kierunku.

- To siostra Eufrazja, przełożona - lady Hariot odezwała się do mnie po francusku. - Istny z niej anioł. Siostrze Eufrazjo, oto moja przyjaciółka, dawna towarzyszką zabaw mojej córeczki, przybyła do nas z Anglii! A córka ją poznała! I odezwała się! Wierzę, że teraz Teresa może poczuć się lepiej!

Siostra Eufrazja uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie:

- Możesz robić, co tylko chcesz w tym domu. A teraz powinniśmy modlić się jeszcze gorliwiej w intencji tego biedactwa, gdyż z pewnością Bóg nas wysłucha.

W tej samej chwili zjawiała się inna zakonnica wołając:

- Czas już na posiłek. Czy mam zabrać dziewczynkę, Señora?

- Och, bardzo dziękuję, siostrze Luizy, jest siostra bardzo dobra. Porozmawiam kilka minut z Señorą Elizą o szczęśliwych dniach z przeszłości. Musisz mi opowiedzieć, Elizo, o wszystkim, co ci się przydarzyło od czasu, gdy się rozstałyśmy. Z najdrobniejszymi szczegółami.

Powróciłam pamięcią do dnia, gdy widziałam ją po raz ostatni, kiedy z ciężkim sercem wchodziła na pokład hiszpańskiego statku w Ashett.

Jak wiele zdarzyło się od tamtej pory. Zdecydowanie za dużo, by to wszystko opowiedzieć.

- A, przy okazji - odezwała się lady Hariot. - Może cię to zainteresować. W klasztorze jest jeszcze jedna Angielka, która przybyła tu niedawno. Właściwie zamierza zostać zakonnica i zamieszkać tu na zawsze. Lecz jeszcze się nie zdecydowała, nie złożyła ostatnich ślubów. To twoja krewna, Elizo.

- Naprawdę? Jak ma na imię?

- Pani Marianna Brandon. Jej mąż był twym opiekunem, czyż nie? Z tego co wiem, zginął w trakcie oblężenia Ciudad Rodrigo.

Pani Marianna Brandon była niezwykle elegancką kobietą. Miała na sobie coś, co na pierwszy rzut oka przypominało habit. Barbet i stuła wykonane były z ciemno granatowego jedwabiu, a srebrny krzyż zawieszony był na łańcuszku z szafirów wielkości ziarenek grochu.

Spotkałyśmy się tuż przed kolacją. Goście klasztorni - których było około tuzina - jedli przy oddzielnym stole razem z siostrą Eufrazją. Ona sama żywiła się jedynie grochem i ryżem, goście jednak otrzymali lepsze pożywienie: pieczonego barana, mięso z ryżem, ryby, sałatkę z ogórków, galaretkę z pigwy i płatków róży, ciasteczka i biskopty.

- Jesteśmy dumne z naszej kuchni - uśmiechnęła się siostra Eufrazja, widząc moje zdziwienie. - Oto, droga Señora Brandon, jeszcze jedna pani rodaczka, Meniña Eliza Williams.

Pani Brandon zrobiła się biała jak kreda. Łyżka wypadła jej z ręki. Myślałam, że zemdleje.

Lecz lady Hariot, która siedziała obok niej, podniosła szklanekę mętnego czerwonego wina i odezwała się cicho: - Szybko, proszę się tego napić. Z pewnością pani pomoże.

I trzymaj swe nerwy na wodzy kobieto, zdawał się mówić jej głos.

- Jak się pani miewa? - spytała zimnym tonem Marianna Brandon.

Odpowiedziałam, że wszystko u mnie w porządku, po czym - aby przerwać krępującą ciszę, dodałam, że kilka lat wcześniej miałam przyjemność spotkać jej

siostrę Eleonorę Ferrars. Nie wspomniałam jednak, że opiekowałam się nią w czasie epidemii tyfusu. Z radością oznajmiłam także, iż w niedługim czasie opublikowanych zostanie pięć jej powieści.

- Pięć? - słabym głosem zapytała pani Brandon. - Pięć powieści? Eleonory?

- Tak... Wygląda na to, że pisała je w tajemnicy przed wszystkimi, i to dawno. Być może, stało się to po tym, jak pani wraz z mężem wyjechała za granicę. W końcu powieści dotarły do wydawcy, któremu ogromnie się spodobały.

- Edward... pan Ferrars... wyraził na to zgodę? - Marianna wciąż mówiła ledwo słyszalnym głosem. Na szczęście inni goście wdali się właśnie w dyskusję.

- Z tego, co wiem - odezwałam się łagodnym głosem - początkowo nie odniósł się przychylnie do tego pomysłu, jednak gdy nadeszła entuzjastyczna opinia wydawcy, a sprawy w Delaford trochę... trochę się skomplikowały... szczególnie od czasu powodzi...

- Powodzi? - słabym głosem zapytała Marianna. - Była powódź?

- Stało się to dwa czy też trzy lata temu.

- Obawiam się - powiedziała - że listy z Anglii nie zawsze docierają do nas. A gdy już dotrą, są już nieaktualne. A ostatnimi czasy mój mąż był bardzo zajęty sprawami wojny...

Jej głos drżał. Wciąż patrzyła na mnie jak na jadowitego gada, który jakimś cudem wśliznął się do jej sypialni.

Marianna Brandon była piękną kobietą. Jej twarz nosiła ślady dawnej, niezwyklej urody. Choć ogorzała od słońca, jej twarz wciąż była przejrzysta, a rysy pozostały regularne. Wielkie, ciemne oczy błyszczały. Nic dziwnego, że usidliła młodego Willoughby'ego i odebrała go mojej matce.

Pod względem urody zmieniła się znacznie mniej niż mój ojciec. Jeśli w ogóle nim był.

Coś jednak straciła, tak mi się przynajmniej wydawało. Coś, co niegdyś dostrzegało się w jej twarzy: temperament i hart ducha. Przypomniałam sobie to, co

o niej słyszałam od sir Johna, pani Debb, od wieśniaków w Delaford. Żywiołowa, pełna pasji, wrażliwa dziewczyna. „Aj, aj”, powiedział sir John, „to czarownica, jedna na tysiąc, nikt się do niej nie umywał. Była najwspanialsza, nie miała sobie równych”.

Lecz dawna świetność przeminęła. Owa iskra, która zapalała w niej ogień, wygasła. Była piękną, zadbaną kobietą, lecz ciekawość świata, chęć zdobycia wiedzy i nadzieja opuściły ją. Ile mogła mieć lat? Najwyżej czterdzieści, tego byłam pewna. Lecz wyglądała i zachowywała się jak ktoś, kto dawno już wszedł w wiek średni, i od lat przyzwyczajony był do zaspokajania swych zachcianek. W przeciwieństwie do Marianny, która siedziała jak majętna wdowa i pozwalała, aby cały świat był na jej usługi, lady Hariot nie chciała, by jej dogadzano, starała się radzić sobie sama. Była przyzwyczajona do wykonywania najcięższych prac przy chorym dziecku.

Marianna nie darzyła mnie sympatią i unikała kontaktu ze mną, gdy tylko mogła. Chciałam jej przekazać, że ostatnio widziałam jej matkę, starą panią Dashwood, lecz doszłam do wniosku, że w tych warunkach nie byłoby to taktowne, gdyż starsza pani nie była w pełni władz umysłowych. Przypomnienie tego smutnego faktu nie świadczyłoby o mnie najlepiej.

Po kolacji zostawiłam resztę gości i usiadłam z Triz w pokoju, który dzieliła z matką. Było to chłodne pomieszczenie o kamiennej podłodze. Drzwi wychodziły na zamknięty ogród, w którym siostry uprawiały zioła. Mała zakonnica, siostra Luiza, siedziała przy niej, starannie odmierzając krople lekarstwa. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

- Zobacz, *cara crianca*, oto ktoś, kogo kochasz tak bardzo, jak swą drogą matkę!

Biedne, zagubione oczy spojrzały na mnie, zapaliły się, a ściśnięte usteczka wyszeptały słowa powitania.

- Przyszłam, aby zagrać w sznurki - powiedziałam. - Pamiętasz, Triz, jak zwykliśmy grać? Jeśli siostra Luiza będzie taka dobra i przyniesie nam kawałek sznurka.

Zakonnica była szczęśliwa, mogąc nam pomóc. Przez około godziny manipulowałam słabymi paluszkami, które były tak napięte i chude jak kości kurczaka, rozprawiając radośnie o naszych dawnych zabawach, o ogrodach w Kinn Hall, o pokoju dzieciennym, o jej kucyku i o Jeffie Diswoodym, o wierszach i historiach, które jej opowiadałam.

- Pamiętasz sędziwego marynarza, Triz? Czy pamiętasz, jak opowiadałam ci o szmaragdowej tafli?

Z Triz było tak, jak z podmuchami wiatru goniącymi morskie fale, które wzbierają nagle, by po chwili się uspokoić. Tak jak poprzednio, dziewczynka nieoczekiwanie zapadła w sen.

Do pokoju cicho weszła lady Hariot. Gdy ułożyła już do snu córkę, odezwała się do mnie:

- Chodź do ogrodu, Elizo - powiedziała. - Jest jeszcze wczesnie, ciepło i przyjemnie. Reszta gości zostanie w budynku, będziemy więc mogły swobodniej rozmawiać na świeżym powietrzu.

Wyszłyśmy na przechadzkę między drzewami. Lady Hariot utykała, podpierając się laską; czas nie był dla niej łaskawy.

- Klimat atlantycki nie służy mym zajęty reumatyzmem kościom - powiedziała, śmiejąc się. - A ciągle używanie tego diabelskiego przedmiotu sprawiło, że zupełnie wyszłam z formy. Lecz Teresa i ja pochodzimy z zahartowanego stada, przetrwamy.

Wydawało mi się, że lady Hariot zniosła ciężkie chwile znacznie lepiej niż Marianna Brandon. Choć podupadła na zdrowiu, miała wyjątkowo silny charakter.

- Proszę mi opowiedzieć o pani Brandon - poprosiłam.

- Och, bardzo mało z nią rozmawiam. Nie lubi nieznajomych. Lecz wiem, że śmierć męża doprowadziła ją do wściekłości. W czasie oblężenia Ciudad Rodrigo był dowódcą tego oddziału, który Francuzi nazwali *les Enfants Perdus*. Byli z góry skazani na śmierć. Mieli sprowokować Francuzów do przedwczesnego ataku. Byli tam sami ochotnicy, a pułkownik Brandon, jak się wydaje, jako wysokiej rangi żołnierz nie musiał do nich dołączyć. Jego żona nie może mu tego wybaczyć. Myślę, że dlatego jest taka złośliwa.

- Była bardzo oddana mężowi, jak wnioskuję?

- Hm - zawahała się lady Hariot - nie jestem pewna, czy można tak powiedzieć. Moja kuzynka Bess spotkała państwa Brandon w Lizbonie. Pułkownik był przykuty do łóżka, z powodu rany jaką otrzymał na wschodzie, postanowili więc spędzić urlop w Portugalii. Bess знаła go dość dobrze i powiedziała mi, że pani Brandon była bardzo wymagającą i nie znoszącą sprzeciwu żoną. On zaś, niewolniczo jej oddany, spełniał wszelkie jej zachcianki.

To ona zdecydowała nie wracać do Anglii, a pułkownik chciał powrócić do dworu, z tego co wiem w Dorset, i wystąpić z armii. Lecz wtedy Francuzi napadli na Portugalie. Wrócił więc do aktywnej służby pod dowództwem starego generała.

- A więc myliłam się. Moje przekonanie o Mariannie tęskniącej za spokojem, za rozmowami z siostrą w pokoju z widokiem na ogród, nie były prawdą.

- Być może, to niewolnicze oddanie żonie zmęczyło go, wrócił zatem na wojnę, aby się od niej uwolnić.

- Być może. Uciekł na zawsze.

- A ona czuje się zdradzona.

Ma jednak jeszcze jednego asa w rękawie, pomyślałam, jej poprzedniego wielbiciela Willoughby'ego. Ale czy zdaje sobie sprawę z tego, że on jej szuka i usilnie pragnie się czegoś o niej dowiedzieć? Czy Marianna o tym wie? Willoughby, to prawda, jest bankrutem i emigrantem, i nie tak atrakcyjną partią jak niegdyś, ale

czy ma to dla niej znaczenie? Jeśli naprawdę go kochała? W końcu jest teraz zamożną kobietą.

- Pułkownik Brandon był z pewnością bogatym człowiekiem. Ona odziedziczyła jego majątek, prawda?

Wraz z Willoughbym mogliby dostatnio żyć za te pieniądze, pomyślałam.

- Nie wszystko, jak sądzę - odpowiedziała lady Hariot. - Jest bliższy krewny, który odziedziczy dwór i posiadłości w Anglii. Siostra Eufrazja powiedziała mi, że pani Brandon zainwestowała pieniądze, ale zamierza je wycofać i przeznaczyć na potrzeby klasztoru. Nie posiada jednak ani ziemi, ani majątków. Myślę, że siostra Eufrazja... nie uważa, aby pani Brandon... była bardzo obiecującą kandydatką do życia klasztornego.

- Rozumiem, zwłaszcza w momencie, gdy przepelnia ją taka gorycz. Zastanawiam się, dlaczego jest taka zła, skoro nie była aż tak zakochana w mężu?

- Och... stracone okazje, może to o to chodzi. Lecz teraz, Elizo, opowiedz mi więcej o sobie.

Opowiedziałam jej o moim życiu.

Przez kilka tygodni życie w klasztorze Nossa Señora toczyło się spokojnym rytmem. Dwa, trzy razy dziennie siadywałam z Triz na godzinę lub dwie, rozmawiając, bawiąc się, żartując, próbując doprowadzić jej umysł do takiego stanu, aby nie myślała już o tym, co ją spotkało.

Rozmyślałam wiele o mężczyznach i przemocy, o tym, jak okrutnie traktowane są kobiety. Zastanawiałam się, jak można pogodzić te niszczycielskie i niebezpieczne instynkty z poetyckim talentem, zdolnością do heroicznych czynów i poświęcenia. Jak wobec tego należało rozumieć koncepcję łaskawego Stwórcy?

Czy rzeczywiście był aż tak łaskawy? To, co czynił dla mnie, czasami przypominało akt nienawiści.

Bardzo polubiłam siostry, które dostarczały mi wiele radości. Wiecznie zajęte, o wielkim sercu, nigdy nie zastanawiały się nad takimi pytaniami, lecz pracowały

wytrwale pomagając biednym i lecząc chorych. Klasztor Nossa Senhora cieszył się dobrą reputacją w całej Portugalii i Hiszpanii, słynąc z doskonałej troski o chorych. Przypatrując się pracy sióstr, mogłam wiele się nauczyć. Jeśli kiedykolwiek zdarzyłoby mi się stanąć w obliczu sytuacji podobnej do tej, jaka zaistniała po powodzi w Delaford, byłabym znacznie lepiej przygotowana, aby sobie z nią poradzić.

Zaobserwowałam natomiast jedną rzecz, którą można by zmienić. Otóż woda, używana do sporządzania naparów i lekarstw, pobierana była z ogromnego zbiornika wypełnionego częściowo deszczówką, a częściowo wodą pochodzącą z bagnistego strumyka, który torował sobie drogę z niewielkiego wzniesienia. Woda ta nie była pierwszej czystości.

Nieśmiało zapytałam siostrę Eufrazję, czy mogę wypróbować moje umiejętności w odnajdywaniu źródeł. Gdyby udało mi się znaleźć właściwe miejsce, siostry nie musiałyby już martwić się o wodę. Pomyślała chwilę i zgodziła się, pytając, gdzie zamierzam szukać. Odpowiedziałam, że w sadzie, który położony był trochę wyżej od klasztoru.

Kilka młodych zakonnice zgromadziło się, aby obserwować moje poczynania. Przybyła także lady Hariot, popychając przed sobą wózek Triz, który postawiła w cieniu pachnącego drzewa cytrynowego.

W samotności, tak aby nie pokazywać mojego wspaniałego noża wycięłam rozwidlony patyk i zaczęłam przemierzać sad, kawałek po kawałku. Przez długi czas nic się nie wydarzyło, a siostra Eufrazja, która przyszła na chwilę, odrywając się od obowiązków, powiedziała:

- To byłby prawdziwy cud, gdyby znalazła się tu woda nie odkryta jeszcze przez Maurów! Przebywali na tym terenie do dwunastego wieku, a mieli oni specjalny talent do odkrywania i wykorzystywania wody.

Przyjęłam to do wiadomości, choć wydało mi się możliwe, iż źródło mogło zmienić położenie lub zostało zasypane. Tak też się okazało, gdy siostra Eufrazja,



uśmiechając się wróciła do swych zajęć. Jej sposób poruszania przypominał mi trochę panią Debb. Patyk nagle podskoczył w mych rękach, jak owego pamiętnego dnia w Zoyland, po czym odchylił się w dół. Przeszłam przez to miejsce ponownie i stało się to samo.

I jeszcze raz i jeszcze raz.

Na szczęście miejsce to znajdowało się między czterema drzewami.

- *Ay, ola!* - wykrzyknęły zakonnice. - Zupełnie jakby palec naszej patronki wskazał to miejsce. Co teraz?

- Teraz będziemy kopać - powiedziałam z przekonaniem w głosie, choć pod pozorem pewności skrywałam niepokój. Co bowiem stałoby się, gdybyśmy kopały i kopały bez żadnego rezultatu?

Zakonnice zabrały się do pracy, podobnie jak i ja z przekonaniem. Lady Hariot zaoferowała swoją pomoc, lecz powiedziałam jej, że nie powinna narażać obolałych pleców na taki wysiłek. Z tego co pamiętałam, uwielbiała pracę w ogrodach Kinn Hall, podobnie jak Triz. Dałyśmy Triz trochę gliny, aby mogła pobawić się nią i pougniatać w rękach, Wymamrotała coś, ciesząc się mokrą i lepką zabawką. Im głębiej kopałyśmy, tym bardziej ziemia stawała się mokra. Teraz stary Jorge, który pomagał zakonnicom w winnicach, przybył z pomocą:

- To będzie dobra studnia - powiedział, sapiąc z zadowolenia. - Wykopiemy dużą dziurę i przykryjemy ją kamieniem, a z boku zrobimy rynienkę. Istotnie, przypominam sobie, że za czasów mego prapradziadka mówiono o źródle, które, z tego co pamiętam, zostało zniszczone w czasie okropnego trzęsienia ziemi.

- Skutki trzęsienia ziemi dało się odczuć tu i w samej Lizbonie?

- Tak, choć nie było tak silne.

Siostra Eufrazja pojawiła się ponownie, pełna szczerego uznania.

- Powinniśmy zaśpiewać dziękczynną pieśń dziś wieczorem po modlitwie! Nie będziemy teraz kłócić się o wodę z plantatorami wina w dolinie. Meninha Liza, to najbardziej pożyteczna rzecz, jaką panienka zrobiła dla nas.

Marianna Brandon przybyła do sadu, przyciągnięta, jak sądzę, zgromadzeniem, aby sprawdzić, co się stało. Lecz kiedy zobaczyła, że brałam udział w tym przedsięwzięciu, zacisnęła usta i odeszła. Zobaczyłam ją z daleka, w lasku sosnowym, przechadzającą się tam i z powrotem. Trochę utykała. Chodząc, czytała list, z wyrazem niezadowolenia na twarzy. W końcu zmięła go i wyrzuciła na ziemię.

- *Pai dios!* Spójrzcie na to dziecko! - krzyknęła siostra Luiza, wskazując na Triz, która cała ubrudzona błotem, śmiała się jak radosna nimfa wodna.

Jak zwykle kierowana ciekawością, udałam się do lasku sosnowego, który przed chwilą opuściła Marianna. Podniosłam wyrzucony przez nią list.

*Moja najdroższa Marianno, gdyż taką dla mnie zawsze pozostaniesz, choć dobrze rozumiem, że nie mam żadnego prawa do Ciebie. Wiem, że niegdyś wyrządziłem Ci krzywdę nie do naprawienia. I z pewnością uważasz mnie za największego łotra na ziemi. Zostawiłem Cię, brutalnie porzuciłem, aby poślubić bogatą kobietę, do której nigdy nic nie czułem. Zawsze kochałem tylko Ciebie. To Twój wizerunek noszę zawsze w sercu. Od czasu naszego rozstania wciąż trwałem w nieszczęściu. O Boże! Jak mogłem mieć tak twarde serce. Nic nie można powiedzieć w mojej obronie. A jednak błagam Cię, zaklinam, abyś wzięła pod uwagę moje nieszczęście i żal za to, co uczyniłem. Dowiedziałem się, że znowu jesteś wolna, bo Twój wspaniały mąż, który zasłużył na Ciebie (czego nie można powiedzieć o mojej osobie), odszedł z tego świata. Czy zgodziłabyś się wrócić do człowieka, podobnie jak Ty wolnego, który wciąż myśli o Tobie, wspomina i tęskni za Twoim towarzystwem? Wiem, że rozmyślasz o wstąpieniu do zakonu, i jesteś w tej chwili w klasztorze Nossa Senhora dos Remédios. Ale błagam Cię, błagam, pomyśl, zanim odsuniesz się od tego świata! Wspomnij, że ten, który Cię kocha, będzie szczęśliwy mogąc służyć Ci po wsze czasy.*

W.

*Post Scriptum. Jeśli napiszesz pod adres English Factory House w Porto, przybędę do Ciebie natychmiast.*

Och! Jakże dziwne rzeczy można znaleźć pośród igliwia w zacisznym i pobożnym przybytku klasztornym. Co za przekonywanie, co za wymowny list napisany przez mego ojca! Czytałam i czytałam, raz po raz, w zdumieniu, zastanawiając się, jak bym się czuła, gdyby ktoś kiedyś napisał do mnie takie słowa. Próbowałam sobie wyobrazić Hoby'ego, tworzącego podobne zdania, lecz nie bardzo mi to wychodziło. Zastanawiałam się, czy serce Marianny kiedykolwiek zmięknie, pozbędzie się urazy do tego mężczyzny. Skoro jednak wyrzuciła ten list, wydawało mi się to niemożliwe. Czy potępiałam ją? Niezupełnie. W końcu ten człowiek wykorzystał moją matkę w jeszcze podlejszy sposób. Nigdy jej nie szukał, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, i nie próbował. Tylko dzięki jej własnym wysiłkom - i szczęśliwemu losowi, dzięki któremu zwróciła na siebie uwagę księcia, moja matka spędziła resztę życia bezpieczna, we względnym komforcie. Jeśli zaś chodzi o mnie, czy Willoughby kiedykolwiek wykazał najmniejsze chociażby zainteresowanie moją osobą?

Nagle zrozumiałam, że Marianna Brandon była bardziej odpowiedzialna za mój nieszczęsny los niż Willoughby. To prawda, że nigdy mnie nie szukał, lecz całkiem możliwe, że nikt nie powiadomił go o moim istnieniu. Lecz Marianna Brandon, zazdrosna o moją matkę - choć Bóg jeden wie, że nie było ku temu żadnego powodu - aktywnie przeciwstawiała się pułkownikowi, nawet wtedy, gdy chciał mnie odwiedzić, i nie przejawiała najmniejszego zainteresowania moją osobą. Zrozumiałam, że brak odpowiedzi na listy z prośbami o opłacenie szkoły i wspomnienie ludzi w Delaford, był także sprawką Marianny. Prawdopodobnie pułkownik zajęty walką w Salamance czy Ciudad Rodrigo nigdy o nich nawet nie słyszał.

Weszłam do budynku, aby spędzić godzinę z Triz, teraz już doprowadzoną do porządku. Błądząc myślami gdzie indziej, zaśpiewałam jej piosenkę, narysowałam baranka, woły i pracujących mężczyzn. Zabrała mi z ręki ołówek i sama narysowała jeźdźców na koniach. Początkowo zmroziło to moje serce. Pomyślałam bowiem, iż mogą to być portrety jej prześladowców, lecz wkrótce, uśmiechając się, wyjaśniła:

- Kartur... Gal-had... Bedi...

- Tak, kochanie. Król Artur, Galahad, Bediwir. Ślicznie to narysowałaś.

- Dobrze by było mieć więcej materiałów do rysowania - powiedziała siostra Luiza. - Myślę, że to zajęcie jest dla niej uzdrawiające.

Wpadłam na świetny pomysł. Dlaczego nie miałabym popłynąć do Porto i kupić tam paczkę papieru, farb i pędzli? Chciałabym ofiarować to klasztorowi. Potem mogliby ich używać inni chorzy. Wrócę bardzo szybko, w ciągu kilku dni.

Siostra przyjęła mój pomysł entuzjastycznie.

- Tak! Jest jeszcze kilka innych spraw, które mogłybyśmy tobie powierzyć. Zawiadomię siostrę Eufrazję. Ona zawsze narzeka, że nie ma nikogo, kto mógłby się udać w taką podróż. Jedwabna nić do wykończenia obrusu na ołtarz, lekarstwa, igły... To prawda, że małej Teresie będzie ciebie brakowało, lecz jak sama mówisz, nie potrwa to więcej niż kilka dni.

- Czy myśli siostra, że ona kiedykolwiek wydobrzeje? - zapytałam. Lady Hariot nie było akurat w pokoju.

Popatrzyła na mnie smutno.

- Nie, Meninha - odpowiedziała. - Robisz dla niej wiele dobrego. Jej umysł oczyszcza się z jądów, które go zatrwały. A to więcej niż mogliśmy oczekiwać. Skończył się koszmar. Lecz nie sądzę, aby kiedykolwiek jeszcze wróciła do normalnego życia. Wydaje mi się, że zawsze była inna niż ty czy ja, i słabsza. Być może, bliższa Wiecznemu Duchowi.

Podmienione dziecko.

- Tak, siostrze, wydaje mi się, że ma siostra rację.

- Oczywiście, że mam rację.

- A więc, pojedę do Porto i zdobędę farby. - Najpierw jednak, pomyślałam, napiszę do księcia.

Udałam się więc do mojego pokoiku i napisałam do niego długi, pełen miłości list, przedstawiając dość dokładnie wszystko, co mi się przytrafiło, tłumacząc, że być może miną tygodnie, a może nawet miesiące, zanim będę mogła opuścić lady Hariot i Triz, chyba że książę zdecyduje się ugościć je w Zoyland. Co oczywiście, byłoby najszcześniejszym rozwiązaniem dla wszystkich zainteresowanych. Zapewniłam, że zawsze będę się nim opiekować.

Tego wieczoru w czasie kolacji siostra Eufrazja przedstawiła mi długą listę spraw, które miałam załatwić w Porto. Lady Hariot prosiła o muślinowe chusteczki. Zużyła wszystkie na owijanie i bandażowanie ran. Niewinnie zapytałam panią Brandon o jej ewentualne potrzeby. Dodałam, że będę odwiedzać English Factory. Zimnym tonem podziękowała mi, oświadczając, że nie ma żadnych spraw do załatwienia. Minę miała tak kwaśną, jak wino, które właśnie piłyśmy.

- Musisz jej wybaczyć - powiedziała siostra Luiza po kolacji. - Wrzody na nodze sprawiają jej wiele bólu.

- Och, biedactwo. Nie wiedziałam. Czy została ranna w czasie bitwy?

- Ależ, nie, nic podobnego. Wydaje mi się, że skaleczyła się w nogę wówczas, gdy podróżowała na mule. Rana nie chce się zagoić. Ma ją już bardzo długo.

Winobranie w klasztorze szło pełną parą. Przejechałam przez winnice i znalazłam Duero. W wielkim, granitowym *lagar* około siedemdziesięciu mężczyzn ustawionych w rzędach po dziesięciu, a każdy wspierał dłonie na barkach poprzednika, tupało i krzyczało:

- Na lewo! Na prawo! Na lewo! Na prawo! - Przerywali krzyki dzikim, przeciągłym wyciem.

- Będą tak robić przez wiele godzin - powiedział nadzorca. Przypatrywałam się im, usiłując odnaleźć mych wybawców pomiędzy *lagares*. Nie byłam jednak w

stanie ich wypatrzyć, wszyscy stali zbici w gromadę. Potem zaczęli śpiewać piosenkę o wpadającym w ucho, melodyjnym refrenie. Słowa musiały być bardzo wulgarne, gdyż mój przewodnik pognał muła, a na jego twarzy malowała się dezaprobata.

O tej porze roku po rzece pływało wiele łodzi, szalup, czółen i łódek podobnych do gondoli. Klasztorna *barco* stała gotowa do odpłynięcia. Podróż do Porto przebiegła szybko, dzięki sprzyjającym wiatrom i prądom rzeczonym. Dotarliśmy do miasta następnego dnia przed zmierzchem, mogłam więc załatwić połowę spraw i zostawić moje tobołki w klasztorze Świętej Klary, gdzie, dzięki poleceniu siostry Eufrazji, bez problemu dostałam nocleg. W klasztorze furtianka - ta sama, która w czasie poprzedniej wizyty nie była w stanie udzielić Willoughby'emu wiadomości na temat pani Brandon - usłyszawszy me imię, wydała z siebie krótki okrzyk. Błagała mnie, abym poczekała chwileczkę, sama zaś popędziła po anglojęzyczną zakonnice. Ta pojawiła się w okamgnieniu, w kapciach na nogach i wykrzyknęła:

- Och, co za szczęście, że Meniña wróciła do nas! Kilka dni temu dostałyśmy bowiem wiadomość dotyczącą pani przyjaciółki, tak nam się wydaje. Biedna kobieta została wyciągnięta z wody (niewątpliwie dzięki szczególnej interwencji samego Sant Iago) i ocalona od niechybnej śmierci...

- Nie! - wykrzyknęłam w najwyższym zdumieniu. - Czyżby Señora Pullett?

- Ależ tak, tak! Tak właśnie się nazywa.

- Czy jest tutaj? Czy mogę ją zobaczyć?

- Nie, nie. Jest w Hiszpanii. Wiele mil stąd. W klasztorze naszych sióstr, w świętym mieście Santiago de Compostela. Lecz, gdy tylko, biedactwo, wróciła do zmysłów i zaczęła mówić do rzeczy, co, jak nam doniesiono, zabrało trochę czasu, bardzo nalegała, aby zawiadomić panią o tym, gdzie się znajduje. Powiedziała siostram, że podróżowała pani do Porto, tak więc tu wysłano wiadomość. A my nie byliśmy pewne, gdzie pani teraz jest...

- Ona naprawdę żyje, naprawdę, naprawdę żyje?

Ogromny kamień spadł mi z serca.

- Tak! Wyciągnęli ją rybacy, tak nam powiedziano, i zabrali do Świętych Sióstr w Santiago. Wciąż jeszcze jest bardzo słaba, może jednak już cerować, jak doniosła ostatnio jedna z sióstr pielęgniarek. Señora ma nadzieję, że gdy tylko będzie panienka mogła, zabierze ją stamtąd.

- Czy mogę do niej napisać? Czy ktoś może wysłać list do Santiago?

- Oczywiście.

Napisałam więc do Pullett radosny list, tłumacząc, jak znalazłam lady Hariot i Triz. Dodałam również parę słów o tym, co zdarzyło się wcześniej. Wyjaśniłam, że nie mogłam ich tak szybko opuścić, w związku z planami (związanymi z księciem), które zamierzałam urzeczywistnić, gdy tylko Triz poczuje się lepiej. Tymczasem zaklinałam ją, aby była cierpliwa, wyraziłam moją wielką radość z faktu, że żyje i nakazałam, by uczyła się od sióstr hiszpańskiego i haftu. Obiecałam, że wrócę do Anglii, gdy tylko będzie to w mojej mocy i zjawię się w porcie La Coruña, lub tam, gdzie będzie wygodniej, aby ją zabrać. Władająca angielskim siostra zadbała o to, aby mój list został wysłany najbliższą pocztą do Composteli.

Optymistycznie nastawiona i mając nadzieję, że teraz - gdy wszystko było na tak dobrej drodze, los uśmiechnie się do mnie, udałam się do English Factory. Oddałam list do księcia. Przesyłka - jak mnie zapewniono - miała odpłynąć z jutrzejszą pocztą, po czym zaczęłam dopytywać się o adres pana Willoughby'ego.

- Oczywiście, Señora. Mieszka przy Rua dos Flores, wśród złotników.

Wskazano mi kierunek. Podążając wedle wskazówek musiałam wdrapać się i zejść z wielu schodów, przejść przez wiele wąskich *ilhas* i alei, które niczym nitki przecinały większe ulice miasta położonego na stromym zboczu.

Odnalazłam drzwi i zapukałam. Do głowy przychodziło mi wiele pomysłów. Mężczyzna, którego szukam, mógł wyjechać do Lamego, aby być bliżej Marianny, albo okaże się nie tym, którego szukam. Mogłam również nie zastać go w domu.

Zastałam go jednak i był tym, którego szukałam. Wyglądał tak samo, jak ów obdarty, nieszczęsny człowiek, którego widziałam w klasztorze. Tyle tylko, że teraz nie miał na sobie płaszcza ani kapelusza, lecz prostą koszulę, aksamitną kamizelkę i spodnie. Jego twarz pełna nadziei, gdy otwierał drzwi, pojaśniała na chwilę, ale zaraz potem pojawił się na niej wyraz rozczarowania. Zdał sobie bowiem sprawę z tego, że nie byłam osobą, której oczekiwał.

- Señora, wydaje mi się, że zaszła pomyłka. Nikogo nie oczekuję.

To kłamstwo, pomyślałam.

Zaczął zamykać drzwi.

Mówił po portugalsku. Odpowiedziałam po angielsku.

- Nie, proszę pana, to nie jest pomyłka. Wprawdzie nie oczekiwał mnie pan, lecz proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem pańską córką. Nazywam się Eliza Williams. Choć właściwie, chyba mogę powiedzieć: Eliza Willoughby.



## Rozdział szesnasty

---

Jestem pańską córką - powtórzyłam do mężczyzny stojącego bez słowa w drzwiach.

- Nie wierzę ci - uciął krótko. - Nie rozumiem! O co chodzi! Wynoś się! Idź do diabła!

Lecz ja nie ustępowałam:

- Nie przejechałam całej tej drogi, aby tak łatwo dać się zbyć. Chyba może pan poświęcić mi dziesięć minut. Poza tym - pokazałam mu zwiniętą kartkę papieru znaną w lasku sosnowym - przybyłam z klasztoru Nossa Señora. Jeśli jest pan ciekaw, mogę panu opowiedzieć coś o tym - dodałam, wskazując na list.

Porwał go, wpatrując się we mnie. Jego oczy, jak dostrzegłam, były czerwone i przekrwione.

- Co ona powiedziała, co ona powiedziała? Czy przekazała ci wiadomość?

- Proszę mnie wpuścić - powiedziałam.

Niechętnie wycofał się, a ja weszłam za nim do dużego, zaniedbanego pokoju z drewnianym sufitem. Na środku leżał zniszczony, pleciony dywan. Ściany pokoju pokryte były ciemnoczerwoną tapetą. Stał tutaj stół pokryty ubrudzonym czerwonym adamaszkowym obrusem, dwa krzesła i nic poza tym. Na stole leżało kilka gazet i książki, obok stała butelka wina i szklanka, talerz z kawałkiem chleba i plasterkiem kielbasy.

W pokoju panował zaduch od dymu i brudu.

Usiadłam na jednym z krzesel.

- Jestem pana córką - powtórzyłam.

- Jaki to ma związek? - popatrzył niecierpliwie na list, po czym, jakby coś go nagle ukłuło, wyrzucił go do metalowego kosza, w którym palił się węgiel drzewny.

Duszący swąd unosił się w pomieszczeniu. - Czego ode mnie chcesz? Chcesz pieniędzy? Nie mam pieniędzy.

- Oczywiście, że nie chcę pieniędzy! - krzyknęłam ze złością. - Gdybym ich potrzebowała, z pewnością nie przyszedłabym do pana! Chciałam się po prostu z panem spotkać, czy to takie dziwne?

Najwyraźniej dla niego było to czymś niezwykłym.

- Jaki jest zatem cel twego przyjazdu?... Czy to... czy to ona cię tu przysłała? M... Marianna?

- Nie, nie ona. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że Marianna nienawidzi nas oboje. Pana zapewne za to, że ją opuścił, a mnie dlatego, że jestem pańską córką z innego związku.

- W takim razie przysłała cię twoja matka? - zapytał podejrzliwie. - Eliza, czyż tak?

- Nie! - Miałam ochotę pluć na twarz. - Moja matka nie żyje! To zaś, gdzie i w jaki sposób zmarła, nie powinno pana interesować. Żałuję, że odnalazłam pana. Nikt mnie nie przysłał. Po prostu chciałam... chciałam poznać mego ojca. Lecz teraz widzę, że niepotrzebnie się trudziłam. Cieszę się... - prawie krztusiłam się ze złości i zawodu, choć Bóg jeden wiedział, że powinnam być na to przygotowana - cieszę się, że mam przyjaciół, dobrych przyjaciół.

Księżę, lady Hariot, nawet Hoby i biedna Triz byli teraz dla mnie niczym cudowne gwiazdy, których blask rozjaśniał pochmurne niebo.

Willoughby przypominał mi wysuszoną i pozbawioną soków łupinę. Podobnie jak Mariannę opuściła go cała energia.

Wydawał się teraz nastawiony przyjaźniej. Usiadł, wytarł czoło i odezwał się do mnie tonem pozbawionym nadziei:

- Nie odpowiedziała na mój list? Nie ma żadnej wiadomości? Żadnej?

- Wyrzuciła list, a ja go zabrałam. Myślę - dodałam - że jest bardzo nieszczęśliwa. Nie czuje się dobrze. Być może, jeśli poczeka pan jeszcze i spróbuje ponownie...

- W jaki sposób? - wymamrotał. - Już teraz zalegam z opłatą za to mieszkanie, dwadzieścia milrejsów. Nie stać mnie nawet na taką rudere. Muszę wyjechać z Porto i znaleźć jakąś chatę w górach. Marianna była moją ostatnią nadzieją.

- Zabiega pan o jej względy jedynie dlatego, że ma teraz pieniądze, że jest bogatą wdową?

- Nie! Jak możesz tak mówić! Wynoś się! Niech cię wszyscy diabli.

Poderwał się na równe nogi, dyszący z wściekłości. Instynktownie położyłam rękę na rękojeści noża schowanego w bucie. Lecz on usiadł na krześle, mamrocząc słabym głosem:

- Och, jakie to ma znaczenie, co myślisz? Po prostu wyjdź. Nie mam dla ciebie nic, zupełnie nic.

- Nic - powiedziałam chłodnym tonem. - Widzę to bardzo dobrze. Ale być może ja mam coś dla pana.

Położyłam na stole czterdzieści milrejsów i wyszłam z domu. ,

Na ulicy zobaczyłam mężczyznę opierającego się o ścianę domu. Odniosłam wrażenie, że przysłuchiwał się naszej rozmowie od pewnego czasu. Przeraziłam się, gdy podszedł do mnie i odezwał się:

- Aha! To pani jest tą młodą dziewczyną, która zabiła mego przyjaciela João! Co mi dasz panienko za to, że nie zawiadomię władz i nie pokażę, gdzie ukryłaś ciało?

W innej sytuacji taka groźba przestraszyłaby mnie.

Ale ten człowiek, w którym rozpoznałam Manuela, był obrzydliwą, szczurowatą kreaturą, a rozmowa z Willoughbym doprowadziła mnie do szewskiej pasji, zbliżyłam zatem prawą dłoń do jego nosa i powiedziałam:

- Widzisz tę rękę, człowieku? Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że mam w sobie złą moc i w nocy zamieniam się w dziką bestię! Jeśli zawiadomisz władzę, nigdy już nie spędzisz przyjemnej nocy w swym łóżku. Nigdy! Przyjdę do ciebie pewnej ciemnej nocy i rozerwę na strzępy. Postąpię z tobą tak samo, jak z twym przyjacielem João.

Wyszczrzyłam zęby i zbliżyłam moją twarz do jego oblicza.

Odwrócił się biały jak kreda, jęknął żałośnie i pędem pobiegł brudną uliczką.

Ruszyłam przed siebie, nie odczuwając radości zwycięstwa. Dotarwszy do klasztoru Świętej Klary, zmęczona rzuciłam się na wąskie twarde łóżko. Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że nic jeszcze nie zjadłam. Nie miałam jednak siły zejść na kolację, bo i tak nie byłabym w stanie nic przełknąć.

Następnego ranka, dopełniwszy powinności zleconych przez siostrę Eufrazję, wróciłam do English Factory, aby odebrać zakupy. Tam radośnie powitał mnie zarządca. Usłyszawszy moje imię, wykrzyknął, że ma dla mnie listy z Anglii.

- Dziękuję panu! Bardzo jestem wdzięczna. Przeczytam je w drodze.

Dzień wcześniej zamówiłam łódź i chciałam jak najszybciej znaleźć się na niej. Żałowałam, że w ogóle przyjechałam do Porto.

Otworzyłam list dopiero, gdy opuściliśmy miasto, z trudem płynąc w górę rzeki pomiędzy ogromnymi tarasami winnic na wzgórzu.

Pierwszy list był od lekarza księcia.

*Moja droga panno Williams!*

*Obawiam się, że mam dla Pani smutne wieści, powiem więc od razu, co się stało. Jego Miłość odszedł z tego świata. Po Pani wyjeździe wpadł w melancholię, pogrążając się w tym stanie. Wydaje mi się, że miał obawy, iż Pani nigdy nie wróci. Wciąż powtarzał: „Nigdy już jej nie zobaczę”. I na nieszczęście okazało się to prawdą.*

*Lecz błagam, proszę się nie obwiniać, droga panno Williams. Obawiałem się jego śmierci od czasu ataku, który przeżył przed Pani podróżą. Wydaje mi się, że Pani wyjazd jedynie przyspieszył i tak nieuchronny koniec. I proszę, niech Pani będzie spokojna, śmierć miał lekką. Po prostu zasnął pewnego wieczoru i następnego poranka już się nie obudził.*

*Mówił o Pani bardzo dużo, prawie nieustannie.*

*Zostawił Pani - o czym z pewnością zawiadomi Panią prawnik - zabezpieczenie na przyszłość: dożywotnią pensję.*

*Oczekiwałem raczej, że pozostawi Pani Zoyland. Wiedział przecież, iż była Pani bardzo przywiązana do domu. Zapisał jednak dwóm młodemu panu Hobartowi, z zastrzeżeniem, że może Pani zawsze korzystać z własnych apartamentów. Niewątpliwie pan Hobart i jego prawnicy skontaktują się z Panią w tej sprawie. Odniosłem wrażenie, iż księżę miał nadzieję na Pani małżeństwo z panem Hobartem. Był bardzo przywiązany do was obojga, chciał więc byście się pobrali, to był jego plan. Pan Hobart często odwiedzał go przed śmiercią.*

*Przesyłam serdeczności dla Pani i panny Pullett i mam nadzieję, że sprawy w Portugalii układają się pomyślnie i dobiegają szczęśliwego końca. Wszyscy w Zoyland dołączają najlepsze życzenia i mają nadzieję ujrzeć Panią w niedalekiej przyszłości.*

*Zawsze do usług*

*Elijah Swinton*

Drugi list był od Hoby'ego...

Zirytował mnie tak bardzo, że zgmiotłam go i wyrzuciłam za burtę *barco*. Gdy to uczyniłam, ogarnęło mnie nagłe współczucie dla Marianny Brandon, przechadzającej się w lasku sosnowym, gdy czytała błagalny list od Willoughby'ego. Za kogo oni nas mają? Za pakunki, które można odebrać i rozpakować, kiedy ma się na to ochotę?

Lecz myśli te przyćmił ogromny, przepelniający mnie smutek, związany ze śmiercią starego przyjaciela, drogiego opiekuna i towarzysza. Przez pozostałe dni podróży siedziałam więc, trzymając głowę w dłoniach, nie zważając na wzburzony prąd rzeki, ostry wiatr, na to, co działo się na wzgórzach.

Siostra Eufrazja obiecała wysłać parę mułów, by mi ulżyć w dźwiganiu ciężkich paczek. Ku memu zdziwieniu na przystań przybyła także siostra Luiza, której blade oblicze nie wróżyło nic dobrego.

- Słyszała już panienka? - wykrzyknęła, ujrawszy me zapuchnięte od łez oczy. - Lecz nie, to przecież niemożliwe.

- O czym, siostrze? - zapytałam, a moje serce zabiło z niepokoju. Co mogło być gorszego niż to, co już mi się przytrafiło?

A jednak było.

- Dziewczynka... mała Teresa... opuściła nas. Odeszła do Świętej Matki.

- Opuściła was? O czym siostra mówi? - powtórzyłam głupio.

- Umarła? Przecież wyglądała tak dobrze... tak zdrowo, kiedy odjeżdżałam.

Czy miała atak? Co się stało?

- Odeszła wczoraj po południu - powiedziała siostra Luiza ocierając łzy swym welonem, gdy jechałyśmy wolno krętą ścieżką.

- Pogoda była piękna, zabrałyśmy ją więc, tak jak zwykle, nad sadzawkę w sadzie. Od czasu, gdy tu przyjechała, było to ulubione miejsce Teresy. Siedziała tam, mamrocząc coś do siebie. Stara siostra Maria, która była przy niej, odeszła, aby porozmawiać z Jorgem o winie, a lady Hariot nadchodziła właśnie, kiedy mała dziewczynka nagle się podniosła i zaczęła iść... tak, iść. Przeszła kilka kroków, czego nigdy wcześniej nie robiła, odkąd znajdowała się w Nossa Senhora. Przeszła więc kilka kroków i wpadła do sadzawki. Lecz przedtem powiedziała coś - lady Hariot panience opowie. Siostra Maria podbiegła i wraz z lady Hariot natychmiast wyciągnęły ją z wody. Nie była tam dłużej niż chwilę, lecz to wystarczyło, aby

zatrzymać jej serduszko, które - jak wiesz - było słabiutkie po tym, co przecierpiała wcześniej. Umarła od razu.

- Biedna lady Hariot...

- Lady Hariot jest silną kobietą - powiedziała siostra Luiza. - Ugina się jak gałąź jesionu, nigdy jednak się nie łamie.

Było tak, jak mówiła. Gdy weszłam do pokoju, gdzie na wąskim łóżku leżała Teresa, owinięta w delikatny muślin pokryty białymi różami, lady Hariot podniosła się z klęczek i podeszła, aby mocno mnie uścisnąć.

- Och, lady Hariot! Dlaczego nie było mnie z panią, gdy to się stało?

Czułam się winna, że pojechałam do Porto. Postąpiłam egoistycznie. Chciałam zobaczyć Willoughby'ego, reszta była jedynie pretekstem, aby nadać mojej misji chlubny charakter.

- Posłuchaj, Elizo - odezwała się lady Hariot. - Nie powinnaś się oskarżać. Szczerze w to wierzę, że Teresa pragnęła odejść. Wyzwoliłaś jej umysł z długotrwałego koszmaru, a to bardzo ważne. Dzięki temu Triz ujrzała drogę do życia wiecznego. Lecz nie bierz tego za bardzo do siebie. Tak długo, jak długo byłaś z nią, nie chciała cię opuszczać. Oznaczałoby to dla niej brak wdzięczności. Posłuchaj, jak to się stało. Byłam jedynie kilka jardów od niej, zmierzając właśnie w jej kierunku, gdy zobaczyłam, jak wstaje, a przecież nie podnosiła się z wózka przez trzy lata. Widziałam jak wstaje i idzie przed siebie, składając ręce, jakby zobaczyła coś przed sobą. Krzyknęła głośno i wyraźnie: „Wróć, mój drogi panie, królu Arturze, wróć!” A potem wpadła do sadzawki. Wraz z siostrą Marią natychmiast znalazłyśmy się przy niej i wyciągnęłyśmy ją na brzeg, lecz wydaje mi się, że jej serce zatrzymało się jeszcze przed upadkiem.

Wysłuchałam jej słów w ciszy. Przez dłuższy czas nic nie mówiłam, spoglądając na bladą, nieruchomą twarz lady Hariot. Nie dojrzałam w niej oznak cierpienia, przypominała raczej oblicze anioła wykonane z kości słoniowej.

- „Wróć, mój drogi panie, królu Arturze, wróć!” To była nasza ulubiona zabawa.

Dobrze pamiętałam, jak mała Teresa mówiła: „Zastanawiam się, co potem zrobił sir Bediwir? Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze widział króla Artura?”

Kiedy byłam już na statku powracającym do Duero, mój żal po stracie księcia zmienił się w złość i frustrację. Liczyłam przecież na to, że uda mi się przywieźć lady Hariot i Triz do Zoyland, gdzie księżę przyjąłby je z radością. Teraz, mając świadomość, że Hoby jest właścicielem dworu, mój plan był już niewykonalny.

Śmierć Triz uświadomiła mi jednak, jak bezsensowne są wszelkie plany i zamierzenia. Przeznaczenie rozwiewa je, podobnie jak jesienne wiatry pomiatają opadłymi liśćmi.

- Teresa zostanie pochowana tutaj, na cmentarzu u sióstr - powiedziała lady Hariot. - Jutro odbędzie się pogrzeb.

- Zapytam siostrę Eufrazję, czy mogę śpiewać razem z chórem.

- Oczywiście... To dziwne, jak mogłam zapomnieć o twoim głosie.

- Co pani teraz robi, lady Hariot? Dokąd pani pójdzie?

- Będę musiała się zastanowić - powiedziała niepewnie. - Moja siostra jest daleko, w Brazylii. Portugalska rodzina królewska wspaniale się tam już zaaklimatyzowała, nie wydaje się, by chcieli powrócić do Lizbony. Nie jestem pewna, dokąd pojedę. Może do Porto?

W czasie pogrzebu zaśpiewałam *Glorię*. Po zakończeniu ceremonii podeszła do mnie Marianna Brandon. Nie widziałam jej już dobre parę dni. Wydawało mi się, że wołała zostać w domu aż do pogrzebu. Siostry nie miały niestety organów, w małej kaplicy stało jedynie pianino, na którym zagrała Marianna. Zdałam sobie sprawę, że nie dorównuję jej nawet w połowie.

- Czy nie wybrałabyś się ze mną na spacer do sadu na parę minut? - zapytała mnie Marianna, gdy opuściłyśmy kaplicę.



- Naturalnie - odrzekłam.

Podążyłam za nią zaciekawiona i dostrzegłam, że utyka jeszcze mocniej. Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o Willoughbym. Marianna skierowała się w stronę ławki stojącej pod murem, skąd można było podziwiać Lamego w całej okazałości. Siedziałyśmy tam parę minut w milczeniu.

Marianna odezwała się pierwsza:

- Śmierć oczyszcza umysł. Rozumiesz? Nabieramy dystansu wobec naszych własnych spraw.

Westchnęłam, myśląc o moim drogim księciu. Tymczasem ona kontynuowała melodyjnym głosem.

*Męczące życie jest człowieka,  
Ciężkie, okrutne i śmierć go czeka.  
Kwitnie i więdnie pączuszek róży,  
Drzewo umiera, ranek się budzi.  
Nocy cień wstaje, słońce zachodzi,  
Róża usycha, człowiek odchodzi.*

- Znasz te słowa?

Nie znałam ich. Patrzyłam na panią Brandon z zainteresowaniem.

Niespodzianką było dla mnie usłyszeć poezję z jej ust. Przypomniałam sobie jednak dzieła z biblioteki w Delaford.

Po chwili zaskoczyła mnie ponownie.

- Winna ci jestem przeprosiny - powiedziała. - Jak się zapewne domyślasz, byłam na ciebie zła przez dłuższy czas.

Pomyślałam, że odkrycie tego nie wymagało ode mnie szczególnej inteligencji, powstrzymałam się jednak przed wypowiedzeniem tego głośno.

- Już na początku byłam okropnie zazdrosna o to, że mój mąż się tobą interesuje - zaczęła. - To było dziecinne. Starłam się zapobiec waszym spotkaniom i próbom sprowadzenia cię do Delaford. Kiedy dowiedziałam się, że przekazał ci w

testamencie dwór, jakby piorun mnie poraził. Byłam wściekła, rozgoryczona i upokorzona. Och, materialnie byłam zabezpieczona, nie miałam więc żadnego powodu, aby narzekać, ale utracić ten dom - aleje, ogrody, morwy.

Przez moment milczała. Emocje odebrały jej głos. Powiedziała pod nosem coś, co brzmiało jak „Norland”, ale nie wiedziałam, o co chodzi.

Ja tymczasem, co wydaje się zrozumiałe, stałam jak porażona, nic nie rozumiejąc.

- Zostawił mi dwór? Ma pani na myśli Delaford? - wyjąkałam po chwili.

- Tak. Nie wiedziałaś o tym?

- Skąd niby miałam wiedzieć?

- Przypuszczam, że czeka gdzieś na ciebie list od prawnika. Może nie wiedzieli, gdzie cię znaleźć.

- Ten zapis wydaje się niesprawiedliwy - powiedziałam stanowczo. - To był pani dom. Pani go umeblowała, troszczyła się o niego, pani w nim mieszkała i kochała go...

Pomyślałam o miłym pokoiku z widokiem na ogród różany, o książkach na półkach, obrazach na ścianach, o portrecie Willoughby'ego ukrytym między stronami książki.

- Ależ nie - odparła Marianna. - To mężczyźni budują domy. A kobiety zajmują je tylko przez krótką chwilę. Przychodzimy i odchodzimy, moja kochana, zupełnie jak jaskółki. Dwór w Delaford istniał już, zanim się tam pojawiłam i będzie stał długo po mojej śmierci.

To samo dotyczyło posiadłości w Zoyland, pomyślałam. Wybudowano ją za panowania królowej Elżbiety. W najlepszym wypadku miałam więc prawo do czasowej dzierżawy.

Ale nie było mi to już potrzebne.

Ogarnęło mnie nowe, nieznane dotąd uczucie. Czy było to szczęście? A może tylko ironiczna wdzięczność losowi za to, że zesłał mi nowy dom.

- Pani Brandon - zaczęłam - jeśli istotnie dwór został mi przekazany, co wydaje się zdumiewające i nieprawdopodobne, to proszę mi wierzyć, jest to również i pani dom. Ten pokój... pani książki i obrazy.

- Och, była już pani w tym pokoju? - zapytała Marianna. Wydawała się zaskoczona i niezbyt zadowolona. - Nie wiedziałam.

- Raz, na polecenie pani szwagra.

Poczułam rozbawienie. Czy Edward Ferrars zniesie ten ból i pogodzi się z faktem, że zostanę jego sąsiadką? I panią dworu?

- Jest pani wspaniałomyślna - rzekła Marianna. - I okazała mi pani więcej łaskawości niż ja w stosunku do pani, ale - wzięła głęboki oddech - wydaje mi się, że powinnam pogodzić się teraz z Bogiem i uporządkować swoje sprawy. Moja chora noga nie nadaje się do leczenia. Nie zostało mi więc wiele czasu.

- Och, biedny Willoughby! - krzyknęłam. Spojrzała na mnie wnikliwie.

- Widziałas go? Tutaj, w Portugalii?

- Wczoraj. Poszłam... zawsze chciałam... - w końcu wymamrotałam - jest przecież moim ojcem.

- Wciąż nieobecny, jak mi się wydaje - dodała Marianna, lekko się uśmiechając.

- Nigdy go nie poznałam, chciałam więc choć raz się z nim spotkać. I... chyba się cieszę, że tak się stało - dodałam po chwili namysłu. - Inaczej pozostałby już na zawsze zagadką. Teraz przynajmniej go znam, wiem, jak wygląda. Choć mam wrażenie, jakby umarł dawno temu.

Westchnąwszy, Marianna pokuśtykała w stronę klasztoru. Zdążyła jeszcze dodać:

- Mam tylko nadzieję, że poznawszy go, nie zaczniesz pałać nienawiścią do płci męskiej. Mogę cię zapewnić, że w młodości był inny.

Przez moment chciałam go nawet bronić, ale po co? Nie była mu przeznaczona, chyba tak już zostanie.

- Dopilnuję jednak, żeby nie głodował - dodała sucho przez ramię.

Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie pozostawione na stole czterdzieści milreisów. Kobiety, jak się wydawało, na zawsze już chyba będą troszczyć się o to, by Willoughby nie był głodny.

Wróciłam do klasztoru i natknęłam się na lady Hariot.

- Proszę posłuchać, zdaje się, że odziedziczyłam dom - powiedziałam. - Czy zechce go pani ze mną dzielić? Jest za duży dla jednej osoby.

- Wielkie nieba, moje drogie dziecko, z pewnością znajdziesz towarzysza, który zapełni to miejsce...

- Wcale nie jestem tego taka pewna - odparłam. - W każdym razie dobrze się zastanowię, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję. Istnieje wiele spraw, które stawiają moje przyszłe małżeństwo pod znakiem zapytania. Delaford nie leży przecież tak daleko od pani ukochanego miejsca - od Ashett i Growly Head. Ponieważ jestem dziedziczką i będę zamożna, marzę o tym, by doglądać dzieci z Doliny Bękartów, zapewnić im odpowiednią opiekę, upewnić się, że żadne z nich nie będzie już zdane na łaskę takiej osoby jak Hanna Wellcome... czy doktor Moultrie - dodałam po chwili.

- W takim razie, jeśli takie są twoje plany, chętnie z tobą zamieszkam - odparła lady Hariot. - Może się do czegoś przydam.

- Będziemy miały dużo pracy.

Myślałam, że poczekam jeszcze, zanim powiem lady Hariot, że spodziewam się dziecka. Stało się jednak inaczej. Uczyniłam to pewnie pod wpływem łączącej nas bliskości i przyjaźni, która umocniła się podczas podróży morskiej, gdy zmierzaliśmy do brzegów Coruñy, aby odebrać Pullett.

Nie, drogi czytelniku. Nie wyjawię, czyje dziecko noszę w łonie. Jeśli potrafisz, spróbuj sam rozwiązać tę zagadkę. Tak nieistotne rozważania pozostawiam tym, którzy nie mają nic lepszego do roboty.

Ale mogę powiedzieć jedno. Będzie wolne. Odziedziczy to po ojcu, i niczego więcej nie będzie potrzebował. A ja, póki starczy mi sił, będę to uczucie pielęgnować i chronić przed zazdrością, zachłannością i zawziętością społeczeństwa.

Mam nadzieję, że będzie to dziewczynka. Co więcej, przeczuwam, że tak się stanie. Będzie miała moje rączki. Moje ręce przyniosły mi szczęście - tak jak przepowiadali Cyganie i Pullett. Niezależnie od tego jednak, czy moje dziecko będzie chłopcem czy dziewczynką, będę je pielęgnować i opiekować się nim sama. Żadne z moich dzieci nigdy nie trafi do Doliny Bękartów.

Nie, drogi czytelniku, nie zamierzam poślubić Hoby'ego. Stracił swoją szansę.

Niewykluczone, że podobnie jak kuzynka Eleonora zabiorę się za pisanie powieści.

Być może, jest to właśnie jedna z nich.